

K WOŁKOW

Wenus

gwiazda

zaranna

SPOLSZCZYŁ TADEUSZ TWAROGOWSKI

NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA — 1960

ROZDZIAŁ I

w którym każdy ze swego punktu widzenia ma rację

Mogło się wydawać, że rozmowa toczy się wokół najzwyklejszych w świecie spraw. Sandomirski popatrzył w okno tak, jak gdyby rozciągał się za nim normalny, codzienny moskiewski widok. Tymczasem wszystko tu było inne, dziwne i niespotykane.

Kuliste pomieszczenie, z okrągłymi, przypominającymi iluminatory okrętowe oknami, tonęło w potokach światła. Jednakże choć Słońce rzucało oślepiające blaski, nie dostrzegało się lazuru, do którego tak przyzwyczajone są oczy ludzkie. Świeciło ono pośród czarnej, aksamitnej nocy. Czarne było również niebo, na którym migotały miriady gwiazd.

Słońce zawisło w przestrzeni kosmicznej. Widać je było z prawej strony, z lewej zaś ogromną i jakby opatuloną srebrzystym nakryciem kulę ziemską. Podobna była do Księżyca tuż po pełni, kiedy zaczyna go ubywać. Tak, wszystko tu było dziwne, jak we śnie. Tymczasem dwóch ludzi wiodło od godziny spór na czysto techniczny temat.

Zresztą z chwilą gdy ręce człowieka Stworzyły pierwszego satelitę i gdy wystrzelona z Ziemi rakietą okrążyła Księżyc, ludzie przestali się w ogóle czemukolwiek dziwić. Wkroczyli bowiem w okres urzeczywistnionych baśni i legend. Zaczęli przyzwyczajać się do podobnych naukowych osiągnięć. Mimo to jednak sensacyjne gazety nazywały KOSMOLOT latającym cudem...

— Nigdy nie zgodzę się na taki nierozsądny i niebezpieczny eksperyment.

— Mikołaju Aleksandrowiczu, pozwólcie...

— Nić, nie pozwolę. To, co proponujecie, jest z technicznego punktu widzenia wprost niedorzecznością. Tak, tak. To jest zupełnie bezsensowny pomysł.

— Mikołaju Aleksandrowiczu...

— Z góry wiem, co chcecie powiedzieć. Dziesiąty raz będziecie powtarzali jedno i to samo...

Rozmowę tę prowadziło dwóch ludzi: Mikołaj Aleksandrowicz Sandomirski, kierownik Kosmolotu — pozaziemskiej stacji naukowo-badawczej lotów kosmicznych, oraz pilot Włodzimierz Iwanowicz Odincow, szczupły dwudziesto- pięcioletni młodzieniec w jasnoszarym, przypominającym strój wojskowy ubraniu.

— Mikołaju Aleksandrowiczu — podjął nie zrażony Odincow. — Mikołaju Aleksandrowiczu, kiedy zaczniemy wreszcie działać zdecydowanie? Bez ryzyka nie można...

— Wiem, wiem. Lecz wszelkie ryzyko powinno być usprawiedliwione. Zastanówmy się więc jeszcze raz. Cóż wy proponujecie? Chcecie wysłać na Ziemię ciężki, nie przystosowany do tego celu pocisk kosmiczny. Chcecie, by wylądował on na powierzchni naszego globu. Pytam się: po co to?

— Po co? Po to, ażeby udowodnić, że rakieta taka, chociaż przystosowana jest jedynie do lotów bez lądowania, może być wystrzelona w kierunku Ziemi.

— A komu to potrzebne? Nikomu. Wiecie o tym tak samo dobrze, jak ja. Dla utrzymania komunikacji z Ziemią istnieją zwykłe statki odrzutowe, przystosowane dzięki odpowiedniej konstrukcji do odbywania lotów w atmosferze. Czego więc jeszcze chcecie? W jakim celu narażać na ryzyko ludzi i sprzęt?

— Dobrze, Mikołaju Aleksandrowiczu — odparł Odincow. — Ale proszę mi w takim razie powiedzieć, w jaki sposób będziemy lądowali na innych planetach, skoro nie opanujemy techniki lądowania na powierzchni Ziemi?

Rozmowa toczyła się w gabinecie służbowym kierownika Kosmolotu. Stacja ta, zbudowana przed kilku laty, była urzeczywistnieniem genialnej idei wielkiego uczonego K. E. Ciołkowskiego. Krążyła posłuszna prawom mechaniki kosmicznej wokół Ziemi w odległości 35 800 kilometrów. To nowe, sztuczne ciało kosmiczne przebywało orbitę dookołaziemską w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dzięki temu wisiało stale w zenicie nad równikiem, nad 85° długości wschodniej. Migotało wieczorami nad błękitną przestrzenią wód Oceanu Indyjskiego jak jakaś nowa gwiazda.

Pierwsze próby wysyłania poza atmosferę ziemską niewielkich rakiet przeprowadzono jeszcze w połowie dwudziestego wieku. Nadając pociskom tym prędkość około ośmiu kilometrów na sekundę, usiłowano przekształcić je w stałe, krążące wokół Ziemi sputniki.

W ten sposób uzyskano krążące wysoko laboratoria kosmiczne, które dzięki doskonałemu wyposażeniu w przyrządy automatyczne zaczęły przekazywać na Ziemię sygnały komunikujące o wysokości temperatury, intensywności promieni nadfioletowych i kosmicznych, natężeniu pola elektromagnetycznego oraz o szeregu innych zjawisk zachodzących w przestrzeni międzyplanetarnej. Dzięki sput-

nikom zwiększyły się znacznie możliwości telewizji. Człowiek mógł obserwować Ziemię i inne planety tak, jak gdyby sam znajdował się gdzieś w przestrzeni kosmicznej, daleko poza naszym globem.

Badania kosmosu za pomocą pocisków odrzutowych przeprowadzono w wielu 'krajach, ale gdy inne państwa poprzestały na wysyłaniu rakiet niewielkich rozmiarów i tylko na wysokość nie przekraczającą tysiąca kilometrów, Związek Radziecki wyrzucił olbrzymie, doskonale wyposażone laboratorium na odległość ,równą sześciu promieniom Ziemi.

Sandomirski siedział za biurkiem w krześle z aluminiowych rurek. Był to mężczyzna krępy, silnie Zbudowany, wyglądający na pięćdziesiąt lat. Postawa, szczególnie zaś sposób siedzenia zdradzały w nim byłego wojskowego, a trzy duże srebrne gwiazdki na patkach przy kołnierzu wskazywały na jego wysoką rangę. Szeroki pas przymocowany haczykami do oparcia fotela zabezpieczał potężne ciało kierownika Kosmolotu przed nagłym uniesieniem się i uderzeniem głową o sufit kabiny. W sputniku bowiem przedmioty nie podlegały sile grawitacji i wystarczył jakiś nieobliczony ruch, i by unieść się jak dziecinny balonik w powietrze, co oczywiście, zważywszy wysokie stanowisko kierownika Kosmolotu, nie byłoby na miejscu, tym bardziej w czasie prowadzenia rozmowy służbowej.

Odincow stał przy biurku. Dzięki magnesowym płytkom, przymocowanym do obcasów i czubków obuwia, mógł trzymać się prosto oraz poruszać bez obawy oderwania się od podłogi.

Podniecony rozmową, która jak zwykle przekształciła się w zażartą dyskusję, Odincow hamował się, aby nie okazać braku szacunku dla zwierzchnika, jed-

nakże uparcie obstawał przy swoim. Odrzuciwszy nagłym ruchem głowy grzywę jasno- kasztanowatych włosów, które opadały mu na czoło, zaczął na nowo przekonywać swego przełożonego.

— Mikołaju Aleksandrowiczu — mówił — latamy już przecież nie pierwszy rok. Oczywiście, omyłka byłaby rzeczą fatalną. Ale ona nie może się zdarzyć.

Sandomirski poprawił się w krześle.

— Uparciuchu, przecież wasza rakieta jest rakieta ćwiczebną. Ćwiczebną — rozumiecie? Wiecie tak samo dobrze, jak ja, że jej konstrukcja nie uwzględnia czynnika oporu powietrza, jaki występuje przy ruchu w atmosferze ziemskiej, że przystosowana jest wyłącznie do lotów w przestrzeni bezgrawitacyjnej i że w związku z tym posiada zupełnie ograniczony stopień wytrzymałości. I na takiej skorupie chcecie zderzyć się z powierzchnią Ziemi? Czy wyobrażacie sobie konsekwencje? Ponieważ nie ma czym hamować, lądowanie odbyć się musi bezwzględnie z wielką prędkością. Czy wiecie, co to znaczy? Otóż staniecie się ze swoją rakieta podobni do puszki z kilkami, którą przejechał samochód ciężarowy.

— Mikołaju Aleksandrowiczu, naziemne rakiety transportowe, choć mają skrzydła niewiele większe od naszych stabilizatorów, lądują przecież bez jakichkolwiek awarii. To nic trudnego. Zresztą w danym przypadku można z powodzeniem wykorzystać opór powietrza.

— Najmniejsza omyłka w obliczeniu — odparł Sandomirski — a wasz pocisk rozżarzy się do białości i spłonie jak meteor!

— Los taki oczekuje tylko drobne ziarnko piasku o rozmiarach główki od szpilki — nie poddawał się Odincow. — Większe natomiast meteory rozżarzają

się tylko z zewnątrz, wewnątrz zaś pozostają zimne. Przy czym spadając wytracają powoli prędkość, dzięki czemu nie ulegają gwałtownemu zderzeniu się z Ziemią. A przecież w rakiecie znajdować się będzie człowiek, który potrafi walczyć z temperaturą.

Nie ulegało wątpliwości, że młody pilot, wdając się w dyskusję, przygotowany był do odparowania wszelkich kontrargumentów. Z jego szarych oczu biła wola. Zdradzały ją również silnie zaciśnięte usta, kiedy z szacunkiem wysłuchiwał opinii kierownika.

Obaj rozmawiali nie podnosząc głosu, jednakże kulisty sufit wzmacniał dźwięki do tego stopnia, że słowa brzmiały donośnie i silnie.

Wszystko tu, na tym sztucznym księżycu, było niepowszednie. Budowa tak gigantycznego urządzenia stanowiła nadzwyczaj skomplikowane zadanie techniczne. Sputnik zmontowany został z kilku kolejno wystrzelonych poza atmosferę Ziemi cygarowatych rakiet. W pierwszej z nich wyruszył w przestrzeń oddział konstruktorów, który następnie przyjmował pozostałe rakiety.

Zaczątek stacji tworzyło pięć olbrzymich pocisków kosmicznych. Stopniowo jednak dołączały do nich wciąż nowe rakiety, dowożące ludzi, aparaturę, gotowe konstrukcje budowlane, żywność, tlen, wodę i materiały pędne. Wszystko to można było zrealizować dzięki wysoko rozwiniętej technice drugiej połowy dwudziestego wieku.

Gdy ukończono budowę pierwszej stacji kosmicznej, ludzie radzieccy przeszli do następnego etapu walki o panowanie w kosmosie. Zapoczątkowali mia-

nowicie serię lotów wysokościowych raketami, które przedostawały się poza granice atmosfery, a po pewnym czasie wracały na Ziemię.

W ostatnich latach uczeni radzieccy prowadzili na stacji kosmicznej niezwykle ważne dla całej ludzkości prace. Opublikowano szereg badań, szczególnie wartościowych z tego względu, że obserwacje przeprowadzane poza granicami atmosfery wolne są od wielu przeszkód, których normalnie nie można uniknąć na powierzchni Ziemi. Przede wszystkim powstała możliwość zainstalowania tam instrumentów astronomicznych o wielkiej sile powiększania. Wyjątkowe również znaczenie miał szereg nowych odkryć w dziedzinie badań promieni kosmicznych, które wychwytywano bezpośrednio na stacji bez strat powodowanych normalnie pochłanianiem atmosferycznym. Wielką również korzyść przynosiły nauce dokonywane z tak dużej wysokości obserwacje Ziemi. Uczeni różnych specjalności — astronomowie, geofizycy, meteorologowie, biologowie — dysponowali obecnie w swej pracy wyjątkowymi możliwościami. Ich badania umożliwiły rozwiązanie szeregu problemów praktycznych związanych z projektowaniem i konstrukcją statków międzyplanetarnych. Ponad to przyczyniały się do rozwoju zupełnie nowego rodzaju środków transportu, tak zwanych pasażerskich raket stratosferycznych, umożliwiających pokonywanie w bardzo krótkim czasie olbrzymich przestrzeni.

W końcu .siedemdziesiątych lat dwudziestego wieku zakończono w zasadzie pierwszy etap walki o opanowanie kosmosu. Odbywały się na raketach kosmicznych loty dookoła Księżyca. Wysłanie takich raket ze sztucznego satelity w przestrzeń międzygwiazdną nie nastroczało większych trudności, ponieważ na

pokonanie przyciągania ziemskiego nie potrzeba było prędkości 11,2 kilometra na sekundę, lecz tylko 3,5.

W związku z rozwojem techniki astronautycznej zjawiał się nowy, dziwny zawód — pilot statków kosmicznych. Odważni ludzie ruszali śmiało w podróże ponad atmosferyczne i szybowali w swych raketach na zawrotnych odległościach od Ziemi, poznając w praktyce prawa astronautyki. Jednakże odwieczne marzenie człowieka, by dotrzeć do innych światów, pozostało nadal nie zrealizowane. Pierwsze rakiety kosmiczne mogły wylecieć ze sputników w przestrzeń międzyplanetarną, jednakże musiały na to samo miejsce wrócić. Lądowanie na stałej powierzchni planet, chociażby nawet na najbliższym ciele niebieskim — Księżycu, w szczególności zaś zagadnienie powrotu — stanowiło jak dotychczas nie rozwiązany problem. Powstawało tu bardzo dużo trudności praktycznych. Mimo wielkich osiągnięć astronautyka znajdowała się jeszcze w młodzieńczym okresie rozwoju.

Niejednokrotnie podejmowano próby wysłania na Księżyc rakiety bez załogi. Były to statki zdalnie sterowane, przystosowane — dzięki urządzeniom telewizyjnym i innym doskonałym aparatom — do przeprowadzania bezpośrednich obserwacji powierzchni Księżyca. Jednakże usiłowania te nie dały pożądaných wyników, ponieważ rakiety automatyczne bądź rozbiły się podczas lądowania, bądź też zderzyły się tak silnie z powierzchnią Księżyca, że zainstalowane na nich przyrządy i aparaty ulegały uszkodzeniu. Nie udało się również całkowicie wyjaśnić przyczyny tych niepowodzeń. Stąd też stawało się jasne, że osiągnąć Księżyc lub jakąś planetę w celach naukowych zdoła nie bezduszny automat, lecz człowiek na statku kosmicznym, który posłuszny woli pilota wykonywać będzie

wszelkie konieczne manewry. Jednakże jak dotychczas takiego typu statku nie udało się stworzyć.

Zagadnienie, jakimi drogami należy zdążać do tego celu i w jaki sposób najprędzej go osiągnąć, wywoływało gorące dyskusje nie tylko w literaturze fachowej, lecz również wśród pracowników stacji kosmicznej. Młodzież, jak zwykle niecierpliwa, "rwała się do czynu, dowodząc, że istniejące typy statków nadają się doskonale do lądowania na innych planetach. Starsi natomiast byli zwolennikami powolnej, lecz pewnej drogi: gromadzenia doświadczeń, wiedzy oraz opracowywania nowych modeli.

— Mikołaju Aleksandrowiczu — uporczywie powtarzał Odincow — proszę mnie wysłuchać do końca!

— Słyszałem już to dziesięć razy.

— Tak, ale dzisiaj mówię w imieniu kolegów. To żółwie tempo nas krzywdzi. Nudzi nam się bez prawdziwej, porywającej roboty.

— Bez prawdziwej roboty? — zirytował się Sandomirski. — To mi się podoba! A czyż wasza praca nie jest ważna? Czego wam się jeszcze zachciewa?

— Lecieć na Księżyc, na Marsa, na Wenus! A wy trzymacie nas jak na uwięzi — grzmiał zaczerwieniony ze zdenerwowania Odincow.

— Ja trzymam ich na uwięzi!... I wy macie odwagę to mówić! — Sandomirski, pełen oburzenia, nastroszył wąsy i zaczął targać je palcami.

— A jak inaczej to nazwać, skoro już trzeci rok kursujemy po tej samej, znanej we wszystkich szczegółach trasie...

Spory tego rodzaju wynikały nierzadko. Sandomirski nie był zwolennikiem działań ryzykownych. Ta cecha charakteru ujawniła się już, gdy miał dwadzieścia lat, kiedy to w czasie wojny organizacja komsomolska skierowała go jako początkującego pilota na front. Prosił wtedy o przydział do lotnictwa bombardującego dalekiego zasięgu. Czyny bohaterskie myśliwców, polegające na błyskawicznych atakach, nie odpowiadały jego temperamentowi. Wolał działać wolno, metodycznie, ale gdy powziął decyzję, potrafił pokonać każdą przeszkodę, przezwyciężyć każdą trudność. Nie zdarzyło się nigdy, ażeby zawrócił z drogi, nie wykonawszy zadania. Dowództwo w pełni oceniło te zalety charakteru lejtnanta Sandomirskiego.

Koniec wojny zastał podpułkownika gwardii Sandomirskiego na stanowisku dowódcy jednej z okrytych sławą wojskowych jednostek lotniczych. A kiedy po dwudziestu latach budownictwa pokojowego przystąpiono do realizowania lotów kosmicznych, pokonywania przestrzeni międzygwiazdnych, generał-lejtnant lotnictwa zmienił strój wojskowy na popielaty, ozdobiony złotem mundur, jaśki przysługiwał członkom szefostwa astronautyki radzieckiej. Na tym nowym stanowisku Sandomirski potrafił skupić wokół siebie wielu utalentowanych młodych ludzi oraz doświadczonych specjalistów.

Odincow był człowiekiem innego pokroju. Bardzo wczesnie rozgorzała w nim namiętność do studiów nad przestrzenią kosmiczną. W tym czasie niezwykle popularne były zagadnienia astronautyczne. Tematy te roztrząsano zarówno w wydawnictwach specjalnych, jak też na łamach prasy codziennej. Stanowiły one także treść wielu książek, publikacji i rozpraw. Wołodia Odincow czytał zapamiętałe wszystko, szczególnie zaś to, co miało jakikolwiek związek z raketami i

silnikami odrzutowymi. Będąc jeszcze uczniem, zbudował własnego pomysłu teleskop i zyskał niejaką sławę jako najlepszy znawca astronomii w klasie. Mając piętnaście lat, był już przekonany, że wcześniej czy później będzie przemierzał przestrzeń wszechświata. Aby przygotować się do tych przyszłych zadań, zajął się bardzo poważnie matematyką, ponadto sporo czasu poświęcał na wyrabianie w sobie odwagi i szybkich odruchów. W okresie młodości Wołodia studiował poważne dzieła z zakresu fizyki, geologii i chemii, natomiast nie starczało mu czasu na zajęcie się literaturą, historią i biologią.

Świadectwo dojrzałości Włodzimierz Odincow otrzymał w tym samym roku, w którym utworzono Instytut Astronautyki. Rzecz oczywista, że młodzienc nie wahał się ani chwili w wyborze zawodu. Po czterech latach ukończył Instytut. Wtedy właśnie zbudowano stację kosmiczną i wtedy zaczął również latać na statkach astronautycznych.

Jak każda nowa rzecz, astronautyka była dziedziną niezwykle atrakcyjną. Tu płonęły jeszcze namiętności, gorzały serca i zapalały się umysły. Nic więc dziwnego, że Odincow stał się przywódcą młodzieży niezadowolonej z metod Sandomirskiego i że jego wybuchowy temperament wywoływał niejednokrotnie starcia z kierownictwem.

Nie można twierdzić, że Sandomirski wymagał ślepego i bezwzględnego podporządkowania się autorytetowi dowódcy. Wręcz przeciwnie, chętnie wysłuchiwał protestów ze strony młodych ludzi, by często potem na nadmiernie rozpalone głowy wylać przysłowiowy kubeł zimnej wody. Podobnie było i tym razem.

— I wam tego mało? — odpowiedział na replikę Włodzimierza, gdy ten zaatakował go, że latają już trzy lata na tej samej trasie. — I wam tego mało? —

powtórzył. — No, wiecie... Pamiętam czasy, kiedy nikomu nie przychodziło nawet na myśl, by można latać dookoła Księżyca. A wam tego jeszcze mało?

— Pozwólcie...

— Proszę.

— Nasze statki mogą z powodzeniem osiąść na powierzchni Ziemi, szczególnie zaś na wodzie, która zmniejsza w znacznym stopniu siłę upadku. Poza tym dodatkowe stabilizatory naszych rakiet są przecież w istocie skrzydłami! Rakietą, zamkniętą hermetycznie, ma kształt opływowy. Jest więc gotową, latającą łodzią. Lądowiska? Na każdym morzu. Mikołaju Aleksandrowiczu, pozwólcie spróbować. Ręczę za powodzenie!

— Znowu to samo — Sandomirskiego opanowała złość, zaczął szarpać wąsa. — Pusta gadanina! Wiecie chyba, Odincow, że istnieje dokładnie opracowany i zatwierdzony program opanowywania kosmosu. Pierwszy etap obejmuje lądowanie na Księżycu. Jak poradzi sobie wobec tego wasza łódka, jeżeli nie ma tam — jak wiecie — ani kropli wody?... Będzie przecież musiała wylądować na twardej, skaiistej powierzchni, a wy tymczasem przekonujecie mnie o możliwościach wodowania...

— Sądzę, Mikołaju Aleksandrowiczu, że nie należy przez całe lata trzymać się niewolniczo ustalonego programu — nie rezygnował Odincow. — To przecież nie dogmat. Nie rozumiem, dlaczego mamy zaczynać od Księżyca lub Marsa. Oczywiście, Księżyc znajduje się bliżej, lecz pozbawiony jest atmosfery. Jej nieobecność powoduje stratę znacznej ilości materiałów pędnych przy hamowaniu podczas lądowania. Równie niełatwo dotrzeć na Marsa. Planeta ta ma rozrzedzo-

ną atmosferę, poza tym jest ona w układzie słonecznym ciałem zewnętrznym. Czyż zatem nie lepiej zacząć od planety wewnętrznej, od pokrytej gazową powłoką Wenus? Pozwólcie więc, że zbadamy najpierw hamowanie atmosfery ziemskiej. Jestem pewny, że uda się nam następnie osiągnąć powierzchnię Wenus.

Słowa Włodzimierza Odincowa miały się co prawda z ogólnie ustalonymi założeniami programu opanowania Kosmosu, jednakże zawierały wiele słuszności. Rzeczywiście, aby osiąść bezpiecznie na Księżycu, statek kosmiczny musi podejść do lądowania na małej prędkości. Osiągnąć to można poprzez hamowanie, ale wówczas liczyć się należy ze znacznymi stratami materiałów pędnych. Podobnie rzecz przedstawiałaby się podczas lądowania w warunkach, jakie panują na Marsie. Zupełnie natomiast inaczej na Wenus. Choć ta planeta znajduje się na znacznie większej odległości od Ziemi niż Księżyc, jej gęsta atmosfera umożliwia hamowanie statku kosmicznego bez większych strat materiałów pędnych. Oto dlaczego pomysł Odincowa, aby praktycznie zbadać warunki hamowania w atmosferze ziemskiej, nie był pozbawiony logiki. Jednakże przekonać Sandomirskiego nie było sprawą łatwą.

— Nie — odezwał się po namyśle. — Nigdy nie wyrażę na to swej zgody. Nie pozwolę, aby nasze rakiety nurkowały jak kaczki. Jest to eksperyment bardzo niebezpieczny, poza tym nie daje korzyści. Nasze statki kosmiczne nie są do lądowania na powierzchni planet przystosowane. Możecie odejść!

Gdy Sandomirski złościł się lub denerwował, jeżył wąsy i przybierał groźny wygląd. W rzeczywistości jednak był to człowiek dobry i łagodny. Odincow znał

swego szefa doskonale, ale zorientował się, że tym razem rozmowy nie można przeciągać. Należało więc wykonać tw tył zwrot i wyjść.

Sandomirski surowo popatrzył za nim, po czym na twarzy jego zakwitł uśmiech. Westchnął jednak i pokiwał głową.

Odincow udał się do kolegów, ażeby zakomunikować im wynik rozmowy.

Warunki poruszania się na sputniku były dosyć szczególne. Chodzenie umożliwiały przymocowane do butów magnesowe płytki, które przyciągały do metalowej podłogi. Przestrzeń pokonywać można było również niewielkimi skokami, z tym jednak, aby po odbiciu się chwycić za zwisające rzemienne kółka. Uchwyt taki powstrzymywał lot ku górze i zabezpieczał przed ewentualnym uderzeniem głową w sufit. Było to konieczne, ponieważ mięśnie zachowywały swą normalną siłę, a ciało traciło całkowicie ciężar. /

Odincow w trzech energicznych susach przebył długi korytarz, z którego prowadziły drzwi do kabin służbowych, i znalazł się w centralnym salonie sputnika. Tu czekali na niego koledzy. Przy stoliku szachowym pod okrągłym oknem siedziało dwóch młodych ludzi w szarych uniformach. Byli to Sergiusz i Aleksander, jak ich powszechnie nazywano — nierozłączni przyjaciele Odincowa, również jak on piloci statków kosmicznych.

— No i co? Stary się uparł? — zapytał nie podnosząc oczu znad szachownicy Sergiusz, najmłodszy z pilotów stacji.

— Stara piosenka! — odparł Włodzimierz. — Osadzenie statku na lądzie jest niemożliwe, ponieważ nie pozwala na to konstrukcja rakiety. Wodowanie zaś na Księżycu jest fikcją, ponieważ nie ma tam wody.

— A Wenus?! — zawołał Aleksander odrywając się od jakiejś bardzo skomplikowanej kombinacji szachowej.

— Na taki lot stary nie wyraża zgody. Znacnie jego argumentację: Nie można tam lecieć, nie zbadawszy uprzednio Księżyca. W żaden sposób nie mogłem go przekonać.

— Czekaj więc tatka latka.

— A czas ucieka — dorzucił Sergiusz, przy czym w głosie jego brzmiał smutek i przygnębienie.

— A czas ucieka — powtórzył jak echo Włodzimierz, który zaczął patrzeć przez okno, chociaż wszystko, co tam widział, znał już od dawna. Niezmierzona przestrzeń kosmosu. Wiało z niej zimnem. Na aksamitnym, czarnym tle jarzyły się gwiazdy. Niżej świeciła Ziemia, osłonięta do połowy szarym obłokiem. Tam w dole mieszkała matka, Natasza, miliony innych ludzi. Glob wisiał w przestrzeni międzygwiazdnej, wypełniając jedną trzecią pola widzenia. Ponieważ sputnik znajdował się w płaszczyźnie równika, spowinięte w szare obłoki bieguny wydawały się stąd jako góra i dół kuli ziemskiej. Bliżej prawego jej skraju widać było oślepiającą, jasną plamę, podobną do świecącej gwiazdy, która jakimś cudem spadła na Ziemię. Było to odbicie Słońca od gładkiej powierzchni oceanu.

Odincow stał i patrzył na Ziemię, patrzył tam, gdzie żyli jego najbliżsi i najdrożsi. Wskroś błękitnej zasłony atmosfery przebijały jaśniejsze plamy obłoków. Poprzez luki między nimi widział znane ze szkolnych map zielonkawe płaszczyzny kontynentów i gdzieśgdzie żółtoszare przestrzenie pustyń. Oceany wydawały mu się z tej odległości ciemnymi, prawie fioletowymi plamami. Wokół zaś,

we wszystkich kierunkach, rozciągała się czarna, pusta przestrzeń, w której błyszczały niezliczone roje gwiazd.

ROZDZIAŁ II

w którym rakieta kosmiczna woduje na powierzchni Morza Czarnego

Jesienny dzień zbliżał się ku końcowi. Słońce skryło się już gdzieś daleko za morzem, a na zachodzie zapaliła się zorza wieczorna. Jednakże zza horyzontu wypełzać zaczęły ciężkie, ponure chmury i wkrótce zawisły nad Krymem. Morze stało się ciemne i zimne. Nadciągała burza. Zwiastowały ją kłębiące się obłoki, które przepłynęły szybko nad przycichłymi jak gdyby w lęku wodami.

Ciszę przerywały tylko głuchoe odgłosy przyływu i łoskot dalekiego grzmotu. Z rzadka zapalały się błyskawice. W ich świetle czarne sylwetki zastygłych w bezruchu cyprysów wydawały się ostre i sztywne.

Z tarasu roztaczał się szeroki widok we wszystkich kierunkach. Na prawo, w liliowym zmierzchu, ukrywała się Liwadia, na lewo zaś rozciągała się portowa dzielnica Jałty. Brzeg tonął w mroku. Z góry widać było zapalające się kolejno światła portowe.

Morze rozszalało się na dobre. Potęgował się z każdą chwilą huk jego przyływu. Fala wznosiła się coraz wyżej i wreszcie przelewać się poczęła poprzez betonowe molo. W smudze światła, które rzucała z nabrzeża latarnia, widać było wysokie fontanny białej piany.

Raptem wszystko się zmieniło. Niespodziewanie powiał wiatr i rzucił na kamienną posadzkę tarasu kupę liści, które pofrunęły we wszystkie strony. Zaszumiał huragan.

— Uciekajmy, Nataszeńka! — zawołała Ludmiła Mikołajewna. — Zdaje się, że nadciąga burza.

— No cóż, chodźmy.

Kobiety wstały z szerokiej marmurowej ławy, która znajdowała się tuż przy balustradzie, i skierowały się do domu.

Ludmiła Mikołajewna Odincowa wyglądała na pięćdziesiąt lat. Miała szczerą twarz i zupełnie młode, niebieskie oczy. Jedynie siwe włosy świadczyły o przeżytych latach oraz zaznanych kłopotach i zmartwieniach.

Do Ludmiły Mikołajewny tuliła się czule młoda dziewczyna ubrana w lekką, szarą suknię w duże, czarne kwiaty. Był to strój nieodpowiedni na taką pogodę. Jednakże Natasza nie zważała na to. Kochała przestrzeń, zapach morza i burzę. Szczególną jednak radość wywoływało w niej poczucie swobody oraz pragnienie nowych doznań. Wydawało się jej, że w tych gwałtownych porywach wiatru cały świat się oczyszcza i odradza, że dzięki nim pozostaje wiecznie młody.

Nataszy nie można było zaliczyć do dziewcząt urodziwych, lecz taką jak ona łatwo zauważało się w tłumie i trudno było oderwać od niej oczy. Miała delikatne, dziewczęce rysy, złociste, spięte w ciężki węzeł włosy, lekko zadarty nosek, opaloną i nieco piegowatą cerę oraz duże, ni to szare, ni to zielone oczy. Najbardziej jednak uderzał wyraz jej twarzy. Kiedy zamyślane i łagodne spojrzenie Na-

taszy spoczęło na kimś, wywoływało w nim dziwne uczucie błogości i zadowolenia.

Człowiekowi robiło się wtedy dobrze na duszy. W jej dziewczęcych oczach zapalały się także wesołe błyski. Czasami uśmiechała się czupurnie, a jej ostry języczek niejednemu dał się we znaki. Jednakże uśmiech ginął często, a na jego miejscu zjawiało się aagle zamyślenie. Odczuwało się wtedy, że pod dziewczęcym czołem wre gorączkowa praca myśli.

— Niepokoję się, Nataszo. Jakaś trwoga ogarnia moje serce. Boję się, aby nie zdarzyło się coś złego z Wołodią — mówiła wzdychając Ludmiła Mikołajewna. — To nie żarty. Już tak długo nie ma od niego żadnych wiadomości.

— Proszę się nie denerwować, wszystko będzie dobrze.

— Nie wiem... Kiedy Sierioża dzwonił ostatni raz?

— O dziesiątej.

— O dziesiątej? Tak, prawda, o dziesiątej. I widzisz, od tego czasu jak uciał.

— Telefonowałam do niego sama, lecz nie mogłam niczego się dowiedzieć. Panuje tam jakieś zamieszanie, wszyscy są zdenerwowani.

— Widzisz.

— Proszę się nie niepokoić. To burza wywołuje smutne myśli. Zasłońmy okna, zapalmy światło i napijmy się herbaty. Od razu zrobi się raźniej i przytulniej.

Natasza, choć drżało jej serce, starała się nie okazywać swego zdenerwowania, ażeby jeszcze bardziej nie trwożyć Ludmiły Mikołajewny.

Objąwszy się wpół, obie kobiety weszły do domu. Zapłonęły mlecznobiałe kule lamp elektrycznych, oświetlające wnętrze przestronnego, pomalowanego na różowo pokoju. Ściany do połowy wysokości pokryte były modną w tym czasie, perłowszarą tkaniną. Rozsuwane jak w wagonach kolejowych drzwi i okna otwierały się i zamykały za pomocą specjalnych, ukrytych w ścianach mechanizmów. Z karniszów zwisały jedwabne, jasnowiśniowe zasłony, zharmonizowane barwą desenia z kolorem ścian.

Pokój zastawiony był meblami typowymi na południu. Lekkie aluminiowe krzesła i fotele miały miękkie siedzenia i oparcia obite złocistym materiałem. Na ścianach wisiało kilka obrazów i dużych, kolorowych fotografii o tematyce morskiej.

Na stole nakrytym śnieżnobiałym, nakrochmalonym obrusem dymił samowar rozsiewając zapach herbaty. Kryształowe wazy pełne były konfitur, herbatników, owoców i winogron.

— Nataszeńka — odezwała się Ludmiła Mikołajewna — wiesz przecież, że Wołodia jest pilotem. Jakże więc mogę być o niego spokojna? Serce moje stale drży. Gdyby latał nad Ziemią jak inni lotnicy... Ale on — aż strach pomyśleć — gdzieś w całkowitej pustce, w jakiejś przeraźliwej próżni. Opowiadał mi o tym. Leci, a wokół ani chmurki, ani błękitu nieba, tylko zupełna atramentowa czerń i nic więcej.

— Ale to zaszczytna praca — odezwała się z jakimś rozmarzeniem w głosie dziewczyna. — Myśl, że Wołodia jest jednym z tych, którzy pokonują międzyplanetarne przestrzenie, napawa mnie dumą. Szybować wśród gwiazd, latać na inne planety! Dech zapiera!

— Przekonasz się o tym, gdy wyjdiesz za mąż.

— Wiem. Na pewno nie będę miała spokojnego życia, gdy się pobierzemy. Lecz czy ja jedna? Żony marynarzy również żegnają udających się



w dalekie rejsy mężów. Smutne... Ale niech już Wołodia pozostanie tym, kim jest.

— Tak, ale wiesz, żyć w ciągłej trosce, w ustawicznym lęku... Mam dopiero pięćdziesiąt lat, a już zupełnie osiwiąłam i każdy nowy lot Włodzimierza przysparza mi siwych włosów. Tak i teraz. Dlaczego się martwię? Rakieta powinna już dawno powrócić, tymczasem wciąż jeszcze jej nie ma. A przecież u nich wszystko jest rozplanowane co do minuty. Rakieta to nie pociąg, który może się opóźnić. Wołodia, gdzie on może być?... Nie, Nataszeńka, matczyne serce przeczuwa...

Oczy Ludmiły Mikołaj ewny napełniły się łzami. Filiżanka zadrżała w jej ręku i herbata wylała się na obrus.

— Proszę się uspokoić, proszę się uspokoić — Natasza podbiegła do Ludmiły i objęła ją, chcąc w ten sposób dodać otuchy zatrwożonej kobiecie.

Niestety, nie potrafiła tego dokonać. Skończyło się na tym, że siadły obok siebie na kanapie i pograżyły się w milczeniu. Wyglądały jak dwa nastroszone w czasie niepogody ptaki.

Tymczasem burza za oknem rozpętała się na dobre. Wiatr wył, a gdy na moment przycichł, z oddali niósł się groźny ryk rozszalałego morza. Od czasu do czasu przebiegały po niebie zygzaki błyskawic oświetlając zginające się wierzchołki cyprysów. Ulice gwarne miasta opustoszały. Kto żyw krył się przed nawałnicą. Poprzez gęste smugi deszczu jasno oświetlony port wydawał się rozmazaną plamą światła. Lejące z nieba strugi wody siekły uparcie w okna, jak gdyby pragnęły przeniknąć do przytulnego pokoju, w którym panowało ciepło.

Kobiety nie rozmawiały. Raptem naprężoną ciszę przerwał wibrujący sygnał wideofonu. Równocześnie zajaśniał ekran, na którym ukazała się twarz Sierioży

Mikołajewa, przyjaciela Wołodi. Głowę jego osłaniał kaptur, spod którego wystawał daszek służbowej czapki.

— Natalio Wasiljewna! — zabrzmiał głos Sierioży. — Wiadomości o Włodzimierzu!

— Mówcie prędzej! Co się z nim dzieje?

— Z kierunku Księżyca w zasięgu naszych aparatów radiolokacyjnych ukazało się nieznane ciało kosmiczne. Myślę, że jest to rakieta Włodzimierza. Jednakże zamiast wziąć kurs na stację, przeszła ona bokiem i zmierza prosto w kierunku Ziemi.

— Przypuszczacie, że to Włodzimierz?

— Obawiam się, że tak.

— Dokąd on leci?

— W tej chwili trudno ustalić. Sądzę jednak, że chce wylądować na Ziemi.

— Skąd mówicie?

— Z Ziemi! Jestem niedaleko was. Dyżuruję na stacji radarowej Ai-Petri. Tu znajduje się nasz punkt obserwacyjny. Siedzimy loty rakiet. Ze stacji i z Ziemi. Jeżeli będzie coś ciekawego, dam znać.

— Dziękuję, Sierioża. Bardzo się lękamy.

— A jak czuje się Ludmiła Mikołajewa?

— Okropnie!...

— Nie przejmujcie się! Wołodia wie, co robi... Przepraszam, ale muszę niestety kończyć, gdyż obsługuję aparaty.

— Do widzenia, Sierioża!

Ekran zgasł. Natasza położyła słuchawkę i pobiegła do Ludmiły Mikołajewny.

— A nie mówiłam! — zawołała. — Proszę sobie wyobrazić, ten szaleniec, pędzi na Ziemię.

— To niemożliwe, Nataszeńka! Wołodia miał wykonać lot dookoła Księżyca. Wiem, że taka rakieta jak jego nie może lądować na Ziemi. Sam mi to mówił.

— Mnie natomiast opowiadał zupełnie co innego. Zapewniał, że spróbuje kiedyś wylądować na Ziemi... I nawet nie uprzedził! Dostanie mu się za to ode mnie!

— Nataszeńka, cóż ty opowiadasz? Co to znaczy? — zawołała zupełnie zdetonowana Ludmiła Mikołajewna. Jednakże Natasza nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż wzywał ją ponownie sygnał aparatu. Dzwonił znowu Sierioża. Natasza, patrząc na jego twarz, spostrzegła, że przyjaciel Wołodi stara się nad sobą zapanować.

— Natalio Wasiljewna!... — rozległ się jego głos.

Sierioża podkochał się w narzeczonej kolegi i zawsze, kiedy z nią rozmawiał, nie mógł opanować wzruszenia, które zdradzał zwykle jego drżący głos. W tej chwili wzruszenie to było jeszcze silniejsze z powodu sytuacji, w jakiej znalazł się Włodzimierz.

— Natalio Wasiljewna — mówił krótkimi zdaniami. — Nie ma wątpliwości! To rakieta Wołodi! Już jest na styku atmosfery! Jeżeli zechce opuścić się na Morze Czarne, to zobaczymy go na tle nieba. Obserwujcie! Ja nie mam czasu. Nie mogę oderwać się nawet na moment od aparatów...

Powiedziawszy to, Sierioża wyłączył się, nie czekając na odpowiedź. Kobiety popatrzyły sobie w oczy. W ich wzroku czaił się lęk i zdenerwowanie. W milczeniu narzuciły na siebie nieprzemakalne płaszcze i podążyły na taras.

Burza szalała z niesłabnącą mocą. Spienione morze huczało spiętrzonymi falami i biło zawzięcie o nabrzeże. Huragan dał tak, że nie można było utrzymać się na nogach. Co chwila ciemność nocy rozdzierały oślepiające błyski wyładowań elektrycznych. Gdy gasły, mrok stawał się jeszcze gęstszy. Jediną jasną plamę tworzyła luna nad portem i światło latarni morskiej.

Zdenerwowane kobiety długo wyczekiwały w ciemności. Była już chyba druga w nocy, gdy burza zaczęła oddalać się na wschód i przycichać. Odgłosy grzmotów stawały się coraz słabsze, przeredziła się gęsta dotąd zasłona deszczu, milkł również powoli wiatr. Jedyne morze ryczało i atakowało brzeg. W dole ukazało się w odblaskach błyskawic miasto.

Nagle gdzieś z wysoka z zachodniej części nieba doleciał słaby, przeciągły gwizd. Początkowo wysoki, a potem coraz niższy i niższy. Dźwięk ten

potężniał, aż wreszcie osiągnął punkt kulminacyjny, następnie osłabł i rozplynął się zupełnie w przestrzeni daleko na wschodzie.

— Natasza, słyszysz? — zawołała Ludmiła Mi-kołajewna chwytając dziewczynę za rękę.

— Myślę, że to Włodzimierz, że to jego rakieta kosmiczna. Przemknęła dokonując okrężnego lotu.

— Dookoła Ziemi?

— Tak. Dookoła Ziemi.

— Czy też żyje jeszcze mój Włodeczek?

— Ależ oczywiście. Przecież rakieta podchodzi do lądowania. Dowodzi to, że Włodzimierz pilotuje swój statek. Musi więc żyć. Oby tylko udało mu się szczęśliwie wylądować! W tym celu musi najpierw wprowadzić raketę w lot po spirali. Wołodia sam mi to kiedyś tłumaczył...

Minęły przeszło trzy godziny, zanim rakieta pojawiła się znowu na niebie. Ukazała się tam gdzie poprzednio. Stało się to przed świtem, kiedy ciemność wydaje się najgęstsza. Od morza szedł pomruk fal, a wiatr rzucał się z rzadka nagłymi porywami na drzewa. Zmęczone oczekiwaniem i pełne niepokoju kobiety usłyszały najpierw, płynący zdawało się zza chmur, daleki huk lecącego pocisku, tym razem głęboki, potężny i groźny. Niezwykły hałas zbudził ze snu mieszkańców miasta. Ludzie wybiegali na balkony, werandy, tłoczyli się do okien. Wszyscy wpatrywać się zaczęli w niebo.

Gdzieś bardzo daleko na zachodzie zapaliło się światło. Przybierało ono coraz bardziej na sile, aż wreszcie stało się oślepiająco jasne. Z obłoków płynących nad morzem wyłoniła się olbrzymia rakieta przypominająca kształtem i rozmiarami sterowiec. Leciała spływając na krótkich skrzydłach coraz niżej, by w końcu znaleźć się tuż nad falami. W jej przedniej części płonął reflektor, rzucając na wodę szeroki snop światła. Ludzie obserwujący statek spostrzegli również, że był rozżarzony do czerwoności i świecił jak kawał żelaza w rękach kowala.

Wszystko to stało się w ciągu dziesięciu lub nieco więcej sekund. Od momentu zaś, kiedy błyszcząca rakieta ukazała się na horyzoncie, gdy przemknęła przed oczami przerażonych widzów i z szumem zderzyła się z powierzchnią wód, nie upłynęło nawet pół minuty. Następnie, jak rzucony płasko po wodzie kamień, podskoczyła rozżarzona nad huczące morze, po czym opadła, by za chwilę wykonać trzy podobne, kolejno po sobie następujące skoki i zanurzyć się głowicą w fale. Upadek rozżarzonego do czerwoności metalowego statku w zimną kipieli morską wyrzucił wysoki słup wody. Równocześnie rozległ się plusk i syczenie pary, która gęstym obłokiem osłoniła miejsce katastrofy. Minęła jeszcze sekunda i wszystko ucichło. Rakieta z zadartym niezdarnie ogonem tkwiła nieruchomo w miejscu.

Z piersi Ludmiły Mikołajewny wyrwał się stłumiony okrzyk. By nie upaść, uchwyciła się balustrady. Wstrząs jednak był zbyt silny. Nieszczęśliwa straciła przytomność i runęła na kamienną posadzkę tarasu.

Zaczęło się rozjaśniać. W bladym świetle brzasku zamajaczyły trzy szare sylwetki okrętów. Ruszyły pełną parą tam, gdzie spadła rakieta. Były to jednostki ratownicze, znajdujące się od chwili otrzymania wiadomości o zbliżaniu się ra-

kiety w stałej gotowości alarmowej. Wyposażone w potężne silniki, rozwinęły maksymalną szybkość i po kilku minutach znalazły się na miejscu wypadku. Zanim słońce wzeszło i na dobre zaczął się dzień, wszystkie radiostacje Związku Radzieckiego nadały pierwsze wiadomości o wypadkach minionej nocy.

„Przed siedmiu dniami — podawano w audycjach — pierwsza radziecka stacja naukowo-techniczna lotów kosmicznych wysłała w kolejny rejs ciężką raketę »KP-105«, pilotowaną przez Włodzimierza Iwanowicza Odincowa. Statek międzyplanetarny miał za zadanie wykonać lot dookoła Księżyca, dokonać zdjęć i wrócić na miejsce startu znajdujące się na stacji kosmicznej. Z powodu bliżej nie znanych jeszcze przyczyn raketa »KP-105« zboczyła w powrotnej drodze z wyznaczonego kierunku, biorąc kurs na Ziemię. Jak udało się ustalić, statek po osiągnięciu wierzchnich warstw atmosfery ziemskiej przeszedł w lot po spirali, wytracając przy każdym obrocie prędkość. Następnie raketa okrążyła kilka razy kulę ziemską, obniżając prędkość lotu do około 400 kilometrów na godzinę, po czym spadła do morza w pobliżu Jałty. Upadając raketa zanurzyła się przednią swą częścią, to jest głowicą cięższą od rufy, w której znajdowały się puste po materiałach pędnych zbiorniki. Statki ratownicze, które przybyły natychmiast na miejsce katastrofy, przywróciły rakiecie normalne położenie. W tej chwili »KP-105« znajduje się w drodze do portu”.

Ludmiła Mikołajewna i Natasza niebawem były już na wybrzeżu. Wokół falał tłum. Burza na morzu trwała. Rakiety nie można było otworzyć przed przyholowaniem jej do portu. Statki ratownicze podały na brzeg wiadomość, że na stukanie i inne sygnały nie otrzymano z wnętrza pojazdu kosmicznego żadnej odpowiedzi.

Ludmiła i Natasza przecisnęły się przez tłum, aby znaleźć się bliżej miejsca akcji.

O godzinie siódmej rano statek międzyplanetarny został przycumowany do betonowego mola jałtańskiego portu. Tłum gapiów rósł z każdą minutą.

Otwarcia rakiety dokonał oddział ratowniczy pod osobistym kierunkiem Sandomirskiego, który przyleciał specjalnie do Jałty, skoro tylko wiadomość o przypuszczalnym rejonie lądowania statku Odincowa dotarła na stację kosmiczną. Ludmiła Mikołajewna i Natasza z drzeniem śledziły czynności ekipy ratowniczej i wpatrywały się z zapartym tchem w metalowe cielsko rakiety. Czy było tam jeszcze serce Włodzimierza? Chusteczka, którą Ludmiła ścisnęła w ręku, mokra była od łez. Natasza wydawała się spokojna. Jedyne silnie zaciśnięte usta oddawały w pewnym stopniu stan jej ducha. Obok niej stał Sierioża i jak umiał, starał się uspokajać obie kobiety.

— Przekonacie się, że wszystko będzie w porządku. Wołodia zuch. Tak osadzić raketę na wodzie — to wprost cudowne. Cóż za wspaniała orientacja, i do tego w nocy, i przy takiej zawrotnej szybkości! Doprawdy, zuch Wołodia!

— Lecz dlaczego on nie odpowiada?

— Najprawdopodobniej wskutek olbrzymiej siły uderzenia; mógł przecież stracić przytomność lub też... Ale proszę uważać! Już otwierają.

Rzeczywiście, robotnicy odcięli główki nitów przytwierdzających pokrywę włazu, po czym członkowie ekspedycji ratunkowej zniknęli w ciemnym wnętrzu luku.

Tłum zgromadzony na brzegu ucichł.

Ludmiła Mikołajewna zakryła rękami twarz. Minuty wydały się jej (wiecznością. Wreszcie ukazała się z luku głowa Sandomirskiego, który po chwili stanął na przenośnej drabince i uniósł rękę. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

— Wszystko w porządku, towarzysze — zabrzmiał donośnie jego głos. — Pilot żyje! Stracił tylko przytomność!

Z tłumu wyrwała się Ludmiła Mikołajewna i rzuciła w kierunku Sandomirskiego.

— Puśćcie mnie! — zawołała. — Do syna!

— Wszystko w porządku — powtórzył Sandomirski poznając Odincową. — Lekarz przywrócił mu już przytomność. Zaraz zobaczycie swego syna.

ROZDZIAŁ III

z którego wynika, że naruszenie dyscypliny nie pozostaje bezkarne

Salę szpitalną zalewały patoki światła słonecznego. Świeży morski wiatr poruszał zasłony na oknach i niósł z sobą smętny zapach jesieni. Poprzez szyby widać było drzewa, jeszcze zielone, ale już pokryte lekką mgiełką wrześniowego złota. Dalej rozpościerało się błękitne, spokojne morze. Bliżej brzegu igrały wesołe, błyskające jak brylanty odbicia słońca, dalej zaś ścieliła się na wodzie szeroka, ognista droga.

Na łóżku przy otwartym oknie leżał młody człowiek w białej koszulce. Śnieżne prześcieradło okrywało go tylko po piersi, odsłaniając ramiona o opalanej na brąz skórze, pod którą przeżyły się mięśnie.

Chory odwrócił głowę na prawo, w kierunku rozmówcy, tak że na białej poduszce zarysował się wyraźnie jej męski profil. Nos z niedużym garbkiem, wyraźnie wykrojone usta i silnie rozwinięta szczeka o energicznym, wysuniętym podbródku znamionowały charakter twardy i nieustępliwy. Stanowczość i pewność siebie wyczuwało się również w szarych, spokojnych oczach chorego, którym był właśnie Włodzimierz Odincow.

Gdy wrócił w szpitalu do przytomności, oświadczył, że jest zdrow jak ryba, że nic mu nie dolega.

Wzwiązku z tym dochodziło nawet do sprzeczek z lekarzem, który się nim opiekował.

— Proszę zrozumieć — zapewniał go Odincow. — Przecież nie odniosłem żadnej kontuzji, żadnej rany, najłżejszego nawet zadraśnięcia. Czuję się wspaniale. Jestem zdrow jak ryba. Muszę jak najszybciej wrócić do pracy. Tymczasem trzymacie mnie tu w łóżku. Macie sumienie?

— Sumienie to ja mam — odpowiedział spokojnie lekarz, niski, otyły, z gładko wygoloną twarzą. — Ale musicie zrozumieć kilka prostych rzeczy. Przede wszystkim — jesteście wyczerpani nerwowo. Rozumiecie? Utraciliście przytomność nie wskutek zwykłych przyczyn. Wasze ośrodki nerwowe doznały nadmiernego napięcia, zostały przeciążone. Potrzebny jest wam bezwzględny spokój. Bezwzględny spokój! — powtórzył unosząc znacząco wskazujący palec.

— Jak długo?

— Jeszcze dzień lub dwa kuracji, a potem — proszę bardzo! Tymczasem leżcie spokojnie. Nie mogę wam pozwolić na spacer. Nie należy ryzykować. Spokój! Tylko spokój!

— Ładny spokój! Uspokoję się nie wcześniej, aż złożę raport kierownictwu... Doktorze, umówmy się tak: zwalniamie mnie ze szpitala, ja udaję się na miejsce pracy, melduję tam, co potrzeba, wracam i znowu kładę się do łóżka. Choćby na miesiąc lub dłużej. Wtedy będę rzeczywiście spokojny.

— Nie, nie. Jeszcze trochę cierpliwości. Ale oto ktoś do was...

Wykorzystując pretekst, lekarz lekko wykręcił się na pięcie i znikł zadowolony, że udało mu się uwolnić od natrętnego pacjenta. Równocześnie w drzwiach

ukazała się Ludmiła Mikołajewna i Natasza, która trzymała w ręku bukiet jesiennych kwiatów.

— Mama, Natasza! Drogie moje! — Odincow poderwał się na łóżku i wyciągnął rękę. — Widzicie, wszystko w porządku.

— Żyjesz, Włodeczku! — zawołała matka. — Nie jesteś ranny?

— Zdrów i cały, mamó!

Lecz słowa te nie uspokoiły matki. Zarzucała syna pytaniami, nie czekając na odpowiedź.

— Jesteśmy znowu razem, mamó. Widzisz?

— Ile przeżyliśmy, Wołodia! Ja i Natasza nie mogłyśmy zmrużyć oka. Jesteśmy strasznie zmęczone. A o ostatniej nocy lepiej nie wspominać.

Natasza milczała. Siedząc na krawędzi łóżka, uśmiechała się i gładziła długimi palcami rękę Włodzimierza. Przyglądała mu się, a jej spojrzenie wyrażało wiele: i radość z powodu tego, że wszystko, co najgorsze, minęło, i lęk o ukochanego człowieka, i dumę z niego. Wszystkie te uczucia wyczytać można było z jej twarzy.

Odincow ujrzał w jasnych oczach dziewczyny tyle tkliwości i ciepła, że zrobiło mu się na duszy dobrze i lekko, chociaż uczuciu temu towarzyszyło pewne zmieszanie i zakłopotanie. Wiedział bowiem aż nazbyt dobrze, ile sprawił swym najbliższym zmartwienia, jakin* był bezpośrednim powodem ich niepokoju.

— Powiedz, Wołodia, jak się czujesz — usłyszał głos matki, która nie mogła oderwać się od syna.

— Wspaniale, mamó. Wspaniale! — odpowiedział nieco zmieszany, jak gdyby chwycił go ktoś na gorącym uczynku. — Kiedy wreszcie przywykniecie do tego? — podjął po chwili. — Kiedy nareszcie oswoicie się z moim zawodem? Tylko tym, którzy się nie orientują, wydaje się on niebezpieczny. W rzeczywistości zaś...

— Co w rzeczywistości, Wołodia? — spytała Ludmiła Mikołajewna ze smutkiem w głosie.

— W rzeczywistości, mamó, zajęcie moje jako pilota kosmicznego jest pewne, bezpieczne i proste. Wszystko w nim opiera się na ścisłym rachunku matematycznym. Przypadki są tam wykluczone.

— Dlaczego w takim razie denerwowali się twoi przełożeni i koledzy? — spytała matka. — Przecież oni również dobrze znają owe matematyczne wyliczenia.

— Denerwowali się?

— Oczywiście.

— Zdrowo mi się pewnie za to dostanie!

— Wołodia, że też mogło ci coś podobnego przyjść do głowy? — Ludmiła Mikołajewna nie mogła się uspokoić. — Jak mogłeś odważyć się na taką rzecz bez zezwolenia kierownictwa? Nawet Sierioża bał się, że możesz zginąć.

— Ale ustanowiłem rekord!

— Rekord? Przecież podobne rzeczy przygotowuje się wcześniej. Ty zaś poleciałeś niespodziewanie i w dodatku nikogo nie uprzedzając.

— Nawet mnie, ty niezdolne chłopaczysko bez serca — uśmiechnęła się Natasza zapominając zupełnie o planowanym zamiarze zmycia Wołodi głowy.

— Sprawa była pod każdym względem przemyślana — upierał się Włodzimierz — a obliczenia sprawdzone. Mimo to kierownictwo nie dawało zezwolenia. Prosiłem. Przedkładałem. Wszystko na nic. Jak groch o ścianę. Cóż więc miałem robić?

— Odpowiedź prosta — rzuciła Natasza. — Należało, jeżeli nie dawali zezwolenia, czekać. Zajmujesz stanowisko, na którym obowiązuje dyscyplina.

— Ach, Natasza — odparł Włodzimierz. — Przecież tak robiłem. Czekałem. Lecz każda cierpliwość w końcu się wyczerpie. Nie wytrzymałem więc i zdecydowałem się na przeprowadzenie próbnego lądowania na własne ryzyko i odpowiedzialność.

— A gdybyś się rozbił? — zapytała cicho Ludmiła Mikołajewna.

— To było wykluczone — odparł stanowczo Włodzimierz.

W oczach jego wyczytać przy tym można było szczere zdziwienie z powodu tych wszystkich, naiwnych z jego punktu widzenia, strachów i obaw. Ponadto w słowach, które wypowiadał, tętniła taka głęboka pewność siebie i wiara w słuszność kroku, na który się zdecydował, że matka westchnęła tylko bezradnie i zmieniła szybko temat rozmowy.

— Opowiedz, Wołodia, o swoim locie. Wyobrażam sobie, coś wtedy przeżył.

— Jak by to wyrazić? — zamyślił się. — Oczywiście, było dość ciężko.

— Tylko proszę dokładnie — wtrąciła Natasza. — Już ja znam twoje zwycię odpowiedzi: wyleciałem, przyleciałem, wszystko w porządku... Na to się nie zgadzam. Opowiadaj dokładnie.

— Dobrze, dobrze, niczego nie ukryję — roześmiał się Włodzimierz, po czym przeciągnął się, założył ręce pod głowę i zamilkł na moment, by przypomnieć sobie wszystko i zastanowić się, od czego rozpocząć. Po chwili zaczął opowiadać. Najpierw wspomniał, że każdy następny lot kosmiczny w niczym nie przypomina poprzedniego i zawsze jest niezmiernie ciekawy, ostatni zaś był wprost fascynujący.

W to, co mówił Odincow, można było wierzyć bez zastrzeżeń.

Ludzkość stosunkowo spokojnie przyjęła takie wydarzenie, jak na przykład lot wokół Księżyca. Dojrzała już bowiem stopniowo nie tylko do rozwiązywania podobnych problemów, ale dzięki ostatnim osiągnięciom nauki oswoiła się również z możliwością zrealizowania lotów kosmicznych. A mimo to podobne wy-czyny znajdowały się na granicy tego, w co można było uwierzyć. Oczywiście, historię lotów kosmicznych zapoczątkowało wysyłanie zdalnie sterowanych ra-kiet na Księżyc. Jednakże ulegały one niezmiennie rozbiciu w czasie lądowania. Dotychczas nie udało się uzyskać wystarczająco szczegółowych i dokładnych danych dotyczących powierzchni Księżyca, a bez tego lądowanie na nim czło-wieka było wprost nie do pomyślenia. Rakiety kosmiczne z obsługą wykonywały co prawda już niejednokrotnie loty wokół Księżyca, ale na odległościach nie przekraczających jego średnicy, to jest około 3500 kilometrów. Loty na odległo-ściach mniejszych uważano za przedsięwzięcie ryzykowne, ponieważ w strefie tej wypuszczane uprzednio rakiety automatyczne traciły z niewiadomych przy-

czyn sterowność i ulegały rozbiciu. Jednakże obserwacje astronomiczne coraz częściej potwierdzały przypuszczenie niektórych uczonych, iż na Księżycu istnieje atmosfera, z tym jednak, że jest ona bardzo rozrzedzona. Na skutek tego Odincow otrzymał zadanie zbliżenia się do powierzchni Księżyca na odległość 150 — 200 kilometrów i dokonania kilkakrotnego okrążenia tego ciała z jak najmniejszą prędkością. Pilot, wykonując to polecenie, powinien był zarejestrować takie szczegóły księżycowego świata, jakich nikt jeszcze nie widział. Choć podróż w obie strony trwać miała sześć dni, to jednak zaopatrzone rakiety w taką ilość materiałów pędnych oraz żywności, wody i tlenu, że starczyć by mogła na okres dwukrotnie dłuższy. Do lotu przygotowywano się szczególnie starannie i długo. Przystudiowano zawczasu kurs statku i system lotu na wszystkich etapach. Sprawdzone zainstalowane na pokładzie rakiety automatyczne przyrządy, które bez udziału pilota uruchomiały w odpowiednim czasie silniki, regulowały prędkość i zmieniały w zależności od potrzeby kierunek lotu. Odincow, polegając na sprawności tych skomplikowanych aparatów, zastępujących ludzkie oczy i mózg, mógł nawet przez dwa dni o nic się nie troszczyć, oszczędzając swe siły do zadań trudniejszych, do lotu naokoło Księżyca. Tu jednakże musiał już czuwać bez przerwy i ani na moment nie opuszczać pulpitu sterowego. Dotychczasowe bowiem niepowodzenia, jakich doznały przy próbach lądowania rakiety automatyczne, ostrzegały przed możliwością najprzeróżniejszych niespodzianek. W tych warunkach oraz ze względu na szczególną trudność w sterowaniu statkiem na małych wysokościach, losu rakiety nie można było powierzyć przyrządom, choćby jak najbardziej precyzyjnym. Tu działać musiał człowiek o jasnym, trzeźwym umyśle i bystrej orientacji.

Chociaż Włodzimierz Odincow nie lubił referatów i suchych wykładów, relacja jego do pewnego stopnia je przypominała.

— Przed upływem trzeciej doby — opowiadał — byłem już na posterunku. Połknąłem tabletkę od zmęczenia, wypilem gorącej kawy i stanąłem przy pulpicie sterowym. Księżyc znajdował się zupełnie blisko, tak blisko, że widać było dokładnie nawet nieuzbrojonym okiem jego powierzchnię. Góry, doliny, cały tajemniczy księżycowy krajobraz.

— Jakież to musi być wspaniałe! — wtrąciła z rozmarzeniem Natasza. — Pędzić w przestrzeń kosmiczną! Na Księżyc! Do gwiazd! Czyż to nie pasjonujące?

— Oczywiście, że bardzo, Natasza! Warto latać, aby doznawać takich przeżyć... Lecz słuchajcie!

— Słuchamy, słuchamy! — zawołały jednocześnie Ludmiła Mikołajewna i Natasza.

— Dobrze, ale na czym to stanąłem? Aha, już wiem. Przecież to odbywa się tak! Rakieta po wystartowaniu z Ziemi osiąga na odległości 38 400 kilometrów od środka Księżyca punkt, w którym równoważy się siła przyciągania obu ciał. W miarę zmniejszania się tej odległości siła przyciągania Księżyca stale wzrasta, wskutek czego statek kosmiczny zaczyna opadać na jego powierzchnię. Podobnie działo się ze mną. Lecę, a serce ledwie mi nie pęknie. Tak bywa zwykle, gdy zbliżamy się do Księżyca. Jednakże, aby to wyjaśnić, muszę dokładnie przedstawić sytuację. Człowiek znajdujący się w swobodnie opadającym statku nie odczuwa co prawda, jak i przedtem, ciężaru swego ciała, jednakże jest taki moment,

kiedy raptem zaczyna się wydawać, że Księżyc nie znajduje się przed nim, lecz jakby pod nogami. Jest to uczucie pod względem psychologicznym niezwykle. Wzrokowo nic się przecież nie zmieniło. Księżyc po dawnemu znajdował się nade mną. Jak ściana. Lecz każdym nerwem ciała czułem, że rakieta leci gwałtownie na dół, w przepaść. Jak pikujący prostopadle samolot.

— To straszne! — wzdrygnęła się Natasza.

Włodzimierz uśmiechnął się do niej przyjaźnie i dumny ze swej wyższości nad przeciętnymi śmiertelnikami, kontynuował:

— Opadanie rakiety trwało dość długo. Nareszcie widzę: strzałka wysokościomierza wskazuje pięćset kilometrów nad powierzchnią Księżyca. Na takiej odległości nie znalazł się jeszcze żaden człowiek. Jednakże nie było czasu na rozmyślanie. Księżyc bowiem znajdował się tak blisko, że widziałem tylko jedną trzecią jego tarczy.

— Ileś to zobaczył i przeżył! — zawołała z zachwytem Natasza.

Włodzimierz uśmiechnął się i opowiadał dalej.

W kabinie pilota nad pulpitem sterowym wisiały dwie fotografie Księżyca. Porównując je, można było stosunkowo łatwo rozpoznać Księżycowe Alpy i Apeniny, Krater Kopernika, Wulkan Tycha de Brahe, Prostą Ścianę oraz inne szczyty i grzbiety górskie. Rysowały się wyraźnie na jasnej powierzchni, która zbliżała się coraz bardziej, która leciała jak gdyby na spotkanie. Gdy rakieta osiągnęła prędkość powyżej dwóch kilometrów na sekundę, należało przejść natychmiast do lotu okrężnego. Prędkość ta równoważyła siłę przyciągania Księżyca.

— Włączyłem silnik — brzmiał głos Włodzimierza — i lekko przesunąłem koło sterowe. Momentalnie jakaś siła przyparła mnie gwałtownie do siedzenia. Tak zawsze bywa przy wyjściu z pikowania. Pociemniało mi w oczach. Lecz po chwili to minęło. Powierzchnia Księżyca odpłynęła ku dołowi. Patrzyłem teraz na nią z góry, jak w czasie każdego innego normalnego lotu. By znaleźć się na żądanej wysokości dwustu kilometrów, musiałem stopniowo schodzić coraz niżej po spirali. Włączyłem automatyczne przyrządy sterownicze i przystąpiłem do obserwacji. Zaczynał się bowiem najciekawszy etap lotu nad drugą częścią Księżyca, której nie widać z Ziemi...

Wokół Księżyca latałem przez kilka godzin — podjął po chwili Odincow. — Musiałem dokładnie zbadać oraz sfotografować z bliskiej odległości jego odwróconą od Ziemi stronę zarówno wtedy, gdy oświetla ją Słońce, jak i w czasie nocy.

— W jaki sposób można robić zdjęcia w nocy?

— Fotografowałem przy użyciu rakiet oświetlających. Go prawda na Księżycu nie ma gęstej atmosfery i nie można zastosować spadochronu...

— W takim razie, jak tego dokonałeś?

— Pomogło prawo bezwładności. Wyrzucone rakiety leciały z taką samą prędkością, jaką miał statek i zgodnie z kierunkiem jego ruchu. Wszystko to było zawczasu przewidziane.

Fotografie, które zrobił Włodzimierz nocą, były niezwykle interesujące ze względu na duże wahania temperatury. W nocy powierzchnia Księżyca jest nie tylko ciemna. Oziębia się ona prawie do 150° poniżej zera. W dzień natomiast rozgrzewa się do 120° . Porównanie więc zdjęć tej samej okolicy w tak różnych

warunkach temperatury — mogło mieć dla nauki olbrzymie znaczenie, mogło stanowić ciekawy materiał do interesujących badań.

— Rozumiemy to doskonale — przerwała Natasza. — Powiedz raczej, coś zobaczył nowego. Ciekawość mnie pożera, a ty wygłaszasz odczyt.

— Przede wszystkim udało mi się zorientować w niektórych spornych kwestiach — ciągnął nie zrażony Włodzimierz. — Początkowo leciałem na znacznej wysokości. Jakieś dwieście kilometrów ponad powierzchnią Księżyca. Jednakże i stąd widać to, czego nie ma na żadnej mapie. Niewidoczna strona Księżyca ma powierzchnię bardziej górzystą i poszarpaną niż część widoczna. Chaos. Prawdziwy pierwotny chaos. Bezładne stłoczenie grzbietów górskich. Ani kawałka równego miejsca. Ani kawałka równej powierzchni, na której można by wylądować. Nic tylko olbrzymie obszary zavalone ogromnymi, skalistymi bryłami.

— Niełatwo więc będzie wylądować na Księżycu! — zauważyła Natasza.

— Trudniej aniżeli na jakiegokolwiek planecie. Lecz nie stanowiło to dla mnie zaskoczenia, ponieważ zawsze tak sądziłem. Zresztą nawet bez lądowania udało mi się ustalić rzeczy zdumiewające."

— Ale wolno opowiadasz — pokręciła głową Natasza.

— Proszę sobie wyobrazić! Na niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca istnieje bardzo dużo głębokich szczelin. Na oko mają one długość od dziesięciu do czterdziestu kilometrów. Ich prawie pionowe ściany giną gdzieś we wnętrzu Księżyca. Słońce o tej porze nie świeciło prosto, lecz jakoś z boku, tak że jego promienie przenikały głęboko do jednej z takich dość krętych rozpadlin. Ciągnęła się ona na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów. Leciałem nad nią prawie całą

minutę. Dzięki światłu słonecznemu mogłem zajrzeć do szczeliny głębiej. W tym czasie obniżyłem lot rakiety do pięćdziesięciu kilometrów nad powierzchnią Księżyca. I wtedy zobaczyłem...

Natasza mimo woli silniej ścisnęła rękę Wołodi.

— Zobaczyłem, wyobraźcie sobie, obłoki! Najzwyklejsze w'świecie obłoki. Kłębiły się w tych szczelinach jak dym. Być może — były to pary powstałe wskutek procesów wulkanicznych zachodzących we wnętrzu planety. Nie wiem. Możliwa jest również i inna ewentualność. Kto wie, czy w rozpadlinach tych nie zachowały się resztki księżycowej atmosfery i wilgoci. W każdym razie parę tę widziałem zupełnie wyraźnie. Myślę, że fotografie pozwolą rozstrzygnąć ten problem.

Natasza zamyśliła się na chwilę.

— A jeśli tam, wewnątrz, dokąd nie przenikają promienie słoneczne i nie dociera mróz, wydziela się wewnętrzne ciepło i tli się życie?

— Nie wiem. Na ten temat można snuć różne przypuszczenia... Na Księżycu są jeszcze inne przedziwne zjawiska.

Ludmiła Mikołajewna słuchała słów syna w milczeniu. Nie bardzo bowiem orientowała się w takich zagadnieniach, jak astronomia czy astronautyka. Słuchała jednak każdego słowa z przejęciem. Wszakże nie dla jego treści, ale dlatego, że wypowiadał je Wołodia, jej syn.

— Słyszałaś zapewne — Wołodia zwrócił się do Nataszy — o tym, iż niektórzy astronomowie zauważyli, że w czasie pełni, kiedy zwrócona do nas strona Księżyca jest oświetlona promieniami słonecznymi, czernieją i powiększają się

rozmiary ciemnych plam na jego powierzchni. Szczególnie wyraźnie występuje to w Kraterze Platona. Przyczyna tego zjawiska była dotąd nie zbadana. Jednakże wydaje mi się, że tę zagadkę odgadniemy.

— W jaki sposób?

Wołodia spostrzegł malującą się w oczach Nataszy ciekawość. Uśmiechnął się i po małej przerwie zaczął opowiadać dalej.

— To roślinność — mówił. — Lecz roślinność swoistego rodzaju. Oczywiście, nie może być nawet mowy, by na Księżycu rosły jakieś drzewa lub krzaki. Raczej rosną tam olbrzymie kolonie czarnych grzybów. Wyrastają one i dojrzewają w ciągu kilku zaledwie godzin, wtedy gdy grzeje Słońce. Giną natomiast w czasie nocy księżycowej.

— Jakież to interesujące! — Natasza splótła palce i oparła ręce na kolanach.

— Tak, ludzie dowiedzą się wiele ciekawych rzeczy.

Włodzimierz podniecony opowiadaniem, które przypomniało mu lot, uniósł się i siadł na łóżku.

— Kochane, możecie mi wierzyć, że trudno znaleźć słowa, którymi można byłoby wszystko to jak należy opisać i opowiedzieć. Satelita Ziemi, widziany z bliska, wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, gdy obserwujemy go stąd, z powierzchni naszej planety. Na ogół przywykliśmy sądzić, że Księżyc to świat pozbawiony barw. Te same jednakowe szare skały, cienie, a wkoło niebo utkane jakby z czarnego aksamitu. Świecą, co prawda, gwiazdy. Ale poza tym nic wesejszego, radującego oczy. Taki obraz Księżyca znajdujemy w naszych książkach. W rzeczywistości opis taki mija się z prawdą. Obraz Księżyca bogaty jest

w barwy. W barwy jak najbardziej jaskrawe. Prawda, niebo jest czarne, jednakże cienie nie tak gęste, jak się ogólnie mniema. Mówiąc bowiem o Księżycu, zwykle zapominamy o świetle odbitym. Jak nazywają to malarze...

— Refleksy?

— Zdaje się, refleksy. Promienie Słońca odbijają się w różnych kierunkach od skał, od powierzchni i w znacznym stopniu oświetlają... no — urozmaicają cienie. Minerale mieniają się najrozmaitszymi kolorami. Są tam barwy białe, żółte, różowe, niebieskie, zielone, czerwone, jednym słowem wszystkie, jakie można znaleźć na palecie malarza. Z oddali Księżyc wydaje się jednobarwny, wszystkie odcienie zlewają się w monotonną szarość, z bliska zaś wygląda zupełnie inaczej: pejzaż księżycowy pełen jest swoistego piękna. Lecz jakież surowy i dziki! Szczególny koloryt nadaje Księżycowi czerń nieba. Rozumiecie? Jak gdyby podkreśla ona, jak gdyby uwypukla jaskrawość barw.

— Rozumiem — skinęła głową Natasza. — Mówią często, że Księżyc to zimny trup kosmiczny, wiecznie towarzyszący Ziemi. A mnie przychodzi do głowy inne porównanie...

— Jakie?

— Gdy opowiadałeś o Księżycu, przypomniały mi się piramidy, owe sarkofagi faraonów. One również ukrywały w swym wnętrzu trupy. A gdy zajrzano do tych kamiennych grobowców, odkryto w nich jaskrawe malowidła — obrazy dawno zaginionego życia.

— Coś w tym rodzaju.

— Podobnie i Księżyc. To wspaniały sarkofag. Lecz mówię to tylko tak, mimochodem. Poniosła mnie fantazja... Ale wróćmy do tematu. Tak więc okrążyłeś Księżyc kilkakrotnie, prawda? A potem udałeś się z powrotem?

— Sfotografowałem Księżyc ze wszystkich stron i odleciałem. Lecz na tym nie koniec. Ja przecież leciałem bardzo nisko, tak nisko, jak nikt przede mną. Przyrządy automatyczne pobrały próbki tego środowiska, przez które przelatywała rakietą. Jeżeli więc na Księżycu istnieją choćby najmniejsze ślady atmosfery, to będziemy mogli zbadać bez trudu jej skład. Dotychczas temperaturę Księżyca określano jako temperaturę średnią za pomocą termoelementów umieszczonych w teleskopach. Mnie natomiast udało się zmierzyć oddzielnie temperaturę miejsc zacienionych i oświetlonych... Rozumiecie, jakie to ważne?

Natasza jednak nie rozumiała. Włodzimierz zaczął więc z zapalem objaśniać.

— Przecież to zupełnie proste — mówił. — Na podstawie tych temperatur można będzie ustalić rodzaj zachodzących na Księżycu zjawisk fizycznych.

W czasie lotu wokół Księżyca — ciągnął Włodzimierz — zyskałem jeszcze sporo innych danych. Na przykład dane dotyczące pola elektromagnetycznego.

— Ty, mój bohaterze — wtrąciła z uśmiechem Ludmiła Mikołajewna, pełna szczęścia i dumy.

— Po wykonaniu zadania — podjął Włodzimierz — ruszyłem w drogę powrotną. Gdy w polu widzenia znów zjawiała się Ziemia, włączyłem silnik.

— Ale dlaczego w końcu znalazłeś się w Morzu Czarnym? — spytała Natasza, surowo marszcząc brwi. — To była dziecinada!

— Nie mogłem inaczej postąpić — Włodzimierz opuścił wzrok. — Posłuchajcie, a zrozumiecie mnie. Dopóki fakty nie przekonają, że statki kosmiczne mogą swobodnie, bez obawy katastrofy lądować na powierzchni planet, astronautyka nie ruszy z miejsca. Wykonywać loty dookoła Księżyca? To za mało. Czas na coś więcej. Dlatego właśnie zaryzykowałem. To nie była samowola czy nagła; nie przemyślana decyzja. Chciałem iść naprzód. Należało udowodnić, że osadzenie rakiety na powierzchni wody jest możliwe i celowe.

— Ale ile ryzykowałeś, jak bardzo się narażałeś — Natasza, mówiąc to, kręciła głową. — Zresztą i teraz nie wiadomo, jak się to skończy.

— Jak? Naturalnie oberwę! To jasne. Ale nie mam wyrzutów sumienia. Jestem wewnętrznie przekonany, że postępuję słusznie...

Włodzimierz silnie zacisnął usta. Przewidywał przykrą rozmowę z kierownictwem i nieuniknioną karę.

Ludmiła Mikołajewna wyczuła jego nastrój.

— Opowiadaj dalej, Wołodia — rzekła gładząc czule syna po głowie. — Co będzie później, zobaczymy.

— Tak, naruszyłem dyscyplinę. To prawda! Zamiast bowiem skierować raketę na stację kosmiczną, tak jak to przewidywał rozkaz, poleciałem bokiem — ot tak — tu Włodzimierz wskazał ręką odchylenie od wyznaczonego kursu — i wprost na Ziemię. Tam naturalnie pomyśleli...

— Na stacji?

— Tak — potwierdził skinieniem głowy Włodzimierz. — Pomyśleli tam, że rakietę utraciła kierunek. Tymczasem pilotowałem swój statek pewnie. Panowałem nad nim całkowicie. Wreszcie zaczął się najciekawszy odcinek drogi. Ziemia była blisko. Rakietę rozwinięła prędkość dziesięciu kilometrów na sekundę. Trzydzieści sześć tysięcy kilometrów na godzinę! Czyż możecie sobie wyobrazić taką prędkość?

— To straszne, Włodeczku! — westchnęła Ludmiła Mikołajewna.

— Należało podejść do Ziemi pod odpowiednim kątem i z kierunku zgodnego z jej obrotem dookoła osi — podjął Odincow. — Rozumiecie! Należało dopędzić Ziemię, a nie lecieć na jej spotkanie. W ten sposób, szybując w kierunku Ziemi, łatwiej utracić prędkość, ażeby później móc przejść stopniowo w spiralę. Jest to, oczywiście, dość skomplikowana sprawa. Trzeba bowiem przelecieć pewną przestrzeń w górnych warstwach atmosfery, po czym, opisując spiralę, powrócić znowu w próżnię i... hamować, hamować, bez przerwy hamować.

Kiedy instrumenty pokładowe wskazały, że prędkość rakietę spadła do żądanej granicy, należało wprowadzić statek w lot okrężny. Wtedy wysunąłem dodatkowe stabilizatory, które podczas lotu są złożone pod rakietą, wzdłuż jej kadłuba. Stabilizatory to coś w rodzaju krótkich, lecz dość szerokich skrzydeł. Płaszczyzny ich w miarę pograżania się w gęstsze warstwy atmosfery umożliwiły lądowanie. Według zawczasu przeprowadzonych obliczeń musiałem utrzymywać się w powietrzu dopóty, dopóki prędkość rakietę nie spadła w przybliżeniu do czterystu kilometrów na godzinę. Wtedy wyjść na szerokość Krymu było już sprawą łatwą.

Nagle lot szybujący przeszedł w spadek i... ledwie zdążyłem obrać punkt do wodowania. Resztę już znacie.

Z piersi obu kobiet wyrwało się ciężkie westchnienie.

— Czy zderzenie z wodą było straszne? — spytała Natasza.

— Zderzenie jak zderzenie. Nic szczególnego. Być może z boku wyglądało to strasznie. Rzecz w tym, że przez pewien czas, przed upadkiem, udało mi się wykonać lot równoległy do powierzchni lustra wody. Rakieta wyposażona jest w aerodynamiczne stery, które cudownie funkcjonowały przy dużej prędkości, jaką rozwijała w atmosferze... Przytomność straciłem nie z powodu zderzenia, lecz wskutek napięcia nerwowego. No i naturalnie, temperatura!

— A co przeżywałeś, gdy rakieta unosiła się na falach?

— Nic! Byłem przecież nieprzytomny.

Z piersi Ludmiły Mikołaj ewny znowu wyrwało się westchnienie.

— Zrozum, mamó — Włodzimierz zburzył sobie ręką włosy — musiałem przecież zacząć. Początek jest zwykle najtrudniejszy. Teraz, kiedy odczytane zostaną zapisy aparatów, my, piloci, również wynajdziemy lepszy sposób lądowania. Powstał jednak, w związku z kątem zejścia do powierzchni morza, pewien mały błąd. Z tego też powodu rakieta uderzyła zbyt silnie. Następnym razem będzie lepiej, popłynie jak kaczka.

— Włodeczku — uśmiechnęła się leciutko Ludmiła Mikołajewna. — Wciąż mówisz o następnym locie. A ja marzyłam, że ten będzie ostatni.

— Ależ, mamó, to niemożliwe.

— Wiem, mój drogi, wiem. Zgodzę się z przeznaczeniem. Jednakże musisz i mnie zrozumieć. Matka jest zawsze matką. Zawsze pragnie, ażeby jej pisklę miało się jak najlepiej. A ty jesteś pisklęciem bardzo niespokojnym.

Włodzimierz zamiast odpowiedzi gwałtownie przytulił do swej piersi głowę matki i delikatnie ucałował jej siwe włosy.

— To nic, kochana — odezwał się po chwili. — Dlaczego się lękasz? Czyż nie jest ci przyjemnie, że syn twój wykonał zadanie, jakie sobie postawił? Przecież to najważniejsze!

Wtem w drzwiach ukazała się siostra dyżurna. Nie chciała przerywać rozmowy, choć czas wyznaczony na wizytę już dawno minął. Być może, że Włodzimierz Odincow istotnie naruszył przepisy i wymagania dyscypliny, ale czy to ważne, skoro dla niej, pielęgniarki, stał się bohaterem dnia?

Ludmiła Mikołajewna nic synowi nie odpowiedziała. Natasza zaś popatrzyła na Włodzimierza z błyskiem w oczach, przy czym była bardzo poważna. Tę surową powagę podkreślała jeszcze jej czarna suknia.

— Masz rację — odezwała się wreszcie. — Rzeczywiście nie mogłeś inaczej postąpić. Ja to rozumiem i — dodała po chwili — jestem z ciebie dumna. Tak jest — dumna. Jesteś bowiem dzielny i odważny.

Gdy to mówiła, Włodzimierz bacznie się jej przypatrywał.

— Jesteśmy słabymi kobietami — dźwięczał głos Nataszy. — Gdybyś wiedział, jak ciężkie chwile przeżywamy, gdy ty tam latasz! Mimo woli opanowuje myśl: co się z nim dzieje? Czy aby nie uległ wypadkowi? Czy nie popełnił jakiegoś drobnego błędu, jakiejś niedokładności, która spowodować przecież może

katastrofę?! Ale nie mówmy już o tym. Jeszcze ci zmyję głowę, ty brzydki, nieznośny chłopaku! - siostra uśmiechnęła się odwracając twarz. W uśmiechu tym był wyrzut i zmieszanie. Natasza nie dostrzegła tego i odpowiedziała również uśmiechem.

— Więc żegnaj, miły! — powiedziała.

— Żegnaj, mój drogi! — zawtórowała Ludmiła Mikołajewna. — Wracaj jak najrychlej do zdrowia. Żebyś wiedział, jak my na ciebie obie czeka my!

Kobiety powstały i skierowały się ku wyjściu. Uczyniły to w samą porę, gdyż za plecami siostry dyżurnej widać już było posępną twarz Sandomirskiego. Włodzimierz wiedział, że kierownik Kos molotu stoi tam od kilku chwil. Poznał go, zanim się tu zjawił, po chodzie. W krokach jego wyczuł nagromadzony gniew. Siwe włosy, nastroszone wąsy i groźnie zmarszczone brwi podkreślały jeszcze wydatniej ogorzałość twarzy generała. Postawa i mina Sandomirskiego niczego dobrego Włodzimierzowi nie wróżyły.

Odincow, widząc przełożonego, spróbował unieść się z łóżka. Gotów był w tej chwili nawet zerwać się i stanąć na baczność.

— Leż, leż! — Sandomirski, marszcząc się machnął ręką. — Fiknąłeś na Ziemię, to teraz leż.

Generał miał zwyczaj zwracać się do swych młodszych podwładnych na „ty”, ale tylko wtedy gdy był w dobrym humorze. Odincow patrzył więc na niego ze zdziwieniem. Czyżby stary się ni gniewał? Pilot uważał jednak, że powinien na lekceważące słowa przełożonego jakoś ostrzej zareagować.

— Co to znaczy — fiknąłem? — powiedział.

— Po prostu spadłeś z Księżyca na Ziemię, i to wszystko!

— Nic podobnego! — zawołał Odincow. — Osadziłem raketę zgodnie z wszystkimi przepisami i regułami.

— Nie znam takich przepisów, w myśl których lądowanie może się odbywać na Morzu Czarnym, na wodzie. Uważam, że lądowanie było przymusowe, wskutek awarii. Tak więc pilot Włodzimierz Odincow spadł i znalazł się w szpitalu. A teraz gadaj, jak się czujesz?

— Wyśmienicie!

— No to dobrze. Ale dlaczegoś tu przyleciał? Kto ci pozwolił?

— Mikołaju Aleksandrowiczu. Wiecie dobrze, że obliczenia dowodzą...

— Niczego nie dowodzą. Ja ich nie zatwierdziłem. — Sandomirski wykonał gwałtowny ruch ręką.

— Jednakże, Mikołaju Aleksandrowiczu, obliczenia takie istnieją. Wykazują one niezbicie, że atmosferę ziemską można z powodzeniem wykorzystać jako czynnik hamowania. Dzięki temu można również lądować... i to całkowicie bezpiecznie. Należało zatem sprawdzić to wszystko w praktyce. Wydaje mi się, że inaczej nie można, jeśli pragniemy iść naprzód, jeśli pragniemy osiągać sukcesy.

— Czy na podobny eksperyment uzyskałeś zezwolenie?

— Mikołaju Aleksandrowiczu!...

— Nie, nie uzyskałeś. Tak też zanotujemy. A czy takie lądowanie dla pilota było ryzykowne? Czy istniało niebezpieczeństwo zniszczenia rakiety?

— Cała nasza praca, Mikołaju Aleksandrowiczu, jest związana z ryzykiem.

— Ale to ryzyko sprowadziliśmy dzięki ścisłym przepisom do minimum. Tymczasem twoja próba była nie przemyślana, nie uzasadniona. Stanowiła jak skrawny przykład pogwałcenia dyscypliny. I to przez naszego najlepszego pilota! Nie, nie mogę tego pojąć. Wygląda na to, że biorąc kurs na Ziemię, zmieniłeś marszrutę zupełnie świadomie, że zupełnie świadomie pominąłeś mój rozkaz.

— Tak jest!

— Dlaczego tak zrobiłeś?

— Nie miałem innego wyjścia. Przecież nigdy nie dalibyście na podobną próbę swego zezwolenia. A sprawa dojrzała! Zdecydowałem się więc i zaryzykowałem.

— Jakież zatem sens w twoim postępku? Czegoś dokonał? Osadziłeś rakietę na wodzie bez poważniejszych uszkodzeń? Zgoda, lecz cóż dalej? Przecież wiesz doskonale, że pierwszym zadaniem, jakie mamy przed sobą, jest lot i lądowanie na Księżycu. Na Księżycu, na którym nie ma wody!

Odincow opuścił głowę.

— W twoim postępku nie było więc żadnego sensu. Jedyne poważne naruszenie dyscypliny. I gdzie się to stało? Na stacji kosmicznej. Czyż jest do pomyślenia, aby zagnieździła się tam anarchia i samowola? Wykluczone!

Odincow wiedział aż nadto dobrze, że wyrzuty, które czynił mu kierownik Kosmolotu, były słuszne i że nic tu nie ma do powiedzenia. Dyscyplina na stacji kosmicznej była rzeczą świętą. Najmniej - sze odchylenie od niej mogło przecież

spowodować zagładę ludzi i zaprzepaścić całą sprawę. Słuchał więc gorzkich słów Sandomirskiego, nie próbując oponować.

— I w jakiej postawiłeś mnie sytuacji? — huczał Sandomirski. — Co teraz mam z tobą zrobić?

Przecież nie mogę tolerować podobnych wykroczeń. Jakiż to przykład dla innych! Wszystko się zawali...

— Gotów jestem ponieść wszelką odpowiedzialność.

— I poniesiesz! Nie będziesz już więcej latał. To jest chyba zupełnie zrozumiałe. Nie będziesz mógł tam w górze pracować.

Na twarzy Odincowa pojawiło się zdumienie.

— Tak, tak! Nie możemy powierzać statków kosmicznych takim pilotom, którzy kierują się samowolą. Raketę odprowadzi na stację Mikołajew. Ty zaś po wyjściu ze szpitala udasz się do Odessy na nową stację naziemną. Porozmawiam z jej kierownikiem. Znajdziemy tam dla ciebie pracę, a potem zobaczymy.

— Zabraniacie mi lotów! — zawołał Odincow pełen urazy.

— Bezwzględnie! I choćbym cię jak najlepiej traktował, choćbym był jak najbardziej pobłażliwy, w tym wypadku, braciszku, nie mogę inaczej postąpić. Służba jest służbą!

— Tak jest — odparł Odincow, przy czym powiedział to tak cicho, że ledwie go było słychać. Czoło jego jednak przecięła między brwiami głęboka, pionowa bruzda.

— Tak jest, towarzyszu — wycedził przez zęby. — A jednak jestem w porządku. Mój lot był celowy i przyniesie pożytek.

— Co chcesz iprzez to powiedzieć? — zasepił się Sandomirski. — Znowu zaczynasz to samo?

— Słuszność jest po mojej stronie, towarzyszu. Udowodniłem, że statek kosmiczny może wylądować na powierzchni planety, nie zużywając na to ani grama materiałów pędnych. Pod warunkiem, oczywiście, że dana planeta będzie posiadała atmosferę. Jeśli zaś chodzi o lot na Księżyc, próba moja naturalnie nie ma żadnego znaczenia, lecz dla dalszych...

— Dla czego, jeśli wolno zapytać? — Sandomirski nastroszył wąsy.

— Już to powiedziałem; dla urzeczywistnienia dalszych podróży kosmicznych, dla przyszłego rozwoju astronautyki. Dążąc za wszelką cenę do lądowania na Księżycu, niepotrzebnie tracimy czas. Trzeba zdecydować się na inną drogę! Obecnie wszyscy zrozumieli, że w pierwszej kolejności należy lecieć na Wenus. O ile na powierzchni tej planety znajduje się woda, można będzie łatwo to zrealizować. A woda tam musi być.

Sandomirski westchnął ciężko.

— Czy należy lecieć na Wenus, czy też nie, to nie twoja sprawa — odpowiedział. — Popeliłeś poważny występki, który cię dyskwalifikuje jako pilota. Dlatego w ogóle latać już nie będziesz. Nigdy. Po wyjściu ze szpitala zamelduj się u kierownika stacji w Odessie. To wszystko, co miałem ci do zakomunikowania.

Włodzimierz uczynił gest przeczący, chciał coś powiedzieć, machnął jednak ręką beznadziejnie, przymknął oczy i opadł na poduszkę. Sandomirski milcząc opuścił salę.

ROZDZIAŁ IV

w którym jest mowa o niepozornych kamieniach rodzących znakomite idee

Morze się uspokoiło. Fale toczyły się leniwie i słońce znów świeciło na bezchmurnym niebie. Brzeg zapełniał się wesołym, pstrym tłumem wczasowiczów.

Natasza Artemiewa po wyjściu ze szpitala pożegnała się z Ludmiłą Mikołajewną i skierowała kroki do portu. Pragnęła znaleźć się w swym ulubionym miejscu, na końcu mola, w pobliżu latarni morskiej. Był tu maleńki, zwrócony w kierunku morza placyk, na którym rozrzucone głązy tworzyły coś w rodzaju ławki. Stąd roztaczał się daleki, piękny widok na morze i brzeg. Jednakże, gdy rzuciło się okiem w dół, po plecach przebiegały dreszcze. Kamienny mur mola opadał tu prostopadle w bezdenną głębinę. Początkowo odbijał się w jasnoniebieskiej, przezroczystej wodzie, po czym ginał gdzieś w morskiej otchłani. Tu, na tym odludnym placyku dobrze było odpoczywać, opalać się i oddawać rozmyślaniom. Był to ulubiony zakątek Nataszy. Tu powiedział jej kiedyś Włodzimierz: „Natasza, jesteś nadzwyczajną dziewczyną”. Spotkanie to przypomniało się jej teraz ze wszystkimi szczegółami. Niezapomniane spotkanie! Był wtedy upajający majowy wieczór. Szumiało morze. Z dala słychać było muzykę.

Dawno rozplynęły się i umilkły jej dźwięki, Włodzimierz zaś staje się jej coraz bliższy. Bliższy z każdym spotkaniem, z każdą rozmową, z każdą nawet

sprzeczką i pojednaniem. Przed oczyma Nataszy zarysowała się twarz Wołodi. Męska, szczerą, otwartą. Jak w lustrze odbijały się na niej uczucia i czyste myśli. Taki nie oszuka, nie zdradzi, nie porzuci w ciężkiej chwili.

Natasza siedziała zamyślona. Naraz usłyszała znajomy głos. Był to Sergiusz Mikołajew, który szukał jej po całej Jałcie.

— Natalio Wasiljewna! — wołał machając czapką w powietrzu. — Powiedziano mi, że poszliście do miasta. Szukałem was wszędzie. Czy pozwolicie?

— Proszę bardzo, zejdźcie.

Sierioża przeskoczył przez balustradę i stanął przed Nataszą.

— Widziałem Sandomirskiego — zaczął.

— I co?

— Kiepska sprawa — powiedział siadając na jednym z kamieni. — On był u Włodzimierza.

— Wiem. Widzieliśmy go na korytarzu.

— Niedobrze. Zganił ostro Włodka i zapowiedział, że usunie go z lotnictwa kosmicznego.

— Niemożliwe!

Natasza przez jakiś czas milczała spoglądając smutnie na morze. Sergiusz, zawsze niepewny w jej towarzystwie, milczał również, nie próbując przerwać toku jej myśli. Natasza doskonale знаła swego narzeczonego. Rozumiała więc aż nadto dobrze, jakie następstwa spowodować może decyzja Sandomirskiego, od-

rywająca Włodzimierza od sprawy, która go tak pasjonowała. Przykuty do Ziemi, będzie jak ptak ze związanymi skrzydłami.

— No i co teraz mają z nim zamiar zrobić? — zapytała z troską w głosie.

— Wysyłają go do Odessy. Na stację naziemną, na raketodrom. Będzie tam pilotował statki pasażerskie. Stanie się więc „rakietowym dorożkarzem”. Zajęcie spokojne, ale niestety nudne. San- domirski nie zezwolił mu nawet na to, ażeby odprowadził „KP-105” na stację kosmiczną. Zadanie to poruczono mnie.

Wydawać się mogło, że Natasza znajduje się w stanie roztargnienia. Oczy jej patrzyły nieruchomo w dół, gdzie w przezroczystej wodzie widać było niebieskie meduzy oraz migające od czasu do czasu ciemne sylwetki zwinnych ryb. Naraz nadbiegła z pełnego morza gwałtowniejsza fala i jedną z nich wyrzuciła na brzeg. Mieniać się srebrem łuski, trzepotała na żółtym piasku, aż udało się jej wreszcie ześliznąć i zniknąć w odmętach.

— To nic — odezwała się nagle Natasza. — Wołodia jest mądry i ma silną wolę. Jest mu ciężko w tej chwili, to prawda. Ale on sobie na pewno poradzi. Przecież nie popełnił żadnego przestępstwa. Pośpieszył się tylko trochę. To cała jego wina. Powiedzcie mi szczerze, Sergiuszu...

— Co?

— Czy Wołodia powinien był postąpić tak, jak postąpił, czy też lecieć o miesiąc później, po należytych przygotowaniach?

Sergiusz nie odpowiedział od razu. Miał w rękach swą czapkę osłoniętą białym pokrowcem i jak gdyby szukał w myślach odpowiednich słów.

— Proszę zrozumieć, Natasza — odezwał się po chwili. — W każdej nowej sprawie, w każdej nowej rodzącej się koncepcji ścierają się różne poglądy. W przypadku lotów na inne planety nie idzie o miesiąc, lecz o lata. Sandomirski w ogóle nie lubi się śpieszyć. Według niego należy najpierw wykonywać loty dookoła Księżyca, by nabrać doświadczenia. No cóż, ślimak sunie powoli ale kiedyś tam dociera do celu.

— W tym też jest logika — zauważyła Natasza — i mądra ostrożność.

— Oczywiście! Ale my nie chcemy czekać. I n; tym tle powstają właśnie nieporozumienia. Ile; było dyskusji! Nie mieliśmy już żadnej nadziei n uzyskanie zgody od władz. Włodzimierz zaryzykował. W przypadku gdyby się na to nie zdobył podjąłby się tego Sasza lub ja.

— Ze swego punktu widzenia macie rację - uśmiechnęła się Natasza. — Jestem dotychczas pod wrażeniem opowiadania Wołodi. Mimo to wam zazdroszczę. Jakżeż bowiem porywająca jest wasza idea! Jak w bajce! Zobaczyć inny świat którego nie dotknęła jeszcze stopa człowieka. Doskonale was rozumiem. Rozumiem waszą niecierpliwość. Jaka szkoda, że nie mogę być razem z Wołodią!

— Jak to razem?

— Latać razem z nim.

— Przecież to jest zupełnie możliwe. Pierwsza ekspedycja naukowa na którąkolwiek planetę i zaraz będą potrzebni ludzie różnych specjalności. Jesteście geologiem. Zawód więc jak najbardziej odpowiedni.

Całkiem bezinteresownie Sergiusz gotów był zrobić dla Nataszy wszystko, co tylko w jego mocy, nawet zabrać ją w podróż międzyplanetarną.

— Jednakże — ciągnął dalej — za mało zajmujemy się lotami kosmicznymi. W tym sęk. Wydaje mi się, że należy przede wszystkim zainteresować sfery naukowe. Wtedy sprawa ruszy z miejsca. Tymczasem cechuje nas zbytnia ostrożność. Tego nie wolno, na to znowu za wcześnie. I w rezultacie tkwimy w miejscu.

Natasza milczała. Wzrok jej błędził gdzieś w dali. Nie odzywał się również Sergiusz, gdyż nie chciał zakłócać jej wewnętrznych przeżyć.

— Sergiuszu! — ocknęła się nagle z zamyślenia Natasza. — Nie znam się na waszych sprawach. Zupełnie się w tych kwestiach nie orientuję. Proszę mi wobec tego powiedzieć, ale szczerze, czy lot Wołodi dał jakieś korzyści, czy też nie?

Sergiusz nie odpowiedział od razu.

— Jeśli przyjmiemy założenie — rozległ się po chwili jego głos — że pierwsze lądowanie rakiety kosmicznej ma odbyć się na Księżycu, ponieważ jest on najbliższym nam położonym ciałem niebieskim — to eksperyment Wołodi w tym przypadku nie dał większych korzyści. Oczywiście był on dowodem, że lot naszych statków może być hamowany przez atmosferę. Jednakże, jak wiemy, Księżyc atmosfery nie posiada. Na jego powierzchni nie ma również wody. W świetle tych faktów lot Wołodi był bezużyteczny. Ale istnieją przecież inne możliwości. Dlaczego powinniśmy lądować właśnie na Księżycu, skoro nie ma tam żadnego życia? Czyż nie lepiej byłoby zacząć od jakiegokolwiek planety, na której jest atmosfera i są morza?

Nie wiadomo, jak długo trwałaby rozmowa tych dwojga młodych, gdyby nie przerwało jej niespodziewane zdarzenie. Otóż uwagę ich zwrócił biały, rosnący w oczach punkcik, który pojawił się gdzieś 62 daleko z zachodniej strony horyzontu.

— Sierioża! — zawołała Natasza. — Co to jest? Tam, na morzu!

Sergiusz przysłonił oczy ręką i zaczął bacznie się wpatrywać.

— To nie jest okręt, za szybko się przesuwają. Samolot też nie, za nisko. To coś pośredniego.

— Slizgacz?

— Być może.

— Biegnijmy na przystań!

Natasza i Sergiusz poderwali się z miejsca, wdrapali na molo i ruszyli na nabrzeże, do którego przybijały statki dalekich lini komunikacyjnych. Zastali tam już wiele ludzi.

Przybycie statku podnieca zwykle wyobraźnię. Przynosi on bowiem z sobą czarujący powiew dalekiego świata, zmusza człowieka do myśli o odległych krajach i morzach, o cudownych wyspach, smukłych palmach i dziewiczych lasach. Już tak jest zawsze i we wszystkich chyba portach świata, że ludzie zbiegają się na brzeg, by zobaczyć przybijające okręty. Zazwyczaj nikogo nie oczekują, po prostu ciągnie ich do portu, aby ujrzeć tych, którzy byli świadkami innego życia. Natasza biegła bardzo prędko, za nią Sergiusz.

Do Jałty zbliżał się olśniewająco biały, trzy- pokładowy statek-ekspres utrzymujący komunikację między Marsylią i Batumi. Lśnił pełnią swej krasy. Istotnie, był to piękny, luksusowy, zabierający Około tysiąca pasażerów statek. Rozwijał szybkość około dwustu kilometrów na godzinę. Dzięki temu odległość Marsylia — Batumi i z powrotem pokonywał w ciągu dwunastu dni, wliczając w to wszystkie postoje w portach. Z jego pokładów podróżujący podziwiać mogli malownicze wybrzeża lądów, które oblewały wody Morza Czarnego, Egejskiego, Adriatyku i Śródziemnego. Wycieczki na takich statkach stały się ulubionym rodzajem wypoczynku.

Wydawało się, że wysoki, białodzioby statek nie płynął, lecz fruwał po falach. Otoczony obłokiem piany, ledwie dotykał powierzchni morza, która odpływała od jego burt olbrzymimi bałwanami. W pobliżu portu zmniejszył szybkość. Z pokładu rozległy się dźwięki muzyki. Statek podpłynął do betonowego nabrzeża i po chwili przycumowany został do mocnych, żeliwnych słupów. Z brzegu przerzucono na niższy pokład szerokie schodnie, którymi spływać zaczął strumień pasażerów.

Natasza i Sergiusz zajęli wygodne miejsca na otwartym tarasie dworca morskigo, Skąd wszystko dobrze było widać.

— Proszę mi powiedzieć, Sierioża — odezwała się Natasza — czy interesuje was przypatrywanie się nie znanym zupełnie ludziom? Szczególnie tym, którzy przybywają z daleka? Czy nie usiłujecie odgadnąć, kim oni są i skąd przyjeżdżają?

Młody człowiek odkaszlnął i chciał już coś powiedzieć, lecz nie zdążył, gdyż znowu zabrzmiał głos Nataszy.

— Dokąd jadą? W jakim celu?

— O odpowiedź łatwo. Oto na przykład otyła Mtirzynka przybyła z któregoś portu Afryki północnej. Widzicie, jak ona się rozgląda? Na pewno jest tu po raz pierwszy.

— Proszę popatrzeć na tę parę. Brunet z wąsikami obok eleganckiej, ale brzydkiej kobiety. Mogę się założyć, że to Francuzi z Marsylii.

— Za nimi jakaś rodzina. Silni bruneci. Na pewno Grecy.

— Albo Włosi?

— Być może. To bardzo wesoły naród. A co powiecie, Sierioża, o tamtym człowieku? Widzicie go? O, w tej chwili wszedł na pomost. Ten z brodą. Za nim dwaj Murzyni...

Wzrok Sergiusza spoczął na wysokiej sylwetce nieznanego. „Był to czterdziestopięcioletni mężczyzna dobrze zbudowany, aczkolwiek na pierwszy rzut oka wydawać się mógł nieco za chudy w stosunku do swego wzrostu. Jego bladą, pociągłą twarz zdobiła przystrzyżona w klin broda i puszyste wąsy. Gęste brwi i staromodne w złotej oprawie okulary nie pozwalały dostrzec oczu. Był bez nakrycia głowy.

Dlatego też Sergiusz widział wyraźnie jego długie, szpakowate włosy i wysokie, myśłące czoło. Jasny garnitur ściśle opinał figurę przybyłego, który z przetrzuconym przez ramię lekkim płaszczem i z walizką z brązowej skóry w ręce zdążył po schodni na nabrzeże.

— Ależ ja go znam! — zawołała Natasza. — To akademik Jachontow. Wybitny uczony. Nie słyszeliście o nim?

— Niestety, nie słyszałem.

— Jakżeż! Przecież wykładał paleontologię w Moskiewskim Instytucie Poszukiwań Geologicznych. Z zawodu geolog, człowiek wszechstronnie wykształcony. Cudowny wykładowca. Wszyscy za nim przepadaliśmy. A sławna wyprawa na Antarktydę! Pamiętacie? Badanie pokładów w głębokich zapadlinach oceanicznych... Czyżbyście o tym nie słyszeli? Przecież tak dużo na ten temat pisało. Cały świat mówił wtedy o nim.

— Cośkolwiek czytałem. Czy to wielki specjalista?

— Tak, to sławny uczony. Jak ja się cieszę, że Wiktor Piotrowicz przyjechał do Jałty. Jest mi akurat bardzo potrzebny. Wspaniała myśl.

— Jakaż, jeśli można wiedzieć? — zapytał Sie-rioża.

— Każdy ma swoje sekrety.

— Przepraszam.

Natasza pożegnała Sergiusza i pośpieszyła do domu, gdzie długo przewracała w walizkach, czegoś szukając. Wieczorem zjawiała się w Hotelu Centralnym, położonym na brzegu morza, nieco na wschód od portu, w pobliżu Massandry.

— Proszę mi powiedzieć, czy zatrzymał się tu akademik Jachontow? — spytała portiera.

— Tak. Pokój 204, drugie piętro, korytarz na prawo.

— Chciałam z nim pomówić. Czy można poprosić go do aparatu?

— Owszem.

Natasza zdjęła słuchawkę. Po chwili na ekranie wideofonu zobaczyła twarz akademika.

— Wiktorze Pietrewiczu — zaczęła z prośbą w głosie. — Wątpliwe, czy mnie pamiętacie. Moje nazwisko Artemiewa. Byłam przed dwoma laty słuchaczką waszego kursu w Moskiewskim Instytucie Poszukiwań Geologicznych...

Akademik się uśmiechnął.

— Natalia — zabrzmiał w słuchawce jego głos.

— Wasiljewna — dopowiedziała Natasza.

— Doskonale, Natalio Wasiljewna. Dlaczego tak źle o mnie sądzicie? Pamiętam wszystkich swoich studentów. W każdym razie tych najlepszych. A przecież wy, towarzyszeko Artemiewa, o ile mnie pamięć nie myli, mieliście pociąg do nauki. A później zainteresowały was poszukiwania. Czyż nie tak?

— Tak, Wiktorze Pietrowiczu.

— Widzicie? Jednak pamiętam. Co teraz robicie?

— Mam do was kilka spraw. Muszę się poradzić.

— Gdzie teraz jesteście?... Na dole? Proszę w takim razie do mnie. Rad będę was zobaczyć.

Natasza poprawiła przed lustrem włosy i po upływie kilku minut była już uczonego. Siedział w fotelu, odchylony do tyłu, z wyciągniętymi na biurku dużymi, nerwowymi, ale bardzo foremnymi o długich palcach rękami.

Gdy dziewczyna znalazła się w jego pokoju, profesor wyszedł na jej spotkanie, po czym posadził ją w fotelu i zajął miejsce za biurkiem.

— Służę — powiedział z uśmiechem.

— Muszę opowiedzieć wszystko po kolei — zaczęła z pewnym zażenowaniem Natasza.

— Bardzo dobrze!

— W zeszłym roku, jak zapewne wiecie, odbywaliśmy praktykę przeddyplomową w rejonie Bajkału. Wydostają się tam, jak wam wiadomo, na powierzchnię najstarsze, pochodzące z ery archaicznej skały: gnejsy, granity i szereg innych. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy okazało się, że obok tych skał znajdują się eksploatowane złoża marmuru.

Uczony słuchał uważnie, starając się zrozumieć, do czego zmierza Natasza.

— Jeśli dobrze was zrozumiałem — powiedział — marmur znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie starych skał krystalicznych. I to was tak zdziwiło?

— Tak.

— Domyślam się. Marmury to skały osadowe.

Wapień podległy później zmianom pod wpływem wysokich temperatur i ciśnienia. Przyjmuje się, że są one pochodzenia organicznego, przy tym znacznie

późniejszego. Rozumiem więc wasze zdziwienie. Obecność marmurów pośród starszych skał jest rzeczywiście zjawiskiem nie rejestrowanym w nauce.

— O to właśnie chodzi, Wiktorze Pietrowiczu!

— Hm... Mówcie dalej, mówcie dalej! To bardzo interesujące.

— Dowiedziawszy się, w którym miejscu wydobywają marmury, natychmiast się tam udałam. Zobaczyłam niewielkie pokłady, przy czym w jednym końcu złoża jakość kamienia, jak mi mówiono, była znacznie gorsza.

— Widocznie występowały tam pokłady organiczne jeszcze nie skryształizowane.

— Zdaje się, że tak. Gdy je zobaczyłam, obraz stał się dla mnie jasny. Przede mną znajdowały się najstarsze wapienie, powstałe niewątpliwie jeszcze w erze archaicznej.

Górne i dolne warstwy tych Skał nie nasuwały żadnych pod tym względem wątpliwości. I najdziwniejsze, Wiktorze Pietrowiczu, że pewna część tych warstw wskutek jakiejś przyczyny zachowała się w stanie zupełnie pierwotnym. Aż mnie zatkało, gdy zrozumiałam, w czym rzecz.

— Mogły zachować się pozostałości dawnych żywych organizmów. Lecz czy w tym okresie istniało życie? Jest to tylko przypuszczenie. Nauka bowiem nie ma dotychczas na to żadnych przekonujących dowodów.

— Właśnie. Poświęciłam więc kilka dni na poszukiwania i rzeczywiście udało mi się cośkolwiek

68 znaleźć. Chciałabym wam pokazać. Oto próbki.

Natasza zaczęła wyjmować z torby niewielkie odłamki skamienielin i podawać akademikowi. Człowiek nie obeznany, laik, nie zauważyłby w tych białych lub szarych kamykach nic szczególnego. Jednakże bystre oko uczonego natychmiast oceniło ich wartość. Akademik brał po kolei każdą próbkę w rękę, po czym obracał w długich palcach i poddawał skrupulatnym oględzinom. Na biurku, nie wiadomo skąd, znalazła się olbrzymia lupa. Natasza z ciekawością obserwowała zmieniony całkowicie wyraz twarzy Jachontowa. Jego głęboko osadzone oczy jarzyły się młodzieńczym ogniem. Profesor nad czymś intensywnie myślał...

— Trudno ocenić wartość znaleziska — zabrzmiał wreszcie jego głos. — Na próbkach istnieją nie tylko ślady roślin i zwierząt, ale również wyjątkowo dobrze zachowane odciski. Zdaje się, że są to formy, których paleontolodzy jeszcze nie znają. Możliwe, że pochodzą one z wcześniejszych okresów ery archaicznej, jednakże są stosunkowo wysoko rozwinięte. Zawsze wydawało mi się, że początków powstania życia na Ziemi należy szukać daleko głębiej w mrokach czasu, niż przypuszczają uczeni. Próbki są bardzo interesujące!

Podniecenie profesora było zupełnie zrozumiałe. Wiadomo bowiem, że na początku ery archaicznej panowała na Ziemi bardzo wysoka temperatura i że w atmosferze nie było prawie wcale wolnego tlenu. Siady istot żywych, w znalezionych przez Nataszę skałach, zdawały się zmieniać ustalone pojęcia dotyczące granic temperatury, w której istniały rośliny i zwierzęta.

Dotychczas bowiem uważano, że życie rozwijać się może jedynie w temperaturze od -90° do $4-90^{\circ}$ Celsjusza i tylko w niektórych wypadkach — pewne gatunki bakterii oraz zarodniki niższych grzybów — w granicach od -260° do $+180^{\circ}$. Tymczasem znaleziska Nataszy jak gdyby potwierdzały domysły niektó-

rych uczonych, w tym również akademika Jachontowa, że granice te odnoszą się tylko do życia w formie obecnej, typowej dla naszej planety i czasu, w którym żyjemy. Możliwe, że jest to wynik długiego procesu ewolucji. Można przyjąć, że życie powstało przy znacznie wyższej temperaturze i przy braku tlenu. Właśnie wtedy intensywne promieniowanie nadfioletowe, którego nie pochłaniał tlen atmosfery, mogło utworzyć warunki sprzyjające syntezie pierwszych cząsteczek białka, znacznie różniących się od drobin białka obecnego. Dzięki prostemu składowi chemicznemu drobiny okazują się pierwszymi zwiastunami życia powstałego w warunkach, których nie zniosłyby nigdy ciała białkowe naszych czasów.

Niespokojne ręce uczonego były w ustawicznym ruchu. Dotykały bez przerwy poszczególnych próbek skał. Wydawało się, że profesor, przebierając w tych niepokojących kamieniach, pragnie zobaczyć przez nie zdumiewający obraz zaginionego kiedyś życia.

— Czy bez pożytku, profesorze, zużyłam tyle czasu na poszukiwania? I czy bez przyczyny pozwoliłam sobie was niepokoić? — odezwała się Natasza, ciesząc się w duchu z podniecenia Jachontowa, które zdradzało, jak wielkie zainteresowanie wzbudziły w nim jej informacje.

— Skąd znowu, moja droga! — zawołał Jachontow. — Wprost przeciwnie! Skamieniałości, które udało się wam znaleźć, mają olbrzymie znaczenie. Zbliżają nas one do poznania tajemnicy powstania materii ożywionej, a problem ten interesuje mnie osobiście. To, czego dokonaliście, stanowi poważny wkład do nauki.

— Ależ, Wiktorze Pietrowiczu! — odezwała się Natasza.

Jachontow poderwał się z fotela i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

Profesor był osobistością znaną i popularną. Uczestniczył w wielu międzynarodowych konferencjach i zjazdach poświęconych zagadnieniom geologii i paleontologii. O jego pracach informowały nie tylko publikacje specjalistyczne, lecz także dzienniki wszystkich niemal krajów. Był to znakomity uczony, człowiek o złotym sercu i niezłomnej woli. Wszystkie swe siły i zdolności oddał na usługi nauce. Cechowała go zupełna bezinteresowność, choć może w głębi duszy żywił urazę, że jego zasługi ocenione zostały zbyt późno, że dopiero niedawno otrzymał zasłużony tytuł akademika.

Odkrycie Nataszy wywarło na profesorze olbrzymie wrażenie. Nie budziło w nim jednak ani cienia zazdrości, choć posiadało tak olbrzymi ciężar gatunkowy i choć udało się ono tak młodej dziewczynie. „Czyż to nadzwyczajne zdolności — zadawał sobie pytanie — czy raczej intuicja kobieca, czy też po prostu zwyczajne szczęście?”

— Na czym polega zagadnienie? — zaczął Wiktor Pietrowicz. — Postarajmy się podsumować dotychczasowe wyniki. W interesującej nas dziedzinie istniały dotychczas tylko hipotezy. Prawda, niektóre z nich są dostatecznie przekonujące. Jednakże nikomu nie udało się nigdy zaobserwować w naturze ani też stworzyć laboratoryjnie tych pierwotnych koloidów białkowych, które po wstały w pradawnych oceanach, będących najwidoczniej materialną podstawą pojawienia się życia na naszym globie. Nikomu również nigdy nie udało się zaobserwować ani też wywołać sztucznie tego procesu przekształcania galaretowatych pierwotnych białek w mikroskopijne, odgraniczone od otoczenia kropelki, tak zwane koacerwaty, które są prototypami najprostszych organizmów żywych i formami

przejściowymi od materii nieożywionej do materii ożywionej. Wszystkie takie skomplikowane reakcje biochemiczne, owe pierwsze objawy tajemniczego procesu powstawania życia, owe przejścia materii z jednego stanu jakościowego w drugi — istnieją jedynie w wyobraźni uczonych, pozostają natomiast nieosiągalne, jeśli chodzi o obserwację i próby doświadczalne... I oto proszę sobie wyobrazić, że wasze odkrycie...

— To tylko przypadek — odpowiedziała skromnie Natasza. — Ponadto i bez mojego odkrycia nauka ma dostatecznie jasny pogląd na zagadnienie dróg powstawania życia.

Natasza, wyrecytowawszy tę tyradę, umilkła czekając, co powie uczony. Ten jednak unikał jasnej, otwartej odpowiedzi. Dziewczyna manewr ten zrozumiała doskonale, miała wszakże swoje ważne powody, aby domagać się stwierdzeń konkretnych.

— Możliwe, że wyraziłam się niewłaściwie — podjęła po krótkiej przerwie. — Nauka tylko w ogólnych zarysach stwierdza, w jaki sposób powstało życie. Czy można mieć nadzieję, że człowiek pozna kiedyś te procesy do głębi?

— Jestem tego zupełnie pewien. — Akademię zatrzymał się na środku pokoju. — Wcześniej czy później tajemnica pochodzenia życia będzie odsłonięta. Wszak człowiek nauczył się już kierować takimi skomplikowanymi procesami, jak reakcje jądrowe. Przyjdzie więc dzień, kiedy zdobędzie również moc lub — jeśli chcecie — posiadzie sztukę tworzenia życia według własnej woli. Jest to tylko kwestia czasu oraz ustalenia dróg, którymi należy iść, ażeby jak najprędzej wypełnić brakujące ogniwa w historii ewolucji.

Wydawało się, że Natasza tylko czekała na ten moment.

— Czy nie sądzicie, profesorze — zapytała — że pozostając na Ziemi, człowiek nigdy nie zdoła rozwiązać tej zagadki?

— Chcecie powiedzieć — podchwycił uczony — że nie jesteśmy w stanie stworzyć na Ziemi takich warunków, w których mogłaby odbywać się synteza pierwotnych ciał białkowych? Zgoda. Być może, potrzebne są inne metody, inne sposoby postępowania. Lecz jakie?

— Czyż nie lepiej poszukiwać rozwiązania tego problemu gdzieś poza naszą planetą?

— Ciekawa myśl. Chcecie powiedzieć, że należałoby poszukać jakiegoś innego ciała kosmicznego, które znajdowałoby się w takim okresie ewolucji, w jakim była nasza Ziemia, gdy powstawało na niej życie. Czy dobrze was zrozumiałem?

— Tak, Wiktorze Pietrowiczu. Jeśliby, na przykład, dotarła tam grupa uczonych? Zbadać wszystko na miejscu... Przeniknąć do laboratorium samej natury...

Akademik pełen zdziwienia popatrzył znowu uważnie na dziewczynę.

— Hm. Wypowiadacie śmiałe myśli — odezwał się po chwili. — Trzeba przyznać, że zawierają one wiele zdrowego sensu. Mnie samemu również przychodziło niejednokrotnie do głowy, że należy porzucić Ziemię, jeżeli pragniemy zdobyć większe możliwości zbadania procesów towarzyszących powstawaniu życia. Trudność polega na tym, że nie widzę na razie sposobu, jak tego dokonać.

— A jeżeli, Wiktorze Pietrowiczu, powiem wam, że takie możliwości istnieją? — zawołała podniecona Natasza. — O tym mało się mówi, raczej — przestano mówić. Ale sami wiecie, że lot na inne planety może być już zrealizowany. Trzeba tylko postawić mu określone zadanie, jakiś konkretny cel.

— Skąd macie tę pewność?

— Astronautyka nie jest mi obca — Natasza spłonęła rumieńcem. — Mój narzeczony jest pilotem statków kosmicznych. Nazywa się Odincow. Być może, słyszeliście o nim.

Wiktor Pietrewicz popatrzył przenikliwie spoza okularów na Nataszę i powiedział:

— Czy to nie on zaryzykował, pilotując raketę kosmiczną, lądowanie na Ziemi? Coś o tym czytałem.

— Tak, to on.

— Dzielny młodzieniec! — uczoney uśmiechając się pokiwał głową.

— Rzecz nie na tym polega, Wiktorze Pietrewiczu, Włodzimierz — tak ma na imię mój narzeczony — chciał udowodnić, że już teraz, już w tej chwili można nie tylko przemierzać przestrzeń międzyplanetarną, ale lądować tam, gdzie się chce, gdzie wymaga tego potrzeba. I próba się udała. Jednakże Włodzimierz, decydując się na lot, działał wbrew zakazowi. I ...rozumiecie?...

— Pozbawili go stanowiska?

— Tak, pozbawili. Za naruszenie dyscypliny służbowej.

Akademik zaczął w zamyśleniu czesać palcami brodę. Jakiś czas milczeli oboje, po czym Jachontow uniósł głowę i jeszcze raz uważnie popatrzył na Nataszę. Dziewczyna nie wytrzymała jego wzroku i opuściła oczy.

— Odgadliście, Wiktorze Pietrowiczu — odezwała się po chwili cichym głosem — o co mi chodzi. Rzeczywiście chciałabym zapewnić sobie waszą pomoc w bardzo ważnej sprawie. Czyn Włodzimierza potraktowano jako nierozsądny. Osadził raketę na wodzie. Tymczasem specjaliści uważają, że zadaniem, które powinno być w pierwszej kolejności zrealizowane, jest lot na Księżyc.

— Gdzie nie ma żadnych mórz.

— Właśnie. Lecz gdyby uczony tej miary, co wy, zaproponował zorganizowanie ekspedycji na inną planetę... Proszę się nie śmiać, Wiktorze Pietrowiczu! Taka podróż okazałaby się zapewne bardzo pożyteczna.

— No, wiecie! — odezwał się krótko akademik, który znowu zajął miejsce w fotelu i oparł ręce na stole, na którym znajdowały się jeszcze próbki skał znad Bajkału.

— W każdym razie — podjął po chwili — dzisiejsza rozmowa z wami dała mi wiele do myślenia. Powiem otwarcie: poruszyliście kwestię, która od dawna mnie interesuje. Sądzę, że nadszedł czas, by rozszerzyć zakres naszych badań...

— Proszę mnie posłuchać, Wiktorze Pietrowiczu — nastawała Natasza. — Dlaczegoż by nie zorganizować wreszcie dobrze przygotowanej ekspedycji gdzieś na Marsa lub Wenus? Trzydzieści lat temu podobna myśl byłaby po prostu śmieszna, ale dziś...

— Raczej na Wenus — wtrącił akademik porwany mimo woli tymi wielkimi planami. — Mars najwidoczniej obumiera, dlatego też nie ma nadziei, aby można było na nim znaleźć nieodzowne dla nas warunki. Ale Wenus jest planetą nie zbadaną, planetą zagadkową. Myśl rzeczywiście ponętna!

— Uczeni — rzuciła Natasza — mogliby tam przebywać określony czas, po czym wróciliby na Ziemię. I jest to, profesorze, zupełnie możliwe do zrealizowania.

— Opowiadacie, Natalio Wasiljewna, nadzwyczaj interesujące rzeczy. — Profesor zerwał się z fotela i zaczął szybko chodzić po pokoju. — Ach, gdybym był młodszy! Sam bym poleciał!

— Podróż taka, Wiktorze Pietrowiezu, jest bardzo niebezpieczna.

— Oczywiście, lecz tylko śmiali mogą coś nowego zdziałać w nauce.

— Cóż wam zatem przeszkadza zająć się tym zagadnieniem? — zawołała Natasza.

Wiktor Pietrowicz zbliżył się do stołu.

— Nie jestem specjalistą w dziedzinie komunikacji międzyplanetarnej — powiedział. — Niech tym zajmą się inni. Lecz jeśli chodzi o korzyści, jakie podobna wyprawa mogłaby przynieść nauce, to tu nie ma żadnych wątpliwości. Dlatego też idea takiej wyprawy mnie, jako geologa i paleontologa, szczególnie zainteresowała. Przrzekam wam, Natalio Wasiljewna, że porozmawiam w akademii z kolegami, którzy lepiej ode mnie są w podobnych zagadnieniach zorientowani. A wy ze swej strony spróbujcie przygotować odpowiedni memoriał. Ja

go poprę. Może wam się uda, nieprawda? Maiji nadzieję, że spotykamy się nie po raz ostatni, Natalio Wasiljewna.

Odpowiedzią na te słowa było spojrzenie, którym dziewczyna pragnęła wyrazić profesorowi całą swą wdzięczność. Osiągnęła przecież swój cel. Wiedziała, co prawda, że jeszcze bardzo daleko do urzeczywistnienia marzeń, jednakże początek był zrobiony. Rozmowa toczyła się jeszcze długo, lecz już na inny temat. Akademik szczerze interesował się życiem i pracą Nataszy, zmartwieniem jej narzeczonego oraz losem niektórych studentów, byłych jego słuchaczy. Czas upływał szybko. Za oknami zaczęło się ściemniać. Natasza spostrzegła się, że siedzi zbyt długo, zajmując czas profesorowi.

— Czy mogę, Wiktorze Pietrowiczu, zostawić wam te próbki? — spytała przy pożegnaniu.

— Będę bardzo wdzięczny. Przyznaję się, że sam miałem zamiar o nie prosić. Jeżeli pozwolicie, chciałbym tę z odciskami korzenionówek. I te trzy...

— Więc jest pan w końcu gotów lecieć na Wenus? — zapytała z uśmiechem Natasza.

— No, jeszcze za wcześnie o tym mówić.

— A jeżeli lot taki będzie możliwy?

— Cóż — akademik rozłożył ręce — wtedy zobaczymy. — Ależ macie fantazję! Jesteście wielką marzycielką. Do widzenia!

Tak zakończyła się rozmowa, która zapoczątkowała długi łańcuch zadziwiających przeżyć i zdarzeń.

ROZDZIAŁ V

który odslania szczegóły niezwykle fantastycznego plany

W życiu prywatnym Jachontow był człowiekiem prostym i skromnym. Jako prawdziwy moskwiaczanin, przestrzegał starej, tradycyjnej gościnności rosyjskiej. Drzwi jego domu stały zawsze otworem dla tych wszystkich, którzy potrzebowali pomocy lub rady. Zresztą nie był to dom, lecz mieszkanie na piętnastym piętrze wieżowca przy rogatkach Kałuskich. Tu zgodnie z ustalonym zwyczajem spotykało się w każdą sobotę wieczorem kilku bliskich przyjaciół, uczonych odrębnych specjalności, jednakże ludzi o wszechstronnym wykształceniu. I ta właśnie okoliczność była elementem, który jednoczył tych tak różniących się pod względem charakteru gości Jachontowa. Tu każdy rozumiał drugiego w pół słowa, a ciężkie tematy do rozmowy znajdowały się na poczekaniu.

W ciągu szeregu lat ustalił się ściśle przestrzegany porządek tych zebrań. Goście zjawiali się zwykle o godzinie siódmej. Pogodne wieczory letnie spędzali na balkonie, obserwując ścielącą się daleko panoramę Moskwy, kąpiącą się bądź w promieniach zachodzącego słońca, bądź też ginącą gdzieś w tumanach siennej mgły. W dole za zieloną ścianą Parku Kultury błyszczała wstęga rzeki, a na lewo wznosiły się bloki Uniwersytetu. Gdy panowała zima lub padały deszcze, goście przebywali w gabinecie akademika, gdzie było ciepło i przytulnie. Tu zawiązywała się zwykle niewymuszona, swobodna rozmowa. Około godziny dziewiątej goście przechodzili do pokoju stołowego, gdzie czekała na nich lekka kolacja.

Wiktor Pietrowicz lubił herbatę, która przyrządzona musiała być nadzwyczaj starannie. Do herbaty podawano kanapki, konfitury, ciasta domowe oraz chałwę, stanowiącą ulubiony przysmak profesora. Roztrząsanie podczas kolacji tematów poważnych było kategorycznie wzbronione. Wolno było rozmawiać tylko o sprawach teatru, nowych książkach i słuchać transmitowanych przez radio koncertów.

Tego wieczoru pierwszy zjawił się Iwan Płatonowicz Kraśnicki, stary przyjaciel Jachontowa, człowiek należący do wybitnych postaci Moskwy. Ten silnie zbudowany, średniego wzrostu blondyn, szeroki w barach, niebieskooki, lekko utykający na prawą nogę, był człowiekiem nadzwyczaj łagodnego usposobienia, aczkolwiek mrukliwym i zamkniętym w sobie. Takim zrobiło go życie.

Gościa przywitała długoletnia sekretarka akademika, Nadieżda Pawłowna.

— Dzień dobry Nadieżdo Pawłowna! — zabrzmiał głucho głos Kraśnickiego.

— Dzień dobry, Iwanie Płatonowiczu! Cieszę się bardzo, że was widzę.

— Jest u siebie? — Kraśnicki wskazał ręką w kierunku gabinetu Jachontowa.

— Nie, Wiktor Pietrowicz jeszcze nie przyjechał, ale prosił, byście na niego koniecznie czekali. Lada chwila powinien się zjawić.

Kraśnicki podziękował i przeszedł do pracowni Jachontowa.

Iwan Płatonowicz, syn marynarza, urodził się i wyrósł w Sewastopolu, gdzie spędził siedemnaście lat beztroskiej młodości, którą przerwał wybuch wojny. Oj-

cię dowodził wtedy torpedowcem. Syn bez namysłu zgłosił się na ochotnika do marynarki. Po trzech latach ciężkiej służby morskiej awansował do stopnia mechanika okrętowego, poznał doskonale sztukę minerską, łączność i w ogóle stał się majstrem do wszystkiego. Będąc odważnym marynarzem, brał udział w wielu operacjach desantowych.

Pewnego razu okręt jego najechał na minę. Była wtedy zimna jesienna noc, na morzu szalał sztorm. Kraśnicki, ranny w nogę, znalazł się za burta, wśród spienionych fal. Na szczęście pływał jak ryba, dzięki czemu dobrnął jakoś do brzegu, gdzieś koło Tamani. Znalaziono go tam nieprzytomnego z upływem krwi i ewakuowano w głąb kraju.

Po roku na zawsze okulały marynarz został zdemobilizowany. Wrócił wtedy do domu. Niestety, rodzinne miasto legło w gruzach, ojciec zginął wraz ze swoim dkrętem, matka i siostra poniosły śmierć podczas nocnego bombardowania. Młody Kraśnicki pozostał na świecie sam jak palec. Zatrzymał się jakiś czas w miejscu, gdzie wznosił się niegdyś jego dom, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie, powłócząc z wysiłkiem jeszcze niezupełnie wyleczoną nogą. Od tej pory Iwan Płatonowicz stał się milczący i zamknięty w sobie.

Służyć w marynarce już nie mógł. Należało zaczynać życie od nowa. "Udał się więc do Moskwy, gdzie dla uczestników wojny stały otworem podwoje wszystkich szkół. Zdolnemu, młodemu inwalidzie pozostała jedynie nauka. Sił fizycznych jeszcze starczyło, a woli i zapału mu nigdy nie brakowało. Wkrótce też otrzymał świadectwo dojrzałości, po czym w 1945 roku wstąpił do Technologicznego Instytutu Chemicznego im. Mendelejewa, który ukończył po pięciu latach, otrzymując dyplom inżyniera chemika. Następnie pracował w prze-

myśle, uzyskał aspiranturę, a w roku 1958 tytuł kandydata nauk chemicznych. Późniejszy okres jego życia wypełniło dziesięć lat specjalizacji. Iwan Płatonowicz interesował się szczególnie chemią związków metaloorganicznych i wielocząsteczkowych. W 1969 roku był już znanym uczonym nie tylko w kraju, ale również poza jego granicami.

Na nieszczęście, wskutek tragicznych przeżyć w młodości, Kraśnicki stał się odludkiem, nie układało mu się również życie osobiste, które wiódł w samotności. Miał zaledwie dwóch czy trzech przyjaciół, z których największą sympatią darzył akademika Jachontowa.

Iwan Płatonowicz nie miał daru krasomówstwa, jednakże brak ten kompensowały inne zalety, przede wszystkim skromność, wytrwałość i spokój wewnętrzny. Ponadto ten powolny w ruchach wskutek inwalidztwa człowiek uchodził nie tylko za znakomitego uczonego, ale także za subtelnego znawcę malarstwa, któremu poświęcał cały swój wolny czas. Jednakże to jego zamiłowanie, mimo że w domu profesora Jachontowa sztuka była częstym tematem rozmów, pozostawało w cieniu.

Zaraz za Iwanem Płatonowiczem zjawił się profesor Moskiewskiego Instytutu Geofizyki Michał Andrejewicz Szapowałow.

Wbrew rozpowszechnionej opinii o astronomach jako o ludziach odciętych od świata i pochłoniętych jedynie kontemplacją gwiazdzistego nieba, Michał Andrejewicz miał wygląd człowieka pewnie stąpającego po ziemi. Wesoły, dowcipny, skory do żartów, mimo tuszy ruchliwy, o umyśle praktycznym, akcentował swą obecność donośnym głosem i zaraźliwym śmiechem. Jako człowiek ze wszech miar zapobiegliwy, nigdy nie lekceważył praktycznej strony życia, robił

„wielką karierę”. Jednakże nikt nie mógł negować wyjątkowego zasobu jego wiedzy oraz bystrego, chłonnego umysłu.

Zaledwie zdążył się przywitać, usiadł obok Nadeжды Pawłowny i zaczął opowiadać jakiś dowcip.

Stateczna, siwa już kobieta zachowywała początkowo poważny wyraz twarzy, jednakże w miarę opowiadania Szapowałowa jej surowe oblicze łagodniało, aż w końcu wykwitł na nim wesoły uśmiech. Po chwili śmiała się serdecznie. Wtórował jej bas uczonego, którego otyłe ciało trzęsło się i dygotało od wybuchów śmiechu. Gdy się uspokoił, podniósł się ciężko z krzesła i przeszedł do gabinetu, gdzie zastał Kraśnickiego. Wiedząc z doświadczenia, że rozmowa z Iwanem Płatonowiczem nie należy do rzeczy łatwych, poprzestał jedynie na przywitaniu się, po czym nie chcąc przeszkadzać uczonemu, czytającemu jakąś książkę, zaczął przeglądać rozrzucone na stole czasopisma. Początkowo czynił to machinalnie, zaledwie ślizgając się wzrokiem po stronicach, później jednak, zainteresowany jakimś artykułem, pograżył się w lekturze. Raptem ciszę przerwały uderzenia zegara ściennego. Była siódma. W drzwiach ukazał się gospodarz.

— Witajcie, przyjaciele — pozdrowił siedzących w gabinecie gości. Wracał ze spaceru. Był rześki, świeży, pełen sił i dobrego samopoczucia.

— O mało się łne spóźniłem, Iwanie Płatonowiczu! Moje uszanowanie, Michale Andrejewiczu!

Goście czuli się u Wiktora Piotrowicza jak u siebie w domu. Każdy z nich miał tu swoje ulubione miejsce. Michał Andrejewicz na wygodnej kanapie, Iwan Płatonowicz zaś w głębokim fotelu blisko biurka, na którym akademik zaczął po-

rządkować rozrzucone zapiski. Obok kanapy na wysokim postumencie jarzyła się lampa oświetlająca gabinet miękkim, łagodnym światłem. W jej niebieskawym, spokojnym blasku widać było wewnątrz pokoju, rozwieszane na ścianach obrazy, ekran telewizora i długie rzędy książek w olbrzymich szafach mahoniowych. Mniejsza lampa osłonięta zielonym abażurem rzucała krąg światła na biurko, z masywnym, z uralskiego kamienia kompletem do pisania oraz z rozłożonymi arkuszami nie zakończzonego rękopisu.

Jak zwykle, rozmowa zaczęła się od omawiania bieżących wydarzeń, nowin i powszednich, codziennych spraw. Z okazji tej skorzystał natychmiast Michał Andrejewicz, by opowiedzieć kawał o pewnym profesorze, znanym ze swego nadzwyczajnego roztargnienia. Historia ta rozśmieszyła wszystkich do łez. Z kolei jednak rozmowa zahaczyła o tematy poważniejsze.

— Czytaliście? — zapytał Wiktor Pietrowicz stukając palcem w gazetę, którą położył na stole profesor Szapowałow.

— Przeczytałem — odpowiedział astronom.

— Co o tym sądzicie?

— Moim zdaniem absurd! Zupełnie niepoważny zamiar.

— Hm... Dlaczego, profesorze?

— Piszą o locie na Wenus. O locie, który może odbyć się nie w dalekiej przyszłości, lecz już w najbliższym czasie. Bezsprzecznie astronautyka jest nauką ciekawą, nauką o wielkich perspektywach, jednakże w tej chwili jeszcze dyscypliną młodą, dyscypliną, że tak powiem, w powijkach. W tej dziedzinie działać należy bardzo ostrożnie. Przede wszystkim zachowana tu być musi jakaś logicz-

na ciągłość, jakaś przemyślana kolejność. Po wtóre, jaki jest sens takiego lotu? Po co, ni z tego, ni z owego, lecieć od razu na Wenus i narażać na ryzyko życie ludzkie?

— Wydaje mi się — odpowiedział z uśmiechem Jachontow — że artykuł zupełnie jasno określa cel takiej wyprawy. Lądowanie na Wenus jest przecież w zasadzie tym samym, co przeniesienie się w najdawniejsze epoki geologiczne Ziemi. Oznacza to możliwość zbliżenia się człowieka do tego momentu, w którym zaczęło powstawać życie. Czyż nie jest to interesujące?

— Rozumiem. Jednakże koncepcję taką polecam raczej autorom fantastycznych powieści. Człowiek o trzeźwym umyśle powinien wiedzieć, że kryją się tu tysiące najprzeróżniejszych „ale”. Ja na przykład jestem głęboko przekonany, że na powierzchni Wenus nie ma i nie może być żadnego życia. Trująca atmosfera, wysokie temperatury, nieprzenikniona zasłona obłoków. Podobnych warunków nie wytrzyma żadna istota żyjąca.

— Przypuśćmy, ale nikt przecież nie wie, jak wysoka temperatura panuje na powierzchni Wenus — rzucił Iwan Płatonowicz, po czym umilkł.

— Oczywiście, można tego dokładnie nie wiedzieć — odparował astronom. — Jednakże można na podstawie logicznych przesłanek snuć dość prawdopodobne przypuszczenia.

— Mamy wiele przykładów, kiedy — wydawałoby się — uzasadnione przypuszczenia tracą swą wartość w świetle faktów — poparł Kraśnickiego Jachontow. — Przypomnijcie sobie choćby ogólnie przyjęte mniemanie, że wewnątrz Ziemi jest rozżarzone. W istocie wiemy bardzo mało. Nawet o Ziemi. A cóż

wiemy pewnego o powstawaniu życia? Wątpliwe, czy posuniemy się naprzód, jeśli postępować będziemy według utartych, starych metod.

— Właśnie to chce udowodnić autor artykułu — rzucił Iwan Płatonowicz.

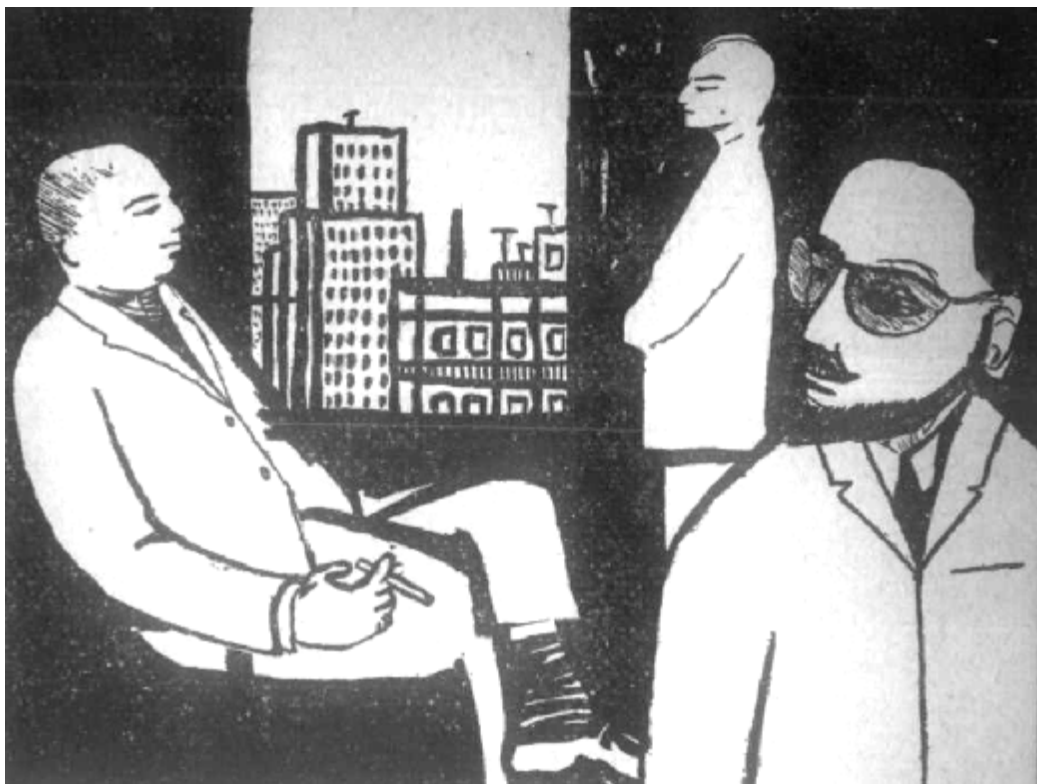
— A czyż tak nie jest? — podjął akademik. — Weźmy dla przykładu nasze wiadomości o Ziemi. Jeśli głębiej się zastanowimy, to odnoszą się one tylko do okresu, w którym skład naszej atmosfery, temperatura, wilgotność i inne warunki potrzebne do rozwoju życia były te same, co dziś. Kiedy zaś czynimy usiłowania, by przeniknąć w okresy najdawniejsze, zadowolić się musimy hipotezami i domysłami. Co wiemy, na przykład, o erze archaicznej, co wiemy o okresie kosmicznym, o okresie przedgeologicznym? W rzeczywistości nic. Dlatego że z ery archaicznej, a nawet proterozoicznej nie zachowały się żadne skamienieliны. Późniejsze jednakże pozostałości mówią już o stosunkowo wysoko rozwiniętych formach życia organicznego, którego początek ginie niestety w mrokach czasu. Mnie osobiście wydaje się, że nigdy nie zdobędziemy pewnych, wiarogodnych wiadomości, dotyczących tych zagubionych kart historii Ziemi, jeśli, oczywiście, postępować będziemy starymi drogami.

Wiktor Pietrowicz zatrzymał się chwilę w swym wywodzie, jak gdyby oczekując odpowiedzi. Goście jednak trwali w zamyśleniu, słowa gospodarza dotknęły bowiem jednej z najbardziej palących kwestii nauki.

— Nasze możliwości poznania — podjął Jachontow przemierzając z założonymi do tyłu rękami pokój — są ograniczone zjawiskami chemicznymi i fizycznymi, które zachodzą w normalnych dla psychiki człowieka warunkach temperatury, ciśnienia i składu atmosfery, w warunkach istniejących na Ziemi i do tego w czasie, w którym obecnie żyjemy.

Przystanął na środku pokoju i podniósł znacząco palec.

— Proszę nie zapominać! — zabrzmiał silniej jego głos — że zjawiska te powinny zachodzić inaczej nie tylko na Słońcu lub gwiazdach, lecz i na innych, stosunkowo bliskich planetach. Na przykład na Jowiszu, Wenerze, Marsie, a nawet na Księżycu i we wnętrzu Ziemi. Lecz jak one przebiegają, jakie procesy im towarzyszą — możemy zaledwie przypuszczać. Możemy je bowiem obserwować tylko z daleka, co stanowi, rzecz jasna, bardzo poważne trudności w przeprowadzaniu badań, w nauce. Synteza białka i inne złożone procesy chemiczne, w których wyniku powstało życie, przebiegały bezsprzecznie inaczej w warunkach pierwotnej atmosfery Ziemi i w wyższej temperaturze niż obecnie. A my dotychczas nie znamy choćby w przybliżeniu składu tamtej atmosfery,



nie wiemy, jaka panowała wtedy temperatura, nie mamy pojęcia, jakie natężenie miało pole magnetyczne i elektryczne Ziemi.

— Zupełnie słusznie — kiwnął głową Kraśnicki.

— Proszę? — nie dosłyszał akademik.

— Mówię, że skład ówczesnej atmosfery był bezwzględnie inny.

— Naturalnie! Nie znamy również własności spektralnych promieniowania słonecznego, które docierało w tamtych czasach na naszą planetę. Tymczasem wszystko to wywierało olbrzymi wpływ na reakcje chemiczne. Gdyby można stworzyć w pełni takie warunki w naszych laboratoriach! Niestety, takich możliwości jesteśmy pozbawieni.

Akademik mówił tak szczegółowo i dokładnie, jak gdyby miał wykład na uczelni. Czynił tak po prostu z przyzwyczajenia.

— Widać, że bardzo zainteresował was ten artykuł — odezwał się Szapowałow.

— Tak jest, macie rację... — uśmiechnął się Ja-chontow. — Ale na czym to stanąłem? Tak. Ja, jeśli można tak się wyrazić, sprawdzam na głos własne myśli.

— Mówcie, mówcie, Wiktorze Pietrowiczu, słuchamy was uważnie — astronom wykonał szeroki ruch ręką.

— Na przykład — podjął akademik — ultra- wysokie ciśnienie, rzędu pięciuset milionów atmosfer, możemy otrzymywać na przeciąg tylko znikomego ułamka sekundy. Tymczasem należy zbadać gruntownie zachowanie się substancji, która powinna znajdować się przez czas dłuższy w warunkach tak wysokiego ciśnienia. Na razie jest to niemożliwe.

— Słusznie — przyznał Kraśnicki. — Wiele procesów fizykochemicznych musi przebiegać inaczej na innych planetach, niż to się dzieje obecnie na Ziemi.

— Doskonale, zrozumieliśmy się — uśmiechnął się Jachontow. — Wszak przyjęta powszechnie hipoteza, że życie istnieć może tylko w granicach od — 260° do temperatury wrzenia wody i że wymaga ono obecności tlenu, jest tylko umowna. Nie jest bowiem wykluczone, że na innych ciałach kosmicznych istnieje życie w odmiennych, nie znanych nam formach, poza wspomnianymi granicami temperatury. Jest również zupełnie możliwe, że w niższych warstwach atmosfery jakiejś wielkiej planety trujące, jak nam się wydaje, gazy znajdują się w stanie płynnym, jak woda na Ziemi. I w tym właśnie płynnym środowisku istnieć może swoista fauna i flora, której podstawę chemiczną stanowi nie węgiel, lecz krzem. Ale również i tu poznanie nasze napotyka przeszkodę nie do przebycia, przeszkodę, którą rodzi konieczność postrzegania zjawisk natury, w tej postaci, w jakiej występują one na Ziemi.

— I wy chcecie udowodnić — odezwał się Szapowałow, który z niecierpliwością czekał, kiedy akademik skończy — że lot na Wenus otwiera przed nami tę nową, nieodzowną dla badań naukowych, drogę? Przyznajcie się, Wiktorze Pietrowiczu — mówił, podejrzliwie spoglądając na gospodarza domu — artykuł został napisany nie bez waszego wpływu, prawda?

Jachontow przystanął i, zmieszany, szeroko rozłożył ręce. Twarz jego jednak rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

— Jesteście bardzo blisko prawdy — powiedział. — To'ja właśnie, Michale Andrejewiczu, jestem owym autorem, który wypisuje podobne bzdury...

Szapowałow zmieszał się. Poczul się jakoś głupio, lecz wycofać się nie mógł. Musiał przyjąć walkę.

— No cóż, Wiktorze Pietrowiczu — poruszył się w fotelu. — Przyparto mnie do muru i zmuszono mówić zbyt szczerze. Bardzo żałuję, że sąd mój różni się od waszego w tej sprawie. Ale jak mawiał Arystoteles: „Platon to mój przyjaciel, ale prawda to przyjaciel jeszcze większy”. He, he, he! Jak tam chcecie, Wiktorze Pietrowiczu, ale lot na Wenus jest, że tak powiem, najczystsza fantazja. Doprawdy, trudno wprost uwierzyć, że słyszę o tym z waszych ust.

— Mówicie, że to fantazja — wyrzekł jakby w zamyśleniu akademik. — Przypuśćmy, że macie rację. Ale czyżby fantazja była rzeczą złą? Bywają chwile, gdy uczony powinien odrzucić surową ścisłość rozumowania i pozwolić ponieść się fantazji. Ona ułatwia spojrzenie w przyszłość, ona umożliwia wytyczenie punktów orientacyjnych, oznaczających drogę, wzdłuż której powinna iść nauka. Fantazji bynajmniej nie należy przeciwstawiać wiedzy ścisłej. Przeciwnie, ona jest szczególnym przejawem sił twórczych. Często bywa tak, że rozwój wiedzy ścisłej potwierdza genialne przypuszczenia. I każdy wielki uczony powinien trochę fantazjować. W przeciwnym razie pozostanie on na zawsze w niewoli ograniczonych pojęć.

Wiktor Pietrowicz zaczął na nowo przemierzać pokój z jednego końca w drugi. Czynił tak zawsze, gdy był pogrążony w rozmyślaniach. Ponadto spokojnymi i stanowczymi gestami podkreślał najważniejsze tezy swoich wywodów. Wypowiadał swe myśli wolno i niczym z katedry. Wspomnił, jak powstała u niego myśl wyprawy naukowej na planetę Wenus. To, o czym mówił, wydawało się jakąś fantazją, możliwą do zrealizowania tylko w dalekiej przyszłości. Aka-

demik jednakże zbijając poszczególne kontrargumenty, którymi szafowali przeciwnicy jego koncepcji, wykazywał, że nauka i technika już w dobie obecnej mogą postawić sobie takie zadanie i co więcej — z powodzeniem je rozwiązać.

— Warunki życia na Wenus — brzmiał jego głos — są zbliżone do warunków panujących na Ziemi. Bardzo możliwe, że planeta ta znajduje się obecnie w tym stadium rozwoju, w jakim była Ziemia w najdawniejszym okresie geologicznym.

I dlatego tam należy szukać początku długiego procesu ewolucji, początku, którego nie można odnaleźć na Ziemi. Ekspedycja na planetę jest w pełni możliwa, choć oczywiście wiąże się z wielu poważnymi trudnościami...

— Już przeprowadzono w tej dziedzinie próby — przerwał Jachontowowi astronom. — Jednakże nie dały one pomyślnych wyników.

— Zgoda! Próby rzeczywiście były. Astrofizycy usiłowali rozpoznać, co dzieje się na Wenus, za pomocą sterowanych z Ziemi kosmicznych rakiet automatów. Niestety, pozytywnych wyników nie osiągnięto. Dwie na przykład rakiety przeleciały w odległości około 5000 kilometrów od Wenus poza granicę jej atmosfery, wskutek tego zapisy przyrządów pokładowych dały nam niezbyt wiele. Trzecia z rakiet dotarła do atmosfery, skryła się w jej obłokach, jednakże nie wróciła na Ziemię. Dowodzi to, że odsłonić tajemnicę planety może tylko statek pilotowany przez człowieka. Czy taki lot jest możliwy? Najzupełniej. I jest on nawet łatwiejszy niż wyprawa na inne planety. Michale Andrejewiczu, wiecie lepiej ode mnie, że Wenus jest podobna do Ziemi w większym stopniu niż inne planety. To jest bardzo ważne. Pod względem rozmiarów planeta ta jest prawie

równa naszemu globowi. Średnica jej na równiku wynosi około 12 400 kilometrów, masa zaś...

— 5300 miliardów miliardów ton, czyli 0,81 masy naszej planety — wyręczył Jachontowa Szapowałow. — Średnia gęstość — 4,9, podczas gdy gęstość Ziemi jest 5,5 raza większa od gęstości wody.

— Innymi słowy — rzucił akademik przystając obok Szapowałowa — materia, z której zbudowana jest Wenus, powinna być mniej więcej taka sama jak ta, z której zbudowana jest Ziemia. Znajdować się tam powinny skały, być może pokryte warstwą gleby i roślinności. Siła przyciągania na Wenus równa się prawie sile przyciągania Ziemi.

— Masa 1 kilograma waży na Wenus w przybliżeniu 810 gramów — znowu odpowiedział astronom.

— Ano, proszę! Oznacza to, że poruszanie się i przenoszenie ciężarów sprawa tam nieco mniej kłopotów niż na Ziemi. Bezpośrednie pomiary temperatury górnych warstw obłoków wskazują odchylenie od -25° w cieniu planety do $+60^{\circ}$ po stronie oświetlonej. Mniej więcej średnia zima rosyjska i, powiedzmy, afrykańskie lato. Pierwsi ludzie, którzy wylądują na Wenus, znajdą się więc jeśli nie w normalnych, to w każdym razie znośnych warunkach.

— Najzupełniej szaracja — rzucił niespokojnie Szapowałow — jednakże sprawa inaczej wygląda, Wiktorze Pietrewiczu.

— Jak?

— Otóż pomiary temperatury, o których wspomnieliście, odnoszą się nie do powierzchni planety, gdzie ma przebywać i pracować ekspedycja, lecz tylko do

górných warstw jej atmosfery. Należy liczyć się z tym, że niżej ludzie znajdą znacznie gorsze warunki. Zetkną się na przykład z temperaturą + 100 stopni.

— To nie jest takie pewne. Należałoby tego dowieść.

— Przepraszam — astronom aż zerwał się z krzesła. — To jeszcze nie wszystko. Trudność problemu sprowadza się nie tylko do samej temperatury. Na Wenus obok trudnych warunków fizycznych panują niezmiernie, że tak powiem, trudne warunki chemiczne. Wiadomo na przykład, że znajduje się tam bardzo dużo dwutlenku węgla. Nikt poza tym nie zna składu gęstych chmur unoszących się nad Wenus. Niektórzy sądzili, że składają się one z formaldehydu, inni zaś przypuszczali, że są to cząstki zestalonego dwutlenku węgla. Istnieje również opinia, że chmury te tworzy wiszący w atmosferze pył wulkaniczny. Jedno jest w każdym razie jasne — normalne oddychanie na Wenus jest niemożliwe.

— No to cóż? — zaproponował gospodarz. — Ludzie będą poruszać się tam w specjalnych ubraniach, wyposażonych w aparaty wytwarzające tlen i przystosowanych do wysokiej temperatury. Ubrania takie nakładają robotnicy przy pracy w niektórych zakładach przemysłowych. Prócz tego na pokładzie statku kosmicznego, udającego się na Wenus, musi znajdować się elektryczny planechód, wyposażony w silne akumulatory. Pojazd taki powinien mieć hermetyczną kabinę, chroniącą przed gorącem panującym na zewnątrz oraz zapewniającą podróżnikom normalne oddychanie. W podobnej maszynie można będzie wygodnie poruszać się po powierzchni planety, pokonując pustynie, bagna i wszelkie inne przeszkody.

— Ale jest bardzo prawdopodobne, Wiktorze Pietrowiczu — zauważył astronom — że na Wenus nie ma stałej gleby, przypominającej glebę ziemską.

— W takim razie istnieć tam muszą morza i oceany — Jachontow uśmiechnął się — choćby nawet gorące. Na taką ewentualność rakietę zabierze z sobą specjalną łódź, przygotowaną zarówno do pływania nawodnego, jak i podwodnego.

Konstrukcję łodzi można dostosować w zupełności do warunków panujących na Wenus.

— Jednakże w atmosferze planety nie ma tlenu i pary — zaproponował powtórnie astronom. — Skąd zatem brać się tam mogą wody mórza?

— W górnych warstwach atmosfery ziemskiej również nie ma pary wodnej — odparł akademik — a mimo to na powierzchni naszej planety istnieją, jak wiadomo, oceany. Jednakże jest możliwe, że podróżnik istotnie nie znajdzie na Wenus takich warunków, które umożliwiałyby poruszanie się po jej powierzchni. No cóż! Ale wtedy zostaje jeszcze powietrze. Jeżeli nie można jeździć i pływać, trzeba będzie latać. Przecież atmosfera tam istnieje. Dlatego też na pokładzie rakiety kosmicznej znajdować się musi samolot z hermetyczną kabiną, przystosowaną do lotów w trującym środowisku...

Mimo tych argumentów Szapowałow nie chciał się poddać.

— Nie — mówił potrząsając głową. — Lot na Wenus to jedynie piękne marzenie. Oczywiście, podobna śmiała ekspedycja mogłaby wyświecić wiele spornych kwestii. Bez wątpienia. Umożliwiłaby na pewno przeprowadzenie dokładnych badań procesów zachodzących na Słońcu i Merkury. Tak, to racja. Ale należy spojrzeć prawdzie w oczy. Lądowanie na Wenus jest, być może, sprawą do zrealizowania, jednakże powrót stamtąd absolutnie wykluczony. Nie chcę

was, Wiktorze Pietrowiczu, martwić. Plan wasz jest niezwykle atrakcyjny i porwijący. Ale nie osiągnęliśmy jeszcze, by go zrealizować, odpowiedniego stopnia rozwoju kosmonawigacji. Przecież nie udało się nawet lądowanie na Księżycu, choć to tak blisko nas i choć już kilkakrotnie wykonano dookoła niego loty. Jestem przekonany, że w obecnym stanie rzeczy za wcześnie jest mówić o wybudowaniu dostatecznie wielkiej rakiety, którą można by wysłać na Wenus licząc na jej powrót. Tak, kosmos to nie żarty! Tu trzeba działać ostrożnie, stopniowo. Lecieć zaś tak od razu na ukrytą za chmurami Wenus... Przepraszam, Wiktorze Pietrowiczu, według mnie to zakrawa na awantur- nictwo.

Słowa astronoma brzmiały przekonująco, jednakże Wiktor Pietrowicz nie bardzo się nimi przejął. Wydawać się nawet mogło, że spodziewał się je usłyszeć.

— Rozsądne zastrzeżenia — odezwał się z chytrym uśmieszkiem. — Bardzo rozsądne. Jednakże w tej materii istnieją również inne opinie. — Powiedziawszy to, zbliżył się do biurka, otworzył jedną z szuflad i wydobył z niej obszerny rękopis. — Proszę, oto niedawno moi młodzi przyjaciele przeprowadzili pewne obliczenia i doszli do nieco odmiennych wniosków. A jeden z nich, specjalista w dziedzinie astronautyki... Zresztą może zechcecie posłuchać ich wywodów.

Szapowałow wzruszył ramionami, akademik zaś zaczął przerzucać rękopis. Zatrzymując się w miejscach ważniejszych, wyjaśniał pewne szczegóły dotyczące techniki lotu na Wenus i z powrotem — na Ziemię. Mówił o rakiecie mogącej zabrać sześciu pasażerów, z których dwóch stanowić ma załogę statku, pozostali zaś ekipę naukową. Rakieta przewieźć również musi olbrzymi ładunek, skła-

dający się z zapasów paliwa, umożliwiającego powrót na Ziemię, wody, tlenu oraz żywności wystarczającej na czas podróży i pobytu na Wenus.

Ponadto na pokładzie statku kosmicznego znaleźć się powinny planetochód, niewielkich rozmiarów łódź podwodna oraz przystosowany pod względem konstrukcji do tamtejszych warunków samolot.

— Memoriał wspomina — objaśniał Jachontow — że problemem najtrudniejszym jest sprawa powrotu. Jednakże i z tą trudnością można sobie poradzić, ponieważ w czasie powrotu na Ziemię rakietą będzie znacznie lżejsza niż na początku lotu.

— Oczywiście, zużyte paliwo — odezwał się chmurnie Szapowałow.

— I nie tylko wskutek tego. Rakieta należy zbudować z kilku członów, tak ażeby można pozostawić na Wenus część pomieszczeń i zbiorników. Dzięki temu zmniejszą się zarówno rozmiary, jak i ciężar statku. Nie ma również potrzeby zabierać z sobą w drogę powrotną tego ciężaru, który tworzą środki transportu. Ponadto zadanie ułatwia także fakt, iż do oderwania się od Wenus potrzebna jest mniejsza prędkość niż do oderwania się od Ziemi.

— Oczywiście — przyznał Kraśnicki.

— Według obliczeń autora projektu — ciągnął Jachontow — rakietą, przygotowaną do odlotu z Wenus, powinna mieć 106 metrów wysokości, 12 metrów szerokości i wagę łącznie z pasażerami i ciężarem użytecznym 352 tony, nie licząc paliwa. Statkowi należy nadać prędkość około 16 kilometrów na sekundę.

— Oho! — wykrzyknął Szapowałow.

— Jednakże — podjął gospodarz — wymiary rakiety, gdy wylatuje ona na Wenus, muszą być oczywiście znacznie większe. Jest to konieczne, ponieważ zabrać ona musi kolosalne ilości paliwa potrzebne na drogę powrotną oraz inne ciężkie ładunki. Tak, będzie to rakietka nieco odmiennego kształtu. Proszę wyobrazić sobie długi, ostro z obu stron zakończony cylinder o średnicy 12 metrów. Cylinder ten wyposażony jest w cienkie i krótkie, lecz dostatecznie szerokie skrzydła w kształcie strzały, przystosowane do lotu w atmosferze. Ciężar własny statku wynosić ma 1200 ton. Jego ciężar użyteczny obejmuje, obok pasażerów, zapas żywności w formie koncentratów, wody i tlenu na okres tysiąca dni oraz niezbędne środki transportowe, o których już wspominałem, dalej zaś sprzęt, liczne przyrządy i aparaty — w ogóle to wszystko, co może ułatwić życie i prace naukowe na Wenus.

— Niczego sobie — zamruczał astronom.

— Lecz największa trudność — ciągnął Jachontow, nie zwracając uwagi na odezwanie się Szapowałowa — dotyczyć będzie utrzymania zapasów paliwa i tlenu na drogę powrotną. W przybliżeniu statek kosmiczny wyekwipowany całkowicie do lotu na Wenus ważyć będzie około 10 400 ton, nie licząc ciężaru paliwa potrzebnego do startu z Ziemi.

— Tak, a teraz proszę obliczyć, Wiktorze Pietrowiczu — odezwał się astronom — ile potrzeba energii, ażeby nadać takiej maszynie szybkość, która zapewniłaby jej osiągnięcie Wenus!

— Nie tak znów wiele — odparł akademik. — Ekspedycja rakiety na Wenus odbywać się będzie, szanowny profesorze, w warunkach szczególnych. Proszę nie zapominać, że mamy w odległości 35 800 kilometrów od powierzchni naszej

planety stację pozaziemską, Kosmolot. Na tej wysokości siła przyciągania ziemskiego jest czterdzieści cztery razy mniejsza niż na wysokości poziomu morza. Na specyfikę lotu rakiety na Wenus wpływać również będzie to, że planeta ta jest w układzie słonecznym ciałem wewnętrznym.

— Naturalnie — odezwał się Kraśnicki. — Znajduje się ona bliżej Słońca, którego siłę przyciągania będzie się na pewno wykorzystywało podczas lotu rakiety.

— Tak. Ruch rakiety powinien w rzeczywistości być jej spadaniem na Słońce, przy tym należy go tak obliczyć, ażeby pocisk kosmiczny spotkał na swej drodze Wenus. W związku z tym rakietę musi nie zwiększać, lecz zmniejszać szybkość swego ruchu po orbicie ziemskiej. Glob nasz porusza się wokół Słońca z prędkością 29,8 kilometra na sekundę. Do tego należy dodać jeszcze prędkość obiegu sztucznego sputnika w stosunku do Ziemi, to jest jeszcze 3,1 kilometra na sekundę. Tymczasem ażeby spadać na Ziemię po linii najdogodniejszej — półelipsie, stykającej się z orbitą Wenus, potrzebna jest, jak wam, Michale Andrejewiczu, wiadomo, prędkość 27,3 kilometra na sekundę. W ten sposób, ażeby wytracić zbędną nadwyżkę prędkości, należy wysłać statek kosmiczny w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu Ziemi z szybkością 5,6 kilometra na sekundę. Teoretycznie biorąc, łatwo jest znaleźć takie paliwo chemiczne, przy którego spalaniu prędkość strumienia wypływających gazów osiąga 4 lub 4,5 kilometra na sekundę. W takich warunkach potrzeba nie więcej niż dwadzieścia tysięcy ton paliwa, co nie jest już tak dużo.

Mimo tych ważkich argumentów przekonać Szapowałowa nie było sprawą łatwą.

— Entuzjasmujecie się, Wiktorze Pietrowiczu — powiedział wodząc palcem w powietrzu. — Przeczyście sami sobie. Paliwo o wskazanych przez was własnościach istnieje tylko w teorii. Na samej zaś wyobraźni daleko się nie zajędzie. Nawet owe dwadzieścia tysięcy ton — to wielkość kolosalna! Spróbujcie przedstawić ją sobie w sposób pogładowy. Otrzymamy wtedy około dziesięciu pociągów, składających się z czterdziestu dużych czterosiowych cystern każdy. Jakżeż więc olbrzymie muszą być zbiorniki, ażeby pomieścić takie ilości paliwa?

— Znane są — rozległ się nagle głos Kraśnickiego — borowodory, które przy spalaniu dają ponad 480 kilokalorii na gramcząsteczkę. Jeszcze większą ilość energii uzyskać można przez połączenie ich z fluorem.

Profesor Szapowałow przyglądał się Kraśnickiemu ze zdziwieniem, gdyż nie spodziewał się z jego strony sprzeciwu.

— Przypuśćmy! — zawołał ze złością, gdy ten umilkł. — Przypuśćmy! — powtórzył. — A objętość tego paliwa? Wyobraźcie sobie rozmiary zbiorników! — Proszę nie zapominać również o rezerwuarach na tlen oraz o ciężarze drugiego składnika mieszanki paliwowej!

Jachontow chciał już coś na to odpowiedzieć, lecz uprzedził go Kraśnicki.

— Przed startem ze sztucznego sputnika — odezwał się — podwiesić można po bokach rakiety zbiorniki o dowolnej objętości, po czym po wyczerpaniu zostawić je w przestrzeni kosmicznej.

Aczkolwiek była to wypowiedź lakoniczna, jednakże nikt się jej po mało mównym Iwanie Płatonowiczu nie spodziewał. Nic więc dziwnego, że po jego słowach zapanowało chwilowo milczenie. Zaskoczyły one bowiem nie tylko

astronoma, lecz również gospodarza, który nagle w osobie chemika pozyskał sobie tak poważnego sojusznika.

— Przepraszam! — uniósł się Szapowałow. — Przepraszam! Niczego jeszcze nie udowodniliście. Niczego! Załóżmy, że rzeczywiście udało się zbudować olbrzymi statek kosmiczny o wadze 10 400 ton i że udało się również statek ten wysłać ze sztucznego satelity w przestrzeń kosmiczną. Dobrze, pominiemy trudności techniczne! Ale w jaki sposób machina ta wyląduje na Wenus, na której nie ma urządzonych lotnisk? Przecież nawet najzwyklejszemu samolotowi jest dość trudno wylądować w nieznanym terenie. I to samolotowi o wadze 30 lub, powiedzmy, 40 ton! Na Ziemi, w warunkach, gdy można jeszcze w powietrzu określić, jaką powierzchnię ma się pod nogami. A teraz proszę sobie przedstawić sytuację na Wenus, gdy taki kolos po przebiciu chmur znajdzie się ponad terenem górzystym, na którym nie ma ani skrawka równej przestrzeni. Tymczasem wyczerpało się paliwo... Cała ta potworna masa runie w dół i zamieni się w stos po-gruchotanego żelastwa. Taki oto koniec czeka waszą ekspedycję!

Powiedziawszy to, Szapowałow powiódł zwycięsko wzrokiem po obecnych.

— A jeśli zamiast gór rakieta spotka tam szeroką przestrzeń morską? — spokojnie zauważył akademik. — Nie tak dawno jeden z pilotów już dowiódł i przekonał sceptyków, że osadzenie statku kosmicznego na wodzie jest w praktyce możliwe oraz zupełnie bezpieczne, przy tym wodowanie to odbyć się może bez utraty paliwa potrzeb nego do hamowania...

— W najgorszym wypadku — dodał Iwan Płatonowicz — rakieta okrąży Wenus poniżej chmur i powróci na Ziemię.

— Widzę, że macie gotową odpowiedź na każdą wątpliwość — Szapowałow machnął z rezygnacją ręką. — Czyżbyście się zmówili? A może macie zamiar z kolei ze mnie zrobić fantastę?

Oburzenie Szapowałowa było zupełnie zrozumiałe. Cały bowiem Instytut znał Michała Andrejewicza jako człowieka o umyśle praktycznym i w ogóle bardzo ostrożnego.

— Nie ukrywam — powiedział z uśmiechem Wiktor Pietrowicz — że gdy zainicjowałem dzisiejszą dyskusję, miałem pewien plan. Rzeczywiście, mam w stosunku do was, Michale Andrejewiczu, zamiary...

— Spodziewam się, że nasza dyskusja ma czysto akademicki charakter — odpowiedział zmieszany Szapowałow. — Nie przywiązujecie do tego chyba, większego znaczenia...

— Właśnie, że przywiązuję — przerwał mu Jachontow. — I proponuję zupełnie serio sprawdzić słuszność naszych odmiennych poglądów w sposób praktyczny. Wy na przykład nie wierzycie w istnienie życia na Wenus. Tymczasem ja jestem tego pewien. Wy sądzicie, że nie można będzie wylądować na tej planecie, ja zaś myślę o tym inaczej. Dlaczego mamy się sprzeczać? Zorganizujmy, Michale Andrejewiczu, ekspedycję. Jako człowiek o wyjątkowej wiedzy w dziedzinie astronomii, jesteście w takiej wyprawie niezastąpieni. Tam, na miejscu, zobaczymy, który z nas ma rację. Co wy na to?

Szapowałow chciał coś odpowiedzieć, jednakże słowa uwięzły mu w gardle. Całkowicie zmieszany, wsunął się w głąb fotela i patrzył na gospodarza szeroko otwartymi oczami.

— Mówimy o sprawach nadzwyczaj realnych — podjął Wiktor Pietrowicz podchodząc do astronoma. — Artykuł umieściłem w gazecie w tym celu, aby zainteresować tą sprawą opinię publiczną. Kwestię dotyczącą organizacji lotu na Wenus postawiłem nie jako interesującą fantazję, lecz zupełnie konkretnie. Oczywiście, z pewnych powodów nie mogłem powiedzieć Wszystkiego, co dotyczy tego przedsięwzięcia. Rozumiecie chyba dlaczego. Przede wszystkim, ażeby nie wywoływać niezdrowej sensacji. Przygotowałem już szczegółowy plan wyprawy. Pomagał mi w tym pewien bardzo doświadczony pilot kosmiczny oraz pewien doświadczony praktyk w zakresie lotów międzyplanetarnych. W tej chwili zamierzam przedstawić tę sprawę Akademii Nauk, a następnie rządowi.

— Wiecie! — wzburzony Szapowałow ocierał spocone czoło. — Po prostu nie mam tu nic do powiedzenia.

— Nadzwyczaj kusząca koncepcja — wtrącił Iwan Płatonowicz.

— Powiem więcej — odezwał się akademik. — Chciałbym mianowicie wiedzieć, czy mógłbym liczyć na wasz współdziałanie, moi przyjaciele. W przypadku bowiem zaaprobowania projektu przez rząd trzeba będzie natychmiast zaproponować zespół uczestników wyprawy. I wy obaj... Sądzę, że bardziej odpowiednich ludzi nie potrafię dla takiej ekspedycji znaleźć.

W pokoju zaległa cisza. Akademik patrzył uważnie na swych przyjaciół.

— Zgadzam się — oświadczył zdecydowanie Iwan Płatonowicz.

— A wy?

Profesor Szapowałow ociągał się z odpowiedzią. Wlepiwszy wzrok w podłogę, zastanawiał się przez dłuższy czas. Gospodarz obserwował go z napięciem.

— Widzicie, Wiktorze Pietrowiczu — zaczął Szapowałow, gdy milczenie stało się już zbyt denerwujące — sprawa,..którą proponujecie, nie jest taka prosta, jakby się mogło wydawać. Musicie przyznać, iż projekt jest nagły, zaskakujący. Nie myślałem, że przybrał on już kształt realnego, że tak powiem, planu...

W głowie astronoma, gdy wypowiadał te słowa, kłębiły się myśli. Bez wątplenia, jeżeli takie gigantyczne zamierzenie się powiedzie, jeśli zdoła się je z powodzeniem zrealizować, znajdzie się ono w centrum uwagi całego świata. Jakież więc otworzyć się tu mogą możliwości! Oczywiście, jeśli to wszystko nie jest pustą mistyfikacją.

— Sprawa jest zupełnie nowa — ciągnął — dyskusyjna, chociaż, rozumie się, nadzwyczaj atrakcyjna. Jednakże, co tu mówić — nie mam już dwudziestu lat. Nie mogę więc bez zastanowienia decydować się na taką podróż. Poza tym mam w Instytucie wiele poważnej pracy...

— Wszyscy jesteśmy w jednakowej sytuacji.

— Tak, oczywiście. Ale ja, Wiktorze Pietrowiczu, mam jeszcze pewne wątpliwości. Otóż niektóre z waszych rozważań wydają mi się, jako astronomowi, niezupełnie przekonywające... W dodatku mam żonę, dzieci... Ponadto uważam, że należy gruntownie przemyśleć samą możliwość podobnego zamierzenia. I w ogóle...

Jednakże co owo „w ogóle” miało znaczyć, Szapowałow nie wyjaśnił.

Jachontow dłużej nie nastawał.

— No cóż — powiedział spokojnie. — To rozsądnie, bardzo rozsądnie! Wobec tego zaczekamy. A wy, Michale Andrejewiczu, przemyślcie wszystko do-

kładnie. Mamy czas. Zresztą to tylko projekt. A teraz proszę do stołu. Słyszę brzęk talerzy.

Otworzyły się drzwi. Na progu stała Olga Aleksandrowna, żona Jachontowa.

— Proszę — powiedziała z serdecznym gestem.

ROZDZIAŁ VI

w którym zapada ważna decyzja

Wieczorem 28 lutego 19... roku radiostacje radzieckie podały w „Ostatnich wiadomościach” następujący sensacyjny komunikat:

„Rząd Związku Radzieckiego, po rozpatrzeniu projektu prezydium Akademii Nauk ZSRR dotyczącego przygotowania pierwszej ekspedycji naukowej na planetę Wenus, podjął decyzję zrealizowania tego projektu. W kołach naukowych panuje pogląd, że dokładne zbadanie zachodzących na tej planecie procesów fizycznych i chemicznych pozwoli rozwiązać szereg ważnych problemów z dziedziny kosmogonii, astrofizyki, chemii, astronautyki. Jest bardzo prawdopodobne, że na Wenus uda się odnaleźć wiele pierwiastków radioaktywnych i innych substancji potrzebnych mieszkańcom Ziemi. Zbadanie procesów górotwórczych rzuci niewątpliwie światło na wiele spornych kwestii istniejących we współczesnej geologii. Poznanie flory i fauny Wenus, planety znajdującej się na znacznie wcześniejszym niż Ziemia szczeblu ewolucji, otwiera możliwości zgłębienia tajemnic powstawania życia. Wreszcie wyprawa taka oznacza nowy i poważny krok naprzód w dziedzinie astronautyki. Organizacja wyprawy odbywać się będzie pod kierownictwem akademika W. P. Jachontowa. W wyprawie wezmą udział również inni wybitni uczeni.

Mimo wielkich osiągnięć w dziedzinie współczesnej astronautyki — lot na Wenus należy uważać za wydarzenie naukowe bez precedensu. Jest to zadanie niezwykle trudne, które może być pomyślnie rozwiązane tylko przy współudziale

i wspólnym wysiłku wielu instytucji naukowo-badawczych i biur konstrukcyjno-projektowych zaangażowanych do opracowywania poszczególnych skomplikowanych problemów. Wiele wysiłku pochłonie również budowa gigantycznego statku transplanetarnego, który różnić się będzie znacznie od już istniejących raket kosmicznych. Przygotowania do lotu na Wenus zajmą nie mniej niż trzy lata... "

Nazajutrz komunikat powyższy opublikowały wszystkie gazety. „Prawda” zaś wydrukowała w podwójnym odcinku artykuł akademika Jachontowa pod tytułem: „Nowy etap w walce o opanowanie kosmosu”.

Natasza Odincowa nie słyszała „Ostatnich wiadomości”, ponieważ koncert w Wielkiej Sali Konserwatorium nieco się przedłużył. Dopiero nazajutrz, będąc na ulicy, zauważyła, że przed witrynami, gdzie wywieszano gazety, gromadzą się grupy ludzi. Następnie z pojedynczych słów i uwag przechodniów zorientowała się, o co właściwie chodzi. Uradowana i podniecona, rzuciła się do kiosku z gazetami. Wiersze skakały jej przed oczami. Nie mogło być wątpliwości — jej marzenia zaczęły przybierać realny kształt!

Dzień był zupełnie wiosenny i słoneczny. Białe marcowe obłoki wisiały wysoko na niebie i stopniowo rozpląwały się pod ciepłym oddechem południowego wiatru. Z dachów kapały wesołe krople, usiłując trafić za kołnierz Nataszy, na co ona zupełnie nie zwracała uwagi. Zbliżały się tak wielkie wydarzenia, że na razie wprost gubiła się w myślach, nie mogąc ich uporządkować. Cóż teraz zrobić? Jak postąpić?

Jedno wszakże było niewątpliwe: życie potoczy się odtąd inaczej. Włodzimierz może być zadowolony. Akceptacja projektu wyprawy na Wenus, wyprawy

organizowanej faktycznie według jego planu, była równocześnie przyznaniem mu słuszności, jeśli chodzi o wodowanie rakiety na Morzu Czarnym. Jego ryzykowny postępek wydawał się obecnie śmiałym i w pełni uzasadnionym eksperymentem. Serce Nataszy przepelniała duma z ukochanego człowieka, z męża, z przyjaciela, któremu pomagała przez wiele wieczorów w dokonywaniu obliczeń. W pewnym nawet stopniu mogła się uważać za jednego ze współautorów projektu.

Teraz już nie można wątpić, że Włodzimierz będzie zaproszony do wzięcia udziału w wyprawie. A ona? Jakże chciałaby również polecieć! W tej chwili wydało się jej, że chyba serce jej pęknie, jeśli będzie musiała rozstać się z Włodzimierzem. Przecież tak długo marzyli o tym locie. Nie, ona musi dopiąć tego, by zaliczono ją w poczet członków ekspedycji. Lecz w gazecie wydrukowano: „również inni wybitni uczeni”. Oznacza to, że polecą tylko uczeni. A jakież z niej uczony? Włodzimierz — to inna sprawa. Bez niego się nie obejdzie. Ale ona? Na co przydać się tam może młoda kobieta, która nie zdążyła nawet uzyskać dyplomu? Prawda, do ukończenia Instytutu pozostał jej zaledwie rok, wtedy zdobędzie pełne wykształcenie. Do chwili zaś startu ekspedycji upłynie nie mniej niż trzy lata. Jednakże na pewno już teraz kompletować będą zespół uczestników. Co robić? Me, wszystko to, oczywiście, dziecinne marzenia. Komu potrzebna taka smarkata... Czyżby miała pozostać zupełnie sama? Opuszczona! Nataszy zrobiło się niewymownie przykro. Była bliska płaczu.

Natasza zapragnęła jak najszybciej znaleźć się przy Włodzimierzu. Chciała dzielić jego radość, powierzyć mu swoje obawy i wypłakać się na jego piersi. Lecz było to niemożliwe. Wołodia, pozbawiony prawa pilotowania statków ko-

smicznych, został teraz „dorożkarzem raketowym”, jak nazywali jego obecne zajęcie młodzi astropiloci, i znajdował się w tej chwili gdzieś daleko za oceanem. Chcąc nie chcąc, należało uzbroić się w cierpliwość.

Zafrasowana i pełna tłoczących się myśli, Natasza zdążyła bulwarem, nikogo i niczego wokół siebie nie dostrzegając. W pobliżu była stacja metro. Machinalnie wyrwała z książeczki bilet i weszła na ruchome schody. Na ostatnim przystanku wysiadła z wagonu, wydostała się na górę i znalazła przed gmachem Uniwersytetu.

Tuż niedaleko nad urwistym brzegiem Moskwy ciągnęła się aleja, którą Natasza bardzo lubiła. Stąd bowiem, z wysoka, widać było dobrze stolicę — rozrzucone w dali wielkie miasto zalane oślepiającymi promieniami wiosennego słońca.

Wysokie domy na przeciwległym brzegu rzeki ozdobione kolorowymi płytami ceramicznymi grały teraz jaskrawymi barwami. Na lewo widać było olbrzymi stadion i jego złocisty dach rozpięty nad trybunami. Dalsze dzielnice miasta osnuwała niebieska mgła, nad którą tu i ówdzie wystrzelały smukłe, różowe, zalane słońcem wieże olbrzymich gmachów. Złote iglice, świecące jak ogniste strzały, przekłuwały obłoki.

Natasza długo siedziała na ławce, rozkoszując się szeroką panoramą miasta. Wreszcie wstała i ruszyła szybko w kierunku metra jak człowiek, który podjął jakąś decyzję i który wie doskonale, co ma robić.

*

Wysoko ponad troposferą sunęła wielka rakiet komunikacyjna. Daleko w dole widać było Ziemię. Wydawała się stąd olbrzymią, wklęsłą czaszą, której

brzezi ginęły gdzieś za liliową kurtyną mgieł. Na powierzchni planety nie można było dostrzec żadnych punktów orientacyjnych. Nad całym bowiem olbrzymim terytorium Syberii rozpościerały się gęste chmury, podobne do nie kończącej się, śnieżnej równiny, jednakże nie białej, lecz raczej koloru bzu. Gdzieś tam tylko w tej liliowej przesłonie otwierały się ciemne okna, które odsłaniały połącze tajgi. Wysoko ponad głowami rozpinano się niebo. Jego ciemnofioletowy kolor powodował, że ścielące się nisko chmury wydawały się liliowe. Choć nastał już ranek, jarzyło się jeszcze kilka jaskrawych gwiazd.

Włodzimierz Odincow znajdował się w kabinie nawigacyjnej. Śledził z napięciem wskazówki skomplikowanych aparatów pokładowych. W tej chwili pilotował rakietę do portów Ameryki, odpowiadając za życie wielu pasażerów, którzy znużeni podróżą i monotonią otoczenia, drzemali spokojnie w wygodnych fotelach. Statek stratosferyczny leciał już od dawna dzięki sile inercji, z wyłączonymi silnikami, bezdźwięcznie, nie napotykając oporu powietrza.

Gdy nad obszarami, nad którymi przelatowała rakietę, budzić się zaczynał dzień, choć słońce nie ukazało się jeszcze" nad horyzontem, w Moskwie o tej porze panowała noc. Złota wskazówka zegara na wieży Spasskiej zbliżała się do wpół do dwunastej .

Włodzimierz spojrział na chronometr i włączył głośnik. O tej porze Moskwa nadawała „Ostatnie wiadomości". Przytłumiony głos spikera (pilot nie chciał niepokoić drzemających pasażerów) podawać zaczął komunikat o planowanej wyprawie na Wenus.

Choć Włodzimierz był dobrze poinformowany, jednakże z wrażenia silniej uchwycił koło sterowe. Nie spuszczać oczu z przyrządów nawigacyjnych, pochylił się do przodu, aby nie stracić ani jednego słowa.

Słuch go nie mylił. Mówiono właśnie o ekspedycji, która stawała się urzeczywistnieniem śmiałych zamierzeń i dowodem jego niewinności. Tak, jego poważne, jak wówczas sądzono, przestępstwo służbowe nabierało obecnie zupełnie innego sensu.

Włodzimierz poczuł ucisk w piersi, doznając przy tym lekkiego zawrotu głowy, w której kłębiło się od myśli. Kosztowało go wiele wysiłku, zanim skupił się i skoncentrował uwagę na przyrządach pokładowych.

Mimowolnym ruchem otarł krople potu, które operliły mu czoło. Potrząsnął energicznie głową i zaczął wpatrywać się w dal. Radio tymczasem podawało już inne wiadomości.

Niebo rozjaśnił różowy świt. Na przodzie i w dole zapalały się zorze, wysoko zaś rozpościerał się gęsty błękit, na którego tle błyszczała samotna gwiazda. Wenus! Królowa porannej i wieczornej zorzy. Połyskiwała i wabiła. Młody pilot wpatrywał się w to dalekie ciało niebieskie jak zaczarowany.

„Czyżby? Czy rzeczywiście już za kilka lat geniusz człowieka potrafi odkryć tajemnicę tej zagadkowej planety? Czyżby fantazja stawała się rzeczywistością?”

Jasnoczerwone barwy zorzy wznosiły się coraz wyżej i obejmowały już połowę nieba. Gdzieś daleko z przodu wybuchło oślepiające światło. To był wschód słońca.

Zbliżał się czas lądowania. Przedtem jednak Odincow wezwał telegrafistę i podyktował mu krótki tekst depeszy:

— „Moskwa, Wielka Kałuska 95, mieszkania 612, akademik Jachontow. Usłyszałem komunikat o organizowaniu lotu na Wenus pod waszym kierownictwem. Gratuluję. Proszę o prawo pilotowania statku. Włodzimierz Odincow”.

*

W momencie nadawania „Ostatnich wiadomości” Michał Andrejewicz Szapowałow tuż przed udaniem się do łóżka znajdował się w łazience i zabierał się do mycia zębów. Czynił to nadzwyczaj starannie, jak w ogóle wszystko, co dotyczyło zasad higieny i dbałości o siebie. Tym razem jednak, gdy usłyszał przytłumione dźwięki radia, szczoteczka do zębów zastygła mu bez ruchu w ręce. W takiej pozycji wysłuchał całego komunikatu o ekspedycji na Wenus.

Był zaskoczony. Oto bowiem rząd uznał szaleńcze projekty Jachontowa i traktował je jako przedsięwzięcie ważne i aktualne. Tego Michał Andrejewicz absolutnie się nie spodziewał.

Przez moment opanowało go wrażenie, że nie wytrzymuje tempa życia, że wlecze się w ogonie, kiedy inni, bardziej odważni i stanowczy, dążą naprzód, sięgając po zaszczyty, sławę i uznanie.

Wyprawa na Wenus! Profesor wiedział aż nadto dobrze, co to znaczy. Udział w takim przedsięwzięciu był niezwykle zaszczytny. Rząd zdecydował, że ekspedycja ma być zrealizowana, a więc cały kraj, cały naród otoczy ją swoją opieką i troską. Ludzie zaś, którzy dotrą na Wenus, uważani będą za bohaterów. Oczy-

wiecie on, profesor Moskiewskiego Instytutu Geofizyki, doktor nauk fizyko-matematycznych, sławny astronom, może jeszcze wejść w skład uczestników wyprawy. Jachontow przecież pozostaje z nim nadal w jak najlepszych stosunkach. Wszak sam zwrócił się wówczas do niego z ową niespodziewaną propozycją. Prawda, on odpowiedział w sposób wymijający, prawie odmownie, ale „prawie” nie znaczy to samo, co „zupełnie”. Jeszcze jest czas, by pójść i powiedzieć: „Wiktorze Pietrowiczu, prosiłem, abyście dali mi kilka dni czasu do namysłu. Przemyślałem wszystko i chcę być razem z wami!” Oczywiście Jachontow będzie zadowolony. Takich astronomów jak Szapowałow nie znajduje się na ulicy. A zresztą w taką drogę wybrać się powinni ludzie, których łączy coś więcej niż zwykłe stosunki służbowe. Lecz z drugiej strony ryzyko olbrzymie. Brrr!. Porzucić Moskwę, znajomych, spokojną pracę, wspaniałe obserwatorium, biurko, rodzinę, wygodne mieszkanie i lecieć na złamanie karku gdzieś pa Wenus poprzez pustkę i przejmujący chłód przestrzeni kosmicznej. To nic przyjemnego. W tej chwili astronom przypomniał sobie powiedzonko Gorbunowa: „Jak komu dobrze, to nigdzie nie polec”. Właśnie. Po co lecieć gdzieś w tajemniczą dal! I być może ponieść straszną śmierć na odległej planecie!

Nie, wszystko to wydawało mu się Zbyt fantastyczne. A jednak sprawa wymagała namysłu.

Michał Andrejewicz kontynuował wieczorną toaletę, ale zwykle czynności wykonywał bezwiednie, automatycznie. Myśli jego pochłaniała całkowicie wyprawa. Jednakże nie zdobył się na żadną decyzję. Zaledwie bowiem zaczął wycierać piersi i szyję włochatym ręcznikiem, usłyszał z sąsiedniego pokoju:

— Michel, kiedy wreszcie skończysz?

— Zaraz, Marie, zaraz! — odpowiedział Michał Andrejewicz i pośpieszył natychmiast do sypialni.

Maria Sergiejewna, żona profesora, dobrze zakonserwowana, przystojna brunetka, była już w łóżku i najwidoczniej miała zamiar przeczytać coś przed snem, gdyż na stoliku nocnym i na kołdrze leżały ostatnie numery pism rosyjskich i kilku ilustrowanych tygodników zagranicznych. Pokój tonął w półmroku, jedynie łagodne światło ustawionej do czytania lampki oświetlało jej wspaniałe ramiona i koronki nocnej koszuli. Maria Sergiejewna zapomniała jednakże o kolorowych ilustracjach, gdyż absorbowały ją inne sprawy.

— Słyszałeś, Michel? — zawołała z nie ukry-» waną troską i zaniepokojeniem w głosie.

— Oczywiście, słyszałem — odpowiedział mrukliwie mąż.

— Rząd...

— Tak, tak! Zdecydował wysłać ekspedycję naukową na Wenus! — przewał jej podrażniony profesor.

— Oczywiście twój przyjaciel na pierwszym miejscu. Zawsze ten Jachontow. Jemu właśnie powierzono opracowanie projektu, choć przecież są również inni, którzy mogliby zająć się tą sprawą. Teraz znowu powierzają mu kierownictwo wyprawy. Wiesz, Michel, wydaje mi się... O ile dobrze zrozumiałam, wyprawie przypisuje się w pewnych sferach wielkie znaczenie. Musisz się zastanowić...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Co ja chcę powiedzieć? To, że nie należy zmarnować takiej okazji. Jeżeli tego nie dostrzegasz, jesteś krótkowzroczny i, jak zwykle, mało praktyczny. Czyż my mamy zawsze pozostawać w cieniu, kiedy jacyś tam Jachontowowie zbierać będą laury? Słyszałeś: „inni znani uczeni”? Znani! Nie możesz przecież wiecznie pozostawać tylko na stanowisku profesora! I to w dodatku katedry, której daleko do przodującego zakładu naukowego. Mężczyzna powinien dążyć naprzód, powinien przebijać się przez życie. W myślach widzę cię zawsze jako akademika. Zważywszy twoje zdolności i wiedzę, byłoby to zupełnie naturalne. Jednakże sukcesy osiągają tylko ci, którzy potrafią walczyć, a nie czekać z założonymi rękami, aż im coś kapnie z nieba. Trzeba umieć we właściwym czasie się pokazać!

— Krótko mówiąc, chcesz, ażebym poleciał na Wenus?

— Michel, przecież wiesz doskonale, że nigdy nie mieszam się do twoich spraw.

„Rzeczywiście się nie mieszasz” — pomyślał profesor.

— Wszak wiesz — ciągnęła Maria Sergiejewna — że ja... Oczywiście, jeśli chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie...

— No?

— Posłuchaj! Wydaje mi się, że trzeba wykorzystać twoją przyjaźń z Jachontowem. Takich ludzi jak on nie należy lekceważyć.

— Marie, to mój wielki przyjaciel!

— Tym lepiej. Wielu uważałoby za szczęście, gdyby mogło wziąć udział w wyprawie. A ono samo pcha ci się w ręce.

— A ryzyko?

— Jakie znowu ryzyko?

— Czyżbyś się nie obawiała, że mogę sobie po prostu skrócić kark? Czyżby cię to nie smuciło, że rozstaniemy się na tak długi czas?

— Kochany, oczywiście, że będę za tobą szalenie tęsknić. Lecz zanim nastąpi rozłąka, upłynie jeszcze sporo czasu. Przecież prawie trzy lata trwać będą przygotowania. Czyż można przewidzieć, co stanie się w tym czasie? Ale już sam fakt, że jesteś zaliczony w poczet uczestników ekspedycji, stawia cię w rzędzie najwybitniejszych uczonych... Zresztą każda mądra żona powinna umieć poświęcić swe osobiste szczęście dla dobra rodziny!

— Ryzyko wszakże jest olbrzymie...

— Mój drogi, ja wierzę w naukę. Z taką wiedzą, jaką ty posiadasz, i następnie Wiktor Pietrowicz, i ten... jak mu tam...

— Kraśnicki?

— Tak, Kraśnicki. Mówią, że to nadzwyczajny specjalista w swojej dziedzinie. Poza tym raketę poprowadzą znakomici piloci. W tych warunkach ryzyko sprowadzi się do minimum. Wyprawę przygotowywać będzie szereg instytucji... Nie, ja nie dopuszczam nawet myśli, by zdarzyć się mogła jakaś katastrofa...

Prowadzona w tym duchu rozmowa przeciągnęła się do późna w nocy. Michał Andrejewicz, nie mogąc po niej zasnąć, musiał zażyć aż dwie tabletki nasenne.

Natasza zadzwoniła do drzwi mieszkania Ja- chontowów. Otworzyła jej Na- dziezda Pawłowna. Ponieważ знаła dobrze dziewczynę, zaprowadziła ją do ba- wialni, prosząc, by poczekała na powrót profesora, który znajdował się w tej chwili poza domem. Tym razem Wiktor Pietrowicz spóźnił się. Zjawił się dopie- ro o dziewiątej, zmęczony międzyresortowymi konferencjami, dyskusjami i bie- ganiem z jednego zebrania na drugie.

Spostrzegłszy Nataszę, pojął, że nie da się uniknąć z nią rozmowy. Rzucił tylko okiem na sekretarkę, jak gdyby chciał powiedzieć: po coście ją tu wpuścili, czyżbyście nie rozumieli? Nadziezda Pawłowna wzruszyła w odpowiedzi ramio- nami, co miało oznaczać: nie wykręcisz się, nic tu nie poradzisz.

Ta niema rozmowa trwała zaledwie kilka sekund. Wiktor Pietrowicz przywi- tał się uprzejmie z Nataszą i poprosił ją do gabinetu.

— No, cóż powiecie dobrego ?— zapytał po drodze.

Natasza, nie tracąc czasu, przystąpiła wprost do sprawy, która ją tu sprowa- dziła.

— Wiktorze Pietrowiczu! — zabrzmiał jej głos, w którym wyczuć można było jakąś uroczystą nutę. — Wiktorze Pietrowiczu!

— Słucham, słucham!

— Domyślcie się zapewne, dlaczego was niepokoję.

Akademik kwaśno się uśmiechnął i kiwnął głową.

— W takim razie, czego mogę się spodziewać?

Jachontow zamiast odpowiedzi podsunął jej cały plik rozpieczętowanych listów.

— Widzicie? Oto korespondencja, która nadeszła tylko w dniu dzisiejszym. Należy przypuszczać, że listy te napisano zaraz po nadaniu naszego komunikatu. Pochodzą one z Moskwy, Kijowa, Rygi, Tallina, Tbilisi, Ałma-Aty. Wśród nich znajdziecie również depezę waszego męża... Oj, wy, pobraliście się, a na wesele nie zaprosiliście!

— Wiktorze Pietrewiczu, wyjechaliśmy na południe.

— Wiem, wiem. Dostałem od was pocztówkę, dziękuję.

Natasza z zainteresowaniem zaczęła przerzucać listy.

— Wszystkich nie warto czytać — powiedział Jachontow. — Zawierają tę samą treść: wszyscy chcą ze mną lecieć na Wenus... Ale jest tu list.

— Ryzyko wszakże jest olbrzymie...

— Mój drogi, ja wierzę w naukę. Z taką wiedzą, jaką ty posiadasz, i następnie Wiktor Pietrowicz, i ten... jak mu tam...

— Kraśnicki?

— Tak, Kraśnicki. Mówią, że to nadzwyczajny specjalista w swojej dziedzinie. Poza tym raketę poprowadzą znakomici piloci. W tych warunkach ryzyko sprowadzi się do minimum. Wyprawę przygotowywać będzie szereg instytucji... Nie, ja nie dopuszczam nawet myśli, by zdarzyć się mogła jakaś katastrofa...

Prowadzona w tym duchu rozmowa przeciągnęła się do późna w nocy. Michał Andrejewicz, nie mogąc po niej zasnąć, musiał zażyć aż dwie tabletki nasenne.

*

Natasza zadzwoniła do drzwi mieszkania Jachontowów. Otworzyła jej Nadieżda Pawłowna. Ponieważ знаła dobrze dziewczynę, zaprowadziła ją do bawialni, prosząc, by poczekała na powrót profesora, który znajdował się w tej chwili poza domem. Tym razem Wiktor Pietrowicz spóźnił się. Zjawił się dopiero o dziewiątej, zmęczony międzyresortowymi konferencjami, dyskusjami i bieganiem z jednego zebrania na drugie.

Spostrzegłszy Nataszę, pojął, że nie da się uniknąć z nią rozmowy. Rzucił tylko okiem na sekretarkę, jak gdyby chciał powiedzieć: po coście ją tu wpuścili, czyżbyście nie rozumieli? Nadieżda Pawłowna wzruszyła w odpowiedzi ramionami, co miało oznaczać: nie wykręcisz się, nic tu nie poradzisz.

Ta niema rozmowa trwała zaledwie kilka sekund. Wiktor Pietrowicz przywitał się uprzejmie z Nataszą i poprosił ją do gabinetu.

— No, cóż powiecie dobrego? — zapytał po drodze.

Natasza, nie tracąc czasu, przystąpiła wprost do sprawy, która ją tu sprowadziła.

— Wiktorze Pietrowiczu! — zabrzmiał jej głos, w którym wyczuć można było jakąś uroczystą nutę. — Wiktorze Pietrowiczu!

— Słucham, słucham!

— Domyślacie się zapewne, dlaczego was niepokoję.

Akademik kwaśno się uśmiechnął i kiwnął głową.

— W takim razie, czego mogę się spodziewać?

Jachontow zamiast odpowiedzi podsunął jej cały plik rozpieczętowanych listów.

— Widzicie? Oto korespondencja, która nadeszła tylko w dniu dzisiejszym. Należy przypuszczać, że listy te napisano zaraz po nadaniu naszego komunikatu. Pochodzą one z Moskwy, Kijowa, Rygi, Tallina, Tbilisi, Ałma-Aty. Wśród nich znajdziecie również depeszę waszego męża... Oj, wy, pobraliście się, a na wesele nie zaprosiliście!

— Wiktorze Pietrowiczu, wyjechaliśmy na południe.

— Wiem, wiem. Dostałem od was pocztówkę, dziękuję.

Natasza z zainteresowaniem zaczęła przerzucać listy.

— Wszystkich nie warto czytać — powiedział Jachontow. — Zawierają tę samą treść: wszyscy chcą ze mną lecieć na Wenus... Ale jest tu list z Tallinna, w którym pewien towarzysz proponuje, ażeby najpierw zbudować doświadczalną rakietę kosmiczną i na jej powierzchni wysłać go wraz z przyjacielem jako zwiadowców.

— Po co?

— Ażeby nie narażać uczonych, którzy według owego towarzysza są bardziej niż on potrzebni krajowi... Wzruszające, prawda?

Natasza spostrzegła depeszę męża i przeczytała ją.

— Mam nadzieję — powiedziała — że Włodzimierza zabierzecie ze sobą.

— Prawdopodobnie. Myślę, że bez niego się nie obejdziemy.

— A mnie?

— Natalio Wasiljewna, gdyby szło tylko o zasługi i, że tak powiem, prawo moralne, to wasze nazwisko powinno zajmować pierwsze miejsce na liście uczestników wyprawy — powiedział przepaszającym tonem Wiktor Pietrowicz. — Ale, niestety, musimy brać pod uwagę również inne okoliczności. Lot na Wenus — to sprawa wyjątkowo niebezpieczna i trudna. Tak, tak, zapewniam was! To sprawa bardzo trudna. Ponadto wymagana tu jest sprawność fizyczna, siła. Lecieć mogą tylko mężczyźni. Pomyślcie, na co narazi się słaba kobieta decydując się na tak ciężką wyprawę.

— Ależ ja wcale nie jestem słaba.

— Przypuśćmy, jednakże...

— Mogę pracować, mogę robić wszystko. Wkrótce będę geologiem. Wiecie, że w tej dziedzinie mogłabym się na coś przydać.

— Wiem, wiem!

— No więc!

— Tak, ale mimo wszystko, jedyna młoda kobieta wśród samych mężczyzn... Dwa lata w ciężkich warunkach. Nie, proszę nie nalegać! — Wiktor Pie-

trowicz wykonał energiczny ruch głową, który miał oznaczać kategorię odmowę.

Jednakże Natasza nie rezygnowała. Po chwili milczenia podjęła atak z innej strony.

— Nie bierzecie, Wiktorze Pietrowiczu, pod uwagę pewnej okoliczności — odezwała się cicho, spuszczaając oczy.

— Mianowicie?

— Pobraliśmy się tak niedawno... I jak teraz będzie? Czyżby żona nie miała prawa dzielić ze swym mężem wszelkich niebezpieczeństw i trudów? Wszak prócz rozumu istnieje jeszcze uczucie. Miłość! To nie takie proste...

Jachontow długi czas patrzył przed siebie, obracając nerwowo w palcach ołówkę, po czym skierował wzrok na Nataszę. Przyglądał się jej badawczo i surowo. Dziewczyna wytrzymała taksujące spojrzenie uczonego.

— Dziwię się — rozległ się jego głos — że nie możecie takiej prostej rzeczy zrozumieć. Oczywiście, chciałbym zrobić wam przyjemność, jednakże zabrać ze sobą w niebezpieczną podróż młodą kobietę byłoby istnym szaleństwem. Nie, nie mam po prostu prawa!...

Zaczął demonstracyjnie szeleścić rozrzuconymi na biurku papierami, dając w ten sposób do zrozumienia, że dalsza dyskusja jest tu bezcelowa. Po czym przetaił okulary i zabrał się do przeglądania listów. Było ich sporo. Niektóre po kilku wierszach odkładał na bok, niektóre czytał uważnie od początku do końca, inne wreszcie wprawiały go w zadumę. Wśród korespondencji znajdowała się pocztówka z Penzy. Mały, dziesięcioletni obywatel, Pietia Karawajew, pisał du-

żymi, dziecinnymi literami, aby zabrano go koniecznie na Wenus. Akademik uśmiechnął się i odłożył list na bok, przy tym wzrok jego padł znów na Nataszę.

— Ach, to wy jeszcze tutaj?

— Tak, Wiktorze Pietrowiczu — odpowiedziała Natasza patrząc mu prosto w oczy. — Nasza rozmowa jest nie skończona.

Jachontow pokiwał głową, jednakże na jego twarzy pojawił się uśmiech. Natasza w lot uchwyciła tę zmianę.

— Wiktorze Pietrowiczu — zaczęła. — Wydaje mi się, że będzie źle, jeśli polecą sami tylko mężczyźni. Na Tówni z męskim hartem przyda się wyprawie również kobieca troskliwość. Chyba wiecie, do jakich poświęceń zdolne są nasze kobiety. Przypomnijcie sobie wojnę! Zabierzcie mnie, Wiktorze Pietrowiczu! Zdażę do tego czasu zrobić dyplom. Daję słowo! Na statku międzyplanetarnym konieczne jest również utrzymanie wzorowego porządku, a przecież mężczyźni nie potrafią...

Oczy Nataszy, gdy to mówiła, miały tak błagalny wyraz, że przełamać potrafiłyby opór człowieka nawet najsurowszego. A przecież Jachontow nie należał do ludzi nieczułych. Mimo to, przypatrując się uważnie Nataszy, powiedział:

— Nie, niemożliwe!

I znów zapanowało kłopotliwe milczenie.

— Wiktorze Pietrowiczu!...

Akademik z rezygnacją kiwnął głową.

— Dobrze, niech i tak będzie — powiedział. — i20 Spróbuję wysunąć również waszą kandydaturę.

Natasza chciała skakać z radości jak mała dziewczynka. Choć wydawało się jej, że Jachon- tow wyraził swą zgodę jedynie po to, by się jej pozbyć, to jednak uważała, iż odniosła zwycięstwo. Nic więc dziwnego, że kosztowało ją to wiele trudu, by swych uczuć nie wyrazić w zbyt burzliwy sposób. Nagle rozległ się sygnał wideofonu. Profesor zdjął słuchawkę.

Na ekranie ukazała się twarz Szapowałowa.

— Drogi przyjacielu — rozległ się głos astronoma. — Gratuluję! Gratuluję z całego serca!

— Dziękuję.

— Co u was słychać?

— Wszystko w porządku.

— Dzwonię do was, Wiktorze Pietrowiczu, w naszej sprawie.

— Hm...

— Propozycję waszą rozważyłem pod każdym względem. Myślę, że rzeczywiście najlepiej będzie, gdy nasze sporne kwestie rozstrzygniemy na miejscu, na Wenus. He, he, he! Znamy się nawzajem od wielu lat. Czyż nie tak?

— Oczywiście...

— Byłoby, Wiktorze Pietrowiczu, rzeczą niewybaczalną, gdybym zrezygnował z udziału w wyprawie. Liczcie na mnie. Jestem z wami! Stało się!

— Świetnie! — szczerze uradował się Jachontow. — Byłem pewien, że przyjmiecie moją propozycję. Jednakże przyjęliście ją nie od razu...

— Cóż robić, Wiktorze Pietrowiczu? W moim wieku nie tak łatwo o decyzję... I w ogóle... Jestem człowiekiem i nic, co ludzkie... i tak dalej. Miałem, oczywiście, i wątpliwości. No, ale nie będę wam przeszkadzał. Dzwonię, żeby się zapytać, kiedy można was odwiedzić.

— Choćby dzisiaj. Czekam.

Akademik, uważając rozmowę za skończoną, odłożył słuchawkę.

— Widzicie więc, Natalio Wasiljewna — zwrócił się do dziewczyny. — Jak dotychczas na brak chętnych nie możemy narzekać. Nawet tacy sceptycy Szapowałow... i ci również zmieniają swoje zdanie. W tej chwili pozostaje jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Bardzo drażliwa. Myślę, że chyba tylko wy możecie tu pomóc.

— Słucham, Wiktorze Pietrowiczu.

— Rzecz polega na tym, że należy wszystko przemyśleć. Rakietę prawdopodobnie poprowadzi wasz mąż. Jest młody i energiczny. Lecz ten bezsprzecznie wspaniały pilot należy do ludzi w gorącej wodzie kąpanych. Rozumiecie chyba, że w takiej wyprawie, jaka nas czeka, nerwy trzymać trzeba na uwięzi, że wybuchowość waszego męża musi być w jakiś sposób zneutralizowana. Podczas lotu bowiem potrzebna jest nie tylko odwaga, lecz także mądra ostrożność. I myślę, że na statku powinien znajdować się jeszcze jeden specjalista. Człowiek o zupełnie innych cechach charakteru. Sądzę więc...

— Macie na myśli Sandomirskiego?

— Właśnie. Włodzimierz sam wymienia go w swoim memoriale.

— Ależ oni mają tak odmienne poglądy... Sandomirski, jak pewno wiecie, usunął kiedyś Włodzimierza z lotnictwa kosmicznego. Myślę, że nigdy nie zgodzi się na udział w wyprawie, która jest sprzeczna z jego poglądami.

— Człowieka tego należy przekonać, pozyskać. I zrobić to może jedynie wasz mąż.

— Włodzimierz?

— Jeśli tylko pierwszy wyciągnie rękę do zgody. Trzeba zrozumieć również Sandomirskiego. Wszystko zależy od taktu, od podejścia...

Natasza zamyśliła się na chwilę.

— Dobrze, Wiktorze Pietrowiczu. Porozmawiam z Włodzimierzem. Ale teraz to już naprawdę muszę was pożegnać...

ROZDZIAŁ VII

w którym baśń staje się rzeczywistością

Od najdawniejszych czasów człowiek marzył o tym, by polecieć na inne planety. Wyrazem tych marzeń jest stara, powstała pod lazurowym niebem helleńskim legenda o Ikarze, który wzniósł się jakoby ku słońcu na skrzydłach zrobionych z ptasich piór sklejonych woskiem. Zresztą i wśród nas nie ma chyba nikogo, kto by nie przemierzał w myśli dalekich przestrzeni międzygwiazdnych. Kiedy zaś legenda zaczęła stawać się rzeczywistością, idea lotu na Księżyc i na planety opanowała miliony ludzi.

Decyzję rządu dotyczącą organizacji wyprawy na Wenus, decyzję, która wywołała w całym świecie niezwykle poruszenie, ludzie radzieccy przyjęli z olbrzymim entuzjazmem. Budowa statku kosmicznego stała się sprawą ogólnonarodową. Wszyscy uważali, że powinnością i honorowym obowiązkiem każdego obywatela jest okazanie pomocy w budowie gigantycznej rakiety. Opracowaniem poszczególnych problemów zajęło się około pięćdziesięciu instytutów naukowych. Ponad dziesięć biur projektowych dniem i nocą pracowało nad rysunkami i konstrukcją statku. Setki laboratoriów projektowały najprzeróżniejsze przyrządy nawigacyjne. Zamówienia komitetu budwy pojazdu międzyplanetarnego wykonywało ponad dwieście fabryk.

Równocześnie z rozpoczęciem robót związanych z budową rakiety przyszli astronauta zaczęli regularnie zbierać się w mieszkaniu Jachontowa. Tu tworzył się sztab generalny ekspedycji.

Tego wieczora gospodarz przytulnego mieszkania na Wielkiej Kałuskiej zabawiał gdzieś dłużej na mieście. Zaczęli schodzić się już przyjaciele, a on się jakoś nie zjawiał. Szapowałow i Kraśnicki oczekiwali go w gabinecie. Chemik siedział na otomanie, astronom zaś w wygodnym fotelu przy stole.

— Wprost nie poznaję Wiktora Pietrowicza — mówiła Nadieżda Pawłowna. — Kiedyś było nie do pomyślenia, ażeby spóźnił się choć o minutę. Był nadzwyczaj punktualny. Nigdy nie musiałam mu przypominać, że zbliża się ustalony czas. Według Wiktora Pietrowicza można było regulować zegary. A teraz... sami widzicie. Umówił się na piątą, tymczasem jest już siódma, a jego jak nie ma, tak nie ma.

Jak zwykle najbardziej rozmowny był Szapowałow.

— Mówią, że uczeni to ludzie pracujący najchętniej w swych zacisznych gabineciech — grzmiał głos astronoma. — Nic podobnego! Niedawno siedzę w obserwatorium, nagle dzwonek. Podnoszę słuchawkę. Na ekranie Wiktor Pietrowicz. Kapelusz zsunięty do tyłu, palto zapięte na jeden guzik, krawat przekrzywiony. Pytam się, o co chodzi. Odpowiada, że jest w fabryce. W jakiej fabryce? Odbiera aparaty tlenowe. Należy przecież sprawdzić. W nich trzeba będzie przebywać i pracować. Żąda, abym natychmiast przyjechał. Podaje adres. „Sam sprawdziłem — mówi — ale ja jestem szczupły, a wy najteższy. Jeżeli wytrzymacie dwie godziny w czymś takim, znaczy, że wszystko jest w porządku”.

— Pojechaliście? — spytała Nadieżda Pawłowna.

— Cóż miałem robić? Pojechałem. Przyjeżdżam więc do fabryki. Wciągają na mnie jakieś gumowe odzienie, coś w rodzaju kombinezonu, następnie zapinają

klapy. Na głowę wkładają przezroczysty hełm, na plecy tornister z aparatem tlenowym i każą chodzić.

Rozległ się śmiech Nadieżdy Pawłowny.

— Wesoło wam, ale mnie nie było wtedy do śmiechu. Zmuszali mnie bowiem do biegu, a nawet do pchania taczek z ciężarem.

— No i co?

— Nic. Po prostu zapadła decyzja. „Jeżeli wy — powiedział Wiktor Pietrowicz — mając taką tuszę, potraficie w tym stroju pracować, to oznacza, że inni potrafią tym lepiej... Przyjmuję obstalunek!” Podał rękę i wyszedł.

Nadieżda Pawłowna znów się roześmiała.

— Ubranie, o którym mówiliście, ja zaprojektowałem — wtrącił Kraśnicki.

Bardzo wam dziękuję!

— Nie ma za co.

— Drzę na myśl, co mnie jeszcze czeka w przyszłości — chmurzył się astronom.

— Nic szczególnego — uspokoił go Kraśnicki. — Chyba tylko to, że trzeba będzie побыć trochę w kraterze wulkanu.

— Co powiedzieliście? W jakim znowu wulkanie?

- To nowy pomysł Iwana Płatonowicza — wtrąciła Nadieżda Pawłowna.

Kraśnicki w milczeniu skinął potwierdzająco głową.

— Ależ proszę mi wytłumaczyć; do jakiego krateru trzeba złązić? — dopominał się Szapowałow.

— Należy znaleźć na Ziemi takie miejsce — zaczął objaśniać Kraśnicki — które by przypominało w pewnym sensie Wenus. To znaczy pod względem temperatury, składu atmosfery itp. Ażeby tam był amoniak i wszelkie inne poskudztwa. Musimy tam spędzić jakiś czas. Myślę, że najodpowiedniejsze miejsce to Sopka Kluczewska na Kamczatce.

— Tego tylko brakowało — irytował się astronom.

— To jeszcze nie wszystko — roześmiała się Nadieżda Pawłowna. — Czekają was jeszcze bardziej nieprzyjemne przeżycia. Wiktor Pietrowicz interesuje się obecnie zagadnieniem żywienia podczas lotu. Jest to problem niezwykle ważny. Chodzi bowiem o to, by znaleźć takie produkty, które odznaczają się małym ciężarem, zachowując równocześnie wysoką kaloryczność. Sprawą tą zajął się już Instytut Fizjologii. Szuka on nowych sposobów żywienia.

— Jeśli te nowe sposoby wymyślił nasz drogi Iwan Płatonowicz, to oczekuje nas bardzo smutny żywot.

— Głupstwo! — mruknął Kraśnicki. — Po prostu chcemy uwolnić człowieka od trawienia pokarmów. Trzeba dlatego wynaleźć takie substancje odżywcze, które organizm będzie wchłaniał całkowicie i bezpośrednio.

— Nadieżdo Pawłowna! — wrzasnął astronom. — Proszę zabrać ode mnie tego człowieka! On gotów nas pozbawić wszystkich radości istnienia!

— Należy jeść, ażeby żyć, a nie żyć, ażeby jeść — przypomniał Kraśnicki.

— Wiem, wiem! To Cicerone!... A sam, zdaje się, potrawki ze słowiczych języczków zajadał.

— To nie on...

— Wszystko jedno. Mam nadzieję, Iwanie Płatonowiczu, że joić już więcej nie wymyślicie?

— To chyba już wszystko.

— Niezupełnie — poprawiła chemika Nadieżda Pawłowna. — Wiktor Pietrowicz chce, idąc za radą Iwana Płatonowicza, stworzyć model rakiety, by spędzić w niej pewien czas, odżywiać się tymi samymi produktami, co w podróży, oraz nosić, oczywiście, gumowe ubrania.

— Trzeba odbyć pewien trening — dorzucił Kraśnicki.

— Istotnie! Próby, które przygotowują dla nas przyjaciele, są niezwykle trudne — melancholijnie zauważył astronom. — Proszę mi powiedzieć, czy prócz tego, cośmy słyszeli, już nic nam więcej nie grozi?

— Owszem, grozi — odpowiedział poważnie Kraśnicki. — Jeżeli nie znajdziemy odpowiedniego paliwa, ekspedycja w ogóle nie dojdzie do skutku.

— Co? — ożywił się Szapowałow, któremu nie bardzo chciało się lecieć gdzieś w niezmierną przestrzeń międzygwiazdową.

— Tak! — odpowiedział krótko Kraśnicki.

Sposób wyrażania myśli właściwy Iwanowi Pła-

tonowiczowi był szeroko znany. Dlatego też Szapowałow nie obraził się z powodu lakoniczności i kategoryczności oświadczenia chemika. Ponadto wiedział, że chcąc się czegoś od niego dowiedzieć, trzeba stosować metodę pytań.

— Mówią, że dotychczas nie odeszliście nawet na krok od poczciwej starej nafty? — zapytał. — Wydaje mi się, że powinniście poszukać czegoś lepszego!

— Szukamy.

— No i co?

— Próbowaliśmy z hydrazyną i trójfluorkiem chloru. Niestety, za małą kaloryczność.

— Należy więc znaleźć coś innego.

— Wzięliśmy wodór i fluor. Lepiej, ale jeszcze źle.

Powiedziawszy to, Kraśnicki umilkł, będąc pewny, że odpowiedział w sposób wyczerpujący.

— Proszę mi wobec tego powiedzieć, czy jest w ogóle nadzieja, że wasze poszukiwania uwieńczy sukces? — dopytywał astronom. — Być może, niepotrzebnie się denerwuję?

— Jest. Borany i fluor.

Krótką odpowiedź Iwana Płatonowicza miała głęboki sens.

Uwagę uczonych w ostatnich czasach coraz więcej ściągają na siebie dwa pierwiastki, którym nie przypisywano przedtem większego znaczenia. Były nim bor i krzem. Mają one, jeśli chodzi o własności chemiczne, wiele wspólnych cech

z węglem. O ile jednak niezliczone połączenia węgla z wodorem, tlenem, azotem i niektórymi innymi pierwiastkami tworzą całą różnorodność świata roślinnego i zwierzęcego, o tyle istniejące w przyrodzie połączenia boru i krzemu są bardzo nieliczne. Uczni przeto postanowili sztucznie stworzyć to, czego nie zrobiła natura. Przewidywali, że substancje te posiadać będą wyjątkowo korzystne właściwości. I trzeba przyznać, że nie pomylili się. Uzyskano szereg połączeń boru z wodorem, tak zwane borany, o których wspomniał właśnie Kraśnicki. Udało się również otrzymać związki krzemu. Były to silany i silikony.

Wiele z nowo odkrytych substancji posiadało cechy doskonałych paliw, odznaczających się bardzo wysoką kalorycznością. Jeżeli słynne węglowodory, pochodzące z ropy naftowej, dawały przy połączeniu z tlenem prędkość wypływu strumienia gazowego wynoszącą 2,5 kilometra na sekundę, to w przypadku borowodorów prędkość ta była znacznie wyższa. Gdyby Kraśnicki był człowiekiem bardziej rozmownym, to na pewno zakomunikowałby, że w czasie doświadczeń w zakresie połączeń borowodorów z tlenem, przeprowadzonych w Instytucie, gdzie był kierownikiem laboratorium paliw płynnych, uzyskano prędkość wypływu gazów rzędu 4 kilometrów na sekundę. Jeszcze lepsze wyniki obiecywały połączenia borowodorów z fluorem. Na tej drodze osiągnięto olbrzymie ilości energii i szybkość około 4,5 kilometra na sekundę. Oto co kryło się za odpowiedzią Kraśnickiego.

—w Reakcje z fluorem są nadzwyczaj interesujące, lecz przebiegają jak dotychczas zbyt gwałtownie — myślał głośno Kraśnicki. — Może nastąpić wybuch i wtedy na Wenus wylądują tylko trupy...

— Wasze pigułki dadzą taki sam wynik — rzucił astronom.

— Badamy wodór — kontynuował Kraśnicki nie zwracając uwagi na odezwanie się Szapowałowa. — Kaloryczność nadzwyczajna...

Nagle uczony umilkł, gdyż usłyszał szybkie kroki.

— Przyjechał! — powiedziała nasłuchując Nadeжда Pawłowna. — Wiktor Pietrowicz przyjechał!

Akademik po przywitaniu się z gośćmi zaczął chodzić po pokoju i żywo gestykulując opowiadał:

— Byłem w fabrykach Tichwińskiego Kombinatu Aluminium. Przystąpiono tam do produkcji nowego stopu „KP-17”. Podstawą jego jest tytan. Nadzwyczajny materiał. Olbrzymi sukces metalurgów. Wyobrażacie sobie zapewne, jak trudne mieli zadanie do wykonania. Materiał przeznaczony na kadłub rakiety musi mieć ciężar właściwy nie większy niż 2,2 przy równoczesnym zachowaniu wytrzymałości wynoszącej nie mniej niż 75 kilogramów na milimetr kwadratowy. Rozumiecie, co to znaczy? Przy lekkości właściwej magnezowi stop, o którym mówię, musi posiadać wytrzymałość stali specjalnej. Prócz tego powinien być odporny na działanie zarówno wysokiej temperatury w czasie startu i lądowania, jak też niskiej, gdy znajdzie się w zimnej przestrzeni kosmosu. Zupełnie więc sprzeczne wymagania! Lecz proszę sobie wyobrazić: stop „KP-17” prześciga nawet nasze życzenia.

— Więc sprawa materiału na kadłub rakiety rozstrzygnięta? — zapytał Kraśnicki.

— W zupełności! Już nawet rozpoczęto budowę rakiety. Zadanie to powierzono Niżnie-Tagiłskiemu Kombinatowi Ciężkiego Przemysłu Maszynowego.

Tam właśnie byłem wczoraj. Cudowny widok! Wprawdzie jestem tylko paleontologiem, ale tu nie potrzeba jakiejś specjalnej wiedzy. Przyglądałem się w poszczególnych oddziałach, jak odbywa się produkcja. Można doprawdy zaniemówić z wrażenia. Wszystkie procesy zautomatyzowane. Rozżarzone bloki nowego stopu wtaczają się pod walce i wychodzą z nich jako gotowe arkusze o żądanym profilu, grubości i kształcie. Po prostu cudowne! Dalej arkusze te dostają się pod prasy. Gigantyczne sztance formują z nich zarysy poszczególnych części przyszłej rakiety, które następnie podchwytuje transporter i przenosi do oddziału mechanicznego. Ludzi tam prawie nie widać, siedzą przy pulpitych sterowania. Z boku wydaje się, jak gdyby maszyny wszystko wykonywały same. Poszczególne części przechodzą automatycznie z obrabiarki na obrabiarkę... Cóż to za obrabiarki! Same toczą, wiercą, frezują. I oto, gdy operacja ukończona, dźwig chwytą gotową część i ostrożnie przenosi ją wprost na platformę kolejową...

— Gdzie odbędzie się montaż?

— Wydano polecenie, ażeby jednocześnie budować nie jedną, lecz trzy rakiety. Ich montaż odbędzie się w pustynnych rejonach Kazachstanu. Jedna z rakiet będzie rakieta doświadczalną. Należy bowiem nauczyć się startu, odrywania rakiety od Ziemi, od jej powierzchni. Rakiety o wielkim tonażu! W przeciwnym razie ekspedycja napotka olbrzymie trudności przy starcie z Wenus. Do wprowadzenia tych prób wybrano teren najmniej zamieszkanym. Druga rakietą rezerwową, na wypadek niepowodzenia. Ją również przeznaczono do treningów. W tym czasie kiedy piloci będą ćwiczyli loty, to jest gdy będą startować na rakiecie ćwiczebnej, przelatywać na stację pozaziemską i, być może, wokół Księ-

życa, my znajdziemy się w innej, ustawionej na Ziemi rakiecie, lecz w takich samych warunkach, jakie panować będą w czasie lotu.

— Myśl drogiego Iwana Płatonowicza zaczyna się już realizować — burknął astronom.

— Rakieta, na której polecimy — ciągnął Jachontow — zmontowana będzie bezpośrednio na miejscu startu. Jak dotychczas wszystko idzie dobrze. Jednakże jeszcze sporo czeka nas kłopotów... Ile ich nastęczy sama tylko elektronika!

— To bardzo dobrze — wtrącił Kraśnicki — że postanowiono montować rakiety w Kazachstanie. Znajdują się tam bowiem tak wielkie baseny wodne, jak Morze Aralskie i jezioro Bałchasz.

— A co z Sopką Kluczewską? — zainteresował się Szapowałow.

— No cóż! Trzeba będzie również pomieszkać trochę na Kamczatce — odpowiedział Wiktor Pietrowicz.

Ożywiona rozmowa toczyła się nadal. W pewnej chwili jednak przerwał ją sygnał wideofonu. Gdy Nadieżda Pawłowna zdjęła słuchawkę, na ekranie pojawiła się twarz nieznanego człowieka w rogowych okularach. Równocześnie rozległ się jego głos:

— Dzwonię z redakcji „Ostatnich wiadomości”. Proszę przekazać akademikowi Jachontowowi naszą prośbę. Potrzebny jest komunikat, choćby jak najkrótszy, o przebiegu przygotowań do lotu na Wenus. Do redakcji napływają setki listów...

Wiktor Pietrewicz wziął słuchawkę.

— Oczekujemy od was, Wiktorze Pietrowiczu, artykułu. My... — brzmiał głos nieznajomego.

— W tej chwili nie mam absolutnie czasu. Jeżeli chcecie się czegoś dowiedzieć, proszę stawiać pytania albo zadzwońcie jutro do mojej sekretarki, Nadieždy Pawłowny. O dziesiątej rano.

— Doskonale. Jutro przyślemy naszego współpracownika.

Profesor odłożył słuchawkę.

— I tak każdego dnia — powiedział. — Żądają komunikatów, artykułów. Prawdę mówiąc, tylko przeszkadzają w pracy. Ale co robić? Rozumiem ich doskonale. Ekspedycja wywołuje olbrzymie zainteresowanie w kraju, w całym świecie... Nazwisko wasze, Michale Andrejewiczu, wymieniają chyba wszystkie zagraniczne pisma. Widzieliście?

Szapowałow rozpromienił się. Rozmowa tymczasem powróciła do przerwanego tematu. Wszyscy zgodzili się z tym, że trening przed wyprawą jest rzeczą nieodzowną.

— Szkoda, że nie ma Mikołaja Aleksandrowicza — zauważył w pewnej chwili astronom. Ciekawe, co robią teraz na stacji kosmicznej.

— Kto powiedział, że mnie nie ma? — rozległ się bas z salonu, do którego były otwarte drzwi. — Jeżeli wyznaczono konferencję, na którą zaproszono Sandomirskiego, bądźcie pewni, że zjawi się na miejscu. Spóźniłem się trochę, ale za daleko od was mieszkam.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Razem z Sandomirskim przyszedł Odincow. Czas zrobił swoje. Mikołaj Aleksandrowicz przekonał się wreszcie, że lot na Wenus jest możliwy, i całkowicie wszedł już w rolę przyszłego kapitana statku kosmicznego. On i Włodzimierz stali się obecnie nierozłącznymi przyjaciółmi. Młodego pilota wciągnięto również do prac organizacyjnych.

— Przepraszam za spóźnienie — mówił Sandomirski witając się z obecnymi. — Mnóstwo najprzeróżniejszych spraw!...

Ze wszystkich stron posypały się pytania.

— Robota wre — odpowiedział Mikołaj Aleksandrowicz. — Obecnie odbywa się montaż zbiorników na paliwo. Czy wyobrażacie sobie, jakie olbrzymie jego ilości należy zgromadzić tam, na górze, aby zatankować rakietę? To sprawa bardzo skomplikowana. Ileż trudu kosztowało samo dostarczenie materiałów potrzebnych do budowy pojemników! Ładunki nadchodzą codziennie. Już od trzech dni trwają prace montażowe. Ludzi u nas kupa. Wszystkich trzeba jakoś ulokować, przeinstruować i oswoić z naszymi warunkami życia. To nie żarty — w tej chwili, nie licząc uczonych, znajduje się na stacji do stu robotników.

Sandomirski mówił o pozaziemskiej stacji kosmicznej w taki sposób, jak gdyby rzecz dotyczyła najzwyczajszej fabryki.

— A wy czym się w tej chwili zajmujecie? — Jachontow zwrócił się do Odincowa.

— Trenuję loty lub pracuję na dole z konstruktorami.

— Odincow jest zbyt skromny — odezwał się Sandomirski. — Ma przecież znaczny udział w zaprojektowaniu rakiety. Ogólny kształt statku, płaty umożliwiające lądowanie — wszystko to wykonano według jego szkiców... Model wytrzyma wszelkie próby.

— Mimo to niepokoję się. I trwać to będzie dopóty, dopóki nie znajdziemy się w rakiecie, dopóki nie wystartujemy — Odincow uśmiechnął się nieco zmieszany. W tym uczonym gronie czuł się trochę skrępowany.

— Dopóki nie wystartujemy! Lecz czy wy obaj zdołacie podołać pilotowaniu tak olbrzymiej rakiety? Przecież więcej niż dwóch pilotów nie możemy zabrać.

— Podołamy. Pomoże nam w tym elektronika.

— A jak czuje się wasza żona? — zapytał Włodzimierza astronom.

— Zmęczona. Pracuje od rana do nocy. Ostatni rok w Instytucie. Poza tym ucześnie na wykłady z medycyny...

I znów rozmowę przerwał sygnał wideofonu, tym razem z Akademii Nauk. Wiktora Pietrowicza zapraszano na jutrzejsze posiedzenie prezydium.

Tymczasem w stołowym nakryto do kolacji i dalsza rozmowa potoczyła się już przy herbacie.

ROZDZIAŁ VIII

w którym rakieta kosmiczna ulatuje w przestrzeń międzyplanetarną

Minęły trzy lata. Ukończono wszystkie prace przygotowawcze związane z lotem rakiety na Wenus. Miejsce startu wybrano w najmniej zaludnionym zakątku Kraju Rad.

Między Morzem Kaspijskim a Jeziorem Aralskim rozciąga się pustynny płaskowyż — Ustiurt — bezwodna, gliniasta równina z solniskami, porośnięta gdzieś w wątlami krzakami piołunu. Latem panują tu niezwykle upały, zimą zaś mrozy, od których pęka ziemia. Śnieg w tej okolicy prawie nigdy nie pada.

Teren począwszy od Morza Kaspijskiego wznosi się łagodnie, prawie niedostrzegalnie, po czym opada stromo nad brzegiem Jeziora Aralskiego. Pionowa, gliniasta ściana urwiska osiąga tu przeciętną wysokość 150 metrów, w niektórych zaś miejscach 300 metrów. Na mapach ten olbrzymi zwal nazywa się „Wschodnim Czinkiem Ustiurtu” (uskokiem). Pod nim, daleko w dole, rozpościera się turkusowa powierzchnia morza, którego przeciwległy brzeg ginie gdzieś w białawej mgle.

Tysiące lat na przestrzeniach Ustiurtu hulały dzikie, gorące wiatry wschodnie, które nadciągając zza morza, niosły głód i spustoszenie na urodzajne ziemie Północnego Kaukazu, Stawropolszczyzny i Powołża. Tysiące lat drzemała tu

przez nikogo nie tknięta jałowa ziemia. Lecz oto przyszedł człowiek i wszystko uległo zmianie. W połowie bieżącego stulecia przeciągnięto linie kolejowe od Koszagiłu w Tachia-Tasz do niziny Amu-darii. Gdy zaś w pustynnych północno-zachodnich rejonach Karakałpackiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej u przylądka Aktumsyk wybrano miejsce startu rakiety, zawrzało tu nowe życie. .

W tym surowym kraju, położonym daleko od miast i osiedli, pozbawionym wszelkich zapasów paliwa i innych źródeł energii, wyrosły głęboko osadzone w ziemi mury wielkiej elektrowni atomowej. Od Guriewa wybiegła daleko w pustynię nowa autostrada. Na wschód ruszyły potężne maszyny.

Bitwę przyrodzie wydała najbardziej współczesna technika. Żelaznymi szynami pomknęły wspaniałe elektrowozy, przewożące ładunki tam, gdzie dawniej ukazywały się tylko karawany zmęczonych wielbłądów.

Na równinie Ustiurtu wyrosło nowe miasto z powstającymi wciąż nowymi zakładami przemysłowymi. Z inderskich pokładów boru szły długie transporty rudy, z której otrzymywano właśnie owe ciemnobrązowe borowodory, stanowiące niewyczerpane zasoby energii chemicznej. Tuż za pociągami z rudą toczyły się długie składy srebrzystych cystern z czerwonymi napisami ostrzegawczymi: „Truczna-fluor!” Na jałowej, gliniastej płaszczyźnie wysoko nad poziomem morza człowiek dźwignął wspaniałą budowlę ze stali i betonu.

Wzdłuż żelbetowych fundamentów zataczających regularne koło o średnicy stu metrów, przetoczono na stalowych wózkach ażurowe wieże- -anteny potężnych radiostacji. Przeznaczono je do utrzymywania stałej łączności ze statkiem międzyplanetarnym na odległość dwustu pięćdziesięciu milionów kilometrów. Stąd zamierzano prowadzić rozmowy z załogą statku, śledzić wyniki przyrządów

rejestrujących, zainstalowanych na pokładzie rakiety, oraz w razie konieczności kierować jej lotem. Stąd też wybiegała na południowy wschód prosta jak strzała, pięciokilometrowej długości żelbetowa estakada, kończąca się nad brzegiem morza, tuż nad urwiskiem osiagającym w tym miejscu wysokość 256 metrów. Wznosząc się ponad 100 metrów nad ziemią, przekraczała czterema betonowymi filarami ciągnącą się tu autostradę.

Start statku kosmicznego powinien zgodnie z od dawna opracowanym projektem odbyć się w następujący sposób.

Wzdłuż estakady posuwać się miała bardzo silnie skonstruowana platforma kulistego pociągu elektrycznego, nadająca leżącej na niej wielocłonowej rakiecie kosmicznej prędkość około 300 kilometrów na godzinę. W pewnym miejscu platforma powinna gwałtownie zahamować, a spoczywająca na niej rakietka unieść się wskutek działania prawa bezwładności na wysokość około 400 metrów. W momencie oderwania się od platformy działać zaczyna włączony automatycznie silnik odrzutowy olbrzymiej rakiety-matki, pchający ją do przodu z przyspieszeniem około 40 metrów na sekundę. W ten sposób rakietka wznosiła się nad Morzem Aralskim, osiagając prędkość 6,5 kilometrów na sekundę. Następnie w odpowiedniej chwili działać zaczynał silnik głównego członu — rakiety, w której znajdowali się pasażerowie. Człon ten odrywał się od części pomocniczej, owej rakiety-matki, która po spełnieniu swego zadania powinna była spaść gdzieś w pustynnej strefie Kazachstanu. Po oddzieleniu się od matki rakietka kosmiczna skierować się miała na sztucznego satelitę, ażeby tam zatankować paliwo potrzebne na czas trwania podróży.

Dzięki takiej metodzie startu unikano wielu trudności technicznych, ponieważ największą i najważniejszą część ładunku — paliwo potrzebne na pokonanie drogi na Wenus i z powrotem — otrzymywano nie na powierzchni Ziemi, lecz z magazynów znajdujących się na Kosmolocie.

Wspomnieć warto, że przed odlotem statku kosmicznego z pasażerami i niezbędnym ładunkiem, z tej samej estakady startowała niejednokrotnie rakietą ćwiczebna, sterowana początkowo zdalnie za pomocą radia, później zaś pilotowana przez człowieka.

*

Nadszedł wreszcie ów znamienny dzień, w którym nastąpić miał odlot ekspedycji na Wenus. Plac, gdzie ustawiono raketę, przybrał świąteczny wygląd. Na słupach estakady, na stalowych wiązaniach hangarów, na wszystkich filarach i ścianach wywieszono czerwone flagi, transparenty z pozdrowieniami i życzeniami oraz portrety uczestników dalekiej wyprawy.

Około dwóch tysięcy szczęśliwców, którzy otrzymali zaproszenia na uroczystość, rozlokowało się na pięciu galeriach wewnątrz hangaru. Znacznie

więcej widzów zebrało się pod gołym niebem, na dachach domów, na wiązaniach konstrukcji budowlanych i wszędzie tam, skąd można było cokolwiek zobaczyć.

Na miejsce startu radzieckiego statku kosmicznego przybyli liczni goście zagraniczni, dziennikarze, fotoreporterzy oraz operatorzy filmowi ze swym skomplikowanym sprzętem. Już od dwóch dni przebiegali wesołe ulice nowego miasta, zwiedzali fabryki, trzaskali aparatami, fotografowali ze wszystkich stron ra-

diostację. Do ich dyspozycji przygotowano zawczasu sto kabin radiofonicznych, zapewniających korespondentom łączność z redakcjami ich pism.

Dzienniki radzieckie wyjaśniały co prawda szczegółowo zadania naukowe ekspedycji, lecz stosunkowo mało omawiały detale konstrukcyjne rakiety. Dlatego też korespondentów zagranicznych uderzył zewnętrzny wygląd gigantycznego statku kosmicznego.

Wielostopniowa rakiet kosmiczna, gotowa do lotu, znajdowała się w olbrzymim hangarze, spoczywając na silnej podstawie betonowej, połączonej z pochylnią wzlotową, a raczej — autostradą, na której nastąpić miał rozbieg statku. Widzowi nie obeznanemu wszystko to wydać się mogło zadziwiające i niespotykane. Na przykład kulisty pociąg elektryczny. Był on podobny do olbrzymiego, szerokiego, lecz dość niskiego stalowego żółwia, w którego kadłubie znajdowały się dwie niewidoczne, sześciometrowe ścięte kule, zastępujące koła. Obserwując z boku ten dziwny pojazd, nietrudno było pojąć, w jaki sposób może się podobna machina poruszać.

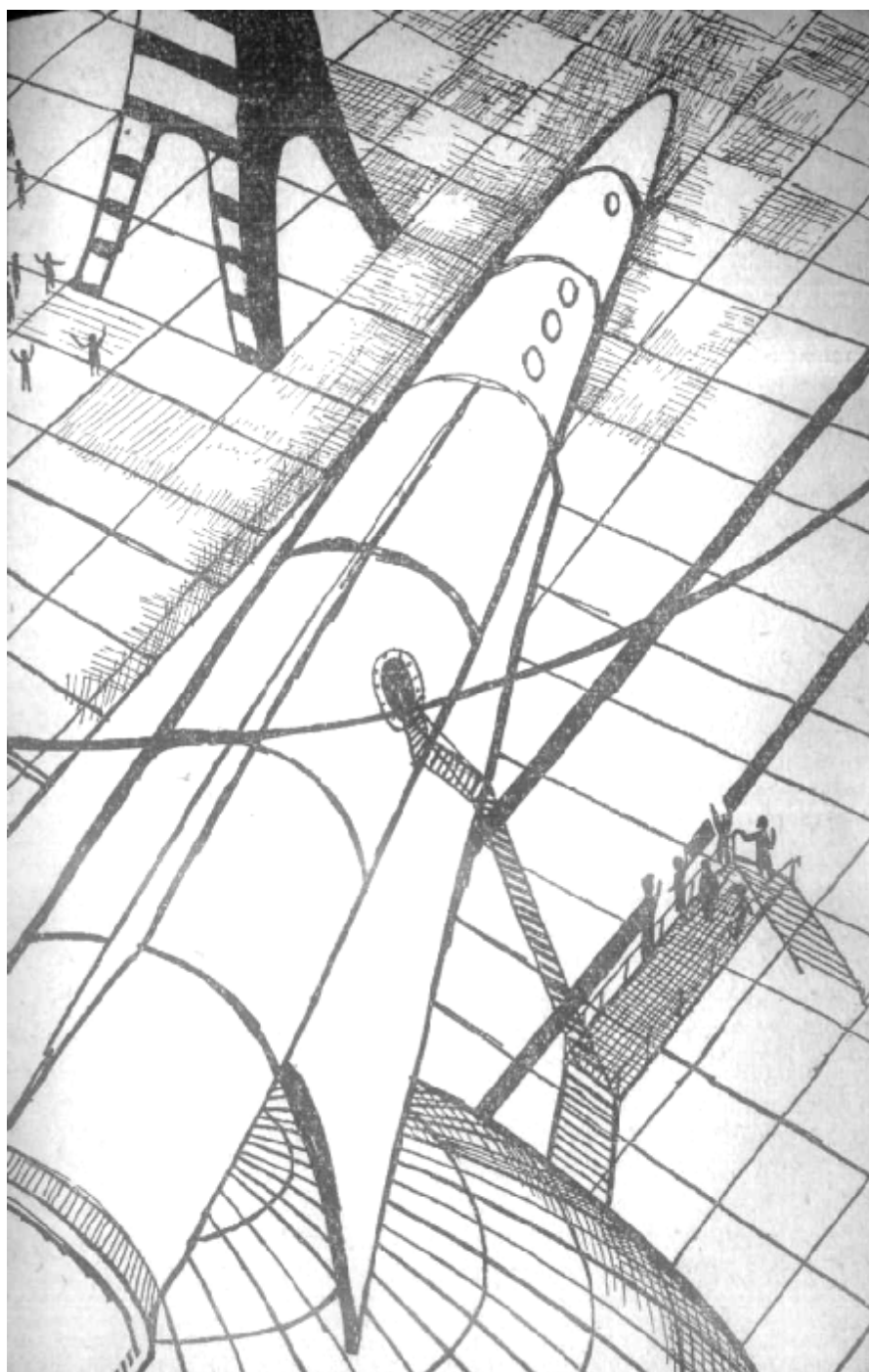
Na żółwiu tym spoczywała olbrzymich rozmiarów rakiet-matka. Przypominała ona bardzo długie, lecz niezbyt grube stalowe cygaro. Średnica jej wynosiła 20 metrów, to jest równała się wysokości pięciopiętrowego domu, podczas gdy długość rakiety była dziesięciokrotnie większa.

W części rufowej rakiety widać było cztery płaszczyzny stabilizatorów, a między nimi pięć okrągłych otworów. Były to dysze, przez które po włączeniu silników wypływały strugi rozżarzonych gazów. Cyklopiczny kadłub rakiety pokrywała jaskrawoczerwona emalia, umożliwiającą obserwowanie statku z bardzo dalekich odległości. Ten gigantyczny okręt transplanetarny był dziełem zadziwia-

jącym zarówno swą wielkością, jak też złożonością budowy. Nigdy jeszcze nie udało się stworzyć konstrukcji tak imponującej i tak zarazem pięknej.

W przedniej części rakiety-matki, jak pocisk w łusce naboju, mieściła się srebrzysta i, wydawało się, wyrywająca do przodu rakieta pasażerska. Podobna była do olbrzymiego, stępionego grotu. Od czoła przypominała zwykły samolot odrzutowy o skróconych płaszczyznach. Mniej więcej w jednej trzeciej odległości od głowicy wyrastały z korpusu krótkie, lekko uniesione, o małym profilu, lecz dostatecznie szerokie skrzydła. Swymi ostrymi końcami, odrzuconymi do tyłu, jak skrzydła jaskółki w chyżym locie, sięgały prawie na wysokość rufy.

Rakieta jakby ulatywała w przestrzeń. Nie przygniatała przy tym swym ogromem, gdyż wielkość jej nikła wobec rozmiarów hangaru i gigantycznej rakiety-matki.



Do odlotu ekspedycji pozostało zaledwie kilka godzin. Wokół rakiety zgromadzili się astronomowie, ich rodziny, dziennikarze, przedstawiciele partii i rządu.

Do Jachontowa zbliżyła się grupa korespondentów.

— Tak więc — zaczął jeden z nich — zbliża się czas odlotu.

— Jesteśmy gotowi — odpowiedział z prostotą uczoney.

— Czy nic nie macie do powiedzenia na pożegnanie? — zapytał inpy z zawnazszu przygotowanym notesem w ręku.

— Cóż mogę powiedzieć? Mamy nadzieję wykonać zadanie. Wątpię, czy istniała kiedykolwiek ekspedycja tak wyekwipowana, jak nasza. Nie jesteśmy osamotnieni. W podróż udaje się co prawda tylko sześcioro ludzi, lecz za nami stoi cała postępowa ludzkość.

— Czy przed startem macie jeszcze coś do załatwienia na Ziemi? — interesował się dziennikarz.

— Chyba tylko to, by pożegnać się z wami!

Korespondent miał taką minę, jak gdyby nie zrozumiał ironii zawartej w odpowiedzi uczonego.

— Obiecaliście pokazać rakietę — przypomniał. — Dziennikarze zagraniczni interesują się również...

Wiktor Pietrowicz miał w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie niż udzielanie wywiadów dziennikarzom. Mógłby im łatwo odmówić pod jakimkolwiek pretekstem. Ponieważ jednak lot na Wenus był sprawą publiczną, o znaczeniu międzyna rodowym, postanowił udzielić ptasie 'kilku informacji.

— Mogę — powiedział z uśmiechem — zaproponować tylko oględziny powierzchni. Tak na sto wierszy felietonu. Proszę!

Grupa dziennikarzy podążyła za kierownikiem wyprawy do trapu wejściowego.

— Proszę zanotować — objaśniał idąc — że na Wenus żyć będziemy w szczególnych warunkach. Dlatego też rakieta wyposażona jest we wszystkie udogodnienia umożliwiające przebywanie w środowisku, w którym człowiek nie może żyć bez maski tlenowej. Prócz tego zabieramy z sobą najprzeróżniejsze przyrządy, aparaty, dźwigi, instrumenty elektryczne, jednym słowem, to wszystko, co potrzebne będzie do pracy naukowej na powierzchni planety. Należy przewidzieć wszelkie trudności. Proszę dalej, jeśli was to interesuje.

— Naturalnie! Naturalnie! — rozległy się zewsząd głosy.

Goście weszli najpierw na skrzydło, stamtąd dostali się do wnętrza rakiety, wreszcie znaleźli się w salonie.

— Tu — objaśniał kierownik ekspedycji — jest nasza wspólna kajuta. Będziemy się w niej zbierać na narady, posiłki, tu będziemy słuchać radia. Jakiejś opery, koncertu. Mamy również łączność telewizyjną, lecz tylko ze sztucznym sputnikiem.

— Kuchnia! — zawołał jeden z dziennikarzy zaglądając przez półotwarte drzwi prowadzące do następnego pomieszczenia. — A gdzie kucharz?

— Gotować będziemy sami. Wszystkich uczestników wyprawy obowiązywać będą dyżury w kuchni. Zresztą nasze kulinaria nie wymagają specjalnych umiejętności. Zupę przygotowuje się z koncentratów, kotlety zaś z proszku mięsnego.

Za drzwiami, gdzie zajrzał dziennikarz, znajdowała się nieduża, błyszcząca czystością kuchnia, z płytą do przyrządzania potraw i szafami zastawionymi najprzeróżniejszymi, o dziwnym kształcie naczyniami.

— Całe gospodarstwo! — zauważył ktoś z obecnych.

— Tak. Oto kuchenka elektryczna. Fotoelementy półprzewodnikowe i jasne światło słoneczne dostarczą nam energii elektrycznej. Naczynia, jak widzicie, mają specjalny kształt. Rondle są ogrzewane nie z dołu, lecz ze wszystkich stron. Inaczej zupa się nie zagotuje. Patelnie muszą być zakryte. Wtedy nie uciekną z niej kotlety.

— Co znaczy: uciekną? — nie zrozumiał dziennikarz.

— To bardzo proste. W czasie lotu wszystkie przedmioty nie mają własnego ciężaru, ale para, powstająca przy gotowaniu, zachowuje swoją prężność. Wiadomo więc, co może się w takich warunkach stać. Rondle zaopatrzone są również w elektryczne mieszadła. Inaczej nie dałoby się w nich nic przygotować do jedzenia... A to są naczynia, do których nalewać będziemy płyny. Wszystkie mają odpowiednie urządzenia służące do wyciskania ciecży.

Gdy wszyscy obejrzelik dokładnie kuchnię i zaspokoili swoją ciekawość, Wiktor Pietrowicz poprowadził zwiedzających dalej.

— Każdy astronauta ma swoją kajutę, a tu jest właśnie moja.

Goście znaleźli się w pokoju o wymiarach dwa metry na trzy. Było tu wąskie łóżko, typu stosowanego zwykle na raketach kosmicznych, to jest z pasami do przymocowania wypoczywającej osoby. Obok stał stolik z lampą oraz fotel z pasami przytrzymującymi, zabezpieczającymi przed uniesieniem się i uderzeniem

głową o sufit. Do ściany przymocowana była szafka na książki i skromną garderobę. W rogu znajdowała się umywalka z urządzeniem pedałowym do pompowania wody na ręce i twarz.

Jeden z dziennikarzy pokiwał głową.

— Mycie się w rakiecie to sprawa dość skomplikowana — powiedział.

Zwiedzający ruszyli dalej.

— Zdziwiła zapewne panów — kontynuował objaśnienia Jachontow — długość rakiety, dziesięciokrotnie większa od średnicy. Jednakże bardzo dużo miejsca zajmują materiały pędne. Ich zbiorniki ciągną się na przestrzeni 60 metrów. Przez nie prowadzi korytarz do tylnej części rakiety, w której mieści się silnik.

— Ozy ten kolos jest dostatecznie mocny? — odezwał się z powątpiewaniem jeden z dziennikarzy zagranicznych. — Kadłub o tak olbrzymiej długości ma przecież nieznaczną grubość ścianek.

— Stop, z którego został wykonany, odznacza się niezwykle wytrzymałością — tłumaczył Jachontow. — Składnikiem podstawowym jest tu tytan, mocniejszy mimo swej lekkości od stali. Obudowa naszego statku jest wielowarstwowa. Szerokie zastosowanie znalazły w niej nowe rodzaje mas plastycznych oparte na związkach krzemu. Prócz tego rakieta osadzona została na szkielecie odznaczającym się szczególną wytrzymałością. Statek posiada również żebra usztywniające, dające pełną gwarancję bezpieczeństwa. Proszę także nie zapominać, iż rakieta po starcie ze sztucznego sputnika znajdzie się w sferze, w której utraci ciężar własny. Okoliczność ta sprawia, że znacznie obniżają się wymagania dotyczące

solidności konstrukcji. Gdy osiągniemy już powierzchnię Wenus, rakieta będzie kilka razy lżejsza.

Dziennikarz zagraniczny podziękował za wyjaśnienia i zaczął coś szybko zapisywać.

Goście tymczasem przeszli do kabiny nawigacyjnej, mieszczącej się w przedniej, stożkowej części rakiety. Zastali tu jakiegoś człowieka, który sprawdzał aparaty. Siedząc w fotelu pilota, obracał koło sterowe oraz włączał i wyłączał jakieś przyrządy. Na tarczach biegały naokoło strzałki wskaźników oraz zapalały się i gasły niebieskie i czerwone lampki.

— Mikołaju Aleksandrowiczu!... — zawołał akademik. — Mamy gości.

Sandomirski przywitał zwiedzających lekkim ukłonem.

— Proszę — powiedział.

— Jak pracuje aparatura? — padło pierwsze pytanie.

— Bez zarzutu! Rakieta wyposażona jest — rozpoczął wyjaśnienia — w autoregulatory oraz w inną aparaturę elektronową, wykonującą wszelkie zadania obliczeniowe oraz prace związane z pilotowaniem statku. Dopóki rakieta nie osiągnie prędkości kosmicznej, sterowanie statkiem od wewnątrz jest w ogóle niemożliwe. Będziemy wtedy leżeć w kamerach amortyzacyjnych, znosząc tam pięciokrotnie wyższe ciśnienie niż normalne.

W tym czasie człowieka zastąpią całkowicie automaty. Później, gdy zniknie przyspieszenie, pilot już w zupełności poradzi sobie z prowadzeniem rakiety. Będzie mu ona całkowicie posłuszna.

Po opuszczeniu kabiny nawigacyjnej wszyscy udali się korytarzem, aby zobaczyć silnik.

— Środkowa część statku przeznaczona jest do prac naukowych — objaśniał po drodze Sandomirski. — Ale lepiej niż ja opowie o tym Wiktor Pietrowicz.

Dziennikarze weszli do pierwszego z brzegu pomieszczenia. Było to laboratorium chemiczne. Mimo niewielkich rozmiarów pracowni udało się tu rozmieścić bardzo skomplikowane urządzenia i aparaturę. Iwan Płatonowicz Kraśnicki, jak zawsze małomówny, zaczął udzielać lakonicznych wyjaśnień.

— Aparatura do analizy próbek atmosfery... Waga analityczna... Przystosowana do pobierania prób...

— A cóż to takiego? — zainteresował się nagle przedstawiciel czasopisma „Młody Technik”.

— To nic osobliwego. Komplet wskaźników.

— Proszę dalej — zaproponował Jachontow. — Dla prasy nasz drogi Iwan Płatonowicz nie jest ciekawym obiektem.

Kraśnicki udał, że nie słyszy.

— To następne z kolei laboratorium — mówił Wiktor Pietrowicz — przeznaczone jest dla mojej specjalności. Tu znajduje się wszystko, czego potrzebuje geolog i biolog. Na przykład wspaniałe mikroskopy! Jest tu nawet specjalnej konstrukcji mikroskop elektronowy. Zbudował go dla nas Leningradzki Instytut Optyki. Powiększa trzysta tysięcy razy! Przyrząd ten pomoże nam poznać najskrytsze szczegóły procesu powstawania życia.

W laboratorium profesora Szapowałowa, który władał swobodnie trzema obcymi językami, goście podziwiali lunety astronomiczne, spośród których wyróżniał się krótki teleskop systemu Maksutowa. Tu znajdowały się również spektroskopy, przyrządy do badania promieni kosmicznych, aparatura filmowa oraz wiele innych wspaniałych urządzeń naukowo-badawczych.

Z kolei udano się do pomieszczeń, w których stały silniki.

— Ja mam również swoje własne gospodarstwo! — pochwalił się Sandomirski. — Piloci nie potrzebują wprawdzie laboratorium, ale nie mogą obejść się bez warsztatu remontowego. Proszę!

Goście zobaczyli dość obszerne pomieszczenie, w którym ustawiono kilka obrabiarek, mały piec kowalski i szereg innych urządzeń.

W dolnych pomieszczeniach rakiety znajdował się stratoplan z hermetyczną kabiną wyposażoną w dwa silniki — śmigłowy do lotów w atmosferze oraz odrzutowy do lotów stratosferycznych. Goście z zainteresowaniem obejrżeli również planeto- chód mieszczący sześciu ludzi, którzy mogli przebywać w nim przez okres dwóch tygodni w warunkach trującej atmosfery i wysokiej tempera-

tury otaczającego środowiska. Wielkie zaciekawienie wzbudziła również mała łódź podwodna, którą zwiedzający nazwali natychmiast „kieszonkową” .

W oddziale silników Sandomirski pokazał, skąd czerpie się energię nieodzowną do poruszania rakiety. W centralnej części hali goście zobaczyli trzy olbrzymie kule metalowe; były to właśnie komory spalania.

— Silne pompy — Sandomirski zaczął wyjaśniać zasady działania tego urządzenia — przetaczają rurami paliwo, to jest owe borowodory, których wytwarzanie kosztowało tyle trudu chemików radzieckich.

Posypały się pytania:

— Czy to paliwo jest płynne?

— Jaka jest jego gęstość?

— Prędkość strumienia?

— Istotnie jest to płyn ciężki i gęstszy od wody. Dostaje się on do komory, do której włacza się również płynny fluor. Należy go przechowywać pod wysokim ciśnieniem i w bardzo niskiej temperaturze, wynoszącej około 190° poniżej zera. Związek tych dwóch substancji wydziela olbrzymie ilości ciepła.

— A temperatura? — odezwało się natychmiast kilku gości żądających ścisłych wyjaśnień.

— Około 4000 stopni. Strumień lotnych produktów spalania wyrывa się z dyszy silnika z prędkością 4,5 kilometra na sekundę, wywołując bardzo silny odrzut. Równocześnie płynny fluor ochładza silnik. Inaczej bowiem komory spalania natychmiast uległyby przy tak wysokiej temperaturze stopieniu.

Sandomirski nie miał czasu na szczegółowe wyjaśnienia dotyczące zasad obsługi urządzeń odrzutowych znajdujących się na statku kosmicznym. Jest to bowiem zadanie bardzo skomplikowane i nadzwyczaj odpowiedzialne. Wystarczy bodaj minimalnie naruszyć proporcję obu składników mieszanki paliwowej lub cokolwiek odchylić się od obowiązującej temperatury, by natychmiast zmienić prędkość ruchu rakiety. Najmniejsza zaś nieprawidłowość w pracy mechanizmów silnika może przekreślić wszelkie wyliczenia, doprowadzić do stopienia komór spalania, a nawet eksplozji i zagłady statku. Dlatego też tak szczególnie skomplikowana sprawa, jaką jest kierowanie rakieta, została powierzona przyrządom automatycznym, reagującym w ciągu znikomej, milionowej części „sekundy na wszelkie odchylenia od ustalonego systemu pracy silnika i wprowadzającym konieczne korekty. Dziennikarze nie zdążyli zobaczyć wszystkiego, co kryło wewnątrz rakiety: licznych pomp, cylindrów, wentylatorów, zbiorników zawierających paliwo, o podwójnych ściankach komór, gdzie znajdował się fluor, wszelkich aparatów uniemożliwiających ucieczkę trujących gazów, przyrządów zabezpieczających oraz automatów służących do włączania i wyłączania silników. Należało bowiem przygotować się do startu. Twarze astronautów nagle spoważniały. Korespondenci zrozumieli, że zwiedzanie rakiety należy zakończyć.

Tymczasem w hangarze, w którym głosy ludzkie zlewały się w jeden potężny szum, wszystko było gotowe do odlotu. Za długim stołem, tuż koło "trybuny, przygotowano miejsca dla podróżników i ich rodzin. Siedziały tu żona i córka Jachon- towa oraz żona i dwaj synowie Szapowałowa w nowiutkich granatowych ubrankach marynarskich. Iwan Płatonowicz Kraśnicki był sam. Nikt go nie ze-

gnał. Sandomirskiego odprowadzała żona i stara, lecz jeszcze rześka matka, Odincowa zaś i jego młodą żonę — Ludmiła Mikołajewna.

Zabrział dzwonek. Szum głosów zaczął sto pniowo przycichać, przygotowywano się do wysłuchania przemówień pożegnalnych.

— Towarzysze!... — zwrócił się do obecnych, stojąc przy mikrofonie, Wasyl Sergiejewicz Zawgorodnyj, zastępca dyrektora Kosmolotu, kierujący odprawą ekspedycji. — Towarzysze! Zbliżyła się uroczysta chwila, o jakiej przez długie lata marzyli najgenialniejsi ludzie. Oto za moment wystartuje w daleką drogę statek kosmiczny, ażeby po raz pierwszy w., historii ludzkości nawiązać łączność z inną planetą...

Wybuchły spontaniczne oklaski.

— Towarzysze!... — podjął Zawgorodnyj. — Rakieta, która uleci zaraz w przestrzeń międzyplanetarną, zabierze na swym pokładzie dzielnych zwiadowców kosmosu. Lecz i wy wszyscy wnieśliście w to wielkie dzieło swój wkład. Rakietę, towarzysze, stworzyły wasze ręce. Z poczuciem należnej dumy żegnamy drogich naszemu sercu astronautów...

Zawgorodnyj mówił pięć minut. Po nim wszedł na trybunę tęgi, siwy człowiek w skromnym, czarnym garniturze. Był to wiceprzewodniczący Akademii Nauk ZSRR, uczony o światowej sławie.

— Przyjaciele! — zaczął, gdy ucichły oklaski. — Przyjaciele! Mniej więcej przed trzema laty rząd powziął decyzję zorganizowania ekspedycji naukowej na Wenus...

Jako doświadczony mówca, zrobił krótką przerwę, powiódł okiem po zebranych, po czym podjął na nowo:

— Jaki ma cel ta wyprawa? Dlaczego ją organizujemy? Czyżbyśmy nie mieli już nic do zrobienia tu, na Ziemi? Co nas zmusza do wyruszenia w przestrzeń kosmiczną?...

Z kolej uczony w krótkich słowach zaznajomił zebranych z zadaniami, jakie Akademia Nauk wyznaczyła uczestnikom wyprawy na Wenus, po czym przemówienie swoje zakończył w następujący sposób:

— Dla dalszego rozwoju nauki nie wystarcza już obecnie powierzchnia naszego globu, będącego dotychczas terenem jej badań i dociekań. Nastał więc czas, kiedy trzeba poszerzyć zakres doświadczeń naukowych, kiedy należy wyjść poza granice Ziemi, aby gruntowniej poznać tajemnice przyrody. Człowiek powinien zapoczątkować nową erę w historii — erę zdobywania kosmosu. Pierwszy krok w tym wielkim dziele, krok o wszechświatowym znaczeniu, mają uczynić uczestnicy ekspedycji. Szczęśliwej drogi, towarzysze!

Kiedy ucichły owacje, zebrani ujrzeni na trybunie Jachontowa. Hangar zatrzęsł się ponownie od oklasków. Uczony uniósł rękę. Zapadła cisza.

— W imieniu wszystkich uczestników ekspedycji — powiedział wzruszonym głosem Wiktor Pietrowicz — pragnę podziękować naszym droгим towarzyszom, robotnikom, technikom i inżynierom, którzy swą pracą pomogli pokonać wszelkie skomplikowane trudności, związane z technicznym wyposażeniem wyprawy! My, radzieccy uczeni i astronauty, przyrzekamy rzetelnie wykonać postawione przed nami zadania.

— No cóż, towarzysze! — odezwał się na zakończenie wzruszony Zawgorodnyj. — Komu w drogę, temu czas!

— Czas! — powtórzył uroczyście Jachontow.

Wszystko wokół umilkło. Zaczęły się serdeczne uściski i pocałunki. Żegnano pierwszych podróżników udających się w nieznaną przestrzeń wszechświata. Nic więc dziwnego, że pożegnanie to miało w sobie coś tragicznego. Żonę Sandomirskiego, skromną, szczupłą kobietę, wyniesiono z hangaru zemdloną. Na piersi syna zanosila się od płaczu Ludmiła Mikołajewna. Płakała również żona profesora Szapowałowa, tylko dwaj jego synkowie zazdrościli ojcu podróży w dalekie światy...

Uczestnicy ekspedycji zaczęli kolejno wchodzić po trapie i znikać we wnętrzu rakiety. Natasza, z dużym naręczem kwiatów w ręku, przesłała ostatni raz pożegnanie Ludmile Mikołajewnie. Tuż za nią ze zwykłą sobie lekkością wbiegł Włodzimierz. Sandomirski szedł poważnie, Kraśnicki zaś ostrożnie ze stopnia na stopień, jak gdyby krępując się swego utykania. Profesor Szapowałow rzucił pożegnalne spojrzenie żonie i dzieciom.

Ostatni wszedł Jachontow. Zatrzymał się przez chwilę w ciemnym otworze luku, wykonał pożegnalny ruch dłonią i znikł w głębi statku. Orkiestra przestała grać. Uroczystą ciszę przerwał metalowy zgrzyt zaworów. Zatrzasnęły się drzwi wjazdu. Między pozostającymi na Ziemi i odlatującymi w przestworza wytworzyła się cienka, lecz nieprzebyta, oddzielająca dwa światy przegroda. Pod wysokie stropy hangaru wzbiło się, przypominające szmer morza, westchnienie. Oczy obecnych utkwione były w olbrzymiej tarczy elektrycznego zegara. Wszyscy

znali dokładnie czas odlotu. Z chwilą gdy wskazówka zatrzymała się na ostatniej podziałce, w hangarze zapanowała absolutna cisza. Ludzie wstrzymali dech...

*

Start rozpoczął się bez najmniejszego szumu. Olbrzymi jaskrawoczerwony kadłub rakiety drgnął i nagle ruszył z miejsca, tocząc się w kierunku wyjścia z hangaru, tam gdzie świeciło oślepiające słońce i uciekała w dal betonowa estakada.

Z każdą sekundą ruch rakiety stawał się coraz szybszy. W pewnej chwili pędziła już z prędkością ekspresu. Dzięki jaskrawemu kadłubowi można ją było obserwować nawet z daleka, choć po pewnym czasie należało użyć lornetek.

Bieg rakiety po pochylni trwał około pięciu minut. Na szerokim ekranie telewizora ukazał się widok oddalonego końca estakady, dzięki czemu można było dokładnie śledzić ruch statku kosmicznego od fazy początkowej aż do momentu oderwania się od toru startowego. Oto rakieta znalazła się nagle w powietrzu nad niebieskimi wodami morza.

Cisza stała się w tej chwili szczególnie napięta. Serca biły jak młoty. Każdy ze świadków zgromadzonych w hangarze liczył się mimo woli z możliwością katastrofy. A nuż odmówi posłuszeństwa mechanizm zapłonu i rakieta runie w przepaść całą swą olbrzymią masą? Lecz nie! Na ekranie wybuchł oślepiający, jaskrawy płomień i obłok dymu przesłonił całkowicie obraz. Mechanizm pracował z wyjątkową dokładnością. W hangarze rozległo się westchnienie ulgi.

Minęło jeszcze pół minuty. Nagle do uszu obecnych dotarły z daleka dziwne, nie dające się wyrazić słowami dźwięki. Nie można ich było porównać z hukem

sailw armatnich ani też z wybuchem ciężkiej bomby. Przypominały raczej syczenie lub 156 gwizd, jednakże bardzo niski i o niesamowitej sile.

W pierwszej chwili dźwięk ten sprawiał po prostu ból fizyczny, wkrótce jednak osłabł i nagle rozplynał się w dali.

Rakieta odpłynęła w przestrzeń. Wydawało się, że już nic więcej wydarzyć się nie może. Nikt jednak nie ruszał się z miejsca. Wszyscy na coś czekali. Mimo to równy, spokojny głos spikera zabrzmiał nagle, niespodziewanie:

— Uwaga! Uwaga! Tu mówi radiostacja Kos- molotu. Ekspedycja m Wenus wyruszyła punktualnie w wyznaczonym terminie. Podajemy szczegóły. W tej chwili rakieta pędzi na południowy wschód i znajduje się już w stratosferze. Za kilka sekund człon, w którym znajdują się członkowie wyprawy, powinien odłączyć się od rakiety-matki i rozpocząć lot samodzielny. Proszę nie spuszczać oczu z ekranu telewizora! Proszę uważać na ekran telewizora! Nasze kamery skierowane są na ten punkt przestrzeni, przez który przelecieć ma rakieta.

Na ekranach telewizorów pojawił się obraz nieba widocznego poza granicami atmosfery. Było czarne, usiane gwiazdami. Wtem Obecni ujrzeli, jak wśród tej absolutnej czerni przemknęła błyszcząc rakieta. Gdzieś daleko zapalił się płomień, jaskrawszy od blasku słońca odbitego na ścianie statku. Wydawać się mogło, że gdzieś na niebie zapłonęła nowa gwiazda.

— Uwaga! Uwaga! — rozległ się znowu głos spikera. — Widzieliście wybuch. Oznacza to, że zaczęły pracować silniki rakiety pasażerskiej. Mechanizmy działają bez zarzutu. Obecnie statek kosmiczny, nabierając prędkości, pędzi coraz dalej w przestrzeń. Wzrasta jego przyśpieszenie, wskutek czego astronauci nie

mogą nadawać jakichkolwiek sygnałów. Zanim zostanie wyłączony silnik, upłynąć jeszcze musi około minuty. Wtedy statek kosmiczny lecieć zacznie siłą bezwładności. Astronaucci będą mogli wyjść wówczas z komór amortyzacyjnych. Za kilka minut przekażemy sygnały od samych uczestników wyprawy. Nie odchodzić od telewizorów!

W hangarze oczekiwano niecierpliwie dalszych komunikatów. Ekran na chwilę zgasł, lecz zapalił się na nowo i równocześnie rozległ się ten sam co poprzednio głos:

— Uwaga! Uwaga! Aby ułatwić obserwację rakiety, włączamy drugą grupę kamer.

Na ekranie pojawiła się znowu rakietka. Zapanowała chwila nieznośnego napięcia. Nie rozległ się bowiem żaden dźwięk! Minęła jeszcze jedna minuta i nic, tylko grobowa cisza!... Czas upływał... Błyszczący punkt, którym była rakietka, powiększony za pomocą silnych teleskopów, już znikł z ekranu. W odległym końcu hangaru rozległ się pełen trwogi okrzyk kobiety. I znów zapanowała cisza. Ludzie, zaciskając zęby, wpatrywali się w pusty ekran. Rakietka pomknęła w nieskończone przestrzenie kosmosu. Podróżnicy jednak nie przesyłali żadnych sygnałów. Człowiek wszakże ma już taką naturę, że nie traci nadziei nawet w najcięższych chwilach życia. Wszyscy więc czekali. I oto nagle dały się słyszeć dziwne, ledwie uchwytnie dźwięki. Napływały one gdzieś z bardzo daleka. Nikt z obecnych w hangarze nie potrafił zrozumieć ich sensu. Mimo to zaświtała nadzieja.

— Uwaga! Uwaga!...

Tym razem w głosie spikera wyczuć można było nutę tryumfu.

— Uwaga! Uwaga! Udało się nam otrzymać pierwszą wiadomość od naszych drogich towarzyszy. Wszyscy żyją. Na pokładzie statku kosmicznego wszystko płynie normalnie. Opóźnienie transmisji było spowodowane tym, że w czasie odłączania się statku od rakiety-matki nastąpiła przerwa w zasilaniu nadajnika prądem płynącym z baterii. Upłynąć więc musiało trochę czasu na przywrócenie łączności. W tej chwili rakietka przekroczyła już granicę atmosfery i mknie ze wzrastającą prędkością w przestrzeń.

ROZDZIAŁ IX

w którym jest mowa o pierwszych godzinach lotu w przestrzeniach kosmosu

Astronaucci wspięli się kolejno po trapie i weszli do salonu, którego część środkową zajmował okrągły stół. Naokoło niego ustawione były specjalnej konstrukcji krzesła, silnie przytwierdzone do podłogi. Czyjaś troskliwa ręka umieściła na stole wazon z jesiennymi różami. Ostatnie kwiaty Ziemi! Pod ścianami znajdowały się długie sofy zaopatrzone w zabezpieczające pasy, między oknami zaś szafy z naczyniami do posiłków. Na przedniej ścianie z prawej strony błękitniał ekran telewizora, obok niego zaś ekran kinowy. Kilka okien o rzadko spotykanym owalnym kształcie pozwalało obserwować wszystko, co działo się po Obustronach rakiety. Siedząc wygodnie w fotelach lub na sofach, można było w czasie lotu w przestrzeni międzyplanetarnej podziwiać odsłaniające się przed oczyma widoki, a później zachwycać się osobliwymi krajobrazami Wenus. Zaledwie podróżnicy znaleźli się na pokładzie statku, z przejmującym zgrzytem zatrzasnęły się metalowe drzwi luku wejściowego. Między sześciu astronautami a otaczającym światem powstała przegroda oddzielająca ich od otoczenia, od tego wszystkiego, co przed kilku minutami stanowiło ich życie. Podnieceni 160 podróżnicy porozumieli się wzrokiem. Zbliżał się moment, na który wszyscy czekali, którego wszyscy pragnęli i którego wszyscy w głębi duszy trochę się obawiali. Jeszcze bowiem chwila, a zaczną się nieznane, a wszelkie nieznane napawa obawą.

Początkowo astronauta byli nieco zakłopotani. Skupieni w małą gromadkę, nie wiedzieli, co z sobą w tych przedstartowych chwilach począć. Lecz nie trwało to długo. Upłynęło zaledwie kilka sekund i podróżnicy zrozumieli, że statek nie jest pozbawiony dowódcy. Był nim Sandomirski.

— Włożyć skafandry i hełmy! — zawołał rozkazująco, spoglądając na zegar. — Przygotować się do zejścia do komór amortyzacyjnych. Mamy jeszcze osiem minut czasu.

Pierwszy wdział skafander Jachontow. Ręce mu nieco drżały, jednakże wszystkie czynności wykonywał z nadzwyczajną dokładnością. Włożywszy hełm na głowę, opuścił się do komory wypełnionej specjalnym roztworem soli. Za nim, pod nadzorem Sandomirskiego, bez pośpiechu, ale nie tracąc czasu, zeszli pozostali astronauta. Zachowywali się w sposób wypróbowany już w czasie uprzednich treningów. Kajuta opustoszała. Zamknęły się metalowe wieka komór.

Ostatni pogрузił się w płynie amortyzującym kapitan statku. Przed zatrzaśnięciem pokrywy rozejrzał się jeszcze raz i przekonawszy się, że wszystko w porządku, zamknął luk i opuścił się szybko na dno komory.

Zbliżały się decydujące chwile. Wskazówka zegara ściennego zbliżała się do godziny oznaczającej czas startu. Raptem olbrzymie ciało rakiety drgnęło. Zakolysały się wszystkie swobodnie zwisające na ścianach przedmioty. Po tym właśnie można było poznać, że podróż się rozpoczęła.

Start odbył się bezgłośnie. Zwiastowało go nagłe, silne szarpnięcie. Rakieta wydała się pusta, nie zamieszкана. Obojętnie i miarowo posuwały się strzałki po tarczy zegara. Jak gdyby nic tu nie zaszło, jak gdyby nic osobliwego tu się nie

zdarzyło. Statek kosmiczny tymczasem nabierał stopniowo szybkości, jednakże nie większej niż startujący samolot. Pięciokilometrowy tor na estakadzie rakiet pokonała w ciągu dwu minut. Nagle tuż u końca estakady włączone zostały automatyczne hamulce. Platforma elektrowozu posunęła się jeszcze kilka metrów do przodu, uderzyła o stalowe bufory i stanęła. Rakiet wyleciała jak wystrzelona z katapulty. Ześliznęła się z platformy i poszybowała w powietrze. W momencie gdy znalazła się nad morzem, działać zaczął włączony automatycznie silnik odrzutowy.

Rozległ się ogłuszający huk. Z dysz rakiety- -matki wybuchać zaczęły z szaloną szybkością strugi rozżarzonych gazów. I ten właśnie obraz śledzili przez lornetki zgromadzeni w hangarze świadkowie startu.

Astronaucci w ubraniach ochronnych, mimo że znajdowali się w napełnionych roztworem soli komorach amortyzacyjnych, poczuli silny wstrząs i równocześnie wydało się im, że ciała ich przygniatać zaczyna jakiś nieznany ciężar. Stan taki trwał dwie i pół minuty, podczas których rosło przyśpieszenie rakiety.

Po upływie stu czterdziestu sekund przyrządy włączyły silnik członu czołowego, rakiety-córki. W tym momencie pasażerowie przeżyli szczególnie, przykre uczucie wskutek dalszego wzrostu przyśpieszenia o piętnaście metrów na sekundę. Ciała ich ważyły teraz 6,7 raza więcej niż normalnie, w warunkach ziemskich. Ten właśnie moment stwarzał dla podróżnych największe niebezpieczeństwo.

Profesor Szapowałow, mający w warunkach ziemskich 102 kilogramy, ważył teraz około 7 kwintali. Szczupła Natasza przekonała się, że 58 kilogramów jej

normalnej wagi odpowiada bardziej organizmowi niż 389, jakie ważyła w momencie startu rakiety.

Astronauci nie mogli poruszyć ani ręką, ani nogą. Ciała ich skuwał nieznośny, gniotący, uniemożliwiający oddychanie ciężar. Ciemniało w oczach. Serce ściskały kleszcze. Bardzo wątpliwe, czy ktokolwiek z podróżnych pozostałby przy życiu, gdyby nie płynne środowisko, które wykorzystuje zwykle przyroda dla ochrony wątlých organizmów przed nadmiernym ciśnieniem lub uderzeniem. Ono właśnie spełniło zbawienną rolę i pozwoliło astronautom znieść to pierwsze poważne niebezpieczeństwo szczęśliwie.

Stan taki trwał jeszcze pół minuty. W trzydziestej pierwszej sekundzie dzikie wycie ulatujących strumieni gazów nagle się urwało. Nastąpiła cisza. Cisza absolutna. Po poprzednim huku i wyciu wydała się nieprawdopodobnie męcząca. Znikło raptem również uczucie przytłaczającego ciężaru, wszystko wydało się teraz dziwnie lekkie, można było pomyśleć, że statek, lecący dotychczas siłą odrzutu w górę, zaczął niespodziewanie opadać w bezdenną przepaść.

Astronauci usłyszeli miarowy, lekki szum włączonych automatycznie pomp, które zaczęły usuwać płyn z komór amortyzacyjnych. Należało to uczynić, ponieważ inaczej nie można byłoby stąd wyjść, gdyż roztwór soli po utracie ciężaru mógł by wtargnąć olbrzymią kulą do pomieszczeń pasażerskich, sprawiając tym niemało kłopotu.

Należało trochę poczekać. Wreszcie uniosła się powoli pokrywa jednej z komór i przez otwór wysunęła się osłonięta gumową maską głowa kapitana statku. Rozejrzał się wkoło, chwycił rękoma brzegi luku komory i lekkim ruchem wyrzucił swe ciało na zewnątrz. Prawie równocześnie wydostał się z komory

drugi astronauta — Włodzimierz Ocyncow. Wykorzystując magnesowe okucia na obuwiu, Sandomirski podniósł się i ostrożnie zrzucił z siebie odzież ochronną. Na twarzy kapitana statku malowało się zaniepokojenie. Nie starał się tego ukryć, ponieważ nikt go w tej chwili nie obserwował. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, wydał komendę i z komór amortyzacyjnych wychodzić zaczęli kolejno pozostali uczestnicy wyprawy. Twarz Sandomirskiego przybrała znów spokojny i pewny siebie wyraz.

Zrzuciwszy niewygodne ubiory, astronauta, dysząc jak ryby wyrzucone na brzeg, podbiegli do okien, aby zobaczyć porzuconą może już na zawsze Ziemię i aby utrwalić w pamięci niepowtarzalne wrażenie pierwszych chwil lotu. Mimo uprzednich treningów z początku potracali się wzajemnie, uderzali o ściany bądź też wskutek nie obliczonych ruchów unosili się pod sufit. Nie od razu bowiem udało im się przystosować do nowych warunków, które panowały w przestrzeni bezgrawitacyjnej. Dopiero po pewnym czasie, gdy opanowali podniecenie, udało się im wolno unieść w powietrze, po czym po wykonaniu kilku jakby baletowych ruchów rękoma — usiąść za okrągłym stołem.

— A zatem — odezwał się Sandomirski — podróż rozpoczęta! Czas zabrać się do pracy. Obejmuję pierwszy dyżur, a ty, Włodzimierzu — zwrócił się do Odineowa — wyślij depeszę!

Gdy Sandomirski przechodził na „ty”, oznaczało to, że wszystko w porządku, że kapitan jest spokojny.

Odincow ruszył szybko do stołu, gotowy do wykonania rozkazu.

— My również udamy się z wami —rzekł Wiktor Pietrowicz. Mimo poprzednich lotów próbnych nerwy jego, podobnie jak i pozostałych członków wyprawy, były napięte do ostatnich granic.

Astronauci weszli do kabiny nawigacyjnej. Mówiąc ściśle, wyraz „weszli” niezbyt dokładnie określał to, co w rzeczywistości miało miejsce. Należało raczej powiedzieć: „wpłynęli” lub „wfrunęli”. Pozbawieni ciężaru podróżnicy, nie dotykając nogami podłogi, choć nie unosząc się zbyt wysoko, powoli przedostali się do wnętrza kabiny. Wydawało się, że to sen. Odincow trwożnie przypatrywał się Nataszy. Ta jednak zachowywała się nadzwyczaj dzielnie. Co przeżywał Kraśnicki, trudno było osądzić. Był jak zwykle zamknięty w sobie, milczący.

Sandomirski usiadł na wysuniętym do przodu fotelu pilota dyżurnego. Pozostali pasażerowie znaleźli również wygodne miejsca. Przednia ściana kabiny była przezroczysta. To zaś, co działo się z tyłu, obserwować można było przez peryskopy.

Okular głównego peryskopu znajdował się przed oczyma pilota.

Rakieta unosiła się już wysoko poza granicami atmosfery, jednakże leciała jeszcze ponad Ziemią. Dopiero po uzupełnieniu zapasów paliwa i opuszczeniu sztucznego sputnika mogła oddalić się od naszej planety i wyjść w przestrzeń kosmiczną.

Dopóki statek kosmiczny mknął nad górami Azji Centralnej, znaczną część widocznej powierzchni ziemskiej spowijały chmury. Jej zarysy zacierały się w niebieskich obłokach atmosfery, jednakże na tym szarawym tle odcinały się ostro błyszczące w blaskach słońca śnieżne grzbiety Hindukuszu i Himalajów.

Daleko we. mgle ginęła linia widnokregu. Rozległe krańce ziemskiego dysku przechodziły niepostrzeżenie w niebo. Wskutek złudzenia optycznego horyzont wydawał się bliższy niż bezpośrednio znajdująca się pod powierzchnią rakiety powierzchnia globu. Astronaucci odnosili wrażenie, że znajdują się nad olbrzymim lejem, w którego centrum leżą górskie łańcuchy Azji.

W górze rozpinało się zupełnie czarne niebo, usiane mnóstwem niezwykle małych, jednakże jaskrawych gwiazd. Błyszczały jak rozrzucone kolorowe paciorki, jarząc się różnym, białym, niebieskim, żółtym, pomarańczowym i czerwonym światłem.

W normalnych warunkach niebo w nocy wydaje się nam wielką, czarną kopułą, do której od wewnątrz przytwierdzone są na stałe gwiazdy, wszechświat zaś zamkniętą w wyraźnych granicach półkulą. Tu natomiast oko człowieka spotykało się bezpośrednio z nieskończonością kosmosu. Rozciągała się ona we wszystkich kierunkach. Przystawała być w ten sposób pojęciem abstrakcyjnym. Nabierała cech jak gdyby fizycznych, dostrzegalnych.

Astronaucci, przyłgnąwszy do okularów zainstalowanego w kabinie nawigacyjnej teleskopu, widzieli wśród gwiazd daleki, błyszczący w promieniach słonecznych punkt, znacznie różniący się kształtem od innych ciał niebieskich. Była nim krążąca wokół Ziemi stacja kosmiczna. Odległość od niej wynosiła co prawda jeszcze sporo kilometrów, lecz już w wyniku krótkiej obserwacji łatwo można było stwierdzić, że stale się ona zmniejsza i że rosną wskutek tego rozmiary Kos- molotu.

— Niełatwo jest — powiedział Sandomirski — odnaleźć stację, nawet przez lunetę. Lecz jeszcze parę minut, a zobaczycie ją już gołym okiem.

Natasza długo wpatrywała się w teleskop. Ręce jej drżały. Wszystko tu wokół wydawało się jej dziwne i niewymownie piękne. Niewymownie piękny również wydał się jej los, który zezwolił jej spośród milionów kobiet znaleźć się w liczbie astronautów lecących w przestrzeń międzyplanetarną. Świadomość tego przepełniła ją dumą i radością. Natasza widziała, jak stopniowo zbliża się sztuczne ciało niebieskie — wysunięta placówka Kraju Rad, punkt oparcia dla dalszych lotów i opanowania przestrzeni kosmicznych. W polu widzenia teleskopu znalazły się skomplikowane połączenia poszczególnych cygarowatych rakiet, jakichś rezerwuarów, wież i rur. Stację budowano etapami, uzupełniając ją stopniowo różnego rodzaju przybudówkami i dodatkowymi konstrukcjami. Sztuczny sputnik znajdował się poza atmosferą, w próżni, gdzie kształt ciał nie wywiera zupełnie wpływu na szybkość ich ruchu.

— Zapomniałam się spytać — odezwała się Natasza — w jaki sposób rakietę potrafi, rozwijając taką zawrotną szybkość, przycumować do stacji?

— To bardzo prosta sprawa — odpowiedział Sandomirski. — Z chwilą wejścia rakiety na orbitę sztucznego sputnika, zwiększamy prędkość statku tak, ażeby zrównać się ze stacją i lecieć obok niej.

— Teraz rozumiem.

— Sztuka polega jedynie na tym, żeby luk wyjściowy rakiety znalazł się wprost bramy wejściowej do stacji.

— Rozunjiem.

Na jednym z przyrządów zapalił się maleńki, zielony płomyk.

— Proszę spojrzeć — ciągnął Sandomirski. — Oto przyrząd radiolokacyjny daje znać, że czas już zwiększyć szybkość.

Mówiąc to, Mikołaj Aleksandrowicz zaczął manipulować kołem sterowym, włączając jednocześnie silnik. Natasza poczuła nagle, że jakaś siła odrzuciła ją do tyłu i mocno przycisnęła do oparcia fotela.

Minęło jeszcze kilka minut, w czasie których podróżnicy obserwowali zbliżanie się budowli Kosmolotu. Wreszcie rakieta i stacja znalazły się tuż obok siebie. W tej samej chwili na jednej z tablic w kabinie nawigacyjnej zapalił się jaśniebieski sygnał.

— Uwaga! — rozległ się głos kapitana. — Przybijamy!

Rakietę pociągnięto w prawo. Wszyscy odczuli lekkie zderzenie. Był to znak, że można już otworzyć luk i wejść do wewnętrznych pomieszczeń stacji.

Na astronautów czekał tu już ładnie przybrany stół, nakryty ze względu na późną porę do kolacji, która była czymś w rodzaju przygotowanego przez personel Kosmolotu bankietu pożegnalnego. Zgromadzili się tu technicy, piloci, lekarz, uczeni, którzy z niecierpliwością oczekiwali przybycia rakiety na stację. Czas za stołem upłynął na ożywionej rozmowie.

Astronauty musieli przenocować na sputniku, ponieważ start do dalszego lotu, który odbyć się miał w kierunku przeciwnym do ruchu Ziemi, nastąpić miał dopiero w południe. W tym bowiem właśnie momencie wskutek obrotu sztucznego sputnika wokół Ziemi statek kosmiczny ustawiał się w żądanym kierunku.

Gdy podróżnicy odpoczywali, rakietę przygotowywano do dalszej drogi. Wpompowano do wewnętrznych zbiorników statku pięćset ton boro- wodoru i

tylżeń fluoru. Ten trujący gaz przechowywano na stacji w stanie płynnym. Skrapla się on, jak wiadomo, w temperaturze 187° poniżej zera, a otrzymanie tak niskiej temperatury nie sprawiało tu większych trudności.

Do zbiorników wewnętrznych nalano taką ilość paliwa, ażeby starczyło go na drogę powrotną z Wenus. Budowa rakiety takich rozmiarów, które umożliwiłyby również zabranie w zbiornikach wewnętrznych paliwa potrzebnego na lot ze sztucznego sputnika na Wenus, nie miała najmniejszego sensu. Rzeczywiście, waga w pełni wyekwipowanej rakiety, przygotowanej do lotu na Wenus i zaopatrzonej w paliwo na drogę powrotną, wynosiła 10 800 ton. Rakiecie należało nadać szybkość przy odlocie ze stacji kosmicznej 5,6 kilometra na sekundę, przy czym lot statku odbywać się powinien w kierunku przeciwnym do ruchu Ziemi wokół Słońca. W tym celu należało zużyć dwadzieścia tysięcy ton paliwa, dającego prędkość wypływu strumienia gazów 4,5 kilometra na sekundę, oraz taką samą ilość fluoru. Biorąc to wszystko pod uwagę, postąpiono znacznie prościej. Postanowiono mianowicie umieścić te zapasy paliwa w dwóch oddzielnych, przyczepionych do rakiety kolosalnych zbiornikach, które po wyczerpaniu można było łatwo odzepić i pozostawić gdzieś w przestrzeni kosmicznej. W ten właśnie sposób zadanie to rozwiązali konstruktorzy statku.

Podczas gdy zespół pomp znajdujących się na sztucznym satelicie napełniał paliwem rezerwuary wewnątrz rakiety, do zewnętrznych ścian statku przyczepiono dwa olbrzymie zbiorniki, mające 120 metrów długości i 12 metrów szerokości każdy. Jeden z nich mieścił zapas borowodoru, drugi zaś płynny fluor. Zbiorniki te połączone były rurami z silnikiem rakiety. Wystarczyło więc tylko otworzyć

zawory i włączyć zapłon, by statek kosmiczny mógł ulecieć w przestrzeń międzygwiazdną.

Wszelkie manipulacje olbrzymimi ciężarami odbywały się na sztucznym satelicie w warunkach szczególnych. Na tej bowiem wysokości, na jakiej krążył Kosmolot, rozciągała się już przestrzeń praktycznie bezgrawitacyjna. Wskutek tego wszelkie ciała traciły tu swój ciężar, jednakże zachowywały tę samą co w warunkach ziemskich masę. W tej pustej przestrzeni, w tej próżni człowiek mógł zupełnie swobodnie unosić się, nie czując absolutnie swego ciężaru, jednakże gdyby znalazł się między jakimś przedmiotem nieruchomym i dajmy na to zbliżającym się ku niemu zbiornikiem zawierającym tysiące ton paliwa, zostałby niechybnie zmiażdżony, ponieważ byłby za słaby, ażeby skutecznie przeciwstawić się sile bezwładności takiej olbrzymiej masy.

Następnego dnia, gdy rakieta została już zatankowana, wypoczęci astronauta pożegnali pracowników Kosmolotu i przenieśli się na pokład statku. W tej chwili najbardziej zdenerwowana była Natasza, jednakże Włodzimierz nie spuszczał jej z oczu i starał się dotrzymywać żonie towarzystwa. Jachontow wydawał się całkowicie pochłonięty przyszłą pracą badawczą i nie interesował się specjalnie oczekującym go lotem. Szapowałow natomiast zapomniał zupełnie o swych żartach i dowcipach. Niepokoiła go niezmierna przestrzeń kosmiczna, przerażała wizja przeżyć i ciężkiej pracy, przepełniała obawa przed śmiercią, być może męczeńską i straszną.

Rakieta była przycumowana do sztucznego sputnika. Spalanie się paliw w komorach nie zagrażało otoczeniu. Odjazd w daleki rejs kosmiczny odbył się tu już znacznie prościej niż na Ziemi. W każdym jednak razie, aby uniknąć niespo-

dzianek, astronauci znów wykorzystali zbawienne właściwości komór amortyzacyjnych.

Punktualnie o godzinie dwunastej w południe odezwał się włączony automatycznie silnik rakiety. Statek odbił od przystani i z wzrastającą szybkością pomknął w czarną, nieogarnioną przestrzeń kosmosu.

Były to chwile denerwujące, jednakże minęły one dość szybko. Ustało bowiem przyspieszenie, podróżni mogli opuścić komory i udać się znowu do przedniej części rakiety. Zapomnieli zupełnie o niebezpieczeństwie, o sytuacji, w jakiej się znajdowali. Pochłaniała ich całkowicie wspaniałość otoczenia. Natasza na przykład, gdy znalazła się w kabynie nawigacyjnej, nie mogła wprost powstrzymać się od okrzyków zachwytu.

Przed podróżnikami znów roztoczył się wszechświat. Ciągnął się we wszystkich kierunkach: był tam, gdzie w stosunku do kursu rakiety powinien być „dół”, był z prawej i lewej strony, był wreszcie tam, gdzie normalnie znajduje się „góra” — jednym słowem, wszędzie rozciągała się nieskończona przestrzeń kosmiczna.

Na czarnym niebie, którego nie można było z niczym porównać, świeciły miriady różnokolorowych gwiazd tworząc wspaniałą, uroczystą iluminację. W tych warunkach umysł człowieka mógł w pełni pojąć całą wielkość i nieograniczoność przestrzeni. Wyczuwało się na przykład zupełnie wyraźnie, że gwiazdy wiszą w próżni, trudno wyobrażalne zaś wielkości kosmiczne wydawały się pomniejszone i uchwytnie. Nie istniała tu sfera, która w warunkach ziemskich ogranicza widziany zakres kosmosu. Oko po prostu bezpośrednio widziało nieskończoność.

Słońce świeciło z prawej strony. Wśród czarnej pustki, gdzieś nieprawdopodobnie daleko wisiała ognista, oślepiająca kula otoczona koroną protuberancji. Najdziwniejsze jednak było to, że Słońce, aczkolwiek było ciałem bardzo odległym, miało kształt nie płaskiego talerza, lecz wyraźnej kuli.

Podróżnicy w milczeniu, długo przypatrywali się tej zadziwiającej feerii.

W czasie lotu odpada prawie zupełnie potrzeba sterowania rakieta. Skręty lub inne ewolucje konieczne są tylko w przypadku zetknięcia się z jakąś nieprzewidzianą przeszkodą albo też w razie zmiany kursu.

Pilotowanie statku kosmicznego odbywa się w różny sposób. Obrót koła sterowego powoduje okręcenie się rakiety naokoło swej osi, przy czym nie ulega zmianie kierunek lotu. W krótkich okresach pracy głównego silnika stosuje się stery umieszczone w strumieniu uchodzących gazów. Gdy ustaje ich spalanie, pilot chcąc spowodować nagły skręt rakiety, na przykład w przypadku niebezpieczeństwa, włącza jeden z niewielkich silników odrzutowych umieszczonych na skrzydłach statku. Do hamowania przeznaczone są silniki znajdujące się w przedniej części skrzydeł. W momencie lądowania rolę hamulca spełniać może również główny silnik, jednakże tylko w tym przypadku, gdy rakieta leci do przodu tyłem. W razie konieczności zmiany toru lotu należy bezwzględnie włączyć główny silnik, ponieważ przy podobnym manewrze trzeba pokonać olbrzymią siłą bezwładności.

Na pulpicie sterowym znajduje się bardzo dużo przyrządów.

— Popatrz — tłumaczył Nataszy Włodzimierz. — Pilot ma przed sobą koło sterowe, peryskop, by mógł widzieć, co się dzieje z tyłu, akcelerometr do mie-

rzenia wielkości przyspieszenia oraz przyrząd specjalny wskazujący moment wejścia statku w atmosferę. Tu zaś, na tarczy nawigacyjnej, znajdują się zapory rejestrujące ilość paliwa i utleniaczy w zbiornikach rakiety. Ponadto są jeszcze termometry zewnętrzne i wewnętrzne, krenometr, busole i radiokompasy, miernik ilości tlenu i dwutlenku węgla...

— Starczy, Wołodia!

— Ależ nie, to jeszcze nie wszystko. Popatrz, oto przyrząd do mierzenia wilgotności powietrza w wewnętrznych pomieszczeniach statku. A tu odległościomierz rejestrujący automatycznie odległość rakiety od Słońca. Odległość tę określa się według stopnia nagrzania czarnego ciała, znajdującego się na zewnątrz rakiety. Ponadto jest tu jeszcze kątomierz żyroskopowy oraz wszelkiego rodzaju przyciski i dźwignie, którymi posługuje się pilot, gdy chce włączyć lub wyłączyć silnik. Patrz! Oto na przykład dźwignia do uruchomienia wentylatorów, a tu — przyciski regulujące zawartość tlenu, a nawet pole magnetyczne rakiety... Jesteś żoną pilota, powinnaś więc o tym wiedzieć... A teraz powiedz mi, jak się czujesz?

— Doskonale... A to, cóż to takiego?

— Przyrząd radiolokacyjny. A to — odbiornik radiowy, nadajnik i telewizor. Ucz się, może ci się przydać! Tu zaś znajdują się najprzeróżniejsze liczniki, wskazujące stopień radioaktywności promieniowania kosmicznego.

— To prawie całe laboratorium — odezwała się Natasza.

— Mikołaju Aleksandrowiczu, dlaczego dotychczas nie działają jeszcze magnesy? — zapytał Jachontow.

— W tej chwili, Wiktorze Pietrowiczu.

Sandomirski przesunął odpowiednią dźwignię,

włączając w obwód elektromagnesy rozmieszczone pod podłogą statku. W ten sposób powstawało pole magnetyczne działające na metalowe części obuwia i odzieży podróżników. Dzięki przyciąganiu wytwarzanemu przez działanie pola odnosiło się wrażenie, że na statku panuje siła ciężkości. W warunkach nieważkości, którą odczuwa się w przestrzeni bezgrawitacyjnej, zastosowanie elektromagnesów ułatwiało w znacznym stopniu życie.

— Czy wystarczy, Wiktorze Pietrowiczu?

— Owszem.

— Dałem natężenie, które równoważy jedną czwartą przyciągania ziemskiego — dodał Sandomirski.

— Doskonale! — zawołał Jachontow, przy czym w głosie jego brzmiało zadowolenie. — Doskonale, Mikołaju Aleksandrowiczu. Mimo niezwyklej lekkości ciała czuję się jednak w tej chwili istotą z krwi i kości, a nie jakimś niematerialnym tworem.

— Wołodia, a gdzie znajduje się teraz Ziemia? — zapytała cicho Natasza. — Chciałabym na nią popatrzeć, choćby z daleka...

— Nic nie stoi na przeszkodzie — zabrzmiał bas Sandomirskiego. — W tej chwili...

Mikołaj Aleksandrowicz obrócił peryskop i — w zwierciadle przyrządu ukazał się obraz kuli ziemskiej. Była z tyłu. Z lewej strony. Miała kształt niewielkie-

go dysku, o średnicy najwyżej piętnastu centymetrów. Częściowo była ona zwrócona oświetloną stroną do rakiety i przypominała Księżyc w trzeciej fazie. Otulona atmosferą zasłaniającą kontury mórz i lądów, wisiała w czarnej przestrzeni kosmicznej jak matowy półksiężyc. Większa część jej powierzchni ginęła w chmurach.

Na widok odpływającej w nieskończoną dal rodzimej planety podróżników opanowało przykre uczucie. Ucichły rozmowy. Wszyscy patrzyli na Ziemię, pogrążeni w głębokim zamyśleniu.

Każdy wspominał pozostawionych tam przyjaciół, minione życie, rodzinę, bliskich. Wszystko to było tak dziwne i do tego stopnia inne, że astronauta nie mogli we właściwy sposób zdać sobie sprawy z nowej sytuacji. Być może, przed trzydziestu laty nerwy człowieka w ogóle nie wytrzymałyby podobnego napięcia i tak silnych wrażeń. Ostatnie wszakże wynalazki, prześcigające wyobraźnię ludzką, oraz rozwój astronautyki wiele człowieka nauczyły. Jednakże wszystkim na pokładzie statku trwożnie biły serca. Przecież patrzyli na Ziemię z odległości wieluset tysięcy kilometrów. Przecież lecieli w bezkresną dal i kto wie, czy kiedykolwiek powrócą tam, na Ziemię, do swego świata...

Astronauta zatrzymali się jeszcze kilka chwil w kabinie nawigacyjnej. Ciszę przerwał profesor Szapowałow. Wydawało się, że tłuścioch ten jakby się trochę uspokoił. Spośród uczestników wyprawy astronom był człowiekiem najmniej przypominającym marzyciela. Jego absorbowały tylko rzeczy praktyczne. Wpadł do bufetu i zacierając pulchne ręce zawołał:

— Człowiek rosyjski ma dobry zwyczaj: ledwie pociąg ruszy z miejsca, wydobywa z pakunków różne przysmaki. A może byśmy również coś zjedli, towarzysze?

Choć nikt poza Michałem Andrejewiczem nie myślał o jedzeniu, propozycję jednak przyjęto. Przyrządzenie pierwszego obiadu zlecono Nataszy, której swą pomoc zaofiarował Włodzimierz. Znaczne wiadomości z zakresu sztuki kulinarnej zdradzał również astronom. W tej chwili zaczął troszczyć się o dekorację stołu, co na statku międzyplanetarnym nie było sprawą łatwą.

Zapasy żywności na statku były zupełnie wystarczające. W bufecie znajdowały się przeróżne zimne zakąski, szynka, dziczyzna, ryby, sery, a nawet kawior. W specjalnym pomieszczeniu przechowywano świeży chleb, w lodówkach zaś torty. Poważniejsze kłopoty powstały dopiero przy pierwszych próbach gotowania zupy. Zajęło to sporo czasu. Trudność polegała na tym, że ciecze w strefie bezgrawitacyjnej odznaczają się nadzwyczajną ruchliwością i przy ogrzewaniu zmieniają się w olbrzymi pęczek. Usiłują się wydostać na zewnątrz nawet ze specjalnych rondli, zaopatrzonych w hermetyczne pokrywy i elektryczne mieszadła. Rozsypany przypadkowo pieprz uniósł się natychmiast w salonie i spowodował długie i wesołe kichanie. W powietrzu unosiły się również drobniutkie cząstki pyłu nie zdradzając najmniejszej chęci opadnięcia w dół.

Lecz deser udał się wyśmienicie. Suflet w pełni usprawiedliwiał swą reputację. Nic nie ważył i dosłownie rozpływał się w ustach.

— Ale herbaty nie ma — zauważył Jachontow.

Lecz Natasza i Włodzimierz obiecali również naparzyć herbaty. Rzeczy tak zwykłe i codzienne, jak herbata, kiełbasa, sól, szynka, przeplatały się w świadomości astronautów z majestatycznymi obrazami kosmosu...

Natasza zjawiała się z termosem zawierającym zaparzoną aromatyczną herbatę. Włodzimierz niósł bardzo skomplikowane naczynie z wrzątkiem. Nie przypominało ono zupełnie czajnika, który w tych warunkach nie miałby żadnego zastosowania. Do herbaty zjawiała się cytryna, a w osobnym, przykrytym naczyniu ulubiony przysmak Jachontowa — waniliowa chałwa ta- chińska. Chałwę tę wydobywano z niewielkiej wazy, lekko unosząc jej pokrywę, i kładziono na specjalne spodeczki podobne do na wpół przykrytych filiżanek. Tylko w takich naczyniach można było trzymać te kruche łakocie, inaczej bowiem rozleciałyby się po całej rakiecie.

Tak minął pierwszy dzień podróży.

Ściśle rzecz biorąc, w tych warunkach nie istniało pojęcie nocy i dnia. Na statku kosmicznym panować więc musiał surowy porządek zajęć, wypoczynku i snu. Tym razem reżym ten został wyjątkowo naruszony. Jednakże około godziny drugiej według czasu ziemskiego astronauta udali się do swych kajut, oprócz astronoma, na którego przypadła kolej pełnienia dyżuru.

ROZDZIAŁ X

w którym zjawiają się małe przedmioty i duże niebezpieczeństwa

Ten niezwykły lot w przestrzeni kosmicznej trwał już kilka dni. Przysłowie jednak powiada, że człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Nic więc dziwnego, że uczestnicy ekspedycji zdołali w końcu oswoić się z warunkami panującymi w rakiecie i poczuli się prawie tak, jak u siebie w domu, na dalekiej Ziemi.

Na pokładzie statku wszystko odbywało się według ustalonego rozkładu zajęć. Każdy z astronautów wiedział doskonale, co ma w danej chwili do roboty. Ten, na którego przypadał dyżur, gotował jedzenie, sprzątał pomieszczenia, jednym słowem, na jego głowie spoczywały wszystkie gospodarskie sprawy. Od czynności tych zwolniony był tylko szef ekspedycji — akademik Jachontow. Trzy osoby pełniły poza tym na zmianę dwudziestoczwierogodzinne dyżury w kabine nawigacyjnej, pozostałe zaś spędzały czas na zajęciach naukowych. Na obiad zbierano się w salonie, tu również odpoczywano wieczorem. Czasami ktoś pozostawał w kajucie, by trochę odpocząć, ale zdarzało się to dość rzadko. Zresztą na czytanie było mało czasu — zaledwie półtorej do dwóch godzin na dobę. Początkowo w pierwszej fazie lotu nikt w ogóle nie brał książki do ręki. Później jednak zwyczaje zmieniły się pod tym względem, ponieważ dni stawały się jednostajne i podobne do siebie jak krople wody.

Po spożyciu kolacji czas spędzano zwykle w salonie. Tu włączano radio lub telewizor, słuchano audycji i oglądano obrazy przekazywane z Ziemi. Moskwa nadawała specjalny program ułożony na prośbę astronautów.

Tego wieczoru transmitowano graną w Teatrze Wielkim „Dapcię Pikową”. Po operze astronauta wysłuchali „Ostatnich wiadomości”. Na Ziemi trwały zniwa, wydobywano węgiel i rudę, fabryki przekraczały plany produkcyjne, wydawano nowe książki, odbywały się imprezy sportowe. Jakżeż to wszystko było dalekie! I równocześnie jakże bliskie! Astronauca mimo zawrotnej odległości, dzielącej ich od rodzimej planety, nie czuli się jednak osamotnieni. Niewidzialne fale radiowe płynęły poprzez przestrzeń szybciej niż statek kosmiczny, dopędzały go i dźwięczały w głośniku muzyką, ludzką mową, gwarem boisk. Wiązały tę garstkę dzielnych ludzi z planetą, którą opuścili. I zawsze, kiedy w rakiecie rozbrzmiewał głos Ziemi, robiło się człowiekowi lżej na duszy. Całe życie na statku kosmicznym przebiegało przy tym według czasu moskiewskiego i dlatego znajdując się tak daleko od gwarnej i skąpanej w potokach światła stolicy astronauta czuli, że stanowią nie- rozdzielną część swego narodu.

Audycja dobiegła końca. Wiktor Pietrowicz był bardzo zadowolony z wyników turnieju szachowego w Paryżu. Natasza, która cały czas obserwowała uczonego, dziwiła się, jak mógł on w tej niebezpiecznej i pełnej napięcia sytuacji przejmować 180 się losem partii szachowej. Widocznie jednak Jachontow miał na tę sprawę zupełnie inny, własny pogląd.

Włodzimierz przejął dyżur. Obowiązki nawigatora nie były zbyt skomplikowane, raczej nużyły swoją jednostajnością.

Marynarze "ha wachcie widzą wokół morze, obserwują grę kolorów, bieg fal, kłębiące się obłoki, mgły, burze. Znajdują się stale w obliczu niebezpieczeństwa, które wymaga od nich ustawicznej czujności. Nawet wśród martwych obszarów Arktyki zachodzą jakieś zjawiska i zapalają się zorze polarne, wyją wichury, szaleją zamiecie, nad śnieżnymi płaszczyznami wschodzi srebrny Księżyc.

Tymczasem tu z kabiny nawigacyjnej statku kosmicznego widać w ciągu długich godzin, dni i tygodni jeden i ten sam obraz. Nie odczuwa się również lotu. Wydaje się, że rakieta wisi w przestrzeni, ponieważ nie ma jakichkolwiek punktów, których przesuwanie się w polu widzenia świadczyłoby, że odbywa się ruch. W czasie lotu w przestrzeni kosmicznej nie ma zmian dnia i nocy. Z jednej strony statku, gdzie znajduje się Słońce, panuje stale dzień, z drugiej — wieczna noc, ale wszędzie jednostajna, czarna próżnia i miliony jasnych, świecących równo, nie mrugających gwiazd.

Nie ma nigdzie ani chmur, ani groźnych bałwanów. Nie słyhać wycia wiatru. Nic, tylko całkowita, absolutna cisza. W takich warunkach siedzący w kabine nawigacyjnej obserwator uświadamia sobie, że jest nikłym, zagubionym w próżni kosmicznej pyłkiem. Nic więc dziwnego, że w czasie dyżuru czuje się niezwykle osamotniony. Wzrok jest mu zupełnie niepotrzebny. Bo po co? Przed nim rozciąga się jedynie pustka. Gdyby nawet pilot zauważył nagłe pojawienie się na kursie statku jakiegoś kosmicznego ciała, z którym spotkanie groziłoby katastrofą, to i tak nie miałoby to znaczenia wobec zawrotnej szybkości rakiety. Mózg po prostu nie zdążyłby wydać polecenia mięśniom, ażeby przesunęły odpowiednią dźwignię. Przed nagłym niebezpieczeństwem zdołają uchronić statek

tylko stworzone przez naukę, niezawodne automaty, przyrządy miliony razy sprawniejsze od oka ludzkiego. Zadanie pilota sprowadza się jedynie do śledzenia wskaźników przyrządów sygnalizacyjnych, kontroli ich działania, prowadzenia dziennika pokładowego, regulowania życia wewnątrz rakiety, obserwacji temperatury i składu powietrza w pomieszczeniach statku, podawania w porę sygnału pobudki, capstrzyku i na posiłki. Ponadto ma on również obowiązek sprawdzać na przyrządach i tablicach prawidłowość kursu statku.

Na przedniej ścianie kabiny nawigacyjnej, na wprost oczu Włodzimierza, znajdował się ekran aparatu radiolokacyjnego. Aparat ten wykrywa dowolne ciało, nawet wielkości główki od szpilki, na odległość do tysiąca pięciuset kilometrów z boku lub przed statkiem. Połączony z aparatem radiolokacyjnym licznik elektronowy wykreśla automatycznie punkt przecięcia się linii lotu statku z drogą spotkanego ciała, wykonuje wszelkie niezbędne obliczenia i w pewnej chwili włącza silniki, które wywołują odpowiedni manewr rakiety. Równocześnie podaje sygnał ostrzegawczy.

Od chwili rozpoczęcia dyżuru minęły trzy godziny. Włodzimierz był zmęczony. Słabła jego uwaga, coraz rzadziej rzucał spojrzenie na skalę świecących przyrządów.

Jednakże niebezpieczeństwo nie wynikało z osłabienia uwagi dyżurnego pilota. Zbliżało się ono ze strony najmniej spodziewanej.

Każdy kilogram Zbytecznego ciężaru, który by znalazł się na pokładzie statku, wymagałby wielu ton dodatkowego paliwa. Z tego też względu w wyposażeniu rakiety uwzględniono tylko rzeczy najniezbędniejsze. Konstruktorzy sądzili, że główne niebezpieczeństwo stanowiły ciała kosmiczne lecące na spotkanie

statku prostopadle bądź też ukośnie do jego lotu. Cząstki zaś, które pędziły z tyłu, zgodnie z kierunkiem lotu rakiety, uważano za mniej groźne. Dlatego też tył statku był pozbawiony ciężkich i skomplikowanych aparatów radiolokacyjnych.

Zainstalowany w kabinie nawigacyjnej aparat radiolokacyjny obejmował swoim zasięgiem nie całą przestrzeń wokół rakiety, lecz tylko jej półkolisty wycinek o promieniu 1500 kilometrów. Wszystko zaś, co znajdowało się z tyłu statku lub poza granicami wycinka, wychodziło spod kontroli pilota. Istniała więc przestrzeń martwa, stanowiącą swego rodzaju „piętę achillesową” całej ekspedycji.

I to właśnie stało się przyczyną nieszczęścia. Sprawa polega na tym, że w przestrzeni międzyplanetarnej we wszystkich możliwych kierunkach pędzą niezliczone ilości cząstek materii kosmicznej. W danym przypadku jedna z takich cząstek o masie najwyżej jednego grama, jakiś zabłąkany odłamek komety, która rozpadła się gdzieś w kosmosie, mknął z olbrzymią prędkością z tyłu rakiety i dopędził ją pod kątem.

Rakieta i małe ciało kosmiczne musiały się z sobą nieuchronnie zderzyć. Ponieważ prędkość ich ruchu była bardzo duża, siła niszcząca uderzenia wielokrotnie przewyższała wytrzymałość pancerza. Niebezpieczeństwo zaś zagrażało z kierunku, który był poza zasięgiem aparatu radiolokacyjnego.

Zderzenie było bardzo słabe. Energia kinetyczna przekształciła się w tejże chwili w energię cieplną. Włodzimierz spostrzegł nagły, krótki błysk niezwykle jaskrawego światła.

Rozżarzony, do białości odłamek nawet nie potrzebował przebijać ścianek statku i zbiorników borowodoru. Ścianki te po prostu roztopiły się same w punkcie zetknięcia się z odłamkiem jak kawałek masła na patelni. Jednakże energia kinetyczna maleńkiego meteoru była dostatecznie wielka, by przeleciał on przez cały zbiornik i przebił przeciwległą ściankę. Odłamek zakończył swoją trasę gdzieś w środkowej części rakiety.

W taki sposób w ciągu znikomego ułamka sekundy utworzyła się w korpusie statku kosmicznego niewielka co prawda, ale bardzo niebezpieczna szczelina.

Włodzimierz nie od razu zorientował się w sytuacji. Gdy jednak do uszu jego dotarł ostry gwizd i gdy poczuł przykry zapach, pojął, że wycieka borowodór. Na zewnątrz bił silny strumień płynu, część zaś substancji, parując, zamieniała się w gaz, który przenikał do wnętrza statku.

Nad głowami astronautów zawisło straszne niebezpieczeństwo. Zagrażało ono ze wszystkich stron. Przenikające mianowicie do pomieszczeń gazy mogły spowodować zatrucie. Ponadto rakieta traciła zapasy cennego paliwa, którego J84 brak, gdyby nie udało się powstrzymać wyciekania borowodoru ze zbiorników, pozbawiał astronautów możliwości powrotu na Ziemię.

Włodzimierz włączył sygnał alarmowy — długi, ostry dzwonek, i rzucił się do dalszych pomieszczeń.

Naprzeciw korytarzem już biegli na wpół ubrani astronauty.

— Co się stało? — krzyknął Sandomirski wyskakując ze swej kajuty.

— Chyba meteor! Przebił zbiorniki! Dziura! — zawołał w odpowiedzi Włodzimierz, następnie chwycił za dźwignię urządzenia przeciwawaryjnego i gwał-

townie szarpnął ją do siebie. Równocześnie dał się słyszeć szcęk metalu. Ze ściany wysunęła się cienka stalowa tarcza odgradzając w ten sposób pomieszczenia, w których znajdowały się zbiorniki z paliwem.

Odincow w" kilku słowach opowiedział, co się stało.

Sandomirski, nie tracąc czasu, działał-zdecydowanie.

— Nałożyć skafandry! — grzmiał jego głos. — Przygotować się do wyjścia na zewnątrz!

Padaly komendy. Odincow i Kraśnicki mieli wyjść na skrzydło i dostać się do miejsca uszkodzenia. Sandomirski podjął się pracy od, wewnątrz. Szapowalów otrzymał polecenie wysłania radiogramu na Ziemię, po czym miał współpracować z kapitanem ekspedycji. Wiktor Pietrowicz objął dyżur w kabinie nawigacyjnej. Nataszy polecono, by okazywała pierwszą pomoc tym, którzy będą jej potrzebowali, oraz zorganizowała środki konieczne do oczyszczenia powietrza w pomieszczeniach rakiety.

Nim upływały trzy minuty, astronauty gotowi byli do pracy. Skafandry, zawierające dostateczną ilość sprężonego tlenu oraz wyposażone w elektryczny system ogrzewania, umożliwiając przebywanie w próżni. Po włożeniu na siebie podobnego ubioru ochronnego należało zamknąć drzwi łączące kabinę wyjściową z pomieszczeniami wewnętrznymi rakiety, otworzyć luk i wyjść ze statku. W taki sposób musieli postępować Kraśnicki i Odincow.

Zatrzymali się przy wyjściu. Odincow, przesuając odpowiednią dźwignię, otworzył luk prowadzący na zewnątrz rakiety. Oczom astronautów ukazała się wąska płaszczyzna skrzydła w kształcie strzały, a za nią bezdenne przepaść.

Człowiek, gotując się do skoku z samolotu, widzi pod sobą Ziemię — nawet wtedy, gdy znajduje się ona bardzo daleko. Jeśli skakać ma w nocy, dostrzega ognie, światła lub inne znaki wytyczające cel, który trzeba osiągnąć. Skoczek spadochronowy w każdym przypadku jasno zdaje sobie sprawę, gdzie jest dół, gdzie góra, i wie na pewno, że dzięki sile przyciągania spadnie zawsze na Ziemię.

Zupełnie co innego oczekiwało ludzi, którzy znaleźli się na zewnątrz rakiety. Zstępując na skrzydło, przesuwali się zgodnie z kierunkiem jej lotu i z taką samą szybkością, jaką mieli znajdując się wewnątrz statku. Mogli oni dać krok w próżnię zupełnie tak samo, jak przy przechodzeniu przez próg z pokoju do pokoju. W tym przypadku nie istniało żadne niebezpieczeństwo. Jednakże odwieczny instykt samozachowawczy wywoływał nieprzezwyciężone uczucie strachu .



Wstąpić w próżnię było ponad siły człowieka. Zdecydowanie się na taki krok wymagało olbrzymiego napięcia woli.

Skrzydło tuż koło luku miało około metra szerokości.

Dwóch ludzi mogło stać obok siebie plecami do rakiety lub też jeden za drugim, przytrzymując się jej ściany.

Odincow i Kraśnicki znaleźli się jak gdyby na zawieszonym gdzieś na zawrotnej wysokości gzymsie. Na szczęście rakieta mknęła poprzez przestrzeń bezpowietrzną, dzięki czemu nie napotykała żadnego oporu. Astronauci nie odczuwali więc lotu statku. Inaczej prąd powietrza zdmuchnąłby ich ze skrzydła jak piórka.

Przez chwilę stali obaj nieruchomo, usiłując oswoić się z tą niezwykłą sytuacją. Następnie powolutku, krok za krokiem, ruszyli ostrożnie wzdłuż zewnętrznej ściany statku.

Szczelina znajdowała się nie nad skrzydłem, lecz niżej, pod nim. Dlatego też stojąc na płacie, nie można było niczego zobaczyć. Dosięgnąć zaś miejsca przebicia nie było tak łatwo, jakby się wydawało, ponieważ gładka, polerowana ściana kadłuba rakiety nie miała tu żadnych występów, za które można by się uchwycić.

Pierwszy spróbował Odincow. Zrobił zdecydowany krok i znalazł się w próżni. Dzięki lekkiemu odbiciu ciało jego zaczęło poruszać się do przodu. Włodzimierz oddalił się nieco od rakiety, jednakże dzięki sile bezwładności leciał obok niej. Ponieważ w tych warunkach nie istniał opór, podobny ruch trwać mógłby w nieskończoność, o ile oczywiście nie działałaby jakaś siła, która by go

powstrzymywała. Pilot machał bezradnie nogami i rękami, lecz nie mając punktu oparcia, nic nie mógł działać i po prostu nie było od czego się odbić. Najenergiczniejsze choćby ruchy nie wpływały na zmianę jego pozycji w stosunku do rakiety. Znajdowała się ona co prawda bardzo blisko, ale bez czyjejs pomocy dostać się na nią z powrotem było niemożliwe. Na szczęście sytuację taką zawczasu przewidziano. Włodzimierza łączył z rakieta cienki sznur. Kraśnicki mógł więc w razie potrzeby wciągnąć pilota z powrotem na skrzydło.

Odincow znów znalazł się na poprzednim miejscu. Odetchnął z ulgą. Jednakże nie wolno było tracić cennego czasu. Każda minuta zwłoki oznaczała dalszą ucieczkę cennego paliwa ze zbiorników. Sytuacja wymagała natychmiastowego działania. Astronauci zdecydować się musieli na czyn, który w warunkach ziemskich wydawałby się niewiarogodny.

Stojąc na skrzydle, Kraśnicki wykręcił się plecami do rakiety, ugiął prawą nogę w kolanie, oparł but o sam kant płatu i wyrzucając szybko ciało do przodu, znalazł się w pozycji prostopadłej w stosunku do ściany rakiety. Następnie, z głową skierowaną w dół, ruszył pewnym krokiem po dolnej płaszczyźnie skrzydła jak mucha po suficie. Za nim posuwał się Odincow.

W ten sposób astronauci dotarli szczęśliwie do celu. W miejscu, w którym uderzył odłamek, znajdował się niewielki, mniej więcej trzycenty- metrowy otwór o stopionych brzegach.

Ciśnienie w zbiornikach, już bardzo wysokie w normalnych warunkach, obecnie znacznie wzrosło, ponieważ zawartość rezerwuarów ogrzała się wskutek uderzenia i wybuchu, który po nim nastąpił. Nic więc dziwnego, że strumień bo-

ro- wodoru bił przez otwór jak silna fontanna. Wszystko było jasne. Należało nałożyć na miejsce przebicia metalową łąkę.

Astronauci nie tracąc czasu przygotowali odpowiedni kawałek blachy. By przytwierdzić ją do ścianki rakiety, nie potrzeba było żadnej dodatkowej energii. Potężnego źródła ciepła dostarczała bowiem sama przyroda. Intensywność promieniowania słonecznego przestrzeni kosmicznej jest o wiele większa niż na Ziemi. Dlatego też w tych warunkach lekkie zwierciadło paraboliczne wytwarza w swym ognisku tak wysoką temperaturę, że stopić potrafi najbardziej nawet odporne materiały. Zaopatrzeni w podobne zwierciadła, Kraśnicki i Odincow, posługując się długimi kleszczami, z łatwością przylutowali metalową łąkę do ścianki rakiety w miejscu jej uszkodzenia. Strumień borowodoru przestał bić.

W tym samym czasie Sandomirski i profesor Szapowałow krzatali się wewnątrz statku. Ubrani w skafandry, otworzyli ostrożnie przegrodę. Z korytarza buchnął na nich brązowy obłok pary. Astronauci skoczyli w niego i zawarli za sobą metalowe drzwi, pozostawiając Nataszy zadanie oczyszczenia pomieszczeń z trujących gazów.

Działać należało prawie po omacku, gdyż światło zawieszonych pod sufitem lamp ginęło zupełnie w brunatnej mgle. Dlatego też upłynęło sporo czasu, zanim profesor odszukał szczelinę. Wreszcie udało się zatkać otwór drewnianym korkiem, co również z uwagi na ograniczoną widoczność i obecność trujących gazów nie było sprawą łatwą. Z kolei należało wyszukać odpowiednią metalową płytkę i po wywierceniu w niej otworów do śrub po omacku przymocować ją w miejscu uszkodzenia. Czynność tę uznali za ukończoną dopiero wtedy, gdy spojenia pokryli smarem nie przepuszczającym gazów. Praca ta była nie tylko trud-

na, lecz również bardzo niebezpieczna. Mieszanina bowiem gazów borowodoru z powietrzem mogła w każdej chwili eksplodować, ponieważ wentylatory oczyszczały powietrze bardzo wolno.

— Chyba już wszystko w porządku! — z zadowoleniem powiedział Jachontow do astronautów, którzy po zakończeniu pracy wrócili do kabiny nawigacyjnej i zdjęli nareszcie skafandry. — Czy przekazaliście na Ziemię wiadomości o awarii?

— Nie, Wiktorze Pietrowiczu — odpowiedział 190 zupełnie strapiony astronom. — Łączność radiowa z Ziemią uległa przerwaniu. Nie mogę, niestety, zrozumieć, gdzie tkwi przyczyna uszkodzenia.

Jachontow zaniepokoił się.

— To bardzo nieprzyjemna sprawa, Michale Andrejewiczu. Trzeba koniecznie zbadać, co się stało. ,

— Nie wiem, Wiktorze Pietrowiczu...

Kolejny dyżur objąć miał profesor Szapowa-

łow. Usiadłszy w fotelu, astronom zaczął sprawdzać według sporządzonych jeszcze na Ziemi przez zespół matematyków tabel prawidłowość kursu rakiety. Jemu, jako astronomowi, powierzono codzienne obowiązki szturmana wymagające specjalnego przygotowania. Co prawda każdy pilot kosmiczny wie, w jaki sposób orientować się w przestrzeni kosmicznej i wykonywać, posługując się odpowiednimi tabelami, obliczenia, lecz sprawdzać dokładność tych obliczeń potrafi tylko doskonały matematyk.

Określić dokładnie, w jakim punkcie przestrzeni kosmicznej znajduje się rakieta, można wtedy, gdy znana jest odległość statku od Słońca oraz kąt między promieniem oświetlającym raketę w danej chwili a promieniem na początku lotu.

Najprostszy sposób pomiaru odległości od Słońca polega na obserwacji wskazań termometru umieszczonego na zewnątrz rakiety i oświetlonego promieniami słonecznymi.

Wiadomo, że temperatura absolutnie czarnego ciała, znajdującego się w odległości stu milionów kilometrów od Słońca, wynosi $+338^{\circ}$, w odległości zaś dwustu milionów kilometrów $+84,5^{\circ}$, czyli cztery razy mniej, i tak dalej. Innymi słowy, maleje ona odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości.

Przed oczami pilota znajdowały się umieszczone po obu stronach rakiety przyrządy, składające się z termopary i galwanometru, którego skala wskazywała nie tylko temperaturę, lecz również odległość od Słońca. Do mierzenia kąta promieni słonecznych służył zawieszony przegubowo żyroskop. Ponadto w kabinie znajdowała się tablica informacyjna, która podawała te wielkości dla każdego momentu lotu rakiety na całej trasie „od Ziemi do Wenus. Pilot, porównując w pewnych odstępach czasu wskazania przyrządu z tablicą, mógł w każdej chwili ustalić, jeśli by to się zdarzyło, wielkość odchylenia od kursu.

Wenus w stosunku do Ziemi jest planetą wewnętrzną, ponieważ znajduje się bliżej Słońca i orbita jej leży wewnątrz orbity naszego globu. Tor lotu rakiety, wyznaczony przed wyruszeniem ekspedycji, miał kształt półelipsy znajdującej się wewnątrz orbity Ziemi. Dlatego też odległość między raketą a Słońcem podczas jej lotu powinna była stopniowo się zmniejszać.

Od chwili wyruszenia wyprawy minęło już ponad trzydzieści pięć dni. Statek kosmiczny powinien znajdować się o 146,9 miliona kilometrów od centrum układu słonecznego. Jakież więc było zdumienie astronoma, gdy spojrzawszy na skalę galwanometru przekonał się, że odległość tu wynosi 146,8 miliona kilometrów. Oznaczało to, że rakieta zboczyła z kursu i znajdowała się teraz o sto tysięcy kilometrów bliżej Słońca, niż powinna.

W stosunku do wielkości kosmicznej błąd był nieznaczny. Początkowo nie dostrzeżony, widocznie narastał w ciągu dłuższego czasu. Jednakże astronoma opanował strach. Pochylił się nad kątomierzem żyroskopowym i zaczął uważnie śledzić jego skalę. Wskaźniki przyrządu nie odpowiadały danym tablicy, odnoszącym się do dnia i godziny lotu. Profesor stwierdził, że odchylenie od kursu było istotnie nieznaczne, ale nawet najmniejsze części sekundy przy mierzeniu odległości kątowych oznaczały w tych warunkach duże przesunięcia w przestrzeni.

Nie było żadnych wątpliwości: rakieta zeszła z kursu i leciała w przestrzeni międzyplanetarnej wzdłuż jakiejś zupełnie innej krzywej toru. Wynikało z tego, że może ona nie spotkać się z Wenus w ustalonym punkcie kosmosu. Ponadto rakieta Zbliżała się do Słońca szybciej, niż należało, a w miarę zmniejszania się odległości siła przyciągania tego olbrzymiego ciała wzrastała do kwadratu.

Profesor wytarł pot, który osiadł mu kroplami na czole. Przed jego oczyma zarysował się straszny obraz — mknąca z wzrastającą prędkością rakieta spada na Słońce, na rozżarzone ciało, które zdolne jest już z dala od swej powierzchni roztopić i zamienić w parę jakikolwiek stworzony przez człowieka przedmiot.

Zahamować tę potężną siłę spadku można tylko kosztem olbrzymich ilości paliwa. Niemniej jednak rysuje się wtedy niewesoła perspektywa bezradnego błędzenia w mroźnej pustce wszechświata.

Mózg wytrawnego matematyka, jakim był bezsprzecznie profesor Szapowałow, pracował metodycznie i sprawnie.

„Cóż tu się mogło stać? — zapytywał siebie uczony. — Opracowane przed startem wyliczenia były wiele razy dokładnie sprawdzane. Pracę wykonywano przy użyciu elektronowych maszyn liczących, najdoskonalszych mechanizmów, jakie kiedykolwiek człowiek stworzył. Błąd jest wykluczony. Wobec tego dlaczego rakietą zboczyła z kursu?” — powtarzał zaniepokojony.

W tej chwili przypomniał mu się niedawny wypadek z odłamkiem metalu, który przebił ściankę statku. Czyżby w momencie zderzenia z tym malutkim kawałkiem materii energia wybuchu wystarczyła, ażeby statek zmienił kierunek lotu? Nie, to niemożliwe. Najprostsze rozumowanie sprzeciwiało się takiemu przypuszczeniu. Masa rakiety była zbyt wielka. Lecz być może pilotujący automat nie wytrzymał nadanej rakiecie prędkości, wskutek czego mógł ulec zmianie kąt między torem rakiety a orbitą Ziemi.

Rodziło się wiele przypuszczeń, jednakże sprawdzenie któregoś z nich wymagało wiele czasu. Teraz zaś jedno było pewne: rakietą zboczyła z wyznaczonego kursu. Mimo swej olbrzymiej wiedzy profesor astronomii, sprawujący funkcję, szturmana ekspedycji, poczuł się w obliczu tej okropnej wiecznej nocy, która otaczała garstkę zagubionych w przestrzeni kosmicznej ludzi, zupełnie osamotniony i bezradny.

ROZDZIAŁ XI

w którym trudne zadania matematyczne wymagają szybkiego i śmiałego rozwiązania

Następny dyżur przypadał na Kraśnickiego, który kulejąc i jak zwykle nie okazując większej chęci do rozmów, zbliżył się do pulpitu sterowego. Z wejściem tej masywnej postaci uczyniło się w kabinie znacznie ciasniej.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał.

Astronom nie odpowiedział. Wydawało się, że nie dosłyszał pytania. Siedział nieporuszony przy pulpicie i patrzył gdzieś przed siebie.

— Czy macie życzenie dyżurować dalej? — zapytał pónownie Kraśnicki, któremu wydawało się, że Szapowałow nie chce przekazać mu dyżuru.

Profesor odwrócił głowę i milcząc wskazał palcem na leżącą przed nim tablicę. Zaniepokojenie malujące się na twarzy uczonego mówiło wiele. Kraśnicki jako były marynarz posiadał zdolność szybkiego orientowania się w sytuacji.

— Zboczyliśmy z kursu — zauważył widząc różnicę między wskazaniem galwanometru i danymi tabeli. — Sto tysięcy kilometrów bliżej Słońca.

— Tak jest. Rozumiecie, co to znaczy?

— Rozumiem. I cóż macie zamiar zrobić?

— Należy jeszcze raz sprawdzić. Nie chcę przed czasem podnosić alarmu. Nieprzemyślana decyzja może tylko skomplikować sytuację. Dobrze, że wszyscy śpią, a do rana, być może, już będę wszystko wiedział. Bardzo was proszę, Iwanie Płatonowiczu, sprawdzajcie co godzinę wskazania przyrządów i zapisujcie tu, w tym miejscu... Swoje notatki zabieram z sobą. Należy wykreślić krzywą odchylenia.

Szapowałow, zapominając o odpoczynku, udał się do obserwatorium. Tam wydobył z szafy jakieś grube podręczniki wypełnione samymi liczbami i wykresami i pogrążył się w obliczeniach.

Miał rozwiązać niełatwe zadanie. Na tor lotu rakiety w przestrzeni międzyplanetarnej wpływało wiele sił działających w najrozmaitszych kierunkach. Ruch Ziemi wokół Słońca i prędkość obrotów sztucznego satelity wokół Ziemi pchały raketę do przodu po linii prostej, stycznej do orbity Ziemi w momencie wylotu. Potężna siła słonecznego przyciągania zmuszała raketę do zbliżania się ku Słońcu, podczas gdy siła odśrodkowa odrzucała statek w kierunku przeciwnym. Energia, którą dawało zużyte paliwo, unosiła raketę w kierunku przeciwnym do ruchu Ziemi po orbicie, redukowałam część prędkości i zmniejszała siłę odśrodkową, zakłócając w ten sposób istniejącą równowagę. W wyniku tego linia prosta lotu przekształciła się w krzywą, zbliżającą statek ku Słońcu. Krzywą tą była półelipsa, która powinna była doprowadzić raketę do spotkania z Wenus w określonym punkcie przestrzeni kosmicznej.

Jeśli krzywa lotu rakiety zależała tylko od oddziaływania na siebie tych pięciu sił, rozwiązanie zadania byłoby stosunkowo łatwe. Jednakże sprawa w danym przypadku była bardziej skomplikowana.

Jak wiadomo, wszystkie ciała w przyrodzie przyciągają się z siłą wprost proporcjonalną do ich mas i odwrotnie proporcjonalną do kwadratu ich odległości. Zgodnie z tym prawem Ziemia przez cały czas przyciągała do siebie raketę z pewną nieznaczną i stale w miarę oddalania się statku malejącą siłą. Dalej znajdował się Mars. Ruchy w przestrzeni kosmicznej tej planety i lecącej rakiety wpływały również na zmieniającą się między tymi ciałami zależność sił. Jeszcze dalej krążył po swej orbicie gigant Jowisz. Co prawda, planeta ta znajdowała się od Ziemi w odległości 629 milionów kilometrów, to jest 4,2 raza dalej niż Ziemia od Słońca, jednakże masa Jowisza przewyższała trzysta siedemnaście razy masę naszego globu. Olbrzym ten nie mógł więc nie wpływać na inne ciała kosmiczne. Nie na próżno nazywa się go „łowcą komet”. Wiele takich kosmicznych wędrowniczek wpada pod jego wpływ i zmienia swoje drogi w przestrzeni. Nic więc dziwnego, że oddziaływanie Jowisza wpływało również na tor rakiety mimo wielkiej odległości dzielącej te dwa ciała. Zadanie jednak stawało się skomplikowane również z tej racji, że wpływu tego nie można było wyrazić wielkością stałą. Zmieniał się on bowiem stale, ponieważ zmieniało się w czasie lotu wzajemne położenie Jowisza i rakiety.

W ten sposób problem matematyczny, który miał być rozwiązany przez profesora Szapowałowa, był zadaniem dotyczącym sześciu ciał, poruszających się w przestrzeni kosmicznej z różnymi prędkościami i oddziałujących wzajemnie na siebie, był zadaniem z występującymi w nim wielkościami zmiennymi. Należało wykreślić krzywą, wzdłuż której leciała obecnie rakietą znajdująca się pod działaniem tych sił.

Okazało się, że w obliczeniach, przeprowadzonych przy rozwiązywaniu tego tak poważnego zadania przez specjalnie powołany zespół matematyków na Ziemi, wkradł się błąd. W przeciwnym wypadku rakieta nie powinna była zboczyć ze swego kursu. Widocznie użyte do równań wielkości początkowe były fałszywe. Astronom musiał więc ustalić przyczyny, w wyniku których powstało odchylenie rakiety od wyznaczonego kursu.

Profesor Szapowałow zapomniał o odpoczynku i śnie. Przez cały czas bądź wykonywał obserwacje za pomocą teleskopów i kątomierzy, bądź też, posługując się maszynami elektronicznymi, pogrążał się w obliczeniach. Nie zjawił się na śniadanie, a na stukanie Nataszy odpowiedział jedynie pełnymi niezadowolenia, groźnymi pomrukami.

Jachontow domyślając się, że musiało zdarzyć się na statku coś ważnego, udał się do astronoma i zażądał od niego wyjaśnień. Po godzinie do obserwatorium zaproszono Sandomirskiego.

Po pewnym czasie kapitan statku i Jachontow udali się do zbiorników z paliwem, coś tam obejrzeni, po czym wrócili do gabinetu Wiktora Pietrowicza. Rakieta tymczasem mknęła poprzez czarną odchłan przestrzeni.

W końcu również Włodzimierz i Natasza zrozumieli, że na pokładzie statku nie wszystko przebiega jak należy. Pojęli, że rakieta, oprócz utraty '98 paliwa, zbłądziła i leci teraz gdzieś w bok od celu.

Ponadto dowiedzieli się o braku łączności radiowej z Ziemią.

Odincow pełnił służbę. Siedząc za pulpitem, z wyteżoną uwagą śledził przyrządy i notował ich wskazania. Cztery kolumny liczb dla każdego, kto znał się'

cośkolwiek na astronautyce, miały swoją wymowę. Natasza siedziała obok męża i usiłowała zrozumieć, dlaczego rakieta coraz dalej zbacza z kursu.

Kraśnicki krzątał się wśród urządzeń radiowych. Profesor Szapowałow nie zjawił się na obiedzie. Natasza zapukała do niego, w odpowiedzi w uchylonych drzwiach ukazała się głowa uczonego.

— Proszę! — powiedziała Natasza, podając astronomowi szklaną próbkę z pigułkami. Uważała bowiem za swój obowiązek troszczyć się o zdrowie uczestników ekspedycji.

— Cóż to takiego? Czy to te same pigułki, które odbierają człowiekowi radość życia? — zmarszczył się profesor.

— To doskonały środek. Wzmacnia w chwilach osłabienia zdolność do pracy.

Natasza odeszła nie powiedziawszy nic więcej.

Astronom miał nie tylko znaleźć błąd w poprzednich obliczeniach, ale ustalić również, dokąd leciała obecnie rakieta, wykreślić następnie jej drogę w przestrzeni oraz zdecydować, jakie zastosować środki, by osiągnąć zamierzony cel. Obserwatorium opuścił dopiero następnego dnia. Zmęczony i zatroskany, udał się do kabiny Wiktora Pietrowicza. Wezwany tam został również Sandomirski. Po chwili zaproszono także Kraśnickiego. W kabinie nawigacyjnej pozostał jedynie Włodzimierz z Nataszą. Siedzieli milcząc przy pulpicie sterowym. Nie zdradzali chęci do rozmowy — wszystko przecież było jasne.

Wreszcie otworzyły się drzwi i z kajuty Ja-chontowa wychodzić zaczęli astronauty. Po chwili znaleźli się wszyscy w kabinie nawigacyjnej. Teraz, gdy

cichy ruch wskazówek na skalach przyrządów oznaczał tak wiele, każdy pragnął być jak najbliżej pulpitu sterowego.

Jakiś czas panowało ogólne milczenie. Pełną napięcia ciszę Aprzerwał dopiero głos Jachontowa.

— No cóż, przyjaciele — powiedział Wiktor Pietrowicz. — Czas zastanowić się nad naszą sytuacją. Zagroza nam poważne niebezpieczeństwo. Michał Andrejewicz, zdaje się, znalazł przyczynę. Spróbujmy poszukać wyjścia.

— Rakieta zboczyła z kursu — odezwał się astronom. — Jest to fakt bezsporny. Początkowo sądziłem, że winę ponosi tu Jowisz, którego przyciągania nie docenialiśmy. Obliczenia wykazały, że przypuszczenie to było mylne. Należało odrzucić również inne domysły. Najbardziej prawdopodobne jest to, że przy starcie rakiety ze sztucznego sputnika początek spalania się materiałów pędnych nastąpił o jakiś ułamek sekundy później, niż powinien.

— Cóż to oznacza? — spytała Natasza.

— Wskutek tego zmienił się w momencie startu o pewną wielkość kąt między torem rakiety a orbitą Ziemi. Przecież sputnik się obraca. Zmiana ta wprawdzie była nieznaczna, jej wielkości nie mogły uchwycić nawet nasze przyrządy pomiarowe, ale w tej chwili błąd zwielokrotnił się, stał się znaczny i nadzwyczaj groźny w skutkach — odpowiedział astronom.

— Więc cóż? — nie wytrzymała Natasza. — Należy jak najszybciej naprowadzić statek na prawidłowy kurs. Niezwłocznie!

— Zmiana kursu nie jest sprawą tak prostą, jakby się wydawało — odparł Michał Andrejewicz. — Łatwo spowodować obrót rakiety dookoła jej osi, lecz

aby zmienić krzywą lotu, pokonać należy olbrzymią siłę bezwładności oraz siłę przyciągania Słońca. W tym celu potrzebne paliwo! Potrzebna energia!

— A sytuacja z paliwem jest bardzo poważna — wtrącił Wiktor Pietrowicz.

— Ciśnienie w zbiornikach po zderzeniu się z meteorem bardzo wzrosło, wskutek czego strata materiałów pędnych była dość znaczna. Paliwo bowiem wyciekało szybko — wyjaśnił Sandomirski. — W krótkim czasie straciliśmy 1715 ton borowodoru. Nie zmniejszyły się wprawdzie zapasy fluoru, ale to nas nie ratuje.

Zapanowało przytłaczające milczenie.

Profesor Szapowałow uznał, że należy jeszcze silniej podkreślić grozę położenia, które zawisło nad ekspedycją.

— Pozostałego w tej chwili paliwa — odezwał się — nie wystarczy na drogę powrotną. W najlepszym przypadku, goniąc ostatkami, po wejściu na właściwy kurs zaledwie dotrzemy na Wenus. A co będziemy robić dalej?

— Żyć i pracować! — rzucił Kraśnicki-

— Żyć, lecz jak długo? — odpowiedział astronom. — Wątpliwe przecież, czy w atmosferze Wenus można będzie oddychać. Konieczne więc będą aparaty tlenowe. Wprawdzie zapasów tlenu dotychczas nie naruszyliśmy, jednakże są one ograniczone. A co później? Powiecie, że można oczekiwać pomocy z Ziemi. Zgoda! Oczywiście nie zapomną o nas. Ale trzeba oceniać rzeczy realnie. Łączność z Ziemią praktycznie nie istnieje. Kiedyż więc ta pomoc przyjdzie? Upłynie sporo czasu i może już być za późno. A wtedy... — Szapowałow rozłożył ręce.

Było się nad czym zastanowić. Nic więc dziwnego, że podróżnicy nie byli skorzy do rozmowy. Pograżeni w myślach, trwali w milczeniu.

Iwan Płatonowicz Kraśnicki, nie zważając na tragizm sytuacji, troszczył się w tej chwili nie o przyszłe losy ekspedycji, lecz o pilne sprawy bieżące. Był doświadczony marynarz i majster do wszystkiego, wziął na siebie jakoś niepostrzeżenie obowiązki radiotechnika. Skomplikowane wyposażenie radiostacji, łączność telewizyjna z Ziemią, elektronowa aparatura sterująca — cała ta różnorodna technika znajdowała się podczas lotu na jego opiece. Iwan Płatonowicz czuł się odpowiedzialny za ten odcinek pracy.

Najbardziej martwił go brak połączenia. I właśnie ten fakt pochłaniał całkowicie jego uwagę.

— Nie rozumiem — powiedział patrząc na tablicę z przyrządami. — Cała elektronika w porządku, a połączenia nie ma.

— W przestrzeni międzyplanetarnej istnieć mogą nieznane nam przeszkody — zauważył Ja-chontow. — Nie zbadano jeszcze dostatecznie właściwości materii kosmicznej.

W tym czasie spokojny, ale nadzwyczaj aktywny umysł Nataszy usiłował ocenić wszelkie możliwości, jakimi dysponowali astronauty, by wyjść z tej groźnej sytuacji.

— Michał Andrejewicz zakomunikował nam, że nie starczy paliwa na drogę powrotną — powiedziała zwracając się do Sandomirskiego. — Chciałabym wiedzieć, ile tego paliwa zostało i jak można je wykorzystać?

— Możemy zmienić tor lotu rakiety i wyjść na właściwy kurs, prowadzący do celu — odpowiedział kapitan statku. — Można również zboczyć w lewo i nie osiągając orbity Wenus pozostawić ją z prawa i wyjść na orbitę Ziemi, gdzie spotkamy naszą planetę.

— Krótko mówiąc, na powrót nie jest jeszcze za późno — sprecyzował astronom.

Włodzimierz popatrzył na niego, chciał już coś zareplikować, jednakże odwrócił się i nic nie powiedział.

Nikt nie odezwał się ni słowem.

Jachontow uważnie spoglądał na astronautów. Nastął obecnie czas poważnej próby. Próbie poddana zostanie ich wola i męstwo. Sam szef ekspedycji wydawał się zupełnie spokojny. Starał się nie okazywać po sobie najmniejszego choćby niepokoju. Lekko skłoniwszy głowę, patrzył przez okulary i przesuwał wzrok kolejno po twarzach towarzyszy.

— Zatem wszystko jest mniej więcej w porządku — rozległ się po dłuższej pauzie jego głos. — 'Mamy przed sobą dwie drogi. Możemy skorygować kurs i osiągnąć cel, lecz wtedy świadomie pozbawimy się możliwości powrotu. Ale istnieje jeszcze inne wyjście: zawrócić na Ziemię, ażeby podjąć próbę drugi raz. Okrutna alternatywa!... Proszę decydować...

I znowu zapanowało milczenie. Sprawa dotyczyła życia lub śmierci.

Podstawowymi cechami charakteru Włodzimierza Odincowa były odwaga i zdecydowanie. Człowiek ten przywykł patrzeć niebezpieczeństwu w oczy. Niebezpieczeństwo towarzyszyło stale wykonywaniu jego zawodu. Jednakże i on w

tym wypadku nie od razu podjął decyzję. Inna sprawa, gdyby chodziło o szybki manewr, kiedy trzeba błyskawicznie, prawie bez namysłu rzucić samolot w wiraż, kiedy mięśnie wykonują w ułamku sekundy rozkaz mózgu, ale tu konieczna była zimna rozwaga, świadome obliczenie zmiany kursu, mogącej doprowadzić do nieuniknionej, choć niebliskiej jeszcze zagłady. Tu potrzebny był nie instynkt, nie jakiś w emocji uczyniony zryw, lecz spokojne i trzeźwe męstwo.

Włodzimierz był człowiekiem młodym, pełnym sił i radości życia, ponadto szczerze kochanym. Nie pragnął śmierci, choć nie bał się spojrzeć jej w oczy. Cechowała go nieugięta wola, upór i wytrwałość w dążeniu do celu. Wahanie jego nie trwało długo.

— Nie mam żadnych wątpliwości — odezwał się po chwili. — Lot należy kontynuować. Naszym obowiązkiem jest dotrzeć do Wenus i na niej wylądować. Będziemy tam żyli i prowadzili obserwacje, dopóki starczy sił. Jeżeli się nie uda, prześlemy materiały na Ziemię, jeśli nie — przechowamy je... Po nas przyjdą inni... Oni dokończą rozpoczętego dzieła!

Wzrok Jachontowa spoczął na Nataszy. W niej nie było nic z bohatera. Ta zwykła kobieta, znajdująca się w rozkwicie młodości i urody, nie marzyła wcale o bohaterskiej śmierci. Na pokład statku przywiodło ją nie dążenie do poświęceń, lecz tętniąca radość życia, niepohamowane pragnienie poznania rzeczy niezbadanych. Czynnami jej kierowała romantyka zdobywania przestrzeni kosmicznej i równocześnie głęboka miłość.

Życià ukazało jej teraz swoją drugą stronę. Przed Nataszą stanęła wizja prawie nieuniknionej, być może męczeńskiej śmierci na dalekiej, obcej planecie. Czyż trzeba ginąć tak młodo i w gruncie rzeczy nadaremnie? Czy warto? Było to

pytanie palące, pytanie nadzwyczaj tragiczne. Natasza wahała się jednak krótko. Mimo naturalnego pragnienia życia na jej decyzję wpłynęło wysoko u niej rozwinięte poczucie obowiązku. Ono nie pozwalało jej porzucić pracy, której się podjęła i której nie ukończyła. Ponadto była zakochana. Najbliższy zaś jej człowiek znajdował się tu i on powiedział już swoje ostatnie słowo.

Natasza wyciągnęła dłoń do Włodzimierza i dotknęła jego ręki, dając tym samym do zrozumienia, że jest z nim, że podziela jego stanowisko.

— Wydaje mi się — powiedziała — że nie mamy po prostu prawa wracać na Ziemię z niczym. Oczywiście, nikt z nas nie chce umierać, lecz nie można również zapominać o odpowiedzialności. Wiedzieliśmy, jak ryzykownej rzeczy się podejmujemy. Jeżeli dysponujemy wystarczającą ilością paliwa, powinniśmy lot kontynuować.

Jachontow nic nie odpowiedział, jednakże w wyrazie jego oczu było tyle ciepła, że Natasza musiała odwrócić głowę, by ukryć zażenowanie i wykwitłe na jej policzkach rumieńce.

Wiktor Pietrowicz przeniósł wzrok na Sandomirskiego.

Stary wojskowy, były generał lotnictwa, nieraz już w swym życiu zaglądał śmierci w oczy. Czyż mógł się uchylić przed niebezpieczeństwem, przed wykonaniem bojowego zadania? Czyż lot na czele eskadry bombowców, by zniszczyć silnie broniony obiekt wroga, był mniej niebezpieczny niż lot obecny? Kapitan statku kosmicznego nie miał i nie mógł mieć żadnych wątpliwości.

— Jestem starym żołnierzem — powiedział ze spokojem. — Otrzymałem rozkaz i muszę go wykonać!

Akademik spojrział z kolei na Iwana Płatonowicza, znając z góry jego odpowiedź.

Kraśnicki nie zostawił nikogo z bliskich. Tego samotnego człowieka nic osobistego z daleką w tej chwili łamię nie wiązało. Przyjaciele jego znajdowali się tu, na statku kosmicznym. Tu był jego świat. Tu koncentrowały się jego zainteresowania i pragnienia.

Iwan Płatonowicz nie odpowiedział, spojrział tylko na Wiktora Pietrowicza, lecz spojrzenie to w pełni wyrażało wszystko, co chciał powiedzieć. Jachontow o nic więcej nie pytał.

— Wszystko to, co usłyszałem — zauważył po chwili — jest dobre, piękne i szlachetne! Jednakże nasze główne zadanie nie polega na tym, by ponieść gdzieś na Wenus bohaterską śmierć. Polega ono na tym, by zrealizować program prac naukowych i dostarczyć na Ziemię zgromadzony materiał. Jeżeli zginiemy wraz z wynikami naszych badań, poświęcenie nasze nie przyniesie żadnego pożytku. Zważcie to wszystko rozsądnie, przyjaciele. Bez pośpiechu...

Wiktor Pietrowicz jeszcze raz obrzucił wszystkich uważnym spojrzeniem, pragnąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Celowo wysunął wątpliwości, ażeby ostateczną decyzję podjęli astronauci nie pod wpływem uniesienia, lecz po trzeźwym, gruntownym namyśle.

W kabinie znowu zaległa cisza.

— Jakie jest wasze zdanie, Michale Andrejewiczu? — Jachontow zwrócił się bezpośrednio do astronoma.

Profesor Szapowałow zrozumiał doskonale, że opinia większości jest zgodna i jego ewentualny sprzeciw nie odniósłby skutku. Gdyby żądał powrotu, utraciłby uznanie w oczach zespołu i zdobył reputację tchórza. Jednakże Michał Andrejewicz wziął udział w ekspedycji nie po to, by zdobyć sobie pośmiertny wieniec sławy. Nie chciał ginąć w przestrzeniach wszechświata lub na powierzchni Wenus. Mózg jego pracował intensywnie. Usiłował znaleźć jakąś przekonującą argumentację, ażeby zmusić pozostałych do słuchania głosu rozwagi, równocześnie zaś zachować poczucie własnej godności. Wydawało mu się, że ostatnie słowa Wiktora Pietrowicza dawały taką możliwość. Chwycił się ich z radością.

— Wiktor Pietrowicz ma zupełną rację — przemówił cicho, patrząc gdzieś w bok. — Piękne słowa i szlachetne gesty nie zawsze są na miejscu. Sytuacja jest poważna, wymaga od nas rozsądnej decyzji, a nie emocjonalnego zrywu. Ja osobiście sądzę, że o ile uda się nam przy zużyciu niewielkiej ilości paliwa przejść niedaleko Wenus, możemy wrócić z honorem na Ziemię. W każdym przypadku pierwszeństwo pozostanie po stronie naszego kraju. Przelatując blisko Wenus, zdołamy przeprowadzić wiele ciekawych obserwacji, uchronimy statek i siebie samych. Następną próbą będzie niewątpliwie bardziej pomyślna. Oprze się ona siłą rzeczy na naszym doświadczeniu.

— Przestraszyliście się, Michale Andrejewiczu? — potrząsnął głową Włodzimierz, zadowolony, że mógł zarzucić astronomowi małoduszność. — Za wcześnie... — chciał jeszcze coś dodać, ale się powstrzymał.

— Przepraszam, Włodzimierzu Iwanowiczu! — odparł z oburzeniem Szapowałow. — To jest wprost nieuprzejmość z waszej strony! Wyraziłem swoją opinię, jak tego zażądał szef ekspedycji, a wy czynicie wycieczki osobiste. Rozu-

miem, młodość jest niecierpliwa. Ale tak nie można. Mądra ostrożność jest nieraz pożyteczniejsza w skutkach niż nie przemyślany młodzieńczy zapał...

— Spokojnie, spokojnie, przyjaciele! — zawołał Jachontow. — Michał Andrejewicz ze swego punktu widzenia ma zupełną rację. Nie wolno się gorączkować. Trzeba się liczyć z opinią każdego z nas... Kto jeszcze pragnie zabrać głos?

Chętnych nie było. Sandomirski siedział z opuszczonymi oczami. Iwan Płatonowicz spoglądał milcząc w okno.

Ogólne milczenie było pełne wymowy. Przerwał je dopiero głos Jachontowa.

— Większość — powiedział spokojnym tonem — wypowiada się za kontynuowaniem lotu. Bardzo żałuję, Michale Andrejewiczu, że wciągnąłem was w tę historię, lecz cóż robić. Taki jtiż, widocznie, nasz los.

— Ależ ja mówiłem, że tak się wyrażę, zasadniczo! — rzucił Szapowałow. — Proszę nie rozumieć moich słów w ten sposób, że podyktowane były względami osobistymi.

— Oczywiście, oczywiście! — przerwał mu Wiktor Pietrowicz. — W ogóle na dyskusję nie mamy czasu. Jednakże pozwólcie, że ja również wypowiem swoje zdanie. Towarzysze, którzy pragną, kontynuować lot, mają moim zdaniem rację. Czy pamiętacie, jak ludzie zdobywali biegun północny? Po jednej ekspedycji następowała druga. I w końcu zadanie zostało wykonane. Lecz lądowanie na Wenus nie jest koniecznością. I tu w pewnym stopniu ma rację Michał Andrejewicz. Jeżeli wyjdziemy teraz na prawidłowy kurs, to zdołamy przelecieć pod obłokami Wenus i przeprowadzić przynajmniej obserwację jej powierzchni. Lot więc warto wykonać choćby dla tego tylko zadania... Jako kierownik ekspedycji,

zdecydowałem: włączamy silnik i kontynuujemy lot z takim wyliczeniem, ażeby na jak najmniejszą odległość zbliżyć się do Wenus. Przelatując w pobliżu planety, przeprowadzimy wszelkie możliwe pomiary, po czym wrócimy na Ziemię.

Umilkł, jak gdyby oczekując odpowiedzi. Wszyscy rozumieli, że w danej sytuacji jest to decyzja najrozsądniejsza.

— Nie wyrażam sprzeciwu — odezwał się Kraśnicki.

— Należy natychmiast zmienić kurs! — rzucił pośpiesznie Jachontow.

— Chodźmy do kabiny nawigacyjnej — zabrzmiał głos Sandomirskiego. — Zezwalacie, Wiktorze Pietrowiczu?

— Proszę!

*

Istotnie, każda minuta była niezwykle cenna. Należało niezwłocznie zmienić kurs. Pilotowanie przejął kapitan statku.

Sandomirski siadł za sterem, obok zajął miejsce jako szturman profesor Szapowałow, który wpił się oczami w skalę przyrządów. Zbliżała się ważna chwila.

Ażeby wykonać manewr, potrzeba było sporo czasu. Pilot powoli obracał koło steru, czemu towarzyszył równie powolny obrót rakiety wokół pionowej osi. Wszystko to było prawie niedostrzegalne, choć dalekie gwiazdy zaczęły wyraźnie przesuwać się na prawo.

Astronom, nieporuszony, śledził wskazania przyrządów, porównując je z danymi tabeli, która leżała przed nim na stoliku. Błyszczący dysk Słońca, widoczny

przez niebieskie szkła kątomierza, przesuwał się powoli w polu widzenia. Nastąpił moment, kiedy centrum Słońca znalazło się na celowniku przyrządu. Szapowałow włączył prąd.

Rozległ się potężny huk strugi gazów.

Statek szarpnął do przodu. Tym razem z góry wiedziano, że przyśpieszenie będzie nieznaczne. Nie było więc potrzeby wkładania skafandrów i schodzenia do komór amortyzacyjnych.

Płomienie silnika huczały z taką siłą, że drżały ściany rakiety. Kapitan statku i szturman śledzili uważnie ruch wskazówek zegarów. Lecz raptem dzikie wycie ustało i znowu zaległa cisza. Astronauci nie wychodzili jednak z kabiny. Znajdowali się jeszcze pod wrażeniem przeżytych chwil i nikt nie chciał pozostać sam.

— Zrobiłem, co do mnie należało — powiedział Szapowałow, gdy manewr był wykonany. Po czym wstał z fotela, wytarł chusteczką twarz, uśmiechnął się i powiódł zmęczonymi oczami po obecnych.

— Wszystko jest teraz w porządku — mówił. — Pilnujcie kursu! Tu jest nowa tablica. Pójdę odpocząć.

Dopiero teraz pojęli wszyscy, jak bardzo ten człowiek musiał być zmęczony, z jakim napięciem pracował do ostatniej chwili jego mózg, by wykonać niezbędne obliczenia, konieczne przy rozwiązywaniu tego trudnego zadania.

ROZDZIAŁ XII

w którym zjawia się w polu widzenia astronautów planeta Wenus

Minęło jeszcze kilka dni. Rakieta mknęła bez przerwy poprzez przestrzeń kosmiczną. Na pulpicie sterowym leżał teraz przed pilotem sporządzony przez profesora Szapowałowa za pomocą elektronicznej maszyny liczącej nowy wykres toru. Dzięki niemu pełniący dyżur astronauty mogli doskonale orientować się podczas lotu, mogli w każdej chwili określać dokładnie położenie statku w przestrzeni międzyplanetarnej.

Wypadek z meteorem wiele ich nauczył. Dyżur pełniono teraz tak pilnie i czujnie, jak na okręcie wojennym podczas działań bojowych. Ze szczególną uwagą sprawdzano przede wszystkim prawidłowość kursu. Dużym ułatwieniem były tu obliczone przez astronoma współrzędne, odpowiadające położeniu rakiety w przestrzeni w każdym dniu i godzinie lotu.

Często spotykano cząstki materii kosmicznej, ale odpowiedni aparat elektroniczny wykrywał teraz niebezpieczeństwo we właściwym czasie. Działać zaczynały wtedy automatyczne silniki rakiety powodujące niewielki uchylający manewr, który chronił statek przed zderzeniem. Podobne ruchy nie wywoływały wśród załogi statku nie- 212 pokoju, ponieważ wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Jedynie pilot i szturman sprawdzać musieli ze szczególną uwagą dokładność kursu.

I wreszcie przyszła chwila, kiedy bardzo daleko, gdzieś spoza dysku Słońca, ukazała się planeta Wenus. Rakieta, opisawszy w przestrzeni kosmicznej gigantyczną półelipsę, zbliżała się do celu. W polu widzenia jej teleskopów ukazała się gwiazda zaranna, jutrzienka. Bohaterem dnia stał się astronom. Wszyscy oczekiwali z wielką niecierpliwością jego wyjaśnienia, lecz profesor Szapowalów był jak na złość milczący i zamknięty w sobie. Przesiadywał prawie całe dni w obserwatorium, nie odchodząc od instrumentów astronomicznych.

— Zbliża się decydujący moment — odpowiedział, gdy pytano go o powód zmiany nastroju. — Oczekują nas olbrzymie trudności. Dolatujemy bowiem do planety, której powierzchni nikt jeszcze nie widział. Zanim się do niej zbliżymy, musimy wiele wiedzieć. Nie mogę zmarnować ani minuty. Należy bowiem ustalić, jaka jest atmosfera Wenus, czy są na niej góry, jaka jest ich wysokość i wiele podobnych rzeczy. Bardzo przepraszam, ale naprawdę jestem szalenie zajęty.

Astronom, skoro tylko zdążył zjeść obiad, znikał w obserwatorium i pochylał się nad instrumentami. Tymczasem Wenus stawała się z każdym dniem coraz większa. Z dalekiej, ledwie widocznej gołym okiem „gwiazdki” przekształcała się w kulę posiadającą fazy i podobną z dala do Księżyca. Z początku miała wielkość jabłka zawieszzonego wśród gwiazd na czarnym niebie, lecz wkrótce była tak duża, jak Księżyc w pełni.

Uczestnicy wyprawy czas wolny od zajęć spędzali w kabinie nawigacyjnej i z niepokojem obserwowali to tajemnicze ciało niebieskie, z którym związany był ich los. Zainteresowanie astronautów było zupełnie zrozumiałe. Przed ich oczyma ukazało się nie jakieś nowe miasto lub nieznaną kraj, lecz tajemniczy świat. Nikomu przecież nie udało się dotąd uchylić białośnieżnej, okrywającej Wenus

osłony. Królowa porannej i wieczornej zorzy, jak nazywali tę planetę starożytni, błyszczy na niebie, otoczona nieprzeniknioną atmosferą. Nawet z kabiny nawigacyjnej mimo takiego zbliżenia nie można było na jej powierzchni rozróżnić żadnych szczegółów. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: planetę spowijały kłębiące się chmury, które opływając ją wokół, nie pozwalały nic dojrzeć prócz bezkształtnej, białej masy.

Co kryło się za tą zasłoną chmur? Czy istnieje tam twardy, pewny grunt? A może planetę zalewają oceany kipiącej wody? A może cienką skorupę Wenus rozrywają potężne wybuchy wulkanów? Pytania te niepokoiły, a zarazem podniecały wyobraźnię. Oczy zdenerwowanych, wychudłych astronautów pałały gorączkowym blaskiem. W salonie, w którym zbierali się na odpoczynek i posiłki, wybuchały raz po raz sprzeczki, często o zupełnie błahe sprawy. Jednakże sprzeczki ucichały, skoro tylko w polu widzenia ukazała się Wenus. Wówczas wszelkie spory i ich przyczyny wydawały się wobec nieogarniętej wielkości wszechświata nędznymi głupstwami.

Życie na pokładzie rakiety toczyło się regularnie. Wszyscy pochłonięci byli pracą. Prócz obowiązujących dyżurów w kajucie nawigacyjnej,

każdy z astronautów oddawał się swoim zajęciom specjalnym. Sandomirski i Kraśnicki sprawdzali mechanizmy, kontrolując pracę skomplikowanej aparatury stanowiącej układ nerwowy statku. Natasza troszczyła się o zdrowie podróżników, mierzyła im temperaturę, badała ciśnienie krwi. Uczeni realizowali pierwszą część ustalonego programu obserwacji naukowych.

Wolny czas od zajęć spędzali podróżnicy w salonie, nie odrywając oczu od planety, która z każdą godziną zajmowała coraz więcej miejsca na przestrzeni widzialnej kosmosu.

Matowobiała, jarząca się kula Wenus była olbrzymia i bliska. Wisiała pośród czarnej pustki, gasząc oślepiającą jasnością otaczające ciała niebieskie. Aby ją dłużej obserwować, należało wkładać ciemne okulary. Nad nią kłębiły się wciąż zwarte chmury. Nie było w nich żadnej luki, przez którą można by choć na moment zobaczyć powierzchnię planety. Mimo zbliżenia Wenus nadal zazdrośnie strzegła swoich tajemnic.

Nikt teraz nie miał odwagi zagadnąć Szapowalowa. Był on niezwykle zdenerwowany. Uczony bowiem, mimo usiłowań i bezsprzecznie wielkiej wiedzy w dziedzinie astronomii, do niczego nie mógł dojść. Ani zaopatrzone w odpowiednie filtry teleskopy, ani niewidzialne fale aparatów radiolokacyjnych — nic nie zdołało odsłonić tajemnicy zagadkowej planety. Astronom był ponury jak chmura gradowa. Jako człowiek niezwykle ambitny, nie mógł pogodzić się z myślą, że będąc tak blisko celu, w warunkach szczególnie sprzyjających, nie potrafi do znanych już wiadomości o Wenus dodać nic nowego.

— Należy coś zdecydować — powiedział pewnego dnia — Wenus w dalszym ciągu pozostaje zagadką. Popatrzcie! Oto tu, na tym ekranie, mamy widmo światła odbitego od zewnętrznej warstwy atmosfery. Wskazuje ono, że chmury nad Wenus tworzy para wodna. Lecz nie są one inne niż chmury, które widzimy nad powierzchnią Ziemi. To jedno, co wiem, nie mogę natomiast nic powiedzieć o ich składzie oraz o stanie dalszych warstw atmosfery Wenus.

— Nie należy się tym specjalnie smucić — spokojnie zauważył Wiktor Pietrowicz. — Wyobraźcie sobie uczonego, który by usiłował zbadać atmosferę ziemską, znajdując się daleko poza jej granicami. Uczony ten zetknąłby się wówczas w swych badaniach najpierw z jorio- sferą, z grubą warstwą silnie zjonizowanych gazów, głównie azotu, a więc z warstwą, w której niemożliwe jest oddychanie. Prócz tego stwierdziłby, że panuje tam temperatura około tysiąca stopni. Jakie by więc mogły wynikać z tego przypuszczenia? Prawdopodobnie doszedłby do wniosku, że na Ziemi nie może istnieć życie. Tymczasem powietrze nad powierzchnią naszego globu jest znacznie chłodniejsze i ma zupełnie inny skład chemiczny. Podobnie przedstawiać się może sprawa, jeśli chodzi o nasze przypuszczenia w związku z Wenus. Załóżmy, że górne warstwy jej atmosfery nie zawierają ani pary wodnej, ani wodoru, ani tlenu. Ale czy to oznacza, że pierwiastki te nie gromadzą się znacznie niżej?

— Na jakich falach pracowaliście? — zwrócił się do astronoma Kraśnicki.

— Przez obłoki Wenus nie przenikają ani fale długie, ani krótkie, ani wreszcie ultrakrótkie — mruknął ze złością Szapowałow.

— Można jednak przypuszczać — zauważył znowu Kraśnicki — że pod obłokami tymi panuje straszliwy żar. Przecież dwutlenek węgla, którego jest tam, bardzo dużo, nie przepuszcza promieni podczerwonych. Promieniowanie Słońca może akumulować się niżej, jak gdyby pod osłoną gigantycznego termosu.

— O ile mi wiadomo — wtrącił się do rozmowy Jachontow — wielkie ilości bezwodnika węglowego na Wenus są stwierdzone przez wszystkich badaczy. Możliwe, że są one wynikiem działalności wulkanicznej. Znaczyłoby to, że dwutlenek węgla jest pochodzenia nieorganicznego. Dzięki zaś dwutlenkowi węgla

istnieje być może na powierzchni planety bogata flora. Jeśli tak jest, to w dalszych warstwach atmosfery znajduje się także tlen. Jego obecności nie można stwierdzić w widmie światła prawdopodobnie z tej przyczyny, że promienie słoneczne nie mają dość siły, by przebić się przez gęstą atmosferę.

— Oczywiście budować można dowolną ilość bardzo logicznych hipotez — uśmiechnął się astronom. — Szkoda tylko, że w praktyce mało to daje.

— Cóż robić, drogi Michale Andrejewiczu — odpowiedział Jachontow. — Przecież po to tu przylecieliśmy, ażeby te zagadnienia wyjaśnić. Jeśli nic nie będzie można zaobserwować, opuścimy się niżej i zbadamy, jak tam jest naprawdę.

— Jak dotychczas, lecimy nic nie widząc — mruknął Szapowałow.

— Nic na to nie poradzimy. Zrobiliście wszystko, ażeby ułatwić zadanie. Niestety, zasłona chmur jest zbyt szczelna. Jedyne wyjście — to przebić się przez nią.

— To bardzo niebezpieczny manewr, Wiktorze Pietrowiczu! Po pierwsze — nie wiemy, jaką grubość ma pokrywa obłoków unoszących się nad powierzchnią planety. Po drugie — na Wenus znajdować się mogą wysokie góry. Ponadto — nie należy zapominać, że im bliżej znajdziemy się powierzchni planety, tym większa będzie siła jej przyciągania., Po przejściu pewnego punktu krytycznego znaleźć możemy się po prostu w „niewoli” i kto wie, czy nie na zawsze.

Jachontow rozłożył ręce.

— Ostatnie słowo należy do astronoma — powiedział. — Szturman ekspedycji musi podać swój ostateczny wniosek.

Astronom oddalił się od obserwatorium, by jeszcze raz sprawdzić obliczenia.

W duszy tego człowieka zwalczały się dwa różne uczucia. Z jednej strony nie znosił przedsięwzięć ryzykownych i niepewnych, wykraczających poza „granice rozwagi”, których się zawsze trzymał, z drugiej zaś, będąc uczonym o dużej ambicji zawodowej, niełatwo chciał zrezygnować z osiągnięcia wyznaczonego celu. Ponadto był to człowiek żądny sławy. I właśnie dążenie do rozgłosu, do sławy osobistej, do przodowania w tej lub innej dziedzinie naukowej zmuszało go niekiedy do postępowania kłócącego się z rozsądkiem, brało górę nad jego ostrożnością.

W tej chwili szarpały nim sprzeczne uczucia. Tuż, niedaleko, znajdowała się Wenus. Chciał jako pierwszy odkryć jej tajemnice. Jakże przykro byłoby wracać z pustymi rękami! To była jedyna wielka okazja, by rozśławić szeroko po świecie swe imię. Astronom już marzył o zaszczytach, o tytule akademika, o odczytach w Moskwie, Paryżu, Londynie...

Jednakże marzenia te przesłoniła obawa przed niebezpieczeństwem. Astronom lepiej niż inni rozumiał, jakie olbrzymie ryzyko stanowiła próba przedostania się pod pokrywę obłoków Wenus.

Szapowałow, przemierzając gorączkowo obserwatorium, usiłował rozstrzygnąć, co jest w danej chwili rozsądniejsze: czy przekonać towarzyszy, aby dopóki nie jest za późno, ominęli planetę z boku, czy też, odwrotnie, przywieść ich na sam skraj przepaści, rzucić na jedną kartę najwyższą stawkę — swoje życie i życie innych ludzi — po to, by wygrać lub zginąć.

Profesor podszedł do okna. Błyszcząca kula Wenus miała teraz złocisty odcień, wisiała zupełnie blisko, wabiła do siebie i drażniła grą kolorów. Astronom wpatrywał się w nią długo i coś obmyślał, po czym wrócił do stołu i na nowo zaczął się obliczaniem.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, Michał Andrejewicz postanowił przedstawić wyniki swej pracy.

— Co w tej chwili jest dla nas najważniejsze? — zaczął. — Grubość atmosfery Wenus. Próbowałem ją określić, wychodząc z założenia, że twarda masa planety ma tę samą grubość co Ziemia. Następnie należało ustalić, na jaką głębokość można się opuścić w obłokach Wenus, by zachować wystarczającą prędkość — umożliwiającą wyjście z pola przyciągania tej planety. Obliczenia wykazują, że odległość krytyczna od powierzchni Wenus wynosi sto kilometrów.

— Na czym oparte są te wyliczenia? — zapytał Jachontow.

— Nie będę ukrywał. Obliczenia te nie są w stu procentach pewne. Szereg wielkości wyjściowych opartych jest na przypuszczeniach. Jeżeli zejdziemy poniżej stu kilometrów, narazimy się, oczywiście, na wielkie niebezpieczeństwo, lecz jeśli postąpimy inaczej, jeśli nie zaryzykujemy, wrócimy do domu z niczym. Byłoby to bardzo przykre. "Szczególnie dla astronoma. Należy więc powziąć decyzję: czy ryzykować?

— Decyzję biorę na siebie — odparł Jachontow. — Sądzę, że wszyscy się ze mną zgodzą. Zbliżyliśmy się do powierzchni Wenus na odległość stu kilometrów. Jeżeli pokrywa obłoków kończy się na tej wysokości, wykonamy lot dookoła planety, zrobimy zdjęcia, pobierzemy próbki atmosfery i wrócimy. Jeżeli

zaś obłoki rozciągają się poniżej stu kilometrów i stanowią warstwę nieprzeniknioną, to cóż — nic nie poradzimy! Ograniczymy się tylko do zbadania ich składu. Pamiętajcie jednak, że to już granica. Jeżeli popełnimy jakiś błąd, na zawsze pozostaniemy na Wenus.

Podróżnikom wydawało się czasem, że doznali już wszystkich możliwych wzruszeń i przeżyć, że nic już gorszego ich spotkać nie może. Tymczasem zbliżył się moment, w którym zaczęli wątpić, czy potrafią wytrzymać nerwowo oczekujące ich jeszcze próby.

Lśniący dysk Wenus osiągnął już takie rozmiary, że zajął prawie cały horyzont. Nastąpiła chwila, w której piloci musieli zademonstrować swój kunszt. Przy pulpicie zajął miejsce Sandomirski. Był poważny i zatroskany. Przy nim stanął Włodzimierz. W pobliżu znajdował się również profesor Szapowałow.

— Mikołaju Aleksandrowiczu! — odezwał się Jachontow. — Wiem, że podczas lotu prawa kapitana statku są nieograniczone. Nie wypędzajcie nas z kabiny nawigacyjnej. Bardzo was proszę. Tak pragniemy zobaczyć jak najwięcej.

Sandomirski, nie odrywając się od przyrządów, milcząco skinął głową.

Nagle jakaś siła rzuciła wszystkich w lewo. Pilot obrócił koło sterowe i rakieta zboczyła z linii lotu w prawo. Statek 'zbliżał się do Wenus w płaszczyźnie jej równika. W stosunku do jej powierzchni manewr oznaczał, że rakieta unosi się w górę.

— Przechodzę do lotu po spirali! — krzyknął Sandomirski.

Rakieta leciała teraz tak, że Wenus pozostawała z lewej strony. Przez okna widać było zbliżający się skraj oświetlonej półkuli. Upłynęło jeszcze kilka minut

i kabina pogrążyła się w ciemnościach. Kapitan statku nie chciał włączać oświetlenia elektrycznego, ponieważ utracono by w ten sposób możliwość obserwowania tego wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz. Jedyne według przesuwania się gwiazd w oknach można było zauważyć, że statek leci nie po prostej, lecz opisuje płynną linię krzywą.

Tak trwało około trzydziestu minut. I znowu ukazała się oświetlona półkula. Tymczasem już gołym okiem można było stwierdzić, że jaskrawo-biała powierzchnia obłoków znajdowała się znacznie bliżej. Raptem nastąpił lekki wstrząs. Rakieta podskoczyła jak na sprężynach. Astronauci odnieśli wrażenie, jak gdyby statek natknął się na nieznaczną przeszkodę i pokonał jej opór.

Na pulpicie sterowym zapłonęła niebieska żarówka.

— Statek wszedł w górne warstwy atmosfery — spokojnie wyjaśnił Sandomirski. — Obecnie cały problem polega na tym, by zniżyć się możliwie pomału. Niestety, nie mamy żadnego pojęcia o gęstości środowiska.

W kabinie zapanowała cisza, której nikt nie chciał zakłócić. Rakieta wykonała kilka okrążeń planety. Niezwykle prędko, wydało się astronautom, następowała zmiana dnia i nocy. Zaledwie światło dzienne zdążyło oświetlić kabinę, gdy na nowo zapadał mrok. Tak powtórzyło się kilka razy.

Wtem jakaś potężna siła szarpnęła wszystkich do przodu. Gdyby nie pasy przytrzymujące, pilot wyleciałby z fotela na pulpit sterowy. Podróżnicy doznali dawno zapomnianego uczucia, ciała ich na nowo zaczynały odzyskiwać ciężar i do tego dość znaczny.

Wreszcie oswojono się z nową sytuacją i rakieta zaczęła płynąć równomiernie.

— To są obłoki — powiedział Sandomirski. — Statek wszedł w ich warstwę. Gęstość chmur, jak widać, jest bardzo duża.

Ten wstrząs odczuliśmy dlatego, że stawiają one duży opór — dodał wyjaśniająco Szapowałow,

Wyjaśnienie to z naukowego punktu widzenia było zupełnie słuszne. Uczni pośpiesznie zabezpieczyli się pasami ochronnymi przymocowanymi do foteli.

Obraz roztaczający się za oknami uległ znowu zmianie. Jeśli przedtem z jednej strony rakiety widniała biała, miejscami złocista masa obłoków, a z drugiej usiane gwiazdami niebo, to teraz z lewej zaczęło się znacznie przejaśniać i zamiast czerni wystąpił intensywny fioletowy kolor.

— Proszę uważać! — zawołał Szapowałow. — W tej chwili znajdujemy się w strefie wypełnionej substancją załamującą i rozpraszającą światło.

Astronauci nie mogli obserwować dłużej tego zjawiska, gdyż rakieta ponownie zanurzyła się w warstwę chmur. Po obu jej bokach rozciągała się teraz żółtawa masa mgły. Powietrze w kabinie zaczęło się wyraźnie rozgrzewać. Włodzimierz, obserwując przyrządy, zwrócił uwagę kapitana statku na skalę termometru połączonego z zewnętrznym pokryciem rakiety. Termometr wskazywał plus 138°.

Sandomirski popatrzył na skalę i twarz jego przybrała wyraz surowej powagi.

— No jak? — cicho zapytał Jachontow.

— Bardzo wielki opór środowiska — równie cicho odpowiedział Sandomirski. — Pancierz rakiety nagrzewa się bardziej, niż sobie tego życzę.

Gdy rakieta znowu pojawiła się nad oświetloną półkulą Wenus, kolor obłoków, poprzez które leciał statek, zmienił się na ciemnożółty, przy czym z każdą minutą stawał się intensywniejszy, aż wreszcie przybrał odcień pomarańczowy. Oznaczało to, że podnosiła się temperatura. Rzeczywiście, termometr wskazywał, iż płaszcz rakiety nagrzał się do 389°. Mimo że uruchomiono system chłodzący, oddychanie w kabinie stawało się coraz trudniejsze. Sandomirski jednak siedział w dalszym ciągu za pulpitem. Twarz jego stała się pąsowa od wysiłku. Ciężko było również pozostałym astronautom. Szczególnie źle czuł się otyły astronom.

— Czy długo jeszcze możemy się opuszczać? — zapytał go Jachontow.

— Wysokościomierz wskazuje 250 kilometrów — odpowiedział słabym głosem astronom.— W każdym razie obłoki są jeszcze bardzo gęste... Czyżby nie udało* się nam ich przebić?

Szapowałow mówił z trudem. Krew uderzała mu do głowy. Zaczynał tracić przytomność.

— Pamiętajcie... — szeptał tak cicho, że ledwo go było słychać. — Poniżej stu kilometrów nie wolno... w żadnym wypadku. Obserwujcie, proszę... Ja źle widzę...

Sandomirski odwrócił głowę. Twarz jego stała się od panującego żaru jakaś nienaturalna i brzydka.

— Wszyscy natychmiast opuszczą kajutę! — wycharczał ochryple. — Będę się zniżał do granicy 100 kilometrów. Włączę aparaty fotograficzne, skoro zobaczą odsłoniętą powierzchnię. Tu pozostawać nie wolno. Proszę pomóc Michałowi Andrejewiczowi... Szybciej do komór amortyzacyjnych... Nie wiadomo, co może się stać... Pozostaje tylko Odincow.

W skroniach biło jak młotem. Przebudził się instynkt samozachowawczy. Natasza objęła głowę rękami.

Nie było czasu do stracenia. Jachontow i Kraśnicki zanieśli Szapowałowa na dół, ubrali pośpiesznie w skafander i umieścili w komorze amortyzacyjnej. Pomagała im Natasza. Dowiodła tym, zresztą już nie pierwszy raz, że jest dzielną kobietą. Ona również wdziała ubranie ochronne i zanurzyła się w roztworze. Tak samo postąpili obaj uczeni.

W tym czasie rakietę przebiła już warstwę obłoków. Przed oknami kabiny roztoczył się po raz pierwszy przed oczyma człowieka fascynujący pejzaż Wenus.

Wszystko tonęło w potokach osobliwego, żółto- pomarańczowego światła. Zasnute obłokami niebo nie było, jak niebo ziemskie, niebieskie lub szare, lecz bladożółte, co nadawało całemu otoczeniu złowieszczy koloryt.

Statek leciał bardzo wysoko. Mglista otoczka Wenus unosiła się na takiej wysokości, jakiej nigdy nie osiągają chmury w atmosferze Ziemi. Gdzieś daleko w dole widać było grzbiety górskie i olbrzymie, czarne skały. W wielu miejscach unosiły się ku niebu kłęby szarego i czerwonego dymu. Gdźieniedzie błyskały języki żółtych płomieni. W trzech miejscach zauważono wybuchy wulkanów.

Widać było rozżarzoną lawę rozlewającą się ognistymi strumieniami po zboczach gór i spływającą do morza. Tak, na Wenus istniały morza.

Jeśli można było opierać się na pierwszych wrażeniach, to większą część powierzchni zajmowały właśnie przestrzenie wodne. Znad mórz wyrastały góry, tworząc niezliczone, wielkie i małe, oddzielone cieśninami wyspy.

Włodzimierz chłonał te niezwykle widoki gorejącymi oczyma. Wiedział, że na obserwacje pozostało zaledwie parę minut. Pragnął zobaczyć jak najwięcej, pragnął utrwalić w pamięci wszystko. Patrzył więc i patrzył...

Wtem rozległo się słabe stęknienie. Odincow odwrócił się od okna. Gorąco w kabynie stało się nie do zniesienia. Twarz Sandomirskiego nabrała koloru purpury. Kapitan statku był bliski omdlenia.

— Niedobrze wam! — Odincow chwycił go za ramiona. — Ja zastąpię.

— Na razie jeszcze się trzymam. Zobaczcie, co się dzieje w salonie...

Włodzimierz nie chciał wychodzić w takiej chwili z kabiny nawigacyjnej, ale rozkaz był rozkazem. Z wielkim trudem udało mu się zejść na dół. Tam wszystko było w porządku. Ludzie znajdowali się w komorach amortyzacyjnych. W salonie nie można było oddychać. Urządzenia chłodnicze nie mogły zwalczyć gorąca. Odincowowi zrobiło się niedobrze. Zrozumiał, że dłużej nie może tu pozostawać. Ostatkiem sił powłókł się z powrotem do kabiny nawigacyjnej — jeszcze chwila, a byłoby za późno! Sandomirski już nie siedział w fotelu, lecz leżał w nim, opierając się bezwładnie o poręcz. Włodzimierz rzucił okiem na termometr zewnętrzny. Wskazywał plus 675°. Temperatura wewnątrz rakiety wynosiła 85°.

Odincow z trudem przeniósł kapitana statku na drugi fotel, sam zaś zajął jego miejsce przy pulpicie sterowym. Przed oczyma wirowały mu czerwone koła. Trzeba było mieć niezwykle silną wolę, ażeby pokonać osłabienie, ażeby przełamać władzę bólu i zorientować się w sytuacji.

Włodzimierz spojrział na wysokościomierz. Mimo nieznośnego gorąca na czole pilota wystąpił zimny pot. Wskazówka przyrządu zatrzymała się na liczbie 65 kilometrów. W czasie nieobecności 226 Odincowa rakietę minęła fatalną linię. Straciwszy przytomność, Sandomirski nie mógł temu we właściwym czasie zapobiec.

Mikołaj Aleksandrowicz zszedł niżej stu kilometrów. Odincow wiedział doskonale, czym to grozi. Teraz można by zużyć nawet cały zapas paliwa i niewiele by to pomogło. Rakietę bowiem nie mogła już pokonać przyciągania Wenus. Droga powrotna była odcięta!

Odincow usiłował uporządkować myśli. Co teraz robić? Pozostawała jedyna tylko droga ocalenia — schodzić w dół. Pokonywanie siły przyciągania było już bezskuteczne. Los rakiety i życia jej pasażerów spoczywały teraz w jego rękach. Przez moment pomyślał o Nataszy. Jak we mgle mignęła mu kochana twarz... Dobrze, że wszyscy byli w komorach i nie wiedzieli, co się stało! Natasza! Natasza!

Rozpalony do czerwoności statek kosmiczny pędził z olbrzymią prędkością. Nie można było jeszcze lądować. Obok chrapał Sandomirski. Odincow znajdował się u kresu wytrzymałości. Wiedział, że jak najprędzej musi zmniejszyć prędkość lotu, gdyż w przeciwnym razie czeka ich nieunikniona zguba. Nakreślony przedtem plan lotu wokół planety po spirali aż do tego momentu, kiedy

prędkość dojdzie do minimum, stał się już nierealny. Atmosfera Wenus okazała się bardziej gęsta, niż myślano. Dlatego też nagrzanie rakiety stawało się niezwykle groźne.

Pilot zdecydował się działać energicznie: włączył silniki, których dysze skierowane były do przodu. Odgrywały one rolę swego rodzaju hamulców odrzutowych. Z rur silników wybuchały jaskrawe pęki ognia. Widać je było po obu stronach kabiny nawigacyjnej. Towarzyszył im gwałtowny wstrząs, który w pierwszej chwili o mało nie wyrzucił pilota z fotela. Ogłuszony Odincow znalazł jeszcze w sobie tyle sił, by wyłączyć główny silnik i chwycić za koło sterowe. Cel został osiągnięty: prędkość rakiety wyraźnie zmalała.

W tym czasie statek znajdował się po zaciemnionej stronie planety. Mrok nocy pokrył wszystko czarną zasłoną. Tylko gdzieś w dole widać było tu i ówdzie ognie wulkanów, wyrzucających pod niebo słupy purpurowego dymu.

Włodzimierz zastygł przy sterze. Wpatrywał się uważnie w dal, usiłując znaleźć dogodne miejsce do lądowania. Gdy rakieta ponownie znalazła się nad półkulą oświetloną, spostrzegł nieco na prawo od kursu gładkie lustro wody. Hamujące działanie skrzydeł i ogona odnosiło skutek: lot rakiety stawał się powolniejszy, ale jej płaszcz w dalszym ciągu pozostawał rozpalony. Minuty wlokły się niezmiernie długo. Pilot jeszcze raz okrążył planetę, zniżając wysokość i wytracając prędkość.

Ukazały się góry. Widać już było dokładnie ich strome zbocza oraz gołe i ponure skały. Wenus witała przybywających z innego świata śmiałków nieprzyjaźnie. Czarne skały, snujące się purpurowe dymy wulkanów, kłębiące się w górze trupiożółte obłoki i jakieś niezwykle dla oka ludzkiego pomarańczowe świa-

tło — oto jaki obraz Wenus zobaczył człowiek, który pokonał otchłań kosmosu, ażeby odsłonić tajemnicę tej „gwiazdy”.

Zbliżała się najniebezpieczniejsza chwila podróży, wymagająca od pilota maksymalnego spo- 228 koju i opanowania. Tymczasem Odincow gonił resztkami sił. Tylko dzięki nadludzkiej sile woli trzymał się jeszcze przy sterze i nie padł zemdłony. Prawie automatycznie włączył jeszcze raz hamulce odrzutowe i wyczuwając, że prędkość statku znacznie się zmniejszyła, zaczął wypatrywać dogodnego miejsca do lądowania. Był pewny, że morze, które widział przelatując wysoko, znajduje się gdzieś w pobliżu, na "razie jednak przed oczyma jego rozciągał się długi łańcuch zębatach skał.

Statek zniżał się coraz bardziej. Prędkość jego wynosiła teraz około 1500 kilometrów na godzinę. Była ona w porównaniu z prędkością, którą rozwijał w przestrzeni kosmicznej, nieznaczna, ale zbyt jeszcze wielka, by rakietą mogła bezpiecznie lądować.

Ostre szczyty gór znajdowały się już bardzo blisko, morza jednak nigdzie nie było widać. Półprzytomny pilot zachował jedynie niejasną świadomość, że należy zbaczać w prawo. Posłuszny temu rozkazowi, wykonał odpowiedni manewr. Lecz nagle drogę zagroził mu gęsty, oświetlony z dołu purpurowymi płomieniami obłok dymu. Odincow instynktownie obrócił ponownie koło sterowe i ziejący ogniem wulkan pozostał z lewej strony. Niebezpieczeństwo wszakże nie minęło, bo oto raptem spośród mgieł i dymu wyłonił się tuż spiczasty szczyt góry. Wydawało się, że musi nastąpić zderzenie. Pilot, mając tuż przed oczyma krwawoczerwoną przeszkodę, w ostatnim ułamku sekundy, odruchowo, szarpnął ster na siebie. Statek poderwał się w górę, mijając szczęśliwie zębate załomy skał. I

nagle gdzieś w dali ukazało się pokryte groźnymi falami morze. Pilot wykorzystał jeszcze jeden manewr i choć uczynił to nieświadomie, rakietę tracąc prędkość zaczęła opadać. Odincow jeszcze miał tyle siły, ażeby wyrównać lot i skierować statek pod małym kątem w dół, prawie równoległe do powierzchni morza. Po chwili wszakże stało się z nim to, co poprzednio z Sandomirskim. Pochylił głowę, wypuścił z rąk ster i stracił przytomność.

Pozbawiona pilota rakietę przez kilka sekund leciała jeszcze siłą bezwładności, po czym runęła w burzliwe fale morza. Wysoko w górę wytrysnął olbrzymi słup pary, który przesłonił miejsce jej zanurzenia.

ROZDZIAŁ XIII

w którym sztandar Kraju Rad powiewa nad skałami Wenus

Cały ten zdumiewający kraj skąpany był w potokach dziennego, niezwyklego dla oka ludzkiego, żółtego, prawie pomarańczowego światła.

Tak bywa w porze letniej, kiedy u schyłku upalnego dnia zbiera się na burzę, kiedy tuż przed zachodem słońca gromadzą się ciemne chmury oświetlone purpurowymi płomieniami zorzy wieczornej. Z nieba spływa już zmrok, ale nie zgasły jeszcze promienie dziennego światła, które prześwietlając obłoki rzucają złowieszcze szkarłatnożółte odblaski. W tym dziwnym, niesamowitym świetle zieleni staje się ciemna, przybiera odcień roztopionego złota, a ceglane mury wydają się niezwykle jaskrawe.

Takie właśnie jasnożółte, czerwone i niesamowite światło przenikało przez okna rakiety. W jej pomieszczeniach nie panował jednak mrok. Przeciwnie, można tu było czytać nawet najdrobniejszy druk, lecz światło, które tu wpadało, wydawało się sztuczne, jakby pochodziło od zawieszonego na niebie olbrzymiego reflektora zaopatrzonego w ciemnożółte szkła.

Taki był obraz, który zobaczył za oknami Kraśnicki, gdy podniósł pokrywę wjazdu kabiny amortyzacyjnej i zajrzał do salonu. Nie było tam nikogo. Nie dochodził żaden odgłos z kabiny nawigacyjnej.

„Katastrofa — przebiegło mu przez myśl. — Gdzie piloci? Czyżby zginęli?”

Kraśnicki zrzucił z siebie skafander i wbiegł na górę.

Piloci żyli, lecz obaj byli nieprzytomni. Nieznośny żar i ciężkie powietrze zmogły nawet tak silnych ludzi, jak Sandomirski i Odincow. Nikt nie zdołałby wytrzymać panujących tu warunków. Nikt nie zniósłby takiego fizycznego i nerwowego napięcia. Na domiar złego wskutek zderzenia się rakiety z powierzchnią morza pękł pas przytrzymujący pilota w fotelu. Odincowa wyrzuciło ponad pulpity tak, że uderzył głową w ramę i upadł nieprzytomny. Na niego całym ciężarem zwałił się wyrzucony z fotela Sandomirski.

Kraśnicki pobiegł do apteczki, znalazł tam odpowiedni flakon i przywrócił do przytomności kapitana statku.

— Gdzie jestem? — zapytał z jękiem Sandomirski, oglądając się dokoła.
— Co się stało? Spadliśmy?

— Zdaje się, że osiedliśmy na wodzie. Wszystko w porządku. Lekkie omdlenie.

— Gdzie są inni? Kto przy sterze?

— Odincow jest tutaj.

— Żyje?

— Zdaje się, że tak. Zaraz zobaczymy...

— Gdzie jesteśmy? — zapytał ponownie Sandomirski.

— Dokładnie nie wiem. Rakieta znajduje się 232 niewątpliwie na powierzchni Wenus. Przy sterze nie ma nikogo. Lecz to nieważne. Zdaje się, że płyniemy. Czuję kołysanie statku.

Rzeczywiście, olbrzymie ciało rakiety znajdowało się w stałym ruchu. Rzucało ją na boki. Dzwoniły naczynia w szafach, kołysały się wiszące na ścianach przedmioty.

Gdy Kraśnicki zostawiwszy Sandomirskiego zaczął krzątać się koło Odincowa, z komór amortyzacyjnych wyszli Szapowałow i Natasza. Astronom, chwając się, podszedł do pulpitu i chwycił koło sterowe.

Odincow mimo stosowania środków trzeźwiących i wody, którą gdzieś zdobył Kraśnicki, nie dawał żadnych oznak życia. Nic nie pomagało. Nad nim pochyliła się zrozpaczona Natasza. Zastosowano sztuczne oddychanie. Wydawało się, że to już koniec. Zal było patrzeć na Nataszę, gdy z zaciśniętymi ustami, zginając i rozprostowując ramiona Włodzimierza, usiłowała wlać życie w bezwładne ciało. Łzy ciekły jej po twarzy.

— Wydaje mi się, że westchnął — wyszeptał z nadzieją Kraśnicki.

Natasza przyłożyła ucho do piersi Włodzimierza.

— Nie! — zawołała. — Cóż za nieszczęście mnie spotyka!

— Stosujmy dalej sztuczne oddychanie.

Astronauci przebywali około trzech miesięcy

w warunkach całkowitej nieważkości ciał. Ich mięśnie, serce, system nerwowy przywykły do tego, że wszelkie ruchy, wszelka praca nie wymagały wcale

fizycznego wysiłku. Obecnie zaś ciała miały znowu swój ciężar. Ludzie czuli się słabo, tak jak gdyby pierwszy raz wstali po ciężkiej i długiej chorobie. Zastosowanie sztucznego oddychania jest sprawą bardzo trudną nawet na Ziemi. Tu zaś chwiała się głowa, kołysała pod nogami podłoga, biło mocno serce... Natasza wytężała ostatnie siły.

Komorę amortyzacyjną opuścił również Wiktor Pietrowicz. Uchylił pokrywę luku, zorientował się natychmiast w sytuacji i przytrzymując się ściany, ruszył w kierunku kabiny nawigacyjnej. Natasza i Kraśnicki gonili już resztkami sił, gdy raptem na bladej twarzy Włodzimierza ukazał się lekki rumieniec. Odincow westchnął głęboko i otworzył oczy.

— Wołodia! Żyjesz! Żyjesz!... — szlochając zawołała Natasza.

Włodzimierz uniósł z wysiłkiem rękę i pogłaskał żonę po włosach. Chciał się podnieść, lecz nie miał dość sił.

— Leż, leż spokojnie!

Włodzimierz powiódł wzrokiem dokoła, stopniowo wracał do przytomności. Przypomniawszy sobie ostatnie minuty, które spędził za kołem sterowym.

— Wylądowaliśmy? Czy wszyscy żyją?

— Żyją, Wołodia! Żyją! Wszystko dobrze.

— A więc wylądowaliśmy na Wenus! — nie wytrzymał Szapowałow.

— Tgik, przyjaciele — zabrzmiał głos Jachon-towa.

— Czy chcieliśmy tego, czy nie, wylądowanie na planecie Wenus stało się faktem.

Słowa brzmiały uroczyście. Nikt nie zastanawiał się, co będzie dalej. Teraz gdy minęło pierwsze niebezpieczeństwo, wszyscy znajdowali się w podniosłym nastroju. Życie wszakże upominało się o swoje prawa. Należało coś zdecydować.

W okna kabiny biły grzbiety fal. Z szyb iluminatora ściekały strugi wody, podobnie jak w czasie ulewnego deszczu na Ziemi. Nie w tym więc tkwiła szczególność sytuacji. Niezwykły był natomiast kolor wody. W górze rozciągało się niebo. Nad głpwami astronautów zamiast zwykłego błękitnego sklepienia lub srebrzystych obłoków kłębiły się zwały pomarańczowobrunatnych chmur.

Obłoki nad Ziemią i stała zmiana ich kształtu jest jednym z najpiękniejszych zjawisk w przyrodzie. Na Wenus tego nie było. Tu nawet cienie chmur, nad naszym globem sine lub szare, miały kolor bądź brązowy, bądź brunatnofioletowy. Astronaucci spoglądali na nie z mimowolną trwogą.

Morze na Wenus w niczym nie przypominało szmaragdowych wód naszych oceanów. Było czerwone. Groźne fale bez przerwy uderzały w raketę. Żółty kolor nieba i purpura morza sprawiały, że refleksy oświetlające kabinę stwarzały nastrój grozy i tajemniczości.

Wokół roztaczał się obcy, pustynny ocean. Tylko gdzieś daleko na horyzoncie widniał zębaty łańcuch gór.

— Cóż za ponury obraz — przerwał ciszę Szapowałow.

— Nie pozbawiony jest jednak swoistego piękna — wtrąciła Natasza.

— Tak — przytaknął Jachontow. — Widok ten przypomina ponurą scenerię z „Boskiej komedii”

— Wszystko zależy od przyzwyczajenia. Błękitny kolor naszego nieba oraz szmaragd morza zależy tylko od składu chemicznego atmosfery Ziemi — dodał wyjaśniająco astronom.

Należało przystąpić do pracy. Astronauci wszakże nie od razu nad sobą zapanowali. Nie mogli przez dłuższy czas oderwać się od okien. Pragnęli wchłonąć w siebie jak najwięcej wrażeń, chociaż nie nasuwały one wesołych myśli. Wszyscy zrozumieli, że wkrótce nastaną dni ciężkich zmagania i wielkich niebezpieczeństw. Rzeczywistość okazała się zgodna z obrazem zarysowanym w trzeźwych umysłach astronautów. Wokół panował mrok. Ani jednego promyka Słońca. Ciężka, pochmurna pogoda. Porywisty wiatr. Ponury koloryt krajobrazu. Przygnębiające oświetlenie. Wszystko tu było obce.

Spoglądając na ten smutny obraz, astronauty mimo woli pomyśleli o wyczerpanych zapasach paliwa i odciętej drodze powrotu. Wszyscy uświadomili sobie, że jeśli nie nadejdzie pomoc z Ziemi, pozostać tu muszą na zawsze do końca swoich dni. Lądowanie na Wenus było katastrofą.

Podróżnicy, przyglądający się okien, tęsknie wpatrywali się w dal. Nikt nie miał chęci do rozmowy. Wszystkich trapiło pytanie: co czeka ich na tej obcej, niegościnniej planecie?

Fala; morskie z groźnym rykiem atakowały statek. Wydawało się, że usiłują rozbić płaszcz rakiety, wdrzeć się do środka i zniszczyć przybyszów. Mimo ol-

brzymich rozmiarów rakiety tak nią silnie kołysało, że należało trzymać się mocno pasów, ażeby nie upaść na podłogę.

Szef ekspedycji postanowił przerwać ponury nastrój, któremu poddali się astronauta. Rozumiał doskonale, co dzieje się w duszy każdego z nich.

Dopóki trwały przygotowania do podróży, a nawet w czasie jej trwania, przyszłość wydawała się piękna i pełna romantyki. Wszystko — szczególnie młodym uczestnikom wyprawy — wydawało się tak nowe, ciekawe i zajmujące. Oczywiście piferwsi astronauta byli ludźmi doświadczonymi, ludźmi o wielkiej wiedzy, którzy doskonale rozumieli, że wybrali drogę pełną niebezpieczeństw, wymagającą męstwa, głównie zaś — ciężkiej, powszedniej pracy i wysiłku. Lecz nawet u ludzi, którzy idą tylko za głosem rozsądku, tli się zawsze nadzieja, że wszystko będzie inaczej i lepiej. Każdy człowiek to trochę marzyciel i kiedy znajduje się sam z sobą, nierzadko zapuszcza się w czarodziejski świat fantazji i marzeń.

I nie jest to zły objaw. Przeciwnie, konsekwencją marzeń jest usiłowanie zmierzające do ich zrealizowania. Marzenie zwielokrotnia siłę człowieka, uskrzydla go, nadaje codziennej pracy sens, napędza ją głęboką treścią. ,

Przepiękne, uskrzydlające marzenia o dalekich światach, zdobytych wolą człowieka, natchnęło również naszych podróżników. Każdy z nich malował się w najweselszych barwach obraz pierwszych chwil, kiedy marzenie stanie się rzeczywistością.

I oto marzenia ich przybrały realny kształt. Kształt pozbawiony wszelkiej romantyki. Nastąpiła reakcja, zjawisko niebezpieczne, które należało jak najszybciej usunąć.

— Niewesoło, przyjaciele! — cicho powiedział Jachontow. — Cóż robić! Odkrywcom nigdy nie jest lekko. Przypomnijcie sobie bohaterskie zdobywanie calizn, nie tkniętych ręką ludzką, dzikich obszarów... Dni ciężkiej powszedniej pracy. Syberyjskie mrozy! Przypomnijcie sobie stepowe burze. Dzikie, przerażające przestrzenie. Tak, tam też nie było lekko, a mimo to po upływie niewielu lat calizny przekształciły się w uprawne pola. My zaś pod wieloma względami mamy warunki znacznie lepsze: dobrze urządzone mieszkanie, światło, ciepło. Takiego komfortu pionierzy uprawiania calizn na pewno nie mieli. A jeśli chodzi o wodę i żywność, jesteśmy w nie na długo zaopatrzeni.

Umilkł i spojrzał na towarzyszy.

— Nie jest źle — odezwał się Sandomirski. — W czasie wojny bywało znacznie gorzej.

— W zasadzie — zaczął na nowo Jachontow — wydaje mi się, że osadzenie rakiety na wodzie w takich warunkach to naprawdę rzadkie szczęście.

— I sztuka — dodała Natasza.

— Wielka sztuka — przytaknął chętnie Wiktor Pietrowicz, rzucając pełne wyrazu spojrzenie w kierunku Odincowa.

— Przylecieć, oczywiście, przylecieliśmy — ponuro zauważył Szapowałow. — Ale jak będzie z wylotem?

— Za wcześnie się martwić! — odparł Włodzimierz.

— Przedtem należy pobrać próbki wody i atmosfery — powiedział Kraśnicki i udał się do laboratorium.

— Spróbujmy połączyć się z Ziemią — podjął Jachontow. — Teraz, kiedy już lot się skończył, uda się może przywrócić łączność... Natasza, proszę nadać.

— Jaki tekst?

— „Lądowanie odbyło się pomyślnie. Na Wenus istnieją wielkie przestrzenie wodne. Wszyscy zdrowi. Jachontow". Na razie wystarczy.

— Zaraz spróbuję — odpowiedziała Natasza siadając przy nadajniku radiowym.

— Wy, Włodzimierzu Iwanowiczu — Jachontow zwrócił się do Odincowa — sprawdźcie,

w jakim stanie są silniki. Czy możecie to zrobić? „, Jak się teraz czujecie?

— Oczywiście, mogę.

— Doskonale! My zaś z Michałem Andrejewiczem zorientujemy się w sytuacji. Zastanowimy się, dokąd stąd wyruszyć.

Sandomirski zajął miejsce za pulpitem sterowym. Niestety silniki nie działały. Statek był na łasce żywiołu. Tymczasem burza wzmagała się. Nadchodził sztorm. Pojawiły się czarne chmury, za którymi zginęły żółte obłoki. Nagle przeleciała zygzakiem potworna błyskawica, za nią następna. Wszystko wokół oświetlone zostało jakimś zielonkawym światłem.

Rozpętała się burza. Pojawiały się bez przerwy błyskawice, którym towarzyszyły łoskoty grzmotów. Mimo podwójnych ścian rakiety słyszeć je było jak artyleryjską kanonadę. Astronaucci, obserwując to wspaniałe widowisko, zapomnieli na pewien czas o czekających ich trudnościach, o swym ciężkim, niewesołym położeniu.

Naraz Jachontow poczuł, że ktoś stoi za jego plecami. To była Natasza. Po wyrazie jej twarzy Wiktor Pietrowicz zrozumiał, że sprawa z łącznością przedstawia się źle.

— Nie ma połączenia? — zapytał.

Natasza skinęła głową i powiedziała:

— Nie odbierają sygnałów.

Akademik zachmurzył się.

— Przykra sprawa. Miałem nadzieję, że przeszkody, które nie pozwoliły nawiązać łączności radiowej z Ziemią, były związane z ruchem rakiety i że obecnie one znikną. Widocznie atmosfera Wenus nie przepuszcza fal radiowych. Czy pamiętacie, że przestały działać nasze aparaty radiolokacyjne, gdy zbliżaliśmy się do planety?

— Wpływa na to bliskość Słońca. Większy stopień jonizacji atmosfery — wtrącił Szapowałow.

— Możliwe. Postaramy się coś wykombinować... Natasza, odpocznijcie tymczasem.

W tej chwili wrócił Odincow.

— Silniki w porządku — oznajmił w odpowiedzi na pytające spojrzenie szefa ekspedycji.

— Ile zostało paliwa? — Wiktor Pietrowicz zwrócił się do Sandomirskiego.

— Fluoru ilość wystarczająca — patrząc na skalę przyrządu, odparł kapitan statku — borowo- doru zaś 2285 ton. Dużo spaliliśmy wykonując zwrot na nowy kurs. Niemało również zużyliśmy przy lądowaniu. O odlocie nie ma co marzyć. To, co mamy, wystarczy zaledwie, by pływać po morzu.

— Na razie niczego więcej nam nie trzeba — odpowiedział spokojnie Jachontow. — O powrocie jeszcze za wcześnie mówić.

Ten dzielny człowiek wiedział, że nastrój na pokładzie statku zależy w dużym stopniu od postawy szefa ekspedycji, od jego zachowania. Chociaż opanowywała go nieraz obawa i strach, przecież i on znajdował się w tej samej sytuacji co inni, usiłował stworzyć taką atmosferę, jak gdyby nic szczególnego nie zaszło.

— W zasadzie nam się wspaniale udało — powtórzył. — Dzięki istnieniu na Wenus mórz mogliśmy szczęśliwie osiąść na jej powierzchni. Gdyby nie było tu wód, musielibyśmy wylądować na stałym gruncie. Wtedy nastąpiłaby katastrofa. Zginęlibyśmy.

— Sądzę, Mikołaju Aleksandrowiczu — wtrącił uszczypliwie Odincow — że teraz zgodzicie się ze mną, iż statek kosmiczny może z powodzeniem wodować na powierzchni morza.

Sandomirski uśmiechnął się i machnął ręką, co miało oznaczać, że nie chce się sprzeczać.

— Fakt, że pokonaliśmy przestrzeń kosmiczną — odezwał się profesor Szapowałow — nie stanowi jeszcze rzeczy nadzwyczajnej, natomiast pomyślné wódownie jest rzeczywiście prawdziwym cudem!

— Dlaczego? — zapytał Jachontow.

— Czy pamiętacie, jak bardzo nagrzewała się woda w komorach amortyzacyjnych?... Moje obawy sprawdziły się.

— Mianowicie jakie?

— Nie mieliśmy przecież pojęcia o składzie i gęstości atmosfery Wenus. Po prostu zadziwiające, że w tych warunkach nie rozplynęliśmy się. Wszystko przemawia za tym, że atmosfera Wenus jest o wiele gęstsza niż na Ziemi. Zresztą zaraz się o tym dowiemy... Zdaje się, że idzie Iwan Płatonowicz.

— Cóż nam zakomunikujecie? — zapytał Jachontow, gdy Kraśnicki wszedł do kabiny.

— Choć przeszkadzała burza i kołysanie, udało mi się pobrać pierwsze próbki wody i powietrza — odpowiedział chemik.

— Przeprowadziliście analizę?

— Tak.

Kraśnicki wyciągnął z kieszeni arkusz papieru z notatkami, z których astronauta dowiedzieli się, że atmosfera Wenus składa się z mieszaniny gazów, których ciężar właściwy jest znacznie większy niż ciężar powietrza na Ziemi. I to właśnie — co zresztą przewidywał Szapowałow — było przyczyną przegrzania się rakiety, które nieledwie doprowadziło podróżników do utraty życia.

Wiktor Pietrowicz nie mógł się wstrzymać, by nie wyjaśnić w sposób przypominający wykład:

— Jeżeli gęstość powietrza na Ziemi w stosunku do wodoru wynosi 14,44, to dla atmosfery Wenus wielkość ta wyraża się liczbą 17,43.

— Co? — zdziwił się Sandomirski.

— Tak! Wynika to z prostych przyczyn. Otóż atmosfera Wenus zawiera mniej azotu, a znacznie więcej dwutlenku węgla. Na Ziemi bezwodnik węglowy zajmuje 0,03% objętości i 0,05% ciężaru atmosfery, na Wenus zaś — 13,65% ogólnej objętości. Ilość azotu na Wenus osiąga 65,05% wobec 75,55% na Ziemi. Taka atmosfera więc nie nadaje się do oddychania.

— A tlen? — zapytał Szapowałow. — Jest to pierwiastek przecież najważniejszy.

— Tlenu wykryto około 15% — odpowiedział Wiktor Pietrowicz. — Wykryto również substancje szkodliwe: amoniak, metan, etylen i inne węglowodory. Przypada na nie 6,3%. Ponadto stwierdzono także obecność cyjanu!...

— A wnioski? Jakie są wnioski? — niecierpliwił się Szapowałow. — Czy przy takim składzie atmosfery spotkamy tu roślinność i zwierzęta?

— Bezwzględnie — odparł Jachontow. — Sądzę, że gdyby nie nadmiar w atmosferze dwutlenku węgla, do warunków tu panujących mógłby również przywyknąć człowiek.

— A co wykazała analiza wody? — zapytała Natasza, przy czym w jej głosie tętniła obawa. — Czy można jej będzie używać do przyrządzania potraw?

— Woda na tej planecie różni się mało od naszej wody, jest tylko gorąca i bardziej słona. Ponieważ jest w większym stopniu nasycona solami, posiada większe niż woda na Ziemi właściwości rozpuszczające. Woda na Wenus nie nadaje się do picia.

— A może lepsza będzie woda deszczowa?

— Sprawdźmy. — Wiktor Pietrowicz odszukał oczami żadaną informację. — Tak, woda deszczowa jest dobra do picia, choć zawiera jakieś nierozpuszczalne składniki i jest mętna.

— A więc miałem rację! — nie bez zadowolenia zawołał profesor Szapowałow. — W jednym z artykułów pisałem o dużej ilości pyłu mineralnego w obłokach Wenus. Oto gdzie tkwi tajemnica żółtego zabarwienia nieba.

— Ciężar właściwy tutejszej wody wynosi 0,91 — dodał Wiktor Pietrowicz. — Innymi słowy, jeśli uwzględnimy mniejszą siłę przyciągania, jest ona znacznie gęstsza od naszej wody. Temperatura jej wynosi plus 43°.

— Akurat gorąca wanna — uśmiechnęła się Natasza. — Ale taką kąpielą nie można się orzeźwić.

— No, tak — zakończył Jachontow. — A gdybyśmy się ubrali w skafandry, czy moglibyśmy wyjść na zewnątrz? Jak sądzicie?

— Ciekawy jestem dokąd? — wtrącił Szapowałow. — Wszędzie przecież woda. Czyż mamy zatem wyjść na wierzch, na pomost i płynąć jak w gorącej wannie, rozpocząć poznawanie planety?

— Rozsądna odpowiedź — przyznał Jachontow. — Należy przybić do brzegu, do lądu... Czy nam się to uda, Mikołaju Aleksandrowiczu?

— Oczywiście tak, ale szkoda tracić na to paliwa. Raczej lepiej poczekać na przychylny wiatr, który przypędzi nas do brzegu.

Rozumowanie Sandomirskiego było słuszne. Burza bowiem spychała rakiety w kierunku gór, które niedawno ledwie widoczne, stawały się z każdą chwilą coraz bliższe. Astronaucci uzbroiwszy się w lornetki, zaczęli wpatrywać się w brzeg. Spostrzegli dzikie skały, które prawie pionowo opadały w morze. Był to chaos kamiennych brył. Rozrzucone bezładnie na dużej przestrzeni, szare, czasami czarne i błyszczące, czasami nawet czerwone, wyglądały równie surowo, jak wszystko zresztą na tej planecie.

— Nawet nie ma gdzie przybić — z rozczarowaniem zauważyła Natasza, opuszczając lornetkę. — Wszędzie tylko urwiska. Ani pasemka piasku, żadnej roślinności. Nieprzyjemnie!

— Tak właśnie powinno być — podchwycił Wiktor Pietrowicz. — Brzeg, który rozciąga się przed nami, tworzą skały wulkaniczne, przypominające nasze bazalty. Para wodna skropiła się nie tak dawno. Morze nie zdążyło jeszcze ostygnąć, a jego fale nie zdołały skał tych rozmyć i zamienić w piasek.

— Myślę, że Natalia Wasiljewna popełniła omyłkę, sądząc, że nie ma roślinności — zauważył Szapowałow. — Proszę przyjrzeć się dokładnie. Czym są te czerwone plamy?

— To chyba kamienie.

— Nie, mylicie się — wtrącił Jachontow. — To nie są kamienie. To są po prostu porosty lub jakieś wyższe #organizmy roślinne.

— Tego należało oczekiwać — ucieszył się Szapowalow. — Astrobotanika już dawno stwierdziła ścisły związek między warunkami temperatury a kolorem roślinności. Na Ziemi, jak wiemy, panuje powszechnie w świecie roślin zieleń, na Marsie zaś kolor niebieski.

— A na Wenus? — spytała Natasza.

— Na Wenus, która znajduje się znacznie bliżej Słońca, istnieje nadmiar ciepła. Nadmiar ten jest szkodliwy. Dlatego też rośliny muszą się przed nim w jakiś sposób bronić, muszą z nadmierną ilością ciepła walczyć. I właśnie pomaga im w tym kolor czerwony lub też czerwonawopomarańczowy, który nie pochłania promieniowania cieplnego, lecz je odbija.

— Dlatego tu nie tylko woda i niebo, ale również roślinność ma kolor czerwony! — ze zdziwieniem zawołała Natasza.

W ciągu krótkiego czasu rakieta znacznie zbliżyła się ku brzegowi. Teraz wszyscy mogli na własne oczy stwierdzić, że uwagi astronoma były w zupełności słuszne. Na krętych urwiskach skalnych pięły się poskręcane, czerwone krzaki. Bałwany z rykiem rozbijały się o nadbrzeżne głazy, lecz nawałnica przeszła i burza już wyraźnie przycichła.

Gdy statek znalazł się stosunkowo blisko brzegu, okazało się, że skały nie są tak bardzo urwiste, jak to wyglądało z daleka. Istniały wśród nich szczeliny, gdzie uderzające fale tworzyły kipiela, nad którą wznosiły się obłoki pary. Widowisko było odstrasżające, ale podróżnicy wierzyli w wytrzymałość swego statku.

Za sterem siadł jako były marynarz Iwan Płatonowicz Kraśnicki.

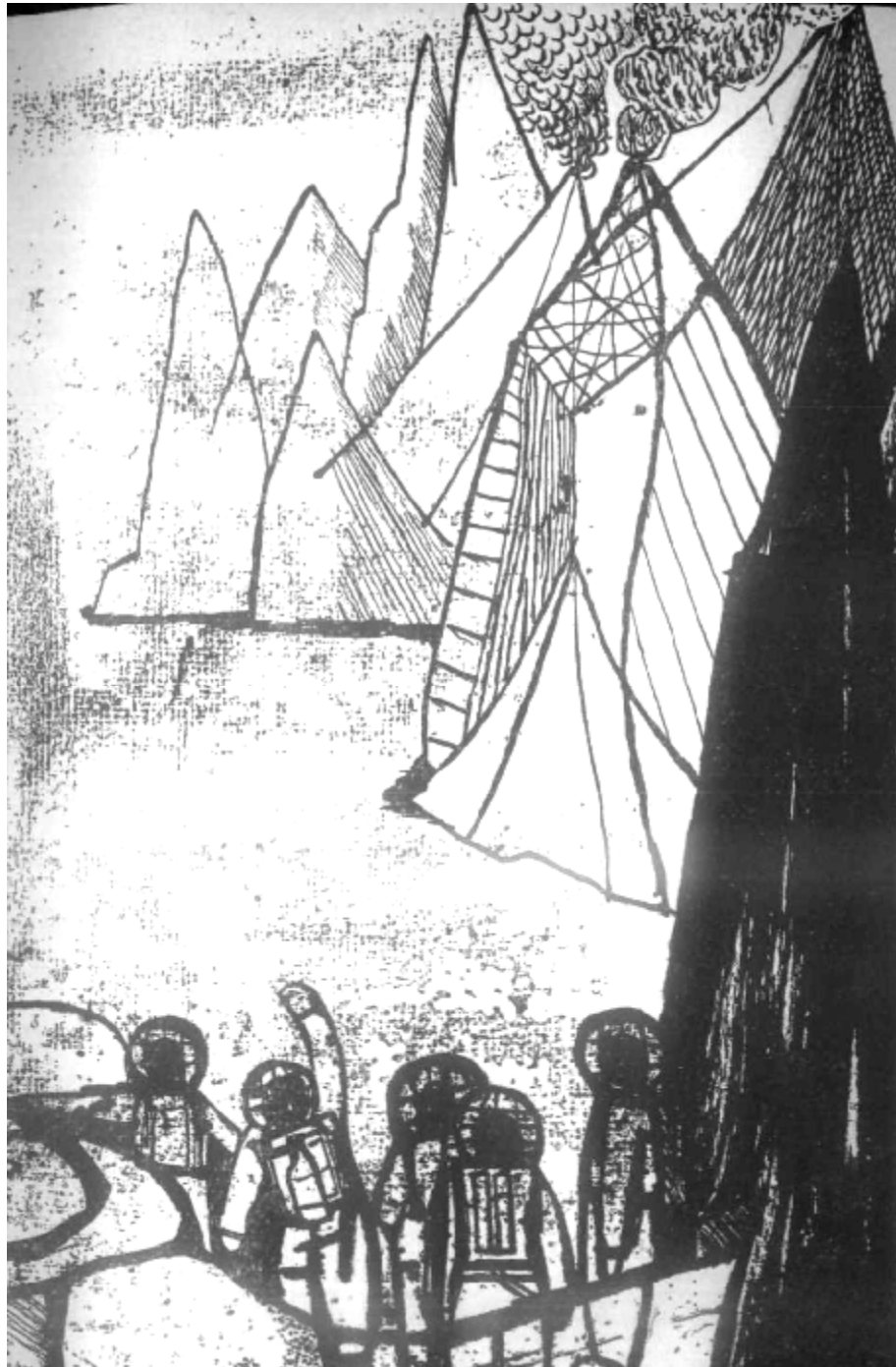
Wybrawszy najodpowiedniejsze miejsce, włączył małe silniki na skrzydłach i ostrożnie wprowadził statek w wąską cieśninę, gdzie, wydawało się, że nie ma "raf podwodnych. Rachuby te okazały się niezupełnie słuszne, gdyż rakieta kilka razy zgrzytnęła ocierając się dnem o głazy, w końcu jednak bez uszkodzeń uderzyła o brzeg i zamarła w bezruchu.

— Przybiliśmy! — zawołał Kraśnicki i westchnął z ulgą.

Podnieceni astronauci zaczęli wdziawać na siebie ochronne ubrania. Zdenierwowanie ich było zupełnie zrozumiałe. Inna bowiem rzecz patrzeć na Wenus z bezpiecznej odległości przez okna kabin, inna natomiast wstąpić na ląd nowego świata.

Wszyscy zgromadzili się koło luków kamer, którymi można było wydostać się na zewnątrz, gdy zachodziła potrzeba dokonywania napraw statku w czasie lotu. Stąd przedostali się następnie na skrzydło i wreszcie na twarde grunty Wenus. Pierwszym, który stanął na powierzchni tego zadziwiającego świata, był Jachontow.

Rakieta zatrzymała się u podnóża wysokiej, o spadzistych zboczach skały. Wspinanie się po skałach było niezmiernie trudne, ponieważ były one śliskie od wody, ponadto nabiegające z pełnego morza fale groziły zmyciem. Astronauci, po-



magając sobie wzajemnie i posługując się specjalnymi czekanami, wdrapali się wreszcie na płaski taras jednej ze skał. Tu zatrzymali się, by nieco wypocząć.

Zapanowało milczenie, którego przez dłuższy czas nikt nie chciał zakłócić. W tej zresztą sytuacji trudno było zdobyć się na jakieś słowa. Oto odwieczne ma-

rzenie człowieka stało się faktem. Po raz pierwszy w historii ludzkości jego stopa dotknęła powierzchni innej planety.

Wokół wszystko było nowe i straszne. Wrażenie to potęgowały spiętrzające się nad głowami, ponure, czarne skały i ciągnąca się w dal kręta linia brzegu. W oddali wystrzelały w niebo szczyty gór, które ginęły w przesuwających się z olbrzymią szybkością obłokach. W rozpadlinach i załamach skalnych widać było dziwne, jakby naumyślnie poskręcane rośliny, pokryte karminowo-czerwonymi liśćmi. Wiatr wył i po prostu szalał. To uciszał się na chwilę, to znów zrywał się z jeszcze większą siłą, zmuszając astronautów do zachowania jak największej ostrożności i okazywania sobie wzajemnej pomocy. W dole wrzała kipiela morza. Potworne bałwany atakowały zażarcie brzeg rozbijając się o jego skaliste zręby w fontanny różowej piany. Przez żółte i pąsowe chmury nie zdołał przeniknąć ani jeden promyk słońca.

Astronaucci stali maleńką grupką, trzymając się za ręce i patrzyli długo na rozciągający się przed nimi obcy, nieznany świat.

Podróżnicy mogli swobodnie porozumiewać się między sobą dzięki ultrakrótkofalowym stacjom radiowym, w które wyposażone były ich ochronne ubrania.

Uroczyste milczenie w tych niezapomnianych chwilach przerwał wreszcie Jachontow.

— Przyjaciele! — powiedział. — Gratuluję wam! Jesteśmy na Wenus! To, co wydawało się niemożliwe, jest faktem dokonany.

Astronauci z przejęciem uścisnęli sobie dłonie. Jakże chętnie objęliby się i serdecznie ucałowali! Uniemożliwiały to jednak hełmy skafandrów. Z kolei, nie porozumiewając się, jak na komendę, zaczęli ustawiać specjalny, przygotowany zawczasu na tę okoliczność stalowy maszt, ażeby zatknąć na Wenus sztandar swej ojczyzny, który wieźli tu jak największy skarb.

Minęło kilka chwil i wysoki maszt stał pewnie wśród ponurych skał. Jeszcze chwila i jasnoczerwony sztandar radziecki z młotem i sierpem popłynął do góry i rozwinął się szeroko na Wenus pod uderzeniem porywistego wiatru.

ROZDZIAŁ XIV

w którym jest mowa o pierwszych dniach astronautów na Wenus

Wiktor Pietrowicz postukiwał nerwowo ołówkiem o blat stołu, co było u niego oznaką zatroskania i zmartwienia.

— Łączność — mówił. — Nieodzowna jest łączność z Ziemią. Musimy ją nawiązać. Jeżeli nie zdołamy tego zrobić, cała ekspedycja okaże się nieporozumieniem, niedorzecznością.

Rozmowa toczyła się w kajucie uczonego wkrótce po ceremonii zatknięcia sztandaru. Kraśnicki siedział w fotelu, Odincow zaś stał w oknie i patrzył milcząco na rozpościerającą się płaszczyznę morza. Pozostali astronauta zajęli miejsca na otomanie. Choć Właściwie rzecz biorąc słowa szefa ekspedycji skierowane były tylko pod adresem Kraśnickiego, jedyne go spośród astronautów specjalisty w dziedzinie radiotechniki, to jednak wszyscy słuchali tej rozmowy z drzeniem serca. Rozmowa dotyczyła bowiem połączenia się z Ziemią, skomunikowania się z tym światem, który opuścili. Czyż można było ustosunkować się do tego problemu obojętnie? Przecież każdy z nich miał tam swych bliskich, być może pogrążonych w rozpacz, i chciałby im przekazać wiadomość o sobie.

— Nic nie wychodzi, Wiktorze Pietrowiczu — mówił Kraśnicki. — Nadajniki są w porządku. Widocznie za słaba moc. Jonosfera Wenus nie przepuszcza fal tej długości.

— A gdybyśmy spróbowali zmienić długość fal i zbudować mocniejszy nadajnik?

— Mała nadzieja. Poza tym potrzeba na to wiele czasu.

— Czasu mamy dosyć. Nie udało się dziś — może uda się jutro. Innego wyjścia nie mamy. Łączność musimy nawiązać. Za wszelką cenę.

Niepokój Jachontowa był zupełnie zrozumiały. Pokonać tyle trudności i niebezpieczeństw, osiągnąć cel i nie móc przekazać zdobytych wiadomości i obserwacji — czyż można wyobrazić sobie większe niepowodzenia!

Nad ekspedycją zawisła groźba pozostania na zawsze tu, na tej obcej, dalekiej planecie. Lecz ofiara z własnego życia nie byłaby daremna, gdyby astronauta wiedzieli, że rezultaty ich pracy nie przepadną, że z wiedzy zdobytej za cenę życia skorzysta cała ludzkość. I oto czeka ich taki przerażający i bezsensowny koniec.

Wiktor Pietrowicz stukał ołówkiem po stole, spoglądając pytająco na obecnych, jak gdyby oczekiwał od nich odpowiedzi. Sandomirski siedział nachmurzony i w skupieniu nad czymś głęboko się zastanawiał. Odincow dalej spoglądał w okno, lecz jego nieruchomy, skierowany w dal wzrok wskazywał, że ten młody człowiek również coś rozważa. Nie trwało to jednak długo. Raptem bowiem powziął jakąś decyzję, odwrócił się szybko od okna i krótko oświadczył:

— Nie mogę zapewnić regularnej łączności z Ziemią, lecz podejmuję się przesłać jeden radiogram.

Powiedziawszy to, spojrzął na Jachontowa w taki sposób, jak gdyby wszystko było proste i nie wymagało żadnych wyjaśnień. Wiktor Pietrowicz popatrzył pytająco na Odincowa. Ten jednak milczał.

— W jaki sposób? — spytał Jachontow.

— Jeśli fale naszych radiowych aparatów nadawczych nie mogą przebić się przez zjonizowaną warstwę atmosfery Wenus, to sygnał należy przesłać spoza granic tej warstwy. Przedostaną się tam na samolocie.

Projekt był nieoczekiwany, śmiały i tak prosty, jak proste są zwykle znakomite pomysły. Cóż bowiem było w danej sytuacji prostszego? Mając do swej dyspozycji samolot odrzutowy, można było z powodzeniem wznieść się poza obłoki, gdzie nie istnieją już przeszkody uniemożliwiające nawiązanie łączności radiowej.

— Zuch! — zawołał Sandomirski, z zachwytem patrząc na młodego pilota.
— To rozumiem!

— Obawiam się, że jest to przedsięwzięcie bardzo niebezpieczne — podjął Jachontow po namyśle. — Sam pomysł dobry, jednak jego zrealizowanie...

Sandomirski jeszcze raz popatrzył na Włodzimierza. W oczach Odincowa dojrzał tę głęboką wiarę we własne siły, jaka zwykle promieniuje z ludzi, gdy przystępują do wielkich i śmiałych czynów. Stary generał w osobie Włodzimierza zobaczył siebie z okresu, gdy był jeszcze lejtnantem i dokonywał zuchwałych lotów nad polami bitew.

— Oczywiście, lot taki to sprawa trudna i niebezpieczna — powiedział, głęboko wzdychając. — Tym bardziej że nie znamy zupełnie atmosfery Wenus. Lo-

ty na bardzo dużych wysokościach są zawsze, nawet na Ziemi, związane z ryzykiem. A tu... Zwarta pokrywa obłoków. Nie można zastosować radiopelengacji, ponieważ samolot wyjdzie poza jonosferę. Nikt również nie ma pojęcia, w jaki sposób należy w tych warunkach latać.

— Tak — zgodził się Jachontow — co innego wielka rakietka o masie 18 800 ton, rozwijająca prędkość kosmiczną, a co innego mały samolot.

— Oczywiście. Pomysł Odincowa to równanie z wieloma niewiadomymi. Jednakże Włodzimierz ma rację. Jest to jedyny sposób powiadomienia Ziemi.

— Wszystko to prawda — podjął uczonego wzdychając — lecz co to za ryzyko... Łączność jest nieodzowna, ale jakież straszne niebezpieczeństwo jest z tym związane. Natasza, co wy o tym sądzicie?

Odincowa silnie zacisnęła usta i nic nie odpowiedziała.

— Nie trzeba niebezpieczeństwa wyolbrzymiać — odezwał się Włodzimierz. — Latam nie pierwszy dzień i nie mam zamiaru robić głupstw. Dysponujemy już pewnymi danymi dotyczącymi atmosfery Wenus. Wiemy, na jaką wysokość wznoszą się obłoki, jaka jest ich gęstość itd. Ponadto zanim wystartuję w powietrze, przeprowadzimy obliczenia. Myślę, że pomoże mi Michał Andrejewicz. Muszę również ze dwa lub trzy dni poćwiczyć, ażeby się przyzwyczaić do warunków tutejszej atmosfery.

Jachontow popatrzył na Odincowa z szacunkiem, po czym po chwili namysłu powiedział:

— Dobrze! Propozycję akceptuję. Na przygotowania — pięć dni. Jednakże należy prócz tego szukać innego sposobu nawiązania łączności z Ziemią. Do-

tychczasowych prób proszę nie przerywać. Lot Włodzimierza Iwanowicza — to ostateczność.

Natasza zbliżyła się do męża i wzięła go pod rękę.

Na tym rozmowa się skończyła. Wszyscy udali się do swoich zajęć.

W miejscu, do którego przybiła rakieta, astronauta zatrzymali się nie na długo. Skoro tylko uciszył się Wiatr i poprawiła pogoda, ruszyli wzdłuż brzegu i znaleźli w odległości trzech kilometrów od cieśniny niewielką zatokę o spadzistych brzegach wyłożonych dużymi otoczkami.

W pasie przyływu leżały kanciaste odłamki skał poobijane wskutek zderzenia się z sobą w czasie burzy. Ale nawet taka zatoka, choćby trochę osłonięta od wichrów i fal, stanowiła w warunkach tej ponurej planety nie lada zdobycz. Tu można było mieć pewność, że sztorm nie porwie rakiety i nie uniesie jej na otwarty ocean. Dlatego też tu właśnie postanowiono się zatrzymać, przycumowując statek stalowymi linami do skał. Planetochód ulokowano nieco dalej od wody, w odpowiedniej rozpadlinie. W pobliżu rakiety zakotwiczono łódź podwodną, będącą raczej niewielkim batyskafem. W oddalonym kącie zatoki, wyżej linii, do której sięgała woda w czasie burzy, wyszukano miejsce, dość równy plac, dla stratoplanu-amfibii.

Wiele wysiłku i czasu zużyto na umocowanie skrzydeł do kadłuba stratoplanu. W końcu srebrny ptak został całkowicie przygotowany do lotu. Wszyscy solidnie się przy tym napracowali. Po upływie trzech dni ukończono również prace 4 związane z urządzeniem na brzegu pierwszego obozu. Jednakże astronauta, tak

jak i przedtem, przebywali głównie w rakiecie, gdzie nie trzeba było używać skafandrów. Tu pracowali, spożywali posiłki i spali.

Skafandry i odzież ochronna niezmiernie utrudniały życie. Astronauci przyzwyczajali się do nowych warunków stopniowo. Przeprowadzali systematyczny trening, przebywali najmniej po dwie godziny dziennie na brzegu, odbywali przechadzki w ochronnych ubraniach nad wodą lub po najbliższych położonych górach. Pragnęli jak najszybciej wydostać się na wierzch, na płaskowyż, którego urwisty skraj opadał ku morzu i tworzył jego brzeg.

Najtrudniej było przywyknąć do światła. Drażnił również niezwykle kolor morza. Człowiek pragnąłby patrzeć na szafirowe fale z grzbietami białej piany, tymczasem miał przed oczami rozpościerającą się szeroko, szkarłatną równinę, z igrającymi na jej powierzchni brunatnozłotymi barankami. Efekt ten był wywołany tylko innym niż na Ziemi kolorem nieba. Ilekroć ktoś zanurzył ręce w ciepłej wodzie Wenus, pragnął z przyzwyczajenia natychmiast je obmyć, gdyż zdawało mu się, że je czymś zabrudził. Nie trzeba udowadniać, że taka reakcja była niesłuszna. Woda bowiem zaczerpnięta za burtą statku i nalana do szklanek była równie przezroczysta jak woda na Ziemi.

Pierwszego wypadu na ląd Wenus dokonali astronauci w ciężkich skafandrach, wyposażonych w aparaty tlenowe i szczelne, nie przepuszczające gazów osłony. Ponieważ panowały tu niezwykle upały, ubiór taki był bardzo niewygodny (temperatura powietrza rzadko spadała poniżej 40°).

Skóra pokrywała się potem, trudno było oddychać. Jedynie siła woli i niezwykłość położenia sprawiały, że ludzie nie upadali na duchu i nie porzucali pracy. Szczególnie źle czuł się w skafandrze astronom, który nie znosił upałów rów-

nież na Ziemi. Pewnego razu nie wytrzymał i zaproponował, by nie używać odzieży ochronnej.

— Wiktorze Pietrowiczu — odezwał się żałośnie w czasie poobiedniej rozmowy. — To jest wprost niemożliwe. Duszę się... Pozwólcie, bym wyszedł bez skafandra. Zawsze będzie lżej. Wietrzyk podmucha.

— To jest myśl — podchwycił Kraśnicki. — W atmosferze nie znaleźliśmy przecież szkodliwych dla skóry substancji. Można poprzestać tylko na maskach.

— Tak! — ucieszyła się Natasza. — Życie będzie znacznie lżejsze. Że też wcześniej o tym nie pomyśleliśmy. Wszystko przeszło na wskroś zapachem gumy.

— Kto wie — zauważył Sandomirski — czy nie przyzwyczaimy się tak, że maski w ogóle nie będą nam potrzebne. Tlenu w powietrzu jest naj - pewniej dostateczna ilość. A czyż na Ziemi nie pracują robotnicy w takich oddziałach fabryk chemicznych, w których człowiek nie przyzwyczajony po prostu się dusi?

— Bardzo dobrze! — zawołała Natasza. — A skoro tylko wyjdziemy z tego wstrętnego gumowego pokrowca, to nikt nam nie zabroni wykąpać się w morzu.

— Od dawna już czas to zrobić — poparł Nataszę Włodzimierz. — Jest to konieczne również z punktu widzenia nauki. Należy przecież zbadać, jak wpływa kąpiel w tutejszym morzu na ludzki organizm...

— Jeśli chodzi o kąpiel w wodzie, której temperatura wynosi 40°, mam inne zdanie — uśmiechnął się Szapowałow.

— Jak bez, skafandrów, to bez skafandrów — rzekł Wiktor Pietrowicz. — Lecz nie trzeba się śpieszyć. Najpierw należy wszystkiemu się przyjrzeć. Wodzie również. Przecież istnieć w niej mogą, podobnie jak i u nas na Ziemi, wszelkiego rodzaju ośmiornice, rekiny, płaszczki. Nie można więc rzucać się bez zastanowienia do wody.

Słowa uczonego ostudziły nieco entuzjastów kąpieli.

— Nie można zapominać również o mikroorganizmach — zauważył zawsze ostrożny Szapowałow. — W takiej wodzie powinno być dużo wszelkiego pa-skudztwa!

Przestrożę szefa ekspedycji potraktowano jako rozkaz i resztę dnia poświęcono na dokładne spenetrowanie okolicy. Kraśnicki i Szapowałow podjęli się przeszukać brzeg. Sandomirski zaś i Odincow — obszar w rejonie przyływu. Brodząc po pas w wodzie, przeszukiwali szczeliny między skałami, oglądali uważnie każdy kamień na dnie, zarzucali sieci. W wyniku połowu uzyskano kilkanaście galaretowatych żyjątek w rodzaju meduz, które natychmiast dostarczono Jachontowowi. W ten sposób stwierdzono istnienie na Wenus życia. Niczego jednak podejrzanego i zagrażającego astronautom nie udało się spostrzec.

Natasza przeprowadzała w laboratorium badanie bakteriologiczne wody i powietrza. Następnego dnia otrzymano wyniki, które stwierdziły istnienie na Wenus najprzeróżniejszych mikroorganizmów. Niestety, na podstawie samego tylko kształtu bakterii, które znalazły się pod mikroskopem, nie udało się określić ich właściwości. Przebywanie więc na powietrzu bez skafandrów było ryzykowne. Największe niebezpieczeństwo stanowić mogło przedostawanie się bakterii do dróg oddechowych, lecz przed tym zabezpieczały maski aparatów tlenowych.

Jednakże należało liczyć się również z tym, że w atmosferze i wodzie Wenus znajdują się takie wirusy i mikroby, które odznaczają się zdolnością przenikania do organizmu przez skórę. Dlatego też, aby nie narażać na niebezpieczeństwo wszystkich, umówiono się, że na początek wyjdzie bez skafandra tylko jeden z astronautów. Potem zaś, jeśli okaże się, że śmiałkowi nic się złego nie stało, bez ubrań ochronnych będą chodzić wszyscy. W związku z tym wynikły spory, kto ma poddać się tej próbie.

— Ja pójdę! — oświadczył Odincow.

— Nie! — sprzeciwiła się Natasza. — Pomysł kąpieli był mój.

— A co ja mam powiedzieć? — odezwał się Szapowałow. — Przecież to ja zaproponowałem zdjąć te rzeczy... Byłoby więc niezręcznie, gdyby ktoś inny zamiast mnie...

Postanowiono wreszcie, że próbie podda się Odincow. Wyjdzie bez skafandra, ale w masce. Zdecydował o tym szef ekspedycji, który mając na uwadze dobro sprawy, sądził, że tak będzie najrozsądniej.

— Spróbujcie, mój drogi — powiedział jakoś smutnie, poklepując Włodzimierza po plecach.

Odincow, w zwykłym ubraniu i w masce osłaniającej tylko nos i usta, wyszedł na brzeg. Towarzystwi mu Natasza i Kraśnicki, którzy z zazdrością podziwiali lekkość i swobodę ruchów Włodzimierza. Odprowadzali go w tym celu, ażeby okazać mu pomoc, jeżeli zetknięcie z atmosferą groziłoby jakimiś poważnymi skutkami. Wszystko jednak przebiegło pomyślnie.

Następnego dnia wyszedł bez ubrania ochronnego również profesor Szapowałow. Spacerował lekkim krokiem wzdłuż brzegu, dziękując losowi, że waga jego ciała ze 102 kilogramów zmniejszyła się do 85.

Tak więc na powierzchni Wenus przebywać można było bez ciężkich i niewygodnych skafandrów. Nie dostrzeżono bowiem u tych, którzy poddali się próbom, żadnych niedomagań.

Włodzimierzowi i Nataszy pozwolono na pierwszą kąpiel w morzu.

Młodzi małżonkowie zrzucili z siebie odzież ochronną i w kostiumach kąpielowych pobiegli do wody.

Zachwyt Nataszy był w pełni usprawiedliwiony. Na statku bowiem, mimo komfortowych urządzeń, nie było łazienek, ze względu na konieczność oszczędzania wody. Poza tym w czasie lotu, gdy statek znajdował się w przestrzeni bezgrawitacyjnej, w ogóle nie mogło być mowy o kąpielu. W tych warunkach astronauta nacierał się tylko wodą kolońską. Dopiero więc teraz można było wykąpać się w wielkiej naturalnej wannie, jaką było szeroko rozlane morze.

Podmuchy wiatru, które łagodziły straszliwy skwar, pozwalały łatwiej znosić wysoką temperaturę powietrza: woda jednakże wydawała się o wiele gorętsza, niż była w rzeczywistości.

— Wołodia, Wołodia — krzyknęła Natasza, gdy dotknęła bosymi nogami rozżarzonych kamieni i weszła do wody. — Gorąco! Nie można wprost wytrzymać.. To nie woda, lecz ukrop!

Natasza wybiegła z wody na brzeg. Sylwetka jej zarysowała się na tle skał.

Włodzimierz należał do ludzi wyjątkowo upartych. Choć woda była rzeczywiście niezwykle gorąca, krok za krokiem oddalał się od brzegu, przyzwyczajając ciało do wysokiej temperatury. Gdy woda sięgała mu do wysokości piersi, odniósł wrażenie, jak gdyby zanurzał się w normalnej wannie. Następnie zatrzymał się, po czym dał nurka i popłynął. Morze było spokojne, wygładzone.

Pilot utrzymywał się na powierzchni zupełnie swobodnie i prawie bez wysiłku, ponieważ woda na Wenus była o wiele gęstsza niż woda na Ziemi. Po kilku minutach Włodzimierz zawrócił i popłynął w kierunku Nataszy, która w końcu przemogła obawę, weszła do wody i znalazła się przy mężu. Kąpiel sprawiła im wiele zadowolenia.

Tego wieczoru podróżnicy zebrali się, jak zwykle, w salonie. Ściśle rzecz biorąc, słowo „wieczór” nie jest tu właściwie użyte. Pełny obrót Wenus naokoło osi trwa ponad dobę ziemską. Jednakże profesor Szapowałow nie mógł tego czasu określić dokładnie, ponieważ Słońce znajdowało się stale poza gęstą warstwą obłoków. Choć astronauta przebywali już tu ponad sto godzin ziemskich, ani razu nie byli świadkami, by mrok nocy pokrył tę część nowego świata, i nikt z nich nie miał pojęcia, gdzie i jak wysoko wznosi się Słońce. Intensywność bowiem jego światła 260 była stale niezmienna. Mówiąc o wieczorze, podróżnicy mieli na myśli okres czasu od godziny osiemnastej do dwudziestej czwartej.

Tego wieczoru nie zjawiał się w salonie Sandomirski, który z jakichś powodów zatrzymał się w kajucie szefa ekspedycji. Pozostali astronauta wiedli ożywioną rozmowę. Rozmowy takie weszły już w zwyczaj i, trzeba przyznać, w znacznym stopniu pomagały w pracy. Podczas ich trwania ustalano bowiem

wspólnie plan zajęć na dzień następny, omawiano wyniki badań, dzielono się uwagami i spostrzeżeniami.

Główna rola podczas tych wieczorowych spotkań przypadła Nataszy, którą jako jedyną kobietę na statku, jeszcze w czasie trwania lotu nazwano „panią domu”. Ona decydowała, co przygotować na obiad, ona również nalewała tradycyjną herbatę, której przyrządzenie nie stanowiło już skomplikowanego problemu. Wszelkie bowiem ciała na Wenus odzyskały swój ciężar.

Podróżnicy tworzyli zgodną rodzinę. Natasza, z natury skora do żartów, wносиła do niej pogodny nastrój, rozpraszała przygnębienie, łagodziła zręcznym odezwaniem i śmiechem nawet najdrobniejsze starcia. Potrafiła z dala od Ziemi w ciężkich warunkach i w otoczeniu surowej przyrody stworzyć przytulną, przypominającą dom rodzinny atmosferę.

Nikt z uczestników ekspedycji nie był na pokładzie statku uprzywilejowany. Każdy z nich musiał sam troszczyć się o swoje osobiste sprawy, ale mimo to odczuwał obecność i troskliwość młodej kobiety.

Podstawowy temat do rozmów stanowiły zwykle zamierzone prace naukowe. Życie astronautów na Wenus było bowiem w zasadzie systematycznie zorganizowane; ludzie zaczęli już przyzwyczajać się do nowych warunków. Wreszcie nastał moment, kiedy należało przystąpić do ścisłego wykonywania zamierzonych prac.

Natasza siedziała na uboczu i nie brała tym razem udziału w rozmowie.

— Gdzie jest Wiktor Pietrowicz? — zapytała. — Nie ma również Mikołaja Aleksandrowicza.

— Lada chwila nadejdą — uspokoił ją Szapowałow. — -Pochłonięci są widocznie rozmową.

Astronom nie mylił się. Szef ekspedycji i kapitan statku omawiali właśnie dosyć drażliwe zagadnienie.

— Wiktorze Pietrowiczu — mówił Sandomirski. — Rzecz jest niebezpieczna. Musi lecieć dwóch ludzi, choć każdy człowiek liczy się u nas na wagę złota. Wyobraźmy sobie, że stratoplan wzniósł się poza atmosferę. Dobrze. Należy wtedy przystąpić do nadawania. Pilot nie może jednak rzucić steru i siaść za nadajnikiem. Potrzebny jest radiotelegrafista. Poza tym w nieznanych warunkach zdarzyć się przecież może wiele.

— Kogo więc w takim razie wysłać? — zamyślił się Jachontow. — Iwana Płatonowicza? Doświadczony radiotelegrafista. Lecz...

— Właśnie — wtrącił Sandomirski odgadując myśl Wiktora Pietrowicza.

— Tak! — zgodził się uczony.

— Wiedza techniczna Iwana Płatonowicza ma dla nas szczególną wartość, jest dla ekspedycji wprost nieodzowna.

Wiktor Pietrowicz rzucił na rozmówcę pytające spojrzenie, Sandomirski skinął głową.

— Chcecie powiedzieć, że możemy stracić jed- 262 nocześnie dwóch ludzi — rzekł Jachontow.

Sandomirski opuścił ramiona.

— Należy trzeźwo patrzeć na sytuację — powiedział cicho.

— Rozumiem — podjął Jachontow. — Na naszych barkach spoczywa odpowiedzialność za losy ekspedycji...

— Otóż właśnie.

— Tak więc... Natasza?

— Wierzę, że ona nie będzie chciała pozostawić Włodzimierza samego.

Wiktor Pietrowicz ciężko westchnął.

— Dobrze — odezwał się wreszcie. — Pomyślę o tym. Chodźmy! Pewno na nas czekają.

Po chwili szef ekspedycji i kapitan statku znaleźli się w salonie. Rozmowa potoczyła się dalej.

— Praca, proszę was, zaczyna się już jako tako układać, a my wciąż jeszcze, niestety, nie mamy łączności z Ziemią — wtrącił mimochodem Jachontow.

— Czas więc już, ażebym wyleciał — podchwycił Odincow.

— Mam nadzieję, że mnie nie zostawisz — rzekła Natasza.

Włodzimierz na razie nic nie odpowiedział. Milczała również Natasza, ale na jej twarzy malował się wyraz dziecinnego uporu, który często występuje u młodych kobiet, gdy chcą postawić na swoim. Jachontow oczekiwał z zainteresowaniem, co stanie się dalej. Rozumiał doskonale, że to, czego domagała się Natasza, stanowiło jedyne właściwe rozwiązanie.

Napięta cisza trwała krótko. Włodzimierz wiedział dobrze, że skoro Natasza znajdzie się w podobnym nastroju, wszelki sprzeciw jest bezskuteczny.

— No cóż —' powiedział. — Polecimy we dwoje. Bez radiotelegrafisty trudno...

— Ja również tak myślałam — uśmiechnęła się Natasza.

— Bardzo dobrze! — odezwał się Wiktor Pietrowicz. — A więc załatwione. Proszę tylko bez zbytniego pośpiechu. Przede wszystkim należy najpierw odbyć kilka próbnych lotów, ażeby przyzwycząić się do tutejszej atmosfery. Później przystąpimy do trudniejszego zadania.

Słowa akademika nie podlegały dyskusji. Oczywiście, Włodzimierz i Natasza, pełni młodzieńczego zapału, gotowi byli lecieć choćby zaraz w pozaobłoczne przestrzenie, jednakże dzielając mądrą ostrożność szefa ekspedycji poleceniom jego podporządkowali się bez zastrzeżeń.

Minęły dwa dni. Włodzimierz zameldował o zakończeniu lotów treningowych.

— Wspaniale! — odparł Jachontow. — A więc jutro rano wylecicie w daleką drogę. Osiągnijcie jak największą wysokość, tak ażeby Ziemia mogła odebrać od was sygnał. Po drodze wykonacie zdjęcia. W ten sposób otrzymamy pierwszą fotografię powierzchni Wenus. Przyda się ona dla ekspedycji lądowych. Główne zadanie znacie. Tekst radiogramu otrzymacie ode mnie jutro. Gdy upewnicie się, że Ziemia go otrzymała, wróćcie natychmiast do nas. Oto szczegółowa instrukcja. Proszę się do niej ściśle stosować.

Powiedziawszy to, Jachontow wręczył Włodzimierzowi kartkę papieru, zapisaną drobnym, kaligraficznym pismem. Wiktor Pietrowicz nie znosił brzydkiego pisma twierdząc, że jasna myśl powinna być wyrażona graficznie w sposób czytelny, wyraźny.

W dokumencie tym podał wszystko, co mogło być potrzebne pilotowi w czasie lotu.

Nikt, aczkolwiek istniało pole magnetyczne, nie wiedział, gdzie znajdują się bieguny magnetyczne Wenus i czy odpowiadają one osi jej obrotu. Strzałka kompasu, podobnie jak na Ziemi, wskazywała niezmiennie jeden i ten sam punkt. Wiktor Pietrowicz polecił sporządzić układ współrzędnych, którego podstawę wyznaczało miejsce rakiety oraz kierunek, który wskazywała strzałka kompasu. Mając siatkę współrzędnych oraz znając prędkość stratoplanu, można było wykreślić tor jego lotu. Taka sama siatka znajdowała się na pokładzie rakiety. Otrzymując regularnie meldunki radiowe, można było dzięki niej śledzić ruch stratoplanu w powietrzu. Instrukcja, którą otrzymał Odincow, określała zasięg lotu oraz kierunek według przyjętych współrzędnych. Zawierała ona również wskazówki na wypadek przymusowego lądowania, ponadto zobowiązywała pilota do przesyłania co piętnaście minut radiowych meldunków, dotyczących położenia oraz kursu stratoplanu. O innych sprawach tak doświadczonemu pilotowi, jakim był Odincow, nie trzeba było przypominać.

— Czy wszystko jasne? — zapytał Wiktor Pietrowicz, gdy Włodzimierz przeczytał instrukcję.

— Tak.

— Nie macie żadnych pytań?

— Wszystko jest zrozumiałe.

— Doskonale. Proszę teraz odpocząć, a jutro lot... Kto ma dziś dyżur?

— Ja, Wiktorze Pietrowiczu — odezwał się Szapowałow.

ROZDZIAŁ XV

w którym Natasza i Włodzimierz giną bez wieści

Następnego dnia rano, zaraz po śniadaniu, wszyscy wyruszyli na brzeg, ażeby odprowadzić Nataszę i Włodzimierza. Na szczęście pogoda była ładna i nadawała się do lotu.

Na Wenus nie ma jasnych dni, nigdy jej niebo nie jest wolne od chmur i nigdy promienie słoneczne nie oświetlają jej krajobrazu. Pogodnym nazywa się taki dzień, gdy chmury unoszą się wysoko i kiedy fale morskie nie biją o ponure, skaliste brzegi.

Taki był właśnie ów dzień, w którym Włodzimierz i Natasza wystartować mieli w daleką podniebną drogę.

Wysoko widniały żółte obłoki. Gdzieś daleko na horyzoncie przelatywały błyskawice. Morze było stosunkowo spokojne. Co prawda wiejący wiatr przypominał raczej ziemską burzę — anemometr wskazywał bowiem 14 metrów na sekundę — lecz w porównaniu z huraganami, które szalały tu w pierwszych dniach, można go było w ogóle nie brać pod uwagę. Widoczność była wspaniała.

Małżonkowie postanowili lecieć bez skafandrow, jedynie w maskach na twarzy i z aparatami tlenowymi na plecach. Na wszelki wypadek w kabine strato-

planu znajdowały się dwa komplety odzieży ochronnej oraz żelazna porcja żywności i wody. Na pokładzie zainstalowano radiostację, którą Włodzimierz sprawdził dokładnie przed startem.

Pierwsza weszła do samolotu Natasza. Wiktor Pietrowicz pożegnał się z nią serdecznie.

— Uważajcie na siebie! — zawołał.

Włodzimierz włączył silniki śmigłowe. Stratoplan ruszył z miejsca po pochyłym, zawczasu przygotowanym pasie startowym w kierunku wody. Upewniwszy się, że maszyna płynie, pilot zwiększył szybkość. Samolot po chwili przepłynął zatokę, minął przylądek i wyszedł na szeroką przestrzeń oceanu.

Hermetycznie zamykana kabina zabezpieczała w pełni pasażerów przed działaniem atmosfery, pływaki zaś — przed zatonięciem nawet w warunkach silnej burzy. Ani woda, ani wiatr nie mogły przeniknąć do wnętrza lekkiego metalowego kadłuba w kształcie cygara.

Stratoplan pomknął po falach, wznosząc przed sobą wysoki, pokryty różową pianą wał wodny. Następnie oderwał się od powierzchni morza i uleciał w górę. Po chwili zniknął w dali.

Natasza i Włodzimierz siedzieli obok siebie w przedniej części stratoplanu. Początkowo lecieli na wysokości 1000 metrów, skąd doskonale widać było powierzchnię planety.

W kabinie obok zwykłego kompasu, którym na Wenus nie można się było posługiwać, znajdował się również radiokompas. Dzięki niemu można było określić kurs stratoplanu w stosunku do stacji nadawczej, zainstalowanej na pokładzie

statku kosmicznego. Nie zagrażało więc niebezpieczeństwo zbłądzenia. Piloci zgodnie z otrzymaną instrukcją mieli wykreślić na specjalnym arkuszu linię lotu, nanosząc ją według ustalonego systemu współrzędnych tak, ażeby można było ten wykres przenieść następnie na mapę Wenus. Oczywiście, w danej chwili mapa taka jeszcze nie istniała. Należało ją dopiero sporządzić właśnie po serii takich jak ten lotów i rozpoznań terenowych.

Pod skrzydłami stratoplanu rozpościerał się pejzaż, który w niczym nie przypominał widzianych kiedykolwiek widoków. Był to zdumiewający obraz dzikiego, pierwotnego świata.

Po nadaniu pierwszego radiogramu Włodzimierz, chcąc uzyskać dłuższy promień widzenia, zwiększył wysokość do 3000 metrów. Pilot miał do dyspozycji radioaltymetr, ponieważ w warunkach Wenus nie można było polegać na dokładności wskazań zwykłego wysokościomierza przystosowanego do ciśnienia panującego na Ziemi.

Ścielący się w dole obraz był wprost nie do opisanego — jakaś czarodziejska feeria, przypominająca z daleka rozplómienny zachód Słońca. Oświetlone pomarańczowym światłem, rozlewało się szeroko morze. Na jego powierzchni widać było kilka wysp, czerniejących wśród podobnej do roztopionego metalu wody. W tej chwili, spoglądając z pokładu samolotu na powierzchnię planety, można było stwierdzić, że rakieta przybiła do brzegu wielkiej wyspy leżącej w środku archipelagu. Samolot leciał w odległości 50—60 kilometrów od morza. Z prawej strony w stosunku do kursu, prawie na linii horyzontu, ciągnęła się błyszcząca smuga wody, która wskazywała, że w dole znajduje się długa wyspa. Jej daleki

brzeg, w którego kierunku leciał -stratoplan, ginął co prawda gdzieś we mgle, lecz trudno przypuszczać, by taki wąski pas lądu był stałym kontynentem.

Jak daleko sięgało oko, widać było rozciągającą się z lewej strony, pofałdowaną z lekka równinę, z prawej zaś — wysoki łańcuch górski. Poszczególne szczyty wznosiły się wyżej, niż leciał stratoplan. Ich czarne zręby ginęły gdzieś w chmurach. W oddali błyszczało morze... Od panoramy tej Natasza nie mogła oderwać oczu. Podstawowym kolorem gór była czerń, nadająca całemu krajobrazowi, zalanemu ciemnym, żółtoczerwonym światłem, jakiś złowieszczy, nieprawdopodobny, jednakże pełen swoistego piękna charakter.

Wszędzie dostrzegało się ślady burzliwych procesów wulkanicznych. Niektóre z małych wysp były buchającymi ogniem górami. Nad ich wierzchołkami wznosiły się pióropusze dymu i pary oświetlone od dołu odblaskami płomieni. Wybuchy wulkanów dochodziły również z prawej strony. W pewnej chwili Natasza i Włodzimierz spostrzegli, jak ze szczeliny na stoku niewysokiej góry wyrwał się nagle obłok białego dymu, a za nim struga ognistopłynnej lawy. Rozżarzony potok spłynął po zboczu i rozlał się po dolinie, osiągając brzeg doskonale widocznej z góry rzeki. Lawa zetknęła się z wodą. Do uszu lotników dotarł najpierw odgłos wybuchu o nieprawdopodobnej sile, potem zaś gwizd i syczenie. Jednocześnie gwałtowna fala powietrza rzuciła maszynę w bok. Obłok kłębiącej się pary zasnuł całą równinę i uniemożliwił dalszą obserwację.

Natasza, gdy podmuch szarpnął samolotem, ledwo nie wyleciała z fotela. Twarz jej pokryła się bladością.

— Ostrożnie, Wołodia! — zawołała przestraszona. — Tu nie Ziemia! Czy nie czas już wznieść się wyżej?

— Tak, Natasza.

Odincow obrócił ster. Stratoplan, opisawszy płynnie duże koło nad miejscem wybuchu, zaczął nabierać wysokości. Równocześnie rozszerzył się horyzont. W dole leżała olbrzymia wyspa szerokości 250—300 kilometrów. Za nią zaś ciągnęła się bezkresna równina morza usiana mnóstwem większych i mniejszych wysp, nad którymi unosiły się niekiedy wspaniałe pióropusze dymu. Nigdzie, choć Natasza i Odincow uciekali się do pomocy lunet, nie udało się odszukać stałego lądu.

Wznosząc się po spirali, stratoplan dotarł do dolnych warstw chmur deszczowych i po chwili zanurzył się w gęstej masie mgły, poprzez którą nic już nie można było dojrzeć. Natasza, podając w kolejnym meldunku współrzędne, wspomniała również o braku widoczności.

Ślepy lot trwał około godziny. Następnie Włodzimierz włączył silnik odrzutowy. Uczynił to dopiero wtedy, gdy wyczuł, że nie działają już prądy powietrzne w rozrzedzonych warstwach atmosfery. Stratoplan wyrwał się z chmur, wzniósł się krętym torem w górę i szybko osiągnął dalszą granicę strefy żółtych obłoków. Radio- altymetr wskazywał wysokość 90 kilometrów. Włodzimierz jednak wspinał się dalej. Strefa obłoków zaczęła rzednąć. Po upływie kilku minut maszyna wyłoniła się z mgły. Zwiadowcy znaleźli się, jeśli nie poza granicą atmosfery Wenus, to w każdym razie poza jej widocznymi warstwami.

— Jakżeż tu pięknie! — zawołała Natasza pochylając się do przodu, ażeby lepiej przypatrzeć się niezwykłemu obrazowi.

W dole pozostał pas żółtych obłoków, które w odbitym świetle słonecznym, to jest z góry, niczym się nie różniły od obłoków unoszących się nad Ziemią. Ich jaskrawobiała powierzchnia przywodziła na pamięć zasnutą śniegiem równinę. Białość ta wydawała się teraz niezwykle dla oka przyjemna. Przecież tam daleko w dole nigdy jej nie było. Nad oślepiająco białą równiną obłoków rozpinał się ogromny, ciemny, jak gdyby z czarnogranatowego aksamitu utkany baldachim nieba. Na tle tym stało dwa razy większe niż widziane z Ziemi Słońce, które rzucało niezwykle silne światło. W nie kończącej się dali firmamentu jarzyły się niezliczone gwiazdy.

Po półmroku, który panował nad powierzchnią Wenus, światło wydało się teraz szczególnie jasne. Pod jego wpływem zmienił się natychmiast nastrój. Uleciały gdzieś ponure myśli. Włodzimierz i Natasza poczuli w sobie przypływ nowych sił.

— Wspaniale! — zawołał z radością Włodzimierz.

— Nadzwyczajnie, kochany!

Wysławszy swoim kolejny meldunek, Włodzimierz zaczął, zataczając kręgi, nabierać coraz większej wysokości, przy tym starał się nie oddalać zbytnio od miejsca startu.

— Wołodia, czas rozpocząć nadawanie — przypomniała Natasza. Słowa jej tętniły przejęciem, a serce biło gwałtownie na myśl, że tam daleko na Ziemi usłyszą może jej głos.

— Zaczynaj! — odpowiedział Włodzimierz, nie odrywając oczu od roztańczającej się pod nim panoramy.

— Zaczynam...

I w eter popłynęły słowa:

— Halo! Halo! Mówi radziecka rakieta „KP-201”. Mówi radziecka rakieta „KP-201”. Czekam na odpowiedź Ziemi!...

Odpowiedzi niestety nie było.

Najkrótsza odległość od Wenus do Ziemi wynosi 42 miliony kilometrów. Wtedy planeta przesuwa się jak gdyby wzdłuż tarczy Słońca i znajduje się na prostej łączącej Ziemię ze Słońcem. Wtedy zaś gdy obie planety położone są po przeciwnych stronach Słońca, odległość między nimi jest maksymalna i wynosi 268 milionów kilometrów. Natasza i Włodzimierz wiedzieli od profesora Szapowałowa, że w czasie startu odległość między Ziemią i Wenus wynosiła 215 milionów kilometrów. Pomiędzy obiema planetami znajdowało się Słońce. Na pokonanie tej przestrzeni światło zużyć musiałoby około 12 minut. Dlatego też Ziemia nie mogła na wezwanie Nataszy odpowiedzieć prędzej niż po upływie dwudziestu pięciu — trzydziestu minut. W oczekiwaniu na odpowiedź stratoplan zataczał kręgi, usiłując utrzymać się na tej samej wysokości. Pilot nie chciał już wznosić się wyżej ze względu na konieczność oszczędzania paliwa.

Upłynęło ponad pół godziny. Ziemia jednak nie dawała odpowiedzi. Denerwujące milczenie przeciągało się w nieskończoność.

— Może lecimy zbyt nisko? — zastanawiał się Włodzimierz. — Trzeba wycisnąć z maszyny wszystko, na co ją stać.

Silnik zaczął pracować na pełnej mocy. Srebrny stratoplan wyrwał się jak strzała w górę. Granat nieba zmienił się na głęboki fiolet.

— Zbliżamy się do granicy atmosfery! — zawołał Włodzimierz. — Na tej wysokości nie możemy utrzymywać się zbyt długo. Spróbuj jeszcze raz!

Natasza włączyła nadajnik i zaczęła przekazywać wezwania na Ziemię. Minęło piętnaście minut, siedemnaście, dwadzieścia. Wreszcie odbiornik uchwycił dalekie, cichutkie dźwięki. To odpowiadała Ziemia. Niestety, nie było czasu na dwustronną rozmowę. Natasza zaczęła szybko przekazywać ułożony przez Jachontowa następujący tekst radiogramu:

— „Rakieta pomyślnie osiadła na powierzchni oceanu Wenus. Wszyscy zdrowi. Rozpoczęliśmy prace. Brak paliwa na drogę powrotną. Regularna łączność niemożliwa. Przeszkadza gęsta strefa zjonizowana. Nadajemy ze stratoplanu poza granicą atmosfery. Dalszych komunikatów nie możemy przesyłać. Jachontow”.

Odbiór niemożliwy. Musimy schodzić do lądowania — dodała od siebie Natasza.

Stratoplan nie mógł dłużej trzymać się na osiągniętej wysokości i pilot, nie czekając na odpowiedź Ziemi, skierować go musiał stromo w dół.

— Koniec! — powiedziała Natasza. Po jej twarzy, która stała się poważna i surowa, potoczyły się łzy.

Włodzimierz włączył silnik i obrócił ostro koło sterowe. Maszyna przeszła natychmiast w lot nurkowy i po upływie kilku minut utonęła w gęstych, ciemnych obłokach. I znów żółtoczerwona oćma przesłoniła okna kabiny.

— Wołodia! — rozległ się nagle głos Nataszy. — Ogień!

Włodzimierz obejrzał się i zamarł z przerażenia. Na kadłubie stratoplanu, skrzydłach i osłonach silników tańczyły błękitne języki płomieni. Zapalały się i gasły, nie poddając się działaniu wiatru wywołanego przez gwałtowny pęd maszyny.

Pilot ochłonał z wrażenia. Z piersi wydobyło się westchnienie ulgi.

— Nie obawiaj się! — zawołał. — To są wyładowania elektryczne. Nazywają się ogniami świętego Elma.

— Ach, tak!

— Zjawisko to występuje najczęściej w górzystych okolicach, na przykład w Andach. Na Wenus jest ono bardzo pospolite, ponieważ tutejsza atmosfera naładowana jest elektrycznością.

— Dlaczego ogni tych nie widzieliśmy przy wznoszeniu?

— Nie wiem. Możliwe, że znajdowaliśmy się wtedy w mniej naelektryzowanej strefie. Trzeba stąd jak najszybciej się wydostać. Kto wie, jakie tu nas mogą czekać jeszcze niespodzianki.

Po upływie pewnego czasu przyczyna zaobserwowanego zjawiska ognia świętego Elma stała się zrozumiała. Piloci znajdowali się w obszarze burz. Przekonali się o tym, gdy stratoplan przedarł się przez żółtą masę obłoków, wszedł w strefę widoczności i daleko w dole rozpostarło się morze.

Między górną zwartą pokrywą żółtych obłoków a powierzchnią planety płynęły kłębiące się chmury, z których lały się strugi wody. Raz po raz migotały błaski błyskawic. Nie przypominały one jednak w niczym wyładowań elektrycz-

nych, zdarzających się podczas burz na Ziemi. Były to raczej całe snopy płomieni, które bądź przeskakiwały szerokimi pasmami od chmury do chmury, bądź też spadały w dół niczym ściany z ognia.

Kontynuowanie lotu poprzez podobne piekło byłoby niewybaczalnym szaleństwem. Dlatego też Odincow zdecydował się na zwykły w takich warunkach manewr: postanowił wyminąć rejon nawałnicy i wyjść gdzieś w strefę bardziej bezpieczną, lecz nie było to sprawą tak prostą, jak mogłoby się wydawać. Siła bowiem burz na Wenus oraz ich zasięg są daleko większe niż na Ziemi. Odincow szybko się o tym przekonał. Zaledwie bowiem zdołał ominąć pierwszą niebezpieczną strefę, już wpadał w inną, niemniej groźną. Stratopłan miotał się w najprzeróżniejszych kierunkach. Nie było mowy o utrzymaniu kursu. Ze wszystkich stron groziło niebezpieczeństwo.

W tym stanie rzeczy pilot zdecydował się na nowy manewr. Zadarł maszynę pionowo w górę, by wyjść ponad strefę burz i schować się wysoko w obłokach. Innego ratunku nie było, jednakże próba okazała się fatalna w skutkach. Na wysokości dziesięciu tysięcy metrów stratopłan wpadł znowu w gęstą mgłę i zaczął rozwijać prędkość 900 kilometrów na godzinę, ślepy lot.

Gdyby to działo się na Ziemi, której powierzchnia jest dokładnie zbadana i każdy lotnik ma szczegółową mapę, lot taki nie należałby do rzeczy niezwykłych. Tu wszakże sprawa przedstawiała się inaczej. Pilot nie dysponował niczym, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało mapę i ułatwiałoby orientację. Nie można było również skorzystać z pomocy radaru, który znajdując się w polu elektrycznym o wysokim natężeniu, dawał tak bezsensowne sygnały, że pilot przestał w ogóle zwracać na nie uwagę. Zawierzyć tylko musiał własnym

oczom. Stratoplanowi zagroził nagle skalisty szczyt wyrastający ponad pasmo otaczających go gór.

Ten gigantyczny, podobny do fantastycznego obeliska kamienny stożek, wydzwignięty siłami górotwórczymi z wnętrza planety, wznosił się na wysokość 12 kilometrów i ginął gdzieś w obłokach. Włodzimierz nie przypuszczał, by istnieć mogły góry wyższe niż najwyższy szczyt świata, Mont Everest. Lecąc więc na pułapie dziesięciu tysięcy metrów, był pewien, że nie napotka żadnych przeszkód.

Zderzenie nastąpiło niespodziewanie. Statek powietrzny zahaczył końcem prawego skrzydła o ostry ząb wierzchołka, który wyłonił się niespodziewanie z mgły i odciął jak brzytwą skraj płatu. Na szczęście konstrukcja samolotu była pa-
tyle silna, że kadłub jego wytrzymał uderzenie i pozostał cały.

Dalsze pilotowanie samolotem stawało się bardzo utrudnione. Mógł on jedynie szybować, ponieważ działały jeszcze lotki na płatach i ster wysokościowy. W ciągu prawie dwóch minut Włodzimierz zdołał utrzymać maszynę w posłuszeństwie. Nie pozwolił jej zwalić się na skrzydło i runąć w przepaść. Udało mu się jeszcze opisać w powietrzu dość spadzistą spiralę i znacznie zmniejszyć wysokość. Przez ten czas samolot przeleciał około 40 kilometrów. Były wtedy krótkie chwile, kiedy pilotowi wydawało się, że zdoła obniżyć wysokość lotu i szczęśliwie wylądować.

Rzeczywistość jednak nadzieje te przekreśliła.

Na wysokości 1100 metrów samolot ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Maszyna położyła się na prawe skrzydło, następnie weszła w korkociąg i zaczęła się bezradnie kręcić w powietrzu.

Przed oczyma Włodzimierza błysnęła skala wysokościomierza. Wskazywała 850 metrów...

Kabina stratoplanu, przystosowanego specjalnie do lotów w trudnych warunkach, wyposażona była w najnowsze środki bezpieczeństwa. Wystarczyło pociągnąć za odpowiedni uchwyt, by rozsunęły się luki pod fotelami pilotów i wyrzuceni na zewnątrz ludzie zawisli na automatycznie otwierających się spadochronach.

Włodzimierz nacisnął dźwignię. Na szczęście działała. Jednakże piloci wyrzuceni zostali nie jednocześnie, lecz w krótkim, liczącym ułamek sekundy odstępie czasu.

Pierwsza wyleciała Natasza. Gwałtownemu otwarciu spadochronu towarzyszyło silne szarpnięcie. Natasza straciła na kilka sekund przytomność. Niewiele lepiej czuł się również Włodzimierz. Ocucił ich jednak wiatr, który zaczął znosić spadochrony, oraz prąd powietrza wywołany opadaniem stratoplanu.

Gdy Natasza przebudziła się po krótkim zamroczeniu, spostrzegła, że leci w dół, siedząc w fotelu, nad którym wznosił się ogromny, hamujący szybkość opadania parasol spadochronu. Po chwili dojrzała spadochron, na którym opuszczał się Włodzimierz. Był tak daleko, że nie mógł usłyszeć jej wołania.

W chwilach niebezpieczeństwa umysł ludzi zdrowych pracuje zwykle dokładnie i szybko. Natasza w przeciągu ułamka sekundy uprzytomniła sobie, że

należy zapamiętać kierunek, w którym wiatr unosi spadochron Wołodi. Jakżeż znajdował się on teraz daleko! Nie sposób było dowiedzieć się, czy Wołodia żyje jeszcze, czy nie. Natasza nie mogła również określić, gdzie znikł stratoplan.

Ponieważ szybkość opadania stopniowo malała, Natasza mogła dokładniej obserwować leżącą w dole okolicę. Ponadto usiłowała dostrzec, gdzie spadł Włodzimierz. Niestety, mimo że wypatrywała oczy aż do bólu, nigdzie go nie zobaczyła. Nisko wznosiły się góry pokryte czerwoną i żółtą roślinnością. Burze pozostały z boku. Opadanie odbywało się stosunkowo powoli, jeśli nie brać oczywiście pod uwagę silnych, właściwych dla tutejszych warunków klimatycznych porywów wiatru, który odrzucał Nataszę coraz bardziej w lewo, coraz dalej i dalej od Włodzimierza, w tym kierunku, gdzie góry przechodziły w łagodną równinę.

Łądowanie odbyło się pomyślnie. Krzesło spadochronu opadło w gęste krzaki. Natasza nie odniosła żadnych, choćby najmniejszych obrażeń. Aczkolwiek bezpośrednia groźba śmierci minęła, Odincowa doskonale zdawała sobie sprawę z grozy swego położenia. Najgorsze było to, że Włodzimierz opadł gdzieś daleko i nie wiadomo w którym miejscu. Znalazła się więc sama bez niczyjej pomocy w obcym, strasznym świecie. Nie miała najmniejszego pojęcia, w którym kierunku "Znajduje się rakietą. Nie mogła uciec się do pomocy kompasu lub wskazówek ukrytego za szczelną zasłoną chmur Słońca.

Natasza liczyć mogła tylko na własne siły. Z przerażeniem myślała, że mąż jej mógł ulec przy lądowaniu jakiemuś wypadkowi, mógł złamać nogę, mógł wreszcie ponieść śmierć. Przypuszczenia te budziły w niej trwogę i bezsilny gniew. Należało więc przede wszystkim odszukać Włodzimierza, sprawdzić za-

pasy żywności i postanowić, w którym udać się kierunku, aby dotrzeć wreszcie do rakiety. Wierzyła, że astronauta wyruszą na pewno na ich poszukiwania, lecz czy trafią na jej i Włodzimierza ślad?

Przypomniała sobie, że każdy spadochron był zaopatrzony na wypadek katastrofy w pewien zapas żywności, środki opatrunkowe i lekarstwa. Odcięła więc linki podtrzymujące jego czaszę, rozsunała krzaki, po czym ciągnąc fotel wydo stała się z gęstwiny na wolną przestrzeń.

Dolna część fotela była skrzynką, w której Natasza znalazła butelkę koniaku, apteczkę, konserwy, nawet pistolet i pięćdziesiąt naboju. Ponadto znajdowały się tu słynne pigułki odżywcze, które tak irytowały profesora Szapowałowa, oraz malutki kompas.

Rozmieściwszy to wszystko w plecaku i w kieszeniach, Natasza ruszyła na poszukiwanie Włodzimierza.

Odincowa orientowała się ogólnie, w jakim kierunku należy iść; ale droga była niezmiernie ciężka. Utrudniały ją kłujące krzewy, które czepiały się obuwia i odzieży, oraz rozpadliny, jary i uskoki. To, co z wysoka wydawało się płaską równiną, było w rzeczywistości łańcuchem gór i pagórków porośniętych kłującą roślinnością. Gdzieniedzie drogę przegradzały górskie strumienie, płynące wartkim nurtem w krętych korytach o urwistych brzegach. Na szczęście toczyła się w nich słodka woda. Temperatura powietrza dochodziła do 40°. W dodatku nos i usta osłaniała maska. Nic więc dziwnego, że marsz w tych warunkach był sprawą niełatwą.

Natasza, mężnie pokonując przeszkody, dążyła w tym kierunku, w którym spodziewała się odnaleźć męża.

Wokół nie spotykało się żadnych śladów istot żywych. Czarne skały, stosy kamieni między nimi, kolące krzewy z czerwonymi liśćmi i dziwne, przypominające grzyby rośliny — to było wszystko, co znalazła Natasza na powierzchni tej planety. Wszędzie panowało ciemnożółte światło, które szczególnie przygnębiająco działało w chwilach trudnych i niebezpiecznych.

Mimo wszystko trzeba było, dopóki starczy sił, iść naprzód. Natasza posuwała się coraz wolniej, orientując się według wyróżniających się wśród otoczenia przedmiotów. Od chwili wyruszenia upłynęło już co najmniej dwie godziny. Od czasu do czasu prześladowała ją myśl, że idzie nie ; tam gdzie trzeba, ale zwyciężał rozsądek, który podpowiadał, że najgorsze w takiej sytuacji jest zwątpienie i miotanie się w poszukiwaniu drogi.

Minęła następna godzina. Natasza nie natrafiła na ślad Włodzimierza. Nie wiedziała, co dalej czynić. Chwila wahania trwała wszakże krótko. Postanowiła, skoro tylko spotka jakiś wysoki przedmiot, skałę lub drzewo, wejść nań i przepatrzyć okolicę. Niestety, dokoła nie było niczego prócz płaskich kamieni i niewysokich zarośli.

Natasza zebrała ostatek sił i ruszyła dalej w nadziei, że natknie się wreszcie na odpowiedni punkt obserwacyjny. Odzieży jej czepiały się kolce krzaków, pod nogami plątały się dziwaczne rośliny. Młodej kobiecie kręciły się łzy w oczach.

Teren zaczął się obniżać. Grunt stawał się coraz bardziej wilgotny. Chlupotało pod stopami. Coraz częściej dawało znać o sobie zmęczenie. Mimo to Natasza

brnęła uparcie naprzód. Wtem wskroś zarośli błysnęła woda. Odincowa przedarła się przez krzaki i znalazła się na brzegu wąskiego strumienia.

Przeciwny brzeg był spadzisty. Rosły na nim drzewa przypominające olbrzymie skrzypy. Na oko wysokość ich wynosiła 10—12 metrów. Natasza bez większych trudności przepłynęła się w bród przez strumień i czepiając się wystających kamieni, wdrapała się na brzeg i weszła na jeden z gigantycznych skrzypów. Choć giął się on pod ciężarem człowieka, wspinać się po nim było dość łatwe. Teraz wzrok ogarnąć mógł daleką okolicę.

Serce Nataszy zabiło radośnie. Wpatrując się uważnie w dal, zauważyła srebrzystą plamę odcinającą się wyraźnie na tle czerwonej roślinności. To był zaczepiony o gałęzie drzew spadochron.

Włodzimierz był blisko. Powodzenie ustokrotniło siły Nataszy. Rzuciła się w tym kierunku, w którym znajdował się spadochron. Przedzierała się przez znienawidzone krzewy, nie zważając na ukłucia i zadrapania. W głowie jej kłębiły się trwożne myśli...

Włodzimierz na wpół leżał na ziemi z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Widocznie uderzył się przy upadku, bo miał ranę na głowie. Natasza z krzykiem przypadła do męża.

Wszystko nagle się odmieniło. Długo tych dwoje młodych ludzi nie mogło nacieszyć się sobą, nie umiało oderwać od siebie oczu. Włodzimierz mimo woli pomyślał, jaką nadzwyczajną towarzyszką życia obdarzył go przyjazny los. Natasza, zapomniawszy o swoim zmęczeniu, zaczęła się krzątać wokół rannego. Przemyślała mu skaleczenia, zabandażowała je, po czym dała mężowi do wypicia

trochę koniaku. Następnie nałamała gałązek z krzaków i sporządziła z nich coś w rodzaju posłania. Zrobiwszy to, westchnęła z ulgą. Wydało się jej, że wszystko, co najgorsze, minęło.

Tymczasem zaczęły się nowe trudności. Gdy Natasza szukała Włodzimierza i okazywała mu pierwszą pomoc, znowu nadciągnęła burza. Z kłębiących się chmur lunęły potoki wody. Podróżnicy mieliby się z pyszna, gdyby pod ręką nie znalazła się nieprzemakalna płachta spadochronu. Z niej to Natasza zbudowała coś w rodzaju namiotu, który osłonił ich przed strugami deszczu.

Natasza i Włodzimierz jeszcze raz mieli możliwość przekonać się, jak wielką siłą odznaczają się burze na tej planecie. Smugi gorącego deszczu tworzyły zwar-
tą zasłonę. Bez przerwy pojawiały się oślepiające błyskawice. Szalał porywisty wiatr, który nadlatywał z dzikim wyciem i łoskotem.

Burze wzbudzają zwykle lęk, nawet w umiarkowanych szerokościach geograficznych. Szczególnie jednak przerażają one w krajach tropikalnych. Ale nawet najbardziej gwałtowne z nich nie mogły się równać z burzami na Wenus. To, co się tu działo, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Żywioł, który się rozpętał, był w swej sile przerażający. Z szaloną prędkością mknęły wielowarstwowe 'obłoki. Wyładowania elektryczne następowały jednocześnie na różnych wysokościach. Niebo oświetlały dziesiątki błyskawic, które krzyżowały się i przeskakiwały między chmurami na całym objętym burzą obszarze. Błękitne strzały ognia nie tylko rozrywały niebo, lecz co minuta uderzały w ziemię, drzewa i skały.

Ukryci pod czaszą spadochronu, astronauta obserwowali wszelkie rodzaje wyładowań elektrycznych: błyskawice rozlane, wybuchy jaskrawego światła, ogarniającego raptownie całe niebo, oraz rozgałęzione błyskawice w kształcie

zygzakowatych strzał, które uderzały w powierzchnię planety jak ogniste miecze. W olbrzymiej ilości zjawiały się również rzadko występujące na Ziemi, wielkie, o średnicy kilku metrów błyskawice kuliste, które przetaczały się we wszystkich kierunkach, zderzały z sobą i wybuchały ze straszliwym łoskotem. Uderzenia piorunów ziewały się w jeden ani na chwilę nie milknący grzmot. Na szczęście jedwabna tkanina spadochronu zabezpieczała nie tylko przed strugami deszczu, ale stanowiła również doskonały izolator. Mimo to Natasza i Odincow, aczkolwiek nie należeli do ludzi tchórzliwych, odczuwali lęk, który mroził im krew w żyłach. Trzeba było sporo czasu, zanim oswoili się z rozszalałym żywiołem, zanim opanowali strach przed jego nieokiełznaną potęgą.

ROZDZIAŁ XVI

w którym przyjaciele znowu się spotykają

Astronauci długo stali na brzegu i obserwowali srebrzysty stratopłan. Ślizgał się on jakiś czas po fali, po czym oderwał od powierzchni morza i znikł w złotych chmurach. Przyjaciele Nataszy i Odincowa nie wracali jednak na pokład rakiety. Długo jeszcze stali wpatrując się w obłoki, przeżywając smutek rozstania.

Pogoda na Wenus zmieniała się jak w kalejdoskopie, Przed chwilą było jeszcze jasno i majestatyczny krajobraz radował oczy delikatnymi odcieniami barw. Nagle w ciągu niespełna minuty wszystko zmieniało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie wiadomo skąd nadlatywał porywisty wiatr, nadciągały chmury, zbałwaniało się morze, stawało się ciemno i lał " potokami deszcz.

Mówiąc o deszczu na Wenus, nie można było użyć takich sformułowań jak: deszcz padał, deszcz kroił lub mżył. Tu było zupełnie co innego. Deszcz na Wenus to była jedna struga wody lejąca się jak gdyby z nagle wywróconego w górze, gdzieś w chmurach, olbrzymiego cebra.

W czasie takiego deszczu nie można było nic dostrzec nawet w promieniu dwóch kroków.

Deszcz ten uniemożliwiał również wszelkie poruszanie się. Strumienie bowiem gorącej wody biły z olbrzymią siłą jak z sikawki.

Astronauci schronili się w kabinach rakiety, gdzie było sucho i bezpiecznie. Kraśnicki zajął natychmiast miejsce przy odbiorniku radiowym. Był już bowiem najwyższy czas, w którym nadejść powinien pierwszy meldunek ze stratoplanu.

Astronautów, mimo przyjacielskich stosunków, obowiązywała surowa dyscyplina. Wszyscy rozumieli, że zarządzenie szefa ekspedycji lub kapitana statku musi być wykonane na czas i w ściśle określonym terminie. Każdy z nich, gdy Natasza i Włodzimierz wystartowali, otrzymał określone instrukcje. Wiedzieli, że regularnie co piętnaście minut otrzymywać będą wiadomości informujące o miejscu znajdowania się stratoplanu, który zadanie swe wykonywać miał w ciągu dziesięciu godzin. Po upływie tego czasu piloci mieli wrócić do bazy. Instrukcja określała również, że stratoplan nie może oddalać się od miejsca zakotwiczenia statku dalej niż na odległość 2500 kilometrów.

Zarządzenie dotyczące regularnego nadsyłania sygnałów było ściśle przestrzegane. Początkowo pozostali w rakiecie astronauci otrzymywali co piętnaście minut kolejne komunikaty, dzięki czemu mogli na siatce współrzędnych wykreślać krzywą, obrazującą drogę lecącego samolotu. Potem łączność między rakieta i stratoplanem nagle się przerwała. Ostatni komunikat zawiadamiał, że zwiadowcy przygotowują się do wyjścia poza granice atmosfery Wenus. Punkt na siatce Współrzędnych wskazywał, w którym to stało się miejscu.

Od tej chwili minęło sporo czasu. Kraśnicki, wsłuchując się uważnie we wszystkie dźwięki nadpływające z eteru, starał się wyłowić sygnały wywoławcze stratoplanu. Niestety, upływała godzina za godziną, a od pilotów nie było żadnej wiadomości.

Sandomirski był niezwykle zdenerwowany. Z założonymi na plecach rękami albo przemierzał w milczeniu salon, albo przygryzając wąsy wybiegał nagle do kabiny nawigacyjnej. Wszyscy rozumieli jego stan i nie pytali się o nic. Kraśnicki ani na moment nie odrywał się od aparatu. Kilkakrotnie nadawał sygnały, lecz odpowiedzi na nie nie otrzymał. Z eteru nie napływał żaden dźwięk, który by przypominał sygnały stra- toplanu.

Tymczasem ulewa przekształciła się w burzę. Tym razem przy stole zamiast zwykłej ożywionej rozmowy panowało ponure milczenie. Nikomu nie smakowała zupa na mięsie z suszonymi owocami, którą przygotował astronom, pełniący dziś dyżur w kuchni.

Na zewnątrz rozlegało się wycie wiatru. Te żalosne dźwięki i szum deszczu bijącego w metalowy kadłub rakiety wywoływały uczucie tęsknoty. Zwarta ściana deszczu zasłaniała nie tylko horyzont, lecz przedmioty położone bliżej. Widać jedynie było czarne, połyskujące od wilgoci skały i wściekle rzucające się na brzeg fale. Jakżeż upragnione było w tej chwili słońce, jakże uradowałyby się jego blaskiem oczy astronautów!

Ciągłe błyskawice i uderzenia piorunów nie wywoływały lęku. Wznoszące się obok wysokie skały stanowiły naturalny piorunochron. Widać było, jak poprzez potoki wody spadają z góry raz po raz ogniste strzały i jak uderzają w kamienne szczyty. Wyładowana energia elektryczna nie wyrządzając szkody spływała w ziemię.

— Aż strach pomyśleć — zauważył profesor Szapowałow po jednym ze szczególnie potężnych wyładowań — co mogłoby się stać z rakieta, gdyby nie miała tej naturalnej osłony.

— Nie czas zajmować się teraz drobnostkami — przerwał mu ostro Jachontow. — Powiedzcie lepiej, co może się stać z naszym stratoplanem, jeśli dostał się w taką burzę.

Wiktor Pietrowicz nigdy się nie unosił. Ostry, niezwykły ton uwagi odsłonił całą głębię wzburzenia, któremu uległ szef ekspedycji. Dotychczas wszyscy unikali w rozmowie tematu, który by zahaczał o Nataszę i Włodzimierza. Nie chcieli potęgować niepokoju i ogólnego zdenerwowania. Teraz wszakże to jedno krótkie zdanie zerwało jak gdyby pieczęć milczenia i długo hamowany niepokój znalazł ujście.

— Dlaczego oni milczą? — zawołał Sandomirski. — Stratoplan był doskonale wykwapowany. Dlaczego tak długo nie dają o sobie znać?

— Nie sędzę, żeby mogli o tym zapomnieć — odezwał się Szapowałow spoglądając na Jachontowa z nie ukrywaną złością. — Po prostu burza przerwała łączność.

— Być może — przytaknął Sandomirski.

Wyraz twarzy Szapowałowa świadczył jednak,

że jest innego zdania.

— Sądzicie, że awaria? — zapytał kierownik ekspedycji.

Szapowałow zamiast odpowiedzi skinął głową.

— Awaria! — zawołał znowu Sandomirski. — Jaka awaria? Odincow jest doświadczonym pilotem. O żadnej awarii nie może być mowy!

— A potężne wyładowania między chmurami? — zauważył Kraśnicki.

— Nonsens! Odincow nie jest pomyłką, by leżeć tam, gdzie nie trzeba. Pilot ma obowiązek unikać burzy. Jest to elementarne prawo.

— To prawda — powiedział Szapowałow. — Piloci nasi mają duże doświadczenie w lotach nad Ziemią i w przestrzeni kosmicznej, lecz niewiele wiedzą o niebezpieczeństwach, które czyhają w atmosferze nad Wenus.

— Co macie właściwie na myśli, profesorze? — zapytał pochmurnie Jachontow. — Wydaje mi się, że chcecie koniecznie wmówić w nas, że stratopłan uległ katastrofie.

— Nie, tego nie mam na myśli. Ja tylko staram się przewidzieć najgorsze, ażeby zawczasu nakreślić plan działania. Przecież nie można siedzieć bezradnie z założonymi rękami i czekać. Należy podjąć jakieś konkretne kroki.

— Nie takie to proste — rzucił Wiktor Pietrowicz — odnaleźć ludzi na obcej planecie. Przecież nie wiemy nawet, w jakim kierunku poleciał stratopłan po ostatnim komunikacie. Czy macie, Michale Andrejewiczu, jakiś plan?

Szapowałow jednak nie odpowiadał. Nastrój był tak naprężony, że każdej chwili groził wybuch, każdej chwili wywiązać się mogła kłótnia.

— Jeżeli mowa o jakichś konkretnych krokach — rozległ się donośny głos Sandomirskiego — to sprawa ta należy do mnie. Kierunek lotu jest nam dokładnie znany, obrazuje go wykres. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Odincowi dokładnie wykonuje to, co mu polecono. Gdzie w takim razie ich szukać? Oczywiście tam, skąd pochodzi ostatni sygnał... Gdybyśmy mieli drugi strato-

plan, sprawa byłaby łatwiejsza. Trzeba wobec tego wykorzystać planetochód. Innego sposobu nie widzę. Poza tym należy bez przerwy wysyłać sygnały.

Rzeczowa wypowiedź Sandomirskiego rozładowała nieco atmosferę.

—' Myśl słuszna — powiedział Jachontow, który zdążył się już całkowicie opanować. — Możliwe, że ją wykorzystamy. Jednakże nie należy się niecierpliwić i działać zbyt pośpiesznie. Poczekajmy, dopóki nie ucichnie burza. Za wcześnie jeszcze na panikę. Przecież nie upłynął ustalony termin. Odincowowie wystartowali o godzinie 10.15, teraz zaś jest godzina 18.30. Miejmy nadzieję, że samolot jest cały, tylko nie może po prostu podać nam przez radio swego kursu. Jeżeli Włodzimierz i Natasza nie powrócą przed nocą, jutro rozpoczniemy poszukiwania.

— To samo przez się zrozumiałe — przerwał Sandomirski.

— Tak, lecz z pewną poprawką. Poszukiwanie zaginionych należy do moich obowiązków. Wy jesteście kapitanem statku. Za losy zaś ekspedycji i życie jej członków odpowiadam ja.

Słowa te wypowiedział Jachontow w sposób tak kategoryczny, że wszyscy zrozumieli, iż żaden sprzeciw tu nie odniesie tu skutku.

— Wiktorze Pietrowiczu, proszę mnie wziąć z sobą — odezwał się Sandomirski.

— I mnie — dał się słyszeć głos Kraśnickiego.

Mimo powagi sytuacji akademik uśmiechnął

— Dobrze, dobrze, moi drodzy. Widzę, że nie możemy narzekać na brak chętnych. Niestety, wszyscy na poszukiwania wyruszyć nie mogą. Pojedzie ze mną jedynie Iwan Płatonowicz. Nie wolno przecież zostawić bazy na łasce losu. Jeżeli nasi towarzysze nie powrócą, grupa ratunkowa wyruszy jutro, o godzinie ósmej rano.

— A my z profesorem zostaniemy? — westchnął Sandomirski.

— Wasze zadanie jest równie ważne.

Rozmowa powyższa tylko na krótki czas złagodziła niepokój, który ogarnął astronautów. Skoro bowiem rozeszli się do swych kajut i każdy pozostał sam, czarne myśli zaczęły ich opanowywać na nowo.

Sandomirski udał się do kabiny nawigacyjnej, zajął miejsce w fotelu i zaczął wpatrywać się w okno. Burza szalała w dalszym ciągu. Widząc, jak porywy wiatru wstrząsają ciężkim, przymocowanym linami kadłubem planetochodu, zaczął mimo woli wyobrażać sobie położenie, w jakim znalazł się stratopłan i jego załoga.

— Jak tam, jest połączenie? — co chwila zapytywał Kraśnickiego, który znowu usiadł przy odbiorniku radiowym.

— Nie, Mikołaju Aleksandrowiczu — odpowiadał Iwan Płatonowicz, który regularnie, co dziesięć minut, przechodził z odbioru na nadawanie.

Szef ekspedycji usunął się również do swojej kajuty. Jeszcze przed chwilą odrzucał wszelką możliwość nieszczęścia, teraz zaś opanowywać go zaczęły wątpliwości.

Punktualnie o północy rozległ się dzwonek 290 wzywający astronautów na spoczynek. Dzięki szczelnym zasłonom na oknach i wygaszeniu światel odnosiło się wrażenie, że rzeczywiście w rakiecie panuje głęboka noc. Jarzyły się tylko nikielne żarówki na korytarzu, w kabynie nawigacyjnej i salonie.

Tej nocy nikt jednak nie mógł zasnąć. Gdy o godzinie drugiej po północy Wiktor Pietrowicz w pidżamie zjawił się w kabynie nawigacyjnej, zastał tam kapitana statku.

— Nie śpicie? — zapytał Jachontow.

— Nie, Wiktorze Pietrowiczu. Jakżeż tu spać!... Sami rozumiecie. Proszę, spójrzcie, co się dzieje!

Burza co prawda minęła, ale wiatr przybrał jeszcze bardziej na sile. Fale z rykiem atakowały skalisty brzeg, dosięgając prawie miejsca, gdzie stał planetochód. Rakieta mimo solidnego zakotwiczenia i cumów chwiała się jak okręt w czasie sztormu. Spienione bałwany zalewały okna. Ściekające po nich strugi wody zamazywały linię brzegu.

— Mikołaju Aleksandrowiczu — podjął Jachontow. — Proszę was o szczerść. Jak przypuszczacie, co mogło stać się z naszymi młodymi przyjaciółmi?

— Obawiam się, że ulegli katastrofie. Prawdopodobnie stratoplan zaginął. Gdyby było inaczej, Odincow znalazłby sposób, by powrócić lub choćby nawiązać z nami łączność. Dotychczas na nasze sygnały nie odpowiada. Oznacza to, że maszynę uznać należy za straconą. Lecz czy oni żyją? Ech, Wołodia, Wołodia!...

Mimo późnej pory Kraśnicki, którego zgarbiona postać rysowała się na tle okna, wciąż tkwił przy aparacie. Człowiek ten rozumiał doskonale, co oznacza

dla tak małej grupy utrata dwóch dzielnych towarzyszy. Dlatego też choć dawno już skończył się jego dyżur, nie odchodził od aparatu, łudząc się nadzieją, że wreszcie usłyszy daleki głos zaginionych.

Jachontow w całej pełni pojmował, co przeżywają astronauty, i starał się ze wszystkich sił dodać im otuchy.

Specjalnie głośno, tak aby mógł go słyszeć również Iwan Płatonowicz, powiedział:

— Pręszę być dobrej myśli, Mikołaju Aleksandrowiczu! Oni są we dwoje. Są młodzi i pełni sił. Rano rozpoczniemy poszukiwania. Jeżeli stratoptan uległ rozbiciu, powinniśmy znaleźć jego szczątki. Przecież to nie szpilka. Na ciemnym tle skał łatwo je będzie zauważyć. Nie martwcie się! Rozumiem was dobrze. Tworzymy teraz jedną rodzinę. Najważniejsza rzecz, by w tych trudnych dla nas chwilach nie tracić głowy i nie poddawać się nastrojowi. Mnie również nielekkko. Staram się jednak nad sobą panować.

Po upływie pewnego czasu Kraśnicki udał się na spoczynek. Jego miejsce przy aparacie zajął astronom.

Przed szóstą rano wiatr ucichł nagle. Woda w zatoce uspokoiła się, choć jeszcze na otwartym morzu trwał sztorm.

Punktualnie o ósmej uczestnicy oddziału ratunkowego zajęli miejsca w kabine planetochodu. Za kierownicą siadł Kraśnicki i włączył natychmiast silnik. Ciężka maszyna drgnęła, zazgrzytały jej gąsienice.

Hermetycznie zamykana kabina planetochodu, zaopatrzona w zapasy tlenu, wody i żywności, posiadała urządzenia regulujące temperaturę oraz 292 wilgot-

ność powietrza. Dzięki temu astronauta nie potrzebowali używać ani ubrań ochronnych, ani masek. Czuli się więc tak, jak w kabinach rakiety: lekko i swobodnie.

Planetochód, zaopatrzony w potężny silnik, pokonał łatwo strome wzniesienie i po upływie dziesięciu minut znalazł się na skalistym, rozległym płaskowyzu. Była to otwarta, lekko pagórkowata równina, zamknięta w oddali barierą gór. Pokrywały ją olbrzymie głazy spoczywające na warstwie piasku lub gliny. Równinny charakter terenu nie oznaczał wcale, że pojazd poruszał się po gładkiej powierzchni. Przeciwnie, drogę zagrażały mu rozrzucone gęsto kamienie oraz strome wzniesienia i spadki. Mimo całego mistrzostwa kierowcy, który umiejętnie lawirował wśród przeszkód, kabina planetochodu huśtała się jak łódka na wzburzonych falach. Podróżowanie w takim pojeździe nie należało do rzeczy przyjemnych.

Jachontow siedział z prawej strony kierowcy. Był pełen niepokoju. Nie lepiej czuł się Kraśnicki. Obaj jednak starali się zachowywać w taki sposób, jak gdyby ani na chwilę nie wątpili, że ich wyprawa odniesie pożądany skutek. Usiłowali więc mówić na tematy oderwane, do czego okazję stwarzała miejscowość, przez którą właśnie przejeżdżali.

— Cóż za okrutny, przygnębiający widok — odezwał się Kraśnicki biorąc w pewnej chwili ostry zakręt.

— Zobaczyłem w zasadzie to, czego się spodziewałem — odpowiedział jego towarzysz. — Historia Wenus ma napisane dopiero pierwsze karty, pierwsze zaledwie rozdziały. Oto przed nami typowy pierwotny krajobraz. Jest on gigantycznym potokiem zastygłej lawy. Proszę spojrzeć! Te głazy, które wymijamy, to

przecież skały wulkaniczne. Bardzo twarde i nie pokryte glebą. Procesy denudacyjne nie zdążyły jeszcze wyrównać powierzchni.

— Skąd się bierze ta lawa? — spytał Kraśnicki.

Akademik zamiast odpowiedzi wskazał ręką na odległy, widniejący z prawej strony łańcuch górski. W wielu miejscach ponad grzbietami gór unosiły się znamienujące wulkany pióropusze dymów i błyskały języki płomieni.

— Być może, spotkamy po drodze świeże potoki lawy — podjął Jachontow. — Byłoby to bardzo źle.

Kraśnicki milcząc skręcił gwałtownie kierownicą, ażeby wyminąć leżący na drodze olbrzymi głaz.

— Te zaś kanciaste, gdzieniegdzie zaokrąglone odłamy skał, które tarasują nam drogę — kontynuował Wiktor Pietrowicz — pochodzą bez wątpienia z późniejszego okresu niż lawa. Wyrzucone zostały z wnętrza planety.

— Czy to są bomby wulkaniczne?

— Sądząc po ich wyglądzie, wydaje się, że wyrzucone zostały przed kilkuset laty.

Rozmowa urwała się, ponieważ droga stała się bardzo trudna i należało zwracać baczną uwagę, by nie najechać na któryś z głazów. Maszyna pracowała bardzo ciężko.

— Żadnych oznak istot żywych — odezwał się po pewnym czasie Kraśnicki rozglądając się wokół.

— Nie należy ich szukać wśród gołych skał lub na kamienistej równinie — odparł Jachontow. — Zwierzęcy świat Wenus według wszelkich przypuszczeń nie wyszedł jeszcze z wody. Na lądzie spotkać go będzie można chyba tylko w wąwozach i dolinach, a więc tam, gdzie jest wilgoć. Tu na pewno niczego nie znajdziecie.

Astronauci-oddalili się już na dość znaczną odległość od miejsca, w którym pozostała rakieta. Kraśnicki prowadził maszynę zgodnie z wykresem wskazującym kierunek, w którym znikł wczoraj samolot. Planetochód mimo nierówności terenu sunął ze średnią prędkością około 40 kilometrów na godzinę. Po trzech godzinach jazdy astronauci znaleźli się w miejscu, w którym płaskowyz zaczął się obniżać. Iwan Płatonowicz zatrzymał maszynę, ażeby dokładnie zbadać okolicę.

Daleko na horyzoncie z lewej strony lśniła różowa linia morza, na prawo zaś ciągnął się na przestrzeni mniej więcej stu kilometrów łańcuch wysokich gór, których poszczególne szczyty ginęły w chmurach.

Wiktor Pietrowicz bardzo uważnie obejrzał góry, po czym odjął lornetkę od oczu i powiedział:

— Oto jedna z możliwych przyczyn katastrofy. Proszę zwrócić uwagę! Wśród gór wyrastają raptownie szczyty tak wysokie, że ich wierzchołki kryją się w obłokach.

— Na Ziemi takich nie ma — zauważył Kraśnicki.

— To jest oczywiste. Na Ziemi nie ma gór w ich pierwotnym stanie. Spotykamy tylko resztki, jak gdyby szczątki starych grzbietów górskich, które uległy wyrównującemu działaniu Wody, powietrza i innych sił denudacyjnych.

Pierwotne góry, prawdopodobnie bardzo wysokie, już dawno zostały starte z oblicza Ziemi. Tu zaś przed nami rozciąga się pierwotne sfałdowanie Wenus, stworzone pod wpływem silniejszych procesów wulkanicznych niż na Ziemi.

Kraśnicki jeszcze raz popatrzył na ginące w obłokach wierzchołki. Widok ich wywołał obawę, że znajdą tylko trupy poszukiwanych przyjaciół.

— Nife należy poddawać się rozpacz — odezwał się Jachontow wyczuwając nastrój towarzysza. — Zastanówmy się raczej, co robić dalej. Proponuję prowadzić poszukiwania w górach. Zgodnie z kursem lotu Odincowa.

— Nie w dolinie?

— Nie. Należy zbadać okolicę za łańcuchem górskim. Jeżeli założymy, że aparat zderzył się z jednym ze szczytów, to powinien on siłą bezwładności polecieć jeszcze do przodu kilkadziesiąt kilometrów. Zgadza się?

— Myślę, że macie rację. Tym bardziej że byłoby nam bardzo trudno poruszać się w tym terenie.

— Dlaczego?

— Proszę spojrzeć, jakie gęste zarośla. Dalej chyba rzeka. Wydaje się, że ma błotniste brzegi. Ugrzęźniemy.

Spostrzeżenia Kraśnickiego zawierały sporo prawdy.

— Więc jak postąpimy? — spytał jego towarzysz.

— Tak jak powiedzieliście. Skręcimy na prawo, pojedziemy płaskowyżem, a następnie wzdłuż łańcucha,

Planetochód ponad dwie godziny przedzierał się między rozrzuconymi gęsto głazami. Kraśnicki starał się jechać grzbietem najwyższej fałdy terenu, aby mieć daleki widok we wszystkich kierunkach.

Im bliżej gór, tym droga stawała się trudniejsza. Co krok na nierównej powierzchni zastygłej lawy sterczały olbrzymie głazy, zagrażały głębokie szczeliny, wyrastały strome wzniesienia, które potężna maszyna pókonywała tylko z wielkim trudem. Często trzeba było się zatrzymywać i cofać, aby po nabraniu odpowiedniego rozpędu wziąć taką przeszkodę.

Astronauci w dalszym ciągu nie zauważyli żadnych oznak, które by wskazywały na istnienie zwierząt. Pojawiać się natomiast zaczęła roślinność. Były to brudnoczerwone porosty pokrywające dużymi płatami ściany skał. Teren wznosił się coraz bardziej stromo. Lawirując między skałami, Kraśnicki zdołał wyprowadzić maszynę na wysokie wzniesienie, skąd roztoczył się widok na góry. Pasma ich przecinała w pewnym miejscu kotlina pokryta gęstymi czerwonymi krzakami. Wśród nich płynęła rzeka, która to kryła się w zaroślach, to połyskiwała odbitym pomarańczowym światłem.

Jazda, z każdą chwilą trudniejsza, stała się w końcu niemożliwa. Kraśnicki zgasił silnik i zatrzymawszy maszynę powiedział:

— Koniec, Wiktorze Pietrowiczu. Dalej wykluczone!

Drogę zagradzał wysoki, o stromych, w niektórych miejscach prawie prostopadłych zboczach stożek zastygłej lawy. Nigdzie wolnej drogi. Można było tylko zawrócić.

— Hm. I cóż teraz? — zapytał Jachontow. Po chwili nałożył aparat tlenowy i wyszedł z kabiny.

— Zostawimy tu maszynę, a sami spróbujemy wspiąć się na górę. Myślę, że z wierzchołka można będzie zobaczyć wszystko po drugiej stronie.

Kraśnicki zamknął na wszelki wypadek drzwi maszyny i schował klucz do kieszeni. Po czym uczeni rozpoczęli wspinaczkę. Nie była to sprawa łatwa. By wdrapać się na wysokość mniej więcej stu metrów, trzeba było czepiać się występów skalnych, pomagać sobie wzajemnie, przytrzymywać się korzeni rzadkich krzaków, pnących się tu i ówdzie po zboczu.

Zmęczeni astronauta dotarli wreszcie na szczyt stożka. Znaleźli się na skraju krateru, z którego buchało żarem. Z głębi unosił się błękitnawy dym. Gdyby nie aparaty tlenowe, oddychanie byłoby tu niemożliwe.

W dole bulgotała lawa. Wąski kanał krateru spadał pod kątem w lewo, tak że nie można było zobaczyć dna. Lecz w tej czarnej gardzieli pojawiały się od czasu do czasu czerwone odbłaski, swiauczące, że poziom rozżarzonej lawy znajduje się niezbyt głęboko.

— Okropne miejsce — odezwał się Kraśnicki.

— Ale bardzo interesujące — spokojnie odparł Jachontow. — Tu występują wszędzie źródła podziemnego ognia. Znajdujemy się jak gdyby w okresie aktywnych procesów górotwórczych. Jak długo przebywać będziemy na Wenus, zaw-

sze grozić nam może niebezpieczeństwo wybuchów wulkanicznych. Do tego trzeba będzie przywyknąć... Ale widok stąd wspaniały!

Rzeczywiście, jak daleko sięgał wzrok, ciągnęły się łańcuchy górskie, układające się na tle nieba w jakiś fantastyczny deseń. Widać stąd było skały o różnym zabarwieniu. Przeważała jednak czerń, z rzadka tylko ustępująca miejsca kolorowi brudnozielonemu i brązowemu.

Chmury opadały tu niżej i przesuwały się leniwie między szczytami. Skały o ostrych, kanciastych konturach obfitowały w spiczaste, wystające ponad szare obłoki blanki i nadawały krajobrazowi charakter dziki i surowy.

Średnica krateru wynosiła około 500 metrów. Astronaucci okrążyli go wzdłuż krawędzi, po czym zaczęli obserwować okolicę. Niestety, stratoplanu nie zauważono. Po prostu ni śladu. Nie pomogły ani lornetki, ani dokładne przepatrywanie terenu. Przekonano się tylko, że* dalsza jazda plane- tochodem w tej okolicy jest niemożliwa.

— Trzeba zawracać — powiedział Wiktor Pietrowicz kończąc obserwację.
— Nie ma drogi!

— To źle!

— Tu. w tym labiryncie gór stracimy tylko bezużytecznie czas. Odnaleźć wśród nich człowieka to sprawa bardzo trudna. Można przejść tuz obok x me spostrzec.

— Więc cóż robić?

— Należy skierować się ku rzece. Tam mamy największe szanse spotkania.

— Czy zdołamy przedrzeć się przez zarośla?

— Nie ma się czego obawiać. Maszynę mamy silną. Czyżby nie podołała? Innego rozwiązania nie wymyślimy. Proszę nie zapominać, że Natasza i Włodzimierz idą pieszo. Na pewno skierują się doliną, w której jest woda.

Ostatni argument wydał się przekonujący.

Astronauci nie bez trudu powrócili do maszyny. Iwan Płatonowicz znowu siadł za kierownicą. Planetochod ruszył starym szlakiem, a następnie skręcił

w prawo, gdzie widać było czerwone zarośla. Po chwili okazało się, że podobne są one do krzaków, które rosły w rozpadlinach skał na brzegu zatoki. Zarośla nie miały więcej niż 1,5 metra wysokości. Ponieważ kabina planetochodu wznosiła się wyżej, posuwanie się do przodu nie sprawiało większych trudności, tym bardziej że szerokie jego gąsienice z łatwością przedzierały się ku drodze, toteż podróżnicy mogli przez cały czas obserwować okolice i łańcuch górski.

Tak trwało dosyć długo. Po dwóch godzinach jazdy teren zaczął opadać. Niskie czerwone zarośla ustąpiły miejsca drzewom o ciemnopomarańczowych liściach, i bordowych pniach o grubości ramienia. Wyrastały z nich kolankowate gałęzie. Roślinność osiągała tu wysokość około czterech metrów, wskutek czego zatrzymała całkowicie planetochód. Trzeba było zwolnić tempo. Maszyna musiała, aby utorować sobie drogę, łamać swoim ciężarem pnie drzew i przedzierać się poprzez gąszcze. Miejscami płatana gałęzi była tak gęsta, że należało cofać się na pewną odległość i następnie zaporę tę pokonywać z rozbiegu.

Nie trzeba chyba wspominać, że podróżnicy nie odrywali się od szyb, ażeby nie przegapić pojawienia się jakiegś żywej istoty.

Trudno było wprost przypuszczać, ażeby wśród tej bujnej roślinności, przypominającej tropikalne dżungle, nie było zwierząt. Jednakże nie udało się wykryć śladów życia. Nie przeleciał w powietrzu ani jeden ptak, nie pełzał wśród gałęzi ani jeden owad. Sunący powoli poprzez zarośla



metalowy stwór otaczały zwartą masą tylko twarde, kolące i poskręcane gałęzie, pokryte dziwnymi pomarańczowymi liśćmi.

I znowu zmienił się charakter roślinności. Ot pojawiły się gigantyczne skrzypy i paprocie. Grube o średnicy jednego metra pnie zmuszały planetochód do częstego manewrowania i zmian trasy. Nie można ich było nawet z rozpędu złamać ani zgiąć. Wysokość tych czerwonych drzew wynosiła dziesięć i więcej

metrów. Ich szerokie purpurowe, pierzaste liście zakrywały niebo i stwarzały złowieszczy, purpurowy półmrok. U podnóża rosły grzyby o dziwnym kształcie. Niektóre z nich osiągały ponad metr wysokość. Jeśli przedtem na płaskowyżu pod gąsienicą pojazdu znajdowała się naga, twarda skała, to teraz maszyna posuwała się po gruncie gliniastym, podmokłym. Z każdą minutą droga stawała się coraz trudniejsza. W końcu Kraśnicki zatrzymał planetochód i powiedział:

— Stop! Dalej drogi nie ma! Należy zrobić przesiekę.

Ekspedycja zorganizowana została według najnowszych wymagań techniki. Pierwsi badacze lasów Afryki lub Południowej Ameryki musieli torować sobie drogę toporami. Astronauci natomiast mieli do swej dyspozycji przenośne akumulatory, które dostarczały energii do napędu pił elektrycznych. Po włożeniu na siebie masek i aparatów tlenowych Jachontow i Kraśnicki przystąpili do oczyszczania drogi. Gdy Kraśnicki ruszył z piłą, zaopatrzoną w elektryczny przewód, Wiktor Pietrowicz zawołał:

— Iwanie Płatonowiczu, weźcie z sobą broń! Na wszelki wypadek...

— Chyba tu nic nie grozi.

— Nie jest to tak pewne.

Kraśnicki obejrzał się jeszcze raz wokoło.

— Żadnych śladów zwierząt — powiedział.

— Albo po prostu dotąd ich nie dostrzegliśmy. Jeżeli występuje tak bujna roślinność, to wszystko wskazuje na to, że muszą tu być również zwierzęta. Trzeba mieć oczy otwarte i zachować jak najdalej idącą ostrożność.

Kraśnicki usłuchał rady i wrócił do kabiny. Uzbroidł się tu w duży nóż i elektryczny pistolet strzelający rozrywającymi się pociskami. Taką samą broń przyniósł swemu towarzyszowi.

— Tak, to inna sprawa — powiedział Wiktor Pietrowicz.

Kraśnicki uchwycił pistolet w rękę, zmierzył do grubego drzewa i pociągnął za spust. Pistolet wypalił bez huku, lecz wskutek uderzenia maleńkiego pocisku w pień paproci, która rosła w odległości kilku metrów, powstał wybuch i ogromne drzewo runęło jak od uderzenia piorunu.

— Nieźle — powiedział zwracając się do Wiktora Pietrowicza.

— Mimo to należy oglądać się na boki — odpowiedział Jachontow. — Pistolet jest bronią wtedy, gdy zdąży się go w porę wycelować.

Powiedziawszy to, uczony zabrał się do roboty. Piła przecinała pnie drzew nadzwyczaj szybko. Wystarczyło nie więcej niż dwadzieścia sekund, by przepiłować najgrubsze drzewo.

Astronauci postępowali jak doświadczeni drwale. Podcinali drzewo z jednej strony mniej więcej do połowy jego grubości, następnie robili to samo nieco wyżej z przeciwnej strony. Teraz wystarczyło silne pchnięcie, by drzewo runęło na ziemię.

W ten sposób powstawała stopniowo kilkudziesięciometrowa przesieka. W końcu w zwartych zaroślach błysnął prześwit. Gęstwa skończyła się.

— Zrobione! — zawołał Kraśnicki. — Teraz zobaczę, co tam jest.

Rzuciwszy piłę, ruszył kulejąc do przodu, wymijając leżące grube pnie spilowanych drzew. Wiktor Pietrowicz patrzył w ślad za nim. W półcieniu, jaki tu panował, widać było wyraźnie jasny kolor odzieży Iwana Płatonowicza. Wokół Panowała uspokajająca cisza. Raptem Kraśnicki wydał przeraźliwy krzyk, uskoczył w bok i upadł. Jachontow stracił go z oczu. Wyrwawszy pistolet z futerału, rzucił się ile sił w nogach na pomoc koledze.

Kraśnicki leżał na wznak na ziemi w splotach jakiegoś żywego stworzenia, które Jachontow wziął za węża. Kragłe, ciemnoczerwone cielsko tego potwora owinęło się wokół ciała Kraśnickiego, oplatając w silnym uścisku nogi i lewą rękę. Chemik, człowiek niezwykle silny, starał się rozluźnić wolną ręką uścisk potwora, lecz niestety, nie mógł temu podolać. Niewielka, stożkowata głowa stworu, umieszczona na gibkiej, wydłużającej się i skracającej szyi, przesuwała się szybko nad twarzą nieszczęśliwca, jak gdyby szukając odpowiedniego miejsca do ukąszenia.

Wiktor Pietrowicz nie tracąc czasu wyciągnął ostry jak brzytwa nóż i zadał gwałtowne cięcie. Odcięty jednym zamachem łeb potwora potoczył się na ziemię. Krew jednak ku zdziwieniu akademika nie pociekła. Pierścienie oplatające ciało Iwana Płatonowicza rozluźniły się. Błady jak chusta Kraśnicki podniósł się z trudem na nogi. Nie lepiej wyglądał jego towarzysz, który stał, ciężko dysząc, i patrzył z obrzydzeniem na zabitego potyóp.

— Dziękuję, Wiktorze Pietrowiczu — odezwał się wreszcie Kraśnicki. — Gdyby nie wy...

— Jak widzicie, miałem rację — odparł Jachontow. — Na Wenus istnieje życie. I nawet w dosyć zadziwiających przejawach. Jak wszędzie, gdzie dużo wilgoci... Żebyście wiedzieli, jak ja się okropnie przeraziłem!

— Gdyby nie wasza pomoc, zginąłbym.

— Co za straszny potwór... I prawdopodobnie obdarzony olbrzymią siłą.

— Ale mnie ścisnął!...

— Trzeba go obejrzeć.

Zaczęli przypatrywać się długiemu, leżącemu na ziemi cielsku. Wiktor Pietrowicz szczególnie uważnie obejrzał odcięty łeb, który ostrożnie podniósł z ziemi i pokazał towarzyszowi.

— Wydaje mi się, że tym razem niebezpieczeństwo było jeszcze nie bardzo wielkie — powiedział. — Widzicie? Na głowie nie ma ani oczu, ani uzębionych szczęk, ani wreszcie żadnych śladów żądoła. Widzimy przed sobą najzwyczajniejszego robaka, jedynie olbrzymich rozmiarów.

— Dlaczego on na mnie napadł?

— Na wszelki wypadek. W każdym razie nie po to, by was zjeść. Do tego jest niezdolny. Widocznie przestraszyliście go. Konwulsyjne skręty jego ciała to po prostu sposób samoobrony. Dziwię się, dlaczego potwór nie próbował uciekać.

— Drugiego takiego spotkania nie życzę sobie — powiedział Kraśnicki siadając na kamieniu.

— Mogą zdarzyć się jeszcze gorsze — wycedził przez zęby Jachontow. — Jeśli jest taka strawa, to musi być ktoś, kto ją pożera.

— To prawda — przytaknął Kraśnicki.

Po wypauku z oilbrzymim robakiem uczeni posuwali się do przodu z jak największą ostrożnością. Szli wolno, przystawali co chwila i przypatrywali się wszystkiemu bardzo dokładnie.

Wszelkie wszelkie środki ostrożności były już zbyteczne, więcej śladów życia nigdzie nie udało się wykryć. Co prawda Kraśnicki zauważył kilka Podejrzanych poruszeń w zaroślach, ale po chwili wszystko się uspokajało. Akademikowi wydało si? również, jakoby wśród paproci przebiegło jakieś zwierzę na cienkich nogach, wielkości psa, podobne do pająka. Wiktor Pietrowicz wziął je Jednak za twór podniecanej wyobraźni.

Następnie podróżnicy wrócili do maszyny, zajęli w niej miejsca i ruszyli na-przód. Pojazd posuwał się z trudem przez przesiekę. Za lasem widać było ciągnącą się jakieś dwa kilometry, zupełnie otwartą przestrzeń. Jeszcze dalej poły-skiwała rzeka. Grunt naokoło pokrywały płyty mchu czerwono-brunatnego koloru. Teren był błotnisty. Spod ciężkich gąsienic planetochodu wydobywała się woda.

Gdy *na skraju zarośli pokazała się rzeka, Kraśnicki nie zmieniając kursu skierował pojazd prosto w wodę. Po chwili astronauta płynęli już po szerokim rozlewisku rzeki osiągającej w tym miejscu około kilometra szerokości. Prąd wydawał się tu bardzo silny. Mimo wielkiej mocy motoru pojazd nie mógł przepłynąć rzeki w poprzek w linii prostej. Nurt znosił go do tego stopnia, że prze-

ciwległy brzeg osiągnięto dopiero na kilka kilometrów w dół rzeki. Podróżnicy nie mogli oderwać oczu od potężnego łańcucha gór, który zamykał horyzont. Widziany z rzeki, pejzaż wydawał się szczególnie majestatyczny.

Z trudem udało się wreszcie wspiąć na brzeg. Tu, podobnie jak po przeciwnej stronie rzeki, ciągnął się płaskowyż. Różnica polegała jedynie na tym, że nie było tu prawie zupełnie roślinności.

Dotarwszy do miejsca, z którego roztaczał się rozległy widok, podróżnicy zatrzymali maszynę.

Na horyzoncie ciągnął się ten sam, dobrze z tej odległości widoczny łańcuch górski, którego poszczególne wierzchołki ginęły w obłokach. Widać było również ostre stożki wulkanów bucha- 306 jące dymem i płomieniami. Uczeni posługując się lunetą, dającą pięćdziesięciokrotne powiększenie, poddali szczegółowej obserwacji każdą górę z osobna. Mieli nadzieję, że zdołają w ten sposób natknąć się na jakiś ślad zaginionych. Niestety, usiłowania te nie dały pożądanых wyników, aczkolwiek góry widać było przez okulary lunety tak dokładnie, jak gdyby cały łańcuch znajdował się w odległości zaledwie stu metrów.

Z równą dokładnością przepatrywali uczeni powierzchnię skalistej równiny. Tu i ówdzie zobaczyli niewielkie gaje, przypominające kępy lasów na Ziemi. Tworzyły je czerwono-brunatne olbrzymie skrzypy i paprocie.

Zauważywszy, że oazy te wyznaczają wśród niewielkich skał linię krzywą, Kraśnicki wyraził pogląd, że ciągną się one prawdopodobnie wzdłuż koryta rzeki lub strumienia. Lustra wody nie widać stąd dlatego, że płynie ona na dnie głębokiej doliny.

Wiktor Pietrowicz zgodził się z takim przypuszczeniem.

— Jeśli założymy — powiedział — że nasi towarzysze żyją i usiłują dostać się do bazy, to szukać ich należy w wąwozie, gdzie na pewno jest woda. Wątpliwe, by udali się poprzez pustynię. Spróbujemy więc dotrzeć w dół strumienia i następnie jechać wzdłuż jego brzegu w kierunku gór. Po dotarciu do Aródeł zawrócimy i z biegiem rzeki udamy się aż do jej ujścia, do morza. W ten sposób zbadamy duży obszar.

Planetochód ruszył z maksymalną szybkością w kierunku wskazanym przez Jachontowa. Po godzinie jazdy poprzez skalistą równinę astronauta dotarli do doliny. Rzeczywiście, na dnie jaru porośniętego krzakami i niewielkimi drzewami płynęła bystro wśród kamieni płytka rzeczka.

Planetochód, kołysząc się z boku na bok wskutek nierówności terenu, ruszył powoli w górę rzeki, trzymając się jak najbliżej jej koryta.

Astronauta znajdowali się już ponad dwanaście godzin w drodze. I choć pragnęli jak najszybciej odnaleźć zaginionych towarzyszy, musieli wskutek zmęczenia odpocząć. Była godzina dwudziesta pierwsza według czasu ziemskiego. Wiktor Pietrowicz postanowił zatrzymać się na nocleg. Odjechawszy w bok od koryta rzeki, Kraśnicki zatrzymał maszynę na wysoko położonym i odsłoniętym ze wszystkich stron płacyku. Zmęczeni astronauta wyszli z kabiny i zaczęli przygotowywać kolację. Udało się również rozpalić ognisko.

Uczeni jakiś czas odpoczywali, po czym Kraśnicki postanowił zbadać miejscowość.

— Iwanie Płatonowiczu! — zawołał jego towarzysz, który pozostał przy ognisku.

— Proszę?

— Czy wzięliście z sobą broń?

— Tak — uśmiechnął się dobrodusznie chemik.

— Doskonale. Tu trzeba zachować ostrożność.

Iwan Płatonowicz skierował się wzdłuż brzegu, zadowolony, że długi dzień na Wenus umożliwia dobrą widoczność nawet w czasie przeznaczonym na sen.

Potok górski toczył się z szumem po kamieniach. Wiatr ucichł. I tylko niezwykle oświetlenie, kłębiące się w górze dziwne obłoki przypominały, że rzecz dzieje się nie na Ziemi, lecz na 308 innej planecie.

Strumień skręcał w prawo. Tuż wznosiła się wielka, o pionowych ścianach skała, która przesłaniała dalszy widok. Wszędzie na zboczach wzniesień -rosły czerwone drzewa i krzaki.

Stapając ostrożnie po śliskich od wody kamieniach i chwytając się gałęzi, Kraśnicki okrążył skałę. Raptem wykonał gwałtowny skok i rzucił się ile sił w nogach do przodu.

Ten nagły skok i bieg chemika był w pełni usprawiedliwiony. Wąwóz, którym płynął potok, rozszerzał się za skałą, tworząc obszerną otoczoną pionowymi ścianami kotlinę. W jednej ze ścian widać było otwór przypominający wejście do pieczary. Przed nim, na brzegu rzeki, znajdowało się dwoje ludzi rozpaczliwie broniących swego życia. Byli to Włodzimierz i Natasza.

Kraśnicki ocenił sytuację z błyskawiczną szybkością i rzucił się na pomoc, ulegając wewnętrznemu nakazowi. Przyjaciele znaleźli się w niebezpieczeństwie. Należało śpieszyć z ratunkiem, nie szcędząc swego życia. Dopiero później, będąc na brzegu, zrozumiał, co to się dzieje. Uczony zauważył zaginionych ale jakiej trudnej sytuacji! Odincow leżał z zabandażowaną nogą nad samą wodą za wielkim głazem, zza którego strzelał z pistoletu w kierunku wąwozu. Obok stała Natasza i wypuszczała kulę za kulą w tym samym kierunku. Strach wykrzywił jej twarz. Dojrzeć wroga było łatwo. Kraśnicki spostrzegł, że po jednym ze zboczy zsuwały się trzy dziwne stworzenia.

Uczonemu przebiegł po plecach nieprzyjemny chłód. Potwory, których tułowia miały do dwóch metrów szerokości, podobne były do zwykłych Pająków. Sunęły ociężale na grubych, kosmatych, kolankowatych nogach, takich, jakie mają krzyżaki. Tylne kończyny znacznie dłuższe i grubsze przypominały nogi konika polnego. Ponadto można było dokładnie rozróżnić inne szczegóły budowy tych zwierząt, na przykład olbrzymie, nieruchome, szkliste oczy, z których — jak wydało się Kraśnickiemu — bił jakiś złowrogi blask. Potwory groźnie ruszały szczękami.

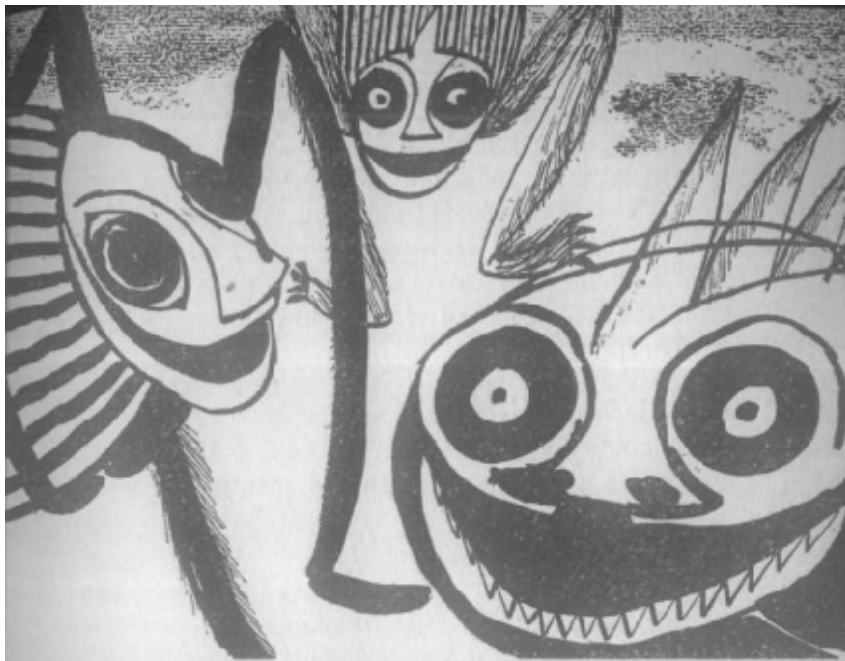
W obliczu niebezpieczeństwa zmysły człowieka wyostrajają się. Dlatego też, by to wszystko spostrzec, Kraśnickiemu potrzeba było zaledwie kilku chwil. Widział, jak potwory hipnotyzowały swoje ofiary nieruchomymi, zimnymi ślepiami. Następnie pająki zatrzymały się i zaczęły podkurczać nogi, jak gdyby gotując się do skoku.

Być może Nataszy i Włodzimierzowi drżały ręce bądź też rozrywające się pociski nie wyrządzały potworom żadnej szkody, gdyż strzały nie robiły na nich

zupełnie wrażenia, tym bardziej że strzelano do nich z pistoletów bezgłośnych. Cała uwaga pajaków zwrócona była jedynie na Ódincowów.

- Celujcie dobrze! Celujcie dobrze! — krzyknął Kraśnicki. Równocześnie wyciągnął swój pistolet i nie zważając na chorą nogę, przeskoczył przez strumień i rzucił się naprzeciw packom, strzelając do nich seriami.

Stało się to w najkrytyczniejszej chwili. Jeszcze bowiem sekunda — i pajaki zdążyłyby wykonać skok. Lecz kule Kraśnickiego dosięgły ich i eksplodowały. Potwory runęły ze skały. Choć cielska ich zostały zupełnie rozszarpane wybuchami kul, posiadały jeszcze tak wielką żywotność, że nawet w tym stanie ruszały strasznymi łapami.



Natasza rzuciła pistolet na ziemię i zakryła oczy rękami. Włodzimierz dyszał tak ciężko, jak gdyby za chwilę miało mu pęknąć serce.

Kraśnicki zbliżył się do przyjaciół, nie odrywając oczu od drgających cielsk potworów. Sądził, że za głazami mogły ukrywać się jeszcze inne pająki. Na razie jednak nic się nie pokazywało.

Na twarzy Kraśnickiego pojawił się uśmiech będący wyrazem radości i równocześnie zmieszania. Był szczęśliwy, że zaginieni są żywi, że wreszcie ich odnaleziono. Natasza nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Stała chwilę blada, po czym osunęła się zemdlna obok męża. Włodzimierz patrzył na Kraśnickiego w taki sposób, jak gdyby nie wierzył, że niebezpieczeństwo już minęło.

— Jeszcze sekunda — powiedział jakimś ob cym tonem — i byłby koniec...

Chciał wstać, lecz nie mógł.

— Leżcie, leżcie! — uspokoił go Kraśnicki pochylając się nad Nataszą.

Omdlenie Odincowej nie było długie. Po chwili uniosła wolno rękę i zakryła nią oczy...

Na miejsce wypadku śpieszył strwożony Jachontow. Był zdyszany. Dawała znać o sobie starość, ponadto przeszkadzała maska, utrudniająca oddychanie. Uczony natychmiast zrozumiał, że zająć tu musiało coś strasznego. Pełen zdumienia, zaczął przyglądać się jeszcze drgającym cielskom pajaków.

— Proszę, spójrzcie — kiwnął mu głową Kraśnicki podając Nataszy koniak.

Jachontow mimo wzruszenia, które ogarnęło go na widok odnalezionych w takich okolicznościach przyjaciół, powiedział do Nataszy i Włodzimierza zaledwie kilka serdecznych słów i ruszył w kierunku pajaków.

— Wiktorze Pietrowiczu, ostrożnie! — zawołał ostrzegawczo Włodzimirz — mogą tu ukrywać

się inne.

Lecz uczony spokojnie zbliżył się do znieruchomiałych już potworów i, pochylony, zaczął się im uważnie przyglądać.

ROZDZIAŁ XVII

w którym uczony astronom odkrywa Wąwóz Gorących Skał

— Odjechali!

Sandomirski machnął energicznie ręką, odprowadzając oczami oddalający się w kierunku gór planetochód.

Maszyna kołysała się i powoli wdrapywała po skalistym zboczu.

— Z czym oni powrócą? Czy też odnajdą Nataszę i Włodzimierza? — westchnął Mikołaj Aleksandrowicz.

— Miejmy nadzieję — odpowiedział profesor Szapowałow. — Odincowie to ludzie młodzi, zdrowi, wysportowani. Pod względem fizycznym doskonale przygotowani. Dadzą sobie na pewno radę.

— Z waszych ust po prostu miód płynie. A jeśli samolot uległ katastrofie?

— Wszystko się może zdarzyć...

Sandomirski popatrzył jeszcze raz w kierunku,

W którym znikł planetochód, po czym ruszył do rakiety. Za nim postępował astronom.

Osobliwość życia na Wenus stanowiło między innymi również to, że spożywać pokarmy można było tylko wewnątrz specjalnie urządzonego i zamykanego hermetycznie pomieszczenia. Przebywając w atmosferze uniemożliwiającej oddychanie, astronauta nie mogli zdejmować masek, aby się czegoś napić lub zjeść. Należało więc jakoś sobie w tych szczególnych warunkach radzić. Na masce na wprost ust był umieszczony maleńki kran. Jeśli astronauta znajdował się poza rakieta i chciał napić się z rzeki lub z kubka, nakładał na kran gumową rurkę, koniec jej zanurzał w wodzie, następnie odkręcał kran i wciągał płyn. Sposób ten jednak nie mógł mieć zastosowania przy spożywaniu pokarmów nie-płynnych. Tu jednak przydawały się owe koncentraty w kształcie pigułek, z których tak dworował sobie Szapowałow. Zażywanie tych pigułek odbywało się w następujący sposób. Astronauta, wzięwszy głęboki wdech, unosił szybko jedną ręką maskę, drugą zaś wkładał do ust tabletkę, po czym energicznym wydechem wyrzucał spod hełmu gazy, które się tam dostały. Jedna pigułka wielkości rajskiego jabłuszka podtrzymywała siły człowieka w ciągu doby. Pigułek tych nie połykano, lecz je dokładnie przeżuвано.

Ten dowcipny sposób odżywiania pozwalał co prawda zachować siły, ale nie dawał większego zadowolenia smakoszem. Dlatego też astronauta starali się pić herbatę i spożywać posiłki tylko w salonie rakiety lub kabinach planetochodu i stratoplanu. Tam mogli zdjąć maski i czuć się jak u siebie w domu na Ziemi.

Szapowałow nie śpiesząc się przygotował herbatę. Siedząc za stołem, astronauta zaczęli się zastanawiać nad tym, co powinni robić, dopóki trwają poszukiwania. Nie było bowiem celu, aby obaj pozostawali beczynnie w rakiecie. Do jej ochrony wystarczał w zupełności jeden człowiek, który mógł jednocześnie

utrzymywać łączność radiową z planetochodem. Zadania tego podjął się Sandomirski. Profesor był zatem wolny. Postanowił więc, ażeby lepiej poznać okolicę, udać się na całodzienną wycieczkę. Umówiono się, że wróci pod wieczór i podzieli z Sandomirskim po połowie nocny dyżur przy pulpicie sterowym.

Po zmyciu naczyń po herbacie Szapowałow, który pełnił dziś dyżur kuchacza, zaczął przygotowywać się do drogi. Ubrał się w lekki garnitur, przewiesił przez ramię torbę i włożył do niej manierkę z wodą, kilka pigułek odżywczych, kubek i w ogóle to wszystko, co mogło mu się przydać w czasie wycieczki. Na pasku zawiesił fiński nóż i pistolet. Ekwipunek uzupełniał aparat fotograficzny i silna lornetka polowa. Gdyby nie uzbrojenie i maska na twarzy, poważny profesor mógłby uchodzić za udającego się w świąteczny dzień na spacer podmorskiego letnika. Uczony zabrał z sobą w drogę laskę, którą energicznie wywijał.

Sandomirski pomachał mu na pożegnanie ręką. Po pewnym czasie uczony znikł mu z oczu.

Pogoda była piękna. Co prawaa dął silny wiatr, lecz upał stawał się dzięki temu bardziej znośny. Skały obeschły po deszczu, zupełnie suche były również otoczaki na brzegu morza.

Otyły profesor szedł wolno wzdłuż pasa przyływu, zadowolony z siebie i otoczenia. Spacer pieszy był przyjemny i zdrowy. Astronom maszerował brzegiem, a raczej podskakiwał, podobny do wielkiej, elastycznej kuli. Na nierównościach pomagał sobie laską. Straciwszy znacznie na wadze, czuł się lekko i młodo.

Szapowałow przeszedł pasem przyływu ze dwa kilometry. Czerwone fale z szumem toczyły się przez kamienie i lizały podeszwy jego wodoodpornych butów. Nieoczekiwanie uderzyła o brzeg większa fala i obrzuciła go bryzgami piany, po czym odpłynęła pozostawiając na kamieniach jakiś żywy stwór podobny do kraba. Profesor poruszył go laską, chciał podjąć, lecz pomyślał, że przecież to nie jego dziedzina badań, i ruszył dalej.

Wybrawszy miejsce, gdzie wzniesienie nie było zbyt strome, uczony wydo stał się na skaliste, usiane kamieniami pogórze. Między głazami rosły tu i ówdzie krzaki i niewysokie drzewa. Pnie ich, poskręcane od wiatrów, nie miały więcej niż metr wysokości. Krzaki były kłujące i pokryte drobnymi, pomarańczowymi łuskami, drzewa zaś o gładkich pniach posiadały czerwone liście o przeróżnym odcieniu — od cynobru do karminu. Szczególną uwagę astronoma zwracały na siebie widoczne z dala rośliny przypominające kształtem nasze drzewa iglaste. Występowały rzadko, górując nad zaroślami. Gdybyśmy wyobrazili sobie zwykły polny skrzyp, przy czym nie zielony, lecz czerwony i wysoki na dziesięć metrów, wówczas mielibyśmy niejakię pojęcie o tych właśnie roślinach. Gałęzie ich rozmieszczone były w pięciu—sześciu kondygnacjach i rozchodziły się pękami na strony. Pnie drzew pokrywała drobna, ciemnoczerwona łuska.

„Typowe psilofity" — pomyślał profesor i ruszył dalej, ponieważ botanika mało go interesowała. Szedł po gładkiej, prawie pozbawionej gleby skale lekko, nie zważając na występujące tu i ówdzie małe wzniesienia. Profesor miał buty na grubej podeszwie kauczukowej, co bardzo ułatwiało marsz.

Szapowałow ważył na Wenus mniej niż na Ziemi, ale mięśnie jego zachowały dawną sprawność i siłę. Dlatego też bez większego zmęczenia przemaszerował prawie dziesięć kilometrów. Nie spostrzegł nawet, że pokonał tak długą drogę.

Profesor dotarł do wierzchołka wzniesienia. Dalej teren wyraźnie opadał. Między dwoma równoległymi zboczami rozciągała się dolina osłonięta górami od wiatrów. Roślinność występowała tu obficie, na kamienistym zaś gruncie czerwieniły się plamy mchu ciemnowiśniowego koloru. Iść było po nim wygodniej i przyjemniej, lecz silniej dawała się we znaki temperatura, ponieważ nie docierał tu wiatr.

Profesor przeszedł jeszcze trzy kilometry zboczem i dotarł do strumienia, który toczył się leniwie po kamieniach i wił wśród drzew. Astronautę zaczęło męczyć pragnienie. Woda w strumieniu była gorąca i czysta. Zaczepnął jej szklanym, kubkiem, popatrzył pod światło i gdy przekonał się, że nic w niej podejrzanego nie ma, zanurzył w niej gumową rurkę i z przyjemnością zaczął pić. Gdy ugasił pragnienie, postanowił odpocząć. Usiadł więc na jednym z kamieni i zaczął rozglądać się wokoło.

W pobliżu rósł las. Tworzyły go psilofity i gęste, czerwone zarośla, rzucając purpurowy cień. Między drzewami rozpościerał się kobierzec ciemnowiśniowego mchu.

Po krótkim odpoczynku profesor ruszył dalej, zrobił parę zdjęć i zabrał do torby kilka okazów roślin, które zerwał po drodze, oraz pęczek kolorowego mchu. Wszystko to czynił z bezinteresownych pobudek, gdyż osobiście botanika go nie ciekawiła. W czasie podróży w nieznanym terenie ludzie starają się zwykle posuwać z obawy przed zabłądzeniem wzdłuż rzek, potoków i strumieni. Po-

dobnie postąpił Szapowałow. Postanowił mianowicie iść w górę strumieni przedtem jednak ułożył piramidę z kamieni, aby oznaczyć w ten sposób miejsce, od którego rozpoczął swój marsz w dolinie.

Góry stawały się coraz bliższe. W końcu dolina przekształciła się w zarośnięty krzakami wąwóz. Teren „wznosił się niezbyt stromo, mimo to profesor odczuł, że szło mu się coraz trudniej. Było tu znacznie goręcej niż w dolinie. Zmieniła się również roślinność, pokazały się grzyby. Tak, to były najprawdziwsze grzyby! Inaczej tych czerwonawych, żółtych i zielonych roślin, przypominających olbrzymie szpilki — nie można było nazwać. Ich wysokie łodygi, puste wewnątrz, dochodziły profesorowi mierzącemu 166 centymetrów wzrostu prawie do pasa. Kuliste czapeczki tych dziwnych roślin były podobne do małych arbuźów. Kiedy profesor odłamał jedną z nich, co nie przyszło mu bez trudu, przekonał się, że była twarda jakpiłka. Cdyby nie maska na twarzy, uczony stwierdziłby, że grzyby i zarośla na Wenus wydzielają bardzo ostry i nieprzyjemny zapach.

Upał był nie do wytrzymania. Profesor czuł się jak w łaźni i dosłownie oblewał się potem. Odzież jego stała się obrzydliwie mokra. W tej chwili wycieczka nie sprawiała mu już żadnej przyjemności. Zwyciężyła w nim jednak rozbudzona raz żądza wiedzy. Ciekawiło go, dlaczego panuje tu tak wysoka temperatura. Nic nie wskazywało, by znajdował się w pobliżu czyn- 318 ny wulkan. Nigdzie bowiem nie było widać ani krateru, ani lawy, ani dymu, ani popiołu. Roślinność miała zupełnie świeży wygląd, woda w strumieniu była przezroczysta i płynęła spokojnie.

Profesor przypadkowo przytknął rękę do kamienia i natychmiast cofnął ją, sycząc z bólu. Kamień był niezwykle gorący. Podobnie woda w kałuży koło strumienia.

Temperatura wody na Wenus dochodziła do plus 40—45°, tu tymczasem osiągała prawie punkt wrzenia.

Uczony nie mógł zupełnie zrozumieć, gdzie tkwi przyczyna tego stanu rzeczy. Ruszył więc do przodu w nadziei, że w końcu przyczynę tę znajdzie. Zapomniał o zmęczeniu. Działaniem jego powodowały w tej chwili względy naukowe. Nie oszczędzając ubrania, podartego już w kilku miejscach, przedzierał się, dysząc od gorąca, przez krzaki. Dalej zaczynało się wzniesienie. Strumień w tym miejscu tworzył kaskadę; woda spadała z szumem z wysokości jednego metra, w obłokach pary.

Roślinność wyraźnie marniała. Wąwóz otoczony z obu stron gołymi skałami, stawał się coraz węższy. Temperatura była jeszcze wyższa, aczkolwiek nic w dalszym ciągu nie wskazywało na działalność wulkanu.

Profesor zatrzymał się. Dalsze posuwanie było już niemożliwe, jeżeli nie niebezpieczne. Uczony Popadł w głęboką zadumę, usiłując odgadnąć przyczynę zaobserwowanych zjawisk. I raptem włosy stanęły mu na głowie z przerażenia. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: substancjami, które wydzielają ciepło, znikąd go nie otrzymując, mogą być w przyrodzie tylko pierwiastki radioaktywne. Czyżby w tych skałach znajdowały się radioaktywne rudy? Na Ziemi trudno sobie coś podobnego wyobrazić, lecz tu, w warunkach zupełnie odmiennych, mogło tak być. Na Ziemi złoża radu, toru, uranu i innych podobnych substancji radioaktywnych są tak rzadkie, że aby otrzymać gram tych pierwiastków, trzeba

przerabiać setki ton rudy. Radioaktywne rudy na naszej planecie zawierają tak małą ilość substancji wydzielającej ciepło, że ich temperatura nie różni się praktycznie od temperatury otoczenia. Tu zaś uczonemu otaczały zewsząd gorące skały. Czyżby zatem koncentracja pierwiastków radioaktywnych mogła być w przyrodzie tak wielka?

Na myśl o tym profesora opanowało przerażenie. Wiedział, jakie stanowi to dla życia człowieka niebezpieczeństwo. Co prawda wynaleziono już środki do walki z chorobami wywołanymi działaniem radioaktywnym, lecz czy będą one dość skuteczne przeciw promieniowaniu o takiej sile?

Uczony przeklinając swoją nieostrożność, podniósł kilka niewielkich kamieni leżących pod nogami i śpiesznie ruszył do tyłu, starając się jak najprędzej opuścić niebezpieczną, niosącą zagładę strefę.

Iść było trudno, lecz tym razem uczony przeskakiwał z kamienia na kamień prawie z małpią zwinnością. Dysząc ze zmęczenia, spocony, dotarł wreszcie do miejsca, w którym wznosiła się piramida z kamieni. Tu pozwolił sobie na krótki odpoczynek. Choć dokuczało mu nieznośnie pragnienie, nie miał odwagi napić się ze strumienia. Woda w nim była na pewno radioaktywna. Na



szczęście przypomniał sobie o manierce i wypróżnił ją do połowy.

Zmęczone ciało żądało wypoczynku, mięśnie bolały od wysiłku, do którego nie były przyzwyczajone. Lecz również tu, daleko od wąwozu, czaiło się niebezpieczeństwo. Kryło się ono wszędzie: w wodzie strumienia, w jego kamienistym łożysku, nawet w otaczającej atmosferze, nasyconej, być może, cząstkami radioaktywnymi.

Profesor zaledwie odetchnął, ruszył dalej w kierunku morza. I dopiero tam, gdy jego rozpalone ciało ochłodził wiatr, pozwolił sobie na prawdziwy odpoczynek. Następnie zrzucił z siebie ubranie, wszedł do wody i zaczął pływać i nurkować, ażeby zmyć z siebie szkodliwe cząstki, które — jak sądził, mogły znajdować się na powierzchni jego skóry. Po kąpieli zaczął płukać w gorącej wodzie wszystkie części garderoby, ażeby — o ile to możliwe — również je oczyścić. Po czym, aby wysuszyć, rozłożył wszystko na brzegu, wyciągnął się obok i zaczął się zastanawiać.

Trudno było określić wartość jego odkrycia. Jeżeli pierwiastki radioaktywne znajdują się na Wenus w takiej ilości i koncentracji, to było to pod względem teoretycznym niezwykle interesujące. Profesor wiele pracował nad problemami z dziedziny kosmogonii, był autorem prac naukowych poświęconych zagadnieniu powstawania systemu słonecznego.

Gdy liczni uczeni radzieccy przyszli do wniosku, że Ziemia nigdy nie była ciałem rozżarzoną, lecz że powstała z zimnej masy, za przyczynę ciepła wewnętrznego kuli ziemskiej zaczęto uważać substancje radioaktywne. Pierwiastki te, gromadząc się w określonych miejscach skorupy ziemskiej i wytwarzając tam na skutek rozpadu olbrzymie ilości energii cieplnej, powodowały powstawanie

ognisk wysokiej temperatury, w której topiły się skały, rozszerzały objętościowo i wylewały na zewnątrz przez kratery wulkanów.

Hipoteza ta, w zadowalający sposób wyjaśniła wszystkie zjawiska wulkaniczne. Jednakże nie tłumaczyła ona, skąd wzięły się na naszej planecie atomy substancji radioaktywnych, i do tego w górnych warstwach skorupy ziemskiej. Uczni wiedzieli, że atomy ciężkich pierwiastków, tak zwanych aktynowców, do których należą: rad, tor, uran, pluton i inne pierwiastki — mogły powstać jedynie w warunkach wyjątkowo wysokich temperatur i ciśnienia, istniejących tylko we wnętrzu rozżarzonych gwiazd, podobnych do naszego Słońca lub jeszcze bardziej gorących.

Na Ziemi, która nigdy nie była gwiazdą, pierwiastki te nie mogły się utworzyć. Wynika stąd, że dostały się one na powierzchnię naszego globu skądś z zewnątrz. Powstała więc hipoteza o wyjątkowo silnych reakcjach jądrowych, zachodzących we wnętrzu naszego słońca. Niedawno, to jest w tym okresie, gdy Ziemia już istniała i obracała się wokół niego jako planeta. Uczni przypuszczają, że we wnętrzu Słońca następowały wtedy także potężne eksplozje, które mogły wyrzucić strugi wytworzonej materii na odległość 150 milionów kilometrów, to jest dosięgnąć powierzchni naszej planety. Tylko tą drogą jądra ciężkich atomów, zrodzonych we wnętrzu Słońca, dostać się mogły na Ziemię. Ta pociągająca hipoteza była dostatecznie logiczna, jednakże nie potwierdzona dotąd niezbitymi dowodami. I oto teraz profesor przez prosty przypadek dowiedział się o nadzwyczaj przekonujących faktach.

Jeżeli hipoteza o powstawaniu radu we wnętrzu Słońca i pojawianiu się go na Ziemi w wyniku potwornych wybuchów jest słuszna, to położona bliżej źródła

reakcji jądrowej Wenus powinna była zatrzymać na swojej powierzchni znacznie więcej aktywności niż Ziemia. Dlatego atomy radu i innych pierwiastków tej grupy muszą występować na powierzchni tej planety znacznie częściej niż na Ziemi i znajdować się w stanie bardzo wysokiej koncentracji.

Wąwóz Gorących Skał był właśnie jednym z takich punktów na Wenus, którego dotknęły kiedyś rozżarzone strugi wybuchów słonecznych.

Gwoli prawdzie należy jednak zaznaczyć, że tymi rozważaniami naukowymi zajął się profesor później, w tej chwili bowiem nic go tak nie zaprzętało, jak myśl o grożącym mu niebezpieczeństwie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat medycyna działała cuda, jeśli chodzi o ochronę organizmu ludzkiego przed skutkami promieniowania radioaktywnego. Ale fakt, że na Wenus nie ma specjalistów, że będzie musiał leczyć się sam — wydał się profesorowi wprost katastrofą. Od morza powiał wiatr, który ochłodził ciało uczonego. Minęło zmęczenie. Astronom poczuł głód. Zażył więc aż dwie pigułki i popił je wodą z manierki.

Gdy człowiek nasyci głód i jest wypoczęty, jego pogląd na życie staje się bardziej optymistyczny. Podobnie było z profesorem. Rozmyślając o zjawiskach radioaktywnych w wąwozie, uczonego 324 zaczął wmawiać w siebie, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak przypuszczał w pierwszej chwili. W strefie radioaktywnej przebywał nie więcej niż dziesięć minut, poza tym najbardziej wrażliwe części i narządy ciała — głowa i drogi oddechowe — zabezpieczone były maską tlenową, której profesor ani razu nie zdejmował. Pewne zabezpieczenie stanowiła również bielizna i ubranie uszyte z jedwabiu oraz gumowe obuwie. Poza tym nie było stuprocentowej pewności, czy Gorące Skały stanowią źródło substancji radioaktywnych, skoncentrowanych tu w takiej ilości, że grożą życiu.

Mogło przecież być również i tak, że aktynowce nie znajdują się na zewnątrz, lecz gdzieś bardzo głęboko i że wewnętrzny żar rozprzestrzenił się do tego stopnia, iż ogrzaniu uległy zewnętrzne warstwy skał.

„Przecież atomy substancji radioaktywnej — rozmyślał uczony — wyrzucone tu zostały nie wczoraj. Stało się to wiele tysięcy lat temu. Od tego momentu zmieniło się oblicze Wenus. Pierwotną jej powierzchnię pokryły potoki lawy, wskutek czego aktynowce znalazły się głęboko w skorupie tej planety. Dlatego też lempeiatuirt skał nie oznacza jeszcze, że promieniowanie jest niebezpieczne... Ponadto poddałem odzież dokładnej dezynfekcji i wykapałem się w morzu... Na pewno znajdę w apteczce odpowiednie medykamenty”.

Dzięki takim rozważaniom profesor upewnił się ostatecznie, że wszystkie jego obawy są płonne, a niebezpieczeństwo znikome. Natomiast wielkie jest naukowe znaczenie odkrycia. Powracało więc Powoli dobre samopoczucie. I właśnie teraz przyszły mu do głowy owe myśli dotyczące pochodzenia substancji radioaktywnych na Ziemi.

Leżąc na ciepłym kamieniu, profesor powoli przychodził do siebie. Obawy stopniowo mijały. Mimo woli opanowało go radosne rozmarzenie na myśl, jaką to furorę wywoła w świecie naukowym jego nowa praca, udowadniająca teorię słonecznego pochodzenia aktynowców, teorię, której był szczerym zwolennikiem od lat. Upojony tymi przyjemnymi marzeniami, rozkoszował się ciepłem. Przyływ morza szumiał zupełnie tak samo jak na Ziemi.

Odпочąwszy, uczony spojrzął na zegarek. Ubranie już dawno przeszło. Czas było wracać.

Fale morza leniwie uderzały o brzeg. W pasie przyływu leżały całe girlandy wodorostów. W tym czasie gdy profesor był na wycieczce, morze wyrzuciło na brzeg ze swych otchłani wiele roślin i zwierzątek. Astronom nigdy takich nie widział. Postanowił więc zebrać te okazy flory i fauny morskiej i przekazać je Wiktorowi Pietrowiczowi.

Pogoda była ładna jak nigdy dotąd. Chmury płynęły powoli gdzieś bardzo wysoko. Podczas wycieczki nie spadła ani kropla deszczu.

Tabletki odżywcze na tyle pokrzepiły profesora, że drogę powrotną pokonał nie odczuwając najmniejszego zmęczenia. Powróciwszy do bazy, natychmiast otworzył odpowiednie dzieło medyczne, przeczytał kilka stron, po czym zrobił sobie zastrzyk, zabezpieczający przed działaniem promieniowania radioaktywnego.

Profesor Szapowałow postanowił, że nikomu nie zakomunikuje o tym, co się stało, i że zachowa dla siebie wyłącznie monopol zbadania Wąwozu Gorących Skał w przyszłej pracy naukowej.

ROZDZIAŁ XVIII

*to którym astronauta w dalszym ciągu zaznajamiają się ze światem zwierzę-
cym na Wenus*

Ponieważ poruszanie się sprawiało Włodzimierzowi trudność, chciano go ułożyć najpierw tuż koło ogniska, później jednak zmieniono zamiar i przeniesiono do kabiny planetochodu. Tu można było zdjąć maskę i swobodnie oddychać, co dla rannego pilota było znacznie korzystniejsze.

Na szczęście rany okazały się niezbyt poważne, zadraśnięcia na głowie już się goiły, kontuzja zaś prawej nogi, aczkolwiek utrudniała chodzenie, nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa.

Ciepłej wody było na Wenus pod dostatkiem. Po kilku minutach chorego umyło, nałożono mu świeże opatrunki, zmieniono bieliznę oraz zaaplikowano uspokajający i wzmacniający zastrzyk.

Zabieg odniósł skutek. Po pół godzinie Włodzimierz spał mocnym, krzepiącym snem. Na twarzy jego rysował się spokój.

Skoro tylko okazano konieczną pomoc rannemu, Wiktor Pietrowicz, niestrudzony, gdy chodziło o sprawy naukowe, uzbroił się w aparat fotograficzny i udał się na plac boju z pajakami, ażeby utrwalić je na błonie.

Natasza mimo zmęczenia czuła się na ogół dobrze. Miała tylko jedno pragnienie: posiedzieć, nie ruszać się z miejsca. Dwa dni blądania się w niezmiernie trudnych warunkach, przedzierania się przez kłujące zarośla, w upale, nie minęły bez skutku. Odincowa dostała zapalenia spojówek, zmizerniała, twarz zaś jej nabrała jakiegoś cierpiącego wyrazu.

Na sen było jeszcze za wcześnie. Rozmawiała cicho z Kraśnickim, siedząc przy ognisku i zgarniając patykiem tłące się węgle — zupełnie tak jak na Ziemi. W pewnej chwili przysiadł się do nich Jachontow, który wrócił z kotliny.

— W jakim stanie znajduje się stratopłan? — zapytał zwracając się do Nataszy.

— Dokładnie nie wiem, Wiktorze Pietrowiczu. Ma uszkodzone jedno skrzydło i pogiętą kabinę. Znalazłam go wśród drzew, które pogięły się i połamały pod ciężarem maszyny.

— Trzeba będzie zobaczyć. Bez stratoplanu jak bez ręki. Jest nam nadzwyczaj potrzebny. Dobrze, że zdążyliście przed katastrofą nadać radiogram.

Od momentu startu Odincowa zaszło tyle nieprawdopodobnych wprost wydarzeń, że nic dziwnego, iż Jachontow zapomniał wypytać się szczegółowo, w jaki sposób Natasza nawiązała łączność z Ziemią.

— Jesteście pewni, że słyszeliście sygnały z Ziemi?

— Najzupełniej — odpowiedziała Natasza.

— Hm...

— Były to co prawda sygnały słabe, ale jestem najzupełniej pewna, że je słyszałam.

Z kolei Natasza opowiedziała, co zdołali zrobić, gdy stratoplan znajdował się poza granicami atmosfery Wenus.

— To bardzo dobrze — odpowiedział Wiktor Pietrowicz. — Nie możemy mieć jednak zupełnej pewności, czy Ziemia odebrała wasz radiogram. Dlatego też trzeba koniecznie naprawić stratoplan. Najważniejszą dla nas sprawą jest uzyskanie połączenia radiowego z Ziemią. A teraz proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że znaleźliście się właśnie tutaj i skąd wzięły się owe potwory.

— Gdy trwała burza, rozważaliśmy, w jaki sposób dotrzeć do rakiety. Wołodia czuł się źle i nie mógł chodzić. Gdy burza ucichła, udałam się na poszukiwania stratoplanu. Spodziewaliśmy się, że skorzystamy ze stacji radiowej, by połączyć się z wami.

— I cóż dalej?

— Wiedziałam w przybliżeniu, gdzie upadł stratoplan. Nie mógł być zbyt daleko od miejsca, w którym znajdowaliśmy się. Wdrapałam się na drzewo. Zobaczyłam, że zupełnie blisko wystaje z zarośli, skrzydło samolotu. Pobiełam. Niestety stacja radiowa była uszkodzona. Zabrałam z kabiny broń, tabletki, wodę. I przybiegłam tu z powrotem. Nie spostrzegam nigdzie nic podejrzanego. Rano Wołodia powiedział, że może iść. Pamiętaliśmy dokładnie, z której strony w czasie lotu wznosił się łańcuch górski. Ruszyliśmy w tym kierunku. Nie wiedzieliśmy tylko, którą wybrać drogę, czy krótszą...

— Na wprost?

— Tak. Czy też wzdłuż strumienia. Wybraliśmy tę drugą ze względu na wodę. Droga nie była łatwa. Włodzimierz posuwał się powoli i z wielkim wysiłkiem. Kiedy wreszcie dotarliśmy do strumienia, postanowiliśmy iść wzdłuż jego biegu aż do morza. Oto i wszystko.

— A pająki?

— Ach, to stało się potem. Powiedziałam już, że w czasie drogi niczego podejrzanego nie zauważyliśmy. Zaczęliśmy nawet wątpić, czy w ogóle na Wenus istnieją jakieś zwierzęta. Tylko raz wydało się nam, że zauważyliśmy coś czarnego, podobnego do węża. Przemknęło w krzakach. Pomyśleliśmy jednak, że to złudzenie. Początkowo trzymaliśmy broń w pogotowiu, później zrezygnowaliśmy z tej ostrożności. Wszystko było dobrze do wieczora. Wołodia położył się, aby trochę odpocząć, ja zaś zaczęłam myć ręce. W pewnej chwili wydało mi się, że ktoś z tyłu bacznie mi się przygląda. Czułam na plecach ciężar tego spojrzenia. Obróciłam się i wtedy... zobaczyłam te okropne pająki. Prawdopodobnie znajdowały się w tym miejscu wcześniej, lecz siedziały tak nieruchomo, że ich nie spostrzeżliśmy. Bardzo się przeraziłam. Po prostu strach mnie sparaliżował. Myślałam, że serce mi pęknie. Zaledwie mogłam krzyknąć na Włodzimierza. Potem zaczęliśmy strzelać. I wtedy właśnie zjawił się Iwan Płatonowicz.

— Dlaczego kule nie trafiały do celu? Zapewne źle celowaliście?

— Nie wiem. Strach prędko minął i opanowałam się.

— Widocznie drżały wam ręce — zauważył Jachontow. — To zupełnie zrozumiałe. Taki wstrząs... Iwan Płatonowicz przybył w samą porę. Strach pomyśleć, co mogłoby się stać!

— Na myśl, że mogłabym wpaść w łapy takiego potwora, jeszcze w tej chwili ciarki przebiegają mi po ciele.

— Nie na wasze nerwy takie przeżycie!

— Wiktorze Pietrowiczu! — wybuchnęła Natasza. — Bądźcie sprawiedliwi. Jesteśmy razem kilka miesięcy. Proszę mi powiedzieć, w czym właściwie ujawniła się moja kobieca słabość? Czyżby występowała jeszcze w czymś innym?

— Nie, Natasza! Nie mogę wam nic zarzucić, żadnej słabości. Jesteście zuchem w całym tego słowa znaczeniu!

— Przyjdzie jeszcze czas, kiedy właściwie ocenicie Nataszę, kiedy powiecie: jak to dobrze, że jest ona z nami. Zapamiętajcie to sobie!

Powiedziawszy to, zaczęła wchodzić po drabince do kabiny planetochodu.

— Wspaniała — powiedział Kraśnicki patrząc w ślad za Nataszą.

Ten zamknięty w sobie człowiek nie umiał, być może, uzewnętrzniać swych uczuć, lecz przeżywał je bardzo głęboko. W czasie ekspedycji całym sercem przywiązał się do Nataszy, Wołodi, a nawet, do astronoma. Do Odincowej odnosił się jak do rodzonej córki.

— Nie mogę sobie darować — odezwał się Jachontow, gdy został sam z Kraśnickim — ze ją zabrałem.

Chemik milczał.

— Doskonale wiecie — kontynuował akademik — jak małe mamy szanse powrotu na Ziemię. A ona taka młoda...

I nie skończył.

Rano astronauta ruszyli w drogę powrotną. Na dość miękkim gruncie, szczególnie zaś w miejscach podmokłych widać było wyraźnie ślady gąsienic planetochodu. Iwan Płatonowicz prowadził maszynę na dużej prędkości. Włodzimierz leżał na wiszącym łóżku, tak że wstrząsy wskutek nierównej drogi niezbyt mu dokuczały.

Po upływie kilku godzin astronauta dotarli do dużej rzeki, o szybkim nurcie. Zanim zdecydowali się na przeprawę, postanowili zrobić krótki postój i zjeść obiad. Nic bowiem nie zmuszało do pośpiechu, poza tym silnik pracujący dotychczas na maksymalnych obrotach zagrzał się i potrzebny mu był odpoczynek.

Pasażerowie wyszli z kabiny. Natasza i Kraśnicki nazbierali suchych gałęzi i rozniecili ogień. Wszyscy usiedli w koło.

— Wiktorze Pietrowiczu! — odezwał się Włodzimierz, gdy postawiono wodę na ogień. — Brakuje tylko rybki. Jak sądzicie, czy żyją tu w ogóle ryby?

— Wydaje mi się, że liczyć na połów tu nie można — uśmiechnął się akademik. — Wątpliwe bowiem, czy życie na Wenus znajduje się w tym stadium, w którym zjawiają się ryby. Jeśli chodzi o połów, przyjechaliśmy tu za wcześnie. Gdybyśmy przybyli dwięściu milionów lat później — byłoby to w sam raz. Występują tu co prawda kraby i mięczaki, ale bardzo wątpliwe, czy są one jadalne.

— Jeżeli tak — wtrąciła Natasza — to przygotujemy obiad z produktów naszej starej Ziemi.

Powiedziawszy to, wrzuciła suche owoce do wrzącej wody. Jachontow i Kraśnicki ruszyli na przedobiednią przechadzkę wzdłuż brzegu, Natasza pozostała z mężem.

— Proszę zwrócić uwagę, Iwanie Płatonowiczu — wskazał ręką akademik. — Wszędzie widzimy tylko skały wulkaniczne. Powiodło się nam. Znaleźliśmy się w epoce formowania się skorupy tej planety. Nie zdążyły jej jeszcze pokryć ani skały osadowe, ani też produkty wietrzenia gór. Dzięki temu możemy badać ten świat w jego pierwotnym stanie.

— Lecz jest roślinność — delikatnie sprzeciwił się Kraśnicki. — Musi więc być gleba.

— Słusznie. Lecz w nieznacznym tylko stopniu. Aha! Byłbym zapomniał. Czy przed odjazdem wykonaliście analizę tutejszych minerałów?

— Bazalty i lawa. Są również okazy obsydianu.

— Rudy?

— Tlenków mało. Występują węgliki i piryty. Tlen w atmosferze powstał prawdopodobnie niedawno. Dzięki roślinności.

Rozmawiając, uczeni oddalili się od planetochodu. W pewnej chwili zauważyli dużą szczelinę w skałach. Tworzyła ona czarną, ziejącą wyrwę na połyskującej powierzchni bazaltu.

— Ciekawe, co tam może być wewnątrz — powiedział Kraśnicki.

— No cóż, zobaczymy. Do obiadu jeszcze czas. Jesteśmy uzbrojeni. Mam latarkę elektryczną. O, i strumień stąd wypływa...

Uczeni ruszyli szybko w kierunku szczeliny skalnej.

Wysoka i wąska szpara pomiędzy ścianami czarnego kamienia tworzyła długi, kręty korytarz, pozbawiony całkowicie dziennego światła. Wiódł on gdzieś daleko, w głąb skał. W dole szemrał wąski strumyk, który wypływał z rozpadliny i wpadał do rzeki.

— Najwidoczniej istnieje gdzieś w głębi pieczara, inaczej bowiem skąd by wypływał strumień? Może znajduje się tam nawet jezioro — ciągnął Jachontow. — Spróbujemy, o ile to jest możliwe, dotrzeć tam. Strumień będzie naszą nicią Ariadny.

Szedł przodem i oświetlał latarką drogę. Za nim z pistoletem gotowym do strzału posuwał się Kraśnicki. Korytarz był w niektórych miejscach tak wąski, że astronauta zaledwie z trudem mogli się przez niego przecisnąć. Wkrótce jednak zaczął się nieznacznie poszerzać, uczeni mogli iść obok siebie.

Wiktor Pietrowicz uważnie oświetlał drogę. Kurz pokrywał wszystko wokół cienką warstwą. Nigdzie jednak nie widać było żadnych śladów. Jachontow uniósł lampkę i skierował snop światła ku górze. Zniknęło ono wysoko, nie ukazując jednak sklepienia, które tworzyły załomy skał. Nisko szemrał strumień.

Po upływie dziesięciu minut uczeni dotarli do zakrętu. Oczekiwało ich tu niezwykle widowisko. Oto ściany szczeliny nagle się rozstały tworząc olbrzymią pieczarę. Światło latarki nie sięgało jej przeciwległego brzegu. Przypuszczenia Jachontowa sprawdzały się. Skalisty plac, na którym się zatrzymali, był w rzeczywistości brzegiem podziemnego jeziora. Tu właśnie brał swój początek strumień.

Kraśnicki kucnął i ostrożnie zanurzył rękę w wodzie.

— Gorąca — powiedział. — Czterdzieści stopni!

— Normalnie.

— Pozwólcie latarkę.

Kraśnicki skierował do dołu silny snop światła.

Woda była wyjątkowo przezroczysta. Kamienny występ, na którym zatrzymali się astronauta, opadał stromo w dół. Nie było czym zmierzyć głębokości. Na oko wydawała się ona nie większa niż dwa—trzy metry. Astronautów wszakże nie interesowała ani głębokość jeziora, ani przezroczystość jego wody. W promieniach światła ujrzeli zadziwiający obraz. Oto w tym olbrzymim naturalnym akwarium istniało bogate życie. Głazy spoczywające na dnie, porośnięte szkarłatnym mchem, stanowiły siedlisko wszelkiego rodzaju żywych istot. Ruszały się tam jakieś dziwne stworzenia, podobne do słodkowodnych stułbi, tylko większych rozmiarów. Ich długie macki wyciągały się ku ludziom, którzy ośmielili się naruszyć ciszę i spokój tajemniczego jeziora. Na dnie pełzały niezgrabnie olbrzymie raki, podobne na pierwszy rzut oka do kamieni. Spłoszone światłem, starały się ukryć w miejscach ciemniejszych. Widać było, jak ruszały wąsami i kleszczami. W pobliżu brzegu roiły się w wodzie chmary jakichś małych, ruchliwych organizmów. inne tworząc białawe obłoki pływały w głębinie. Po powierzchni biegały szybkie pająki.

— Wiktorze Pietrowiczu! — wyszeptał zdumiony Kraśnicki.

Jachontow trwał w milczeniu. Był pochłonięty obserwacją tego dziwnego świata. Dwuskorupowe mięczaki, raki posiadające na grzbiecie spiralne domki,

duże białe mięczaki — wszystko to ruszało się na dnie, usiłując ukryć się przed wzbudzającym lęk światłem, które tu nigdy jeszcze nie Wtargnęło.

Uczeni znajdowali się na brzegu, gdzie było najpłycej. Dalej dno obniżało się. Trudno było określić wielkość jeziora, lecz najprawdopodobniej ciągnęło się ono daleko. Tam też uciekały przestraszone stworzenia.

— Dla przyrodnika to wspaniałe odkrycie — powiedział Kraśnicki klęcząc nad wodą i wpatrując się w dno jeziora. — Należałoby zatrzymać się tu kilka dni.

— Istotnie, warto — zgodził się jego towarzysz. — Niestety, nie mamy na to czasu. Przyjdziemy tu jeszcze, i to niejeden raz. Tymczasem trzeba wracać. Odincowowie pewno się już o nas niepokoją.

Podnieceni odkryciem, uczeni skierowali się ku wyjściu.

Po obiedzie Wiktor Pietrowicz, tak jak przewidywał Kraśnicki, jeszcze raz udał się do pieczary. Wynikiem tej wyprawy były liczne trofea.

— Olbrzymi sukces, przyjaciele! — opowiadał po powrocie Jachontow. — To są trylobity. Najpierwotniejsze stawonogi! Żywe! Różnią się one znacznie od skamienielin swych pobratymców ziemskich i żyją w gorących i słodkich wodach, ale są to najprawdziwsze trylobity. A stułbie! Wspaniałe, słodkowodne stułbie. Tylko bardzo duże. Teraz rozumiem. Mieszkańcy naszych stawów to po prostu wynik zwyrodnienia pierwotnych form. Udało mi się złović wspaniałe okazy. Znalazłem kilka skorupiaków, bardzo podobnych do amonitów... Trafiliśmy, Iwanie Płatonowiczu, na rezerwat. Paleontologiczny rezerwat!

Nikt dotąd nie widział Jachontowa tak podnieconego i rozradowanego. Zresztą zachwyty jego były w pełni uzasadnione. Odkrycie bowiem stanowiło dla nauki nadzwyczajną zdobycz

Po pbedzie postanowili dobrze wypocząć i wyspać się. Rano ruszyć mieli w dalszą drogę.

Planetochód bez większych trudności przebył rzekę. Należało się śpieszyć. Sporo bowiem czasu zajęło badanie podziemnego jeziora i odpoczynek. Postanowiono więc jechać bez zatrzymywania. Maszyna posuwała się okolicą, gdzie rozwijała się nie tylko roślinność, lecz i zwierzęcy świat Wenus. Wśród ciepłych, mchem porośniętych błot istniały najprostsze formy tych obu dziedzin życia. Nic więc dziwnego, że Jachontow chętnie rozglądał się po bokach.

Jechano z maksymalną prędkością, aby nadrobić stracony czas. Potężny planetochód ciężko przewalał się z jednej pochyłości na drugą. Wiktor Pietrowicz nie odrywał oczu od rozciągającego się wokół krajobrazu. Zainteresowanie jego spostrzegła Natasza.

— Iwanie Płatonowiczu! — odezwała się cicho do Kraśnickiego.

— Proszę!

— Warto by zatrzymać się choć na godzinę. Zdaje się, że Wiktor Pietrowicz chętnie by poszperał w tych mchach. Ale się krępuje.

— Dobra — odparł Kraśnicki. — Niedługi postój nie zaszkodzi. W dodatku silnik bardzo się zagrzał.

Tak więc zdecydowano się na jeszcze jeden Postój.

— To świetnie! — ucieszył się Jachontow.

Włożył szybko ochronne ubranie, wyskoczył z maszyny z lekkością, o którą trudno go było posadzić, i pośpieszył w kierunku najbliższego bagna. Po chwili zanurzył się w wodzie. Mimo że Słęgała mu już do piersi, sunął pomagając sobie rękami coraz dalej i dalej. Uważnie oglądał łodygi roślin, rozsuwał i od czasu do czasu coś wylawiał z wody, co skrzętnie chował do przewieszanej przez ramię torby.

Pozostali astronauta pilnie śledzili czynności uczonego.

— Dlaczego on brnie tak daleko? — niepokoila się Natasza.

— Tu jest bezpiecznie — powiedział Kraśnicki. — Dużych zwierząt nie wi-
dać. Zresztą w takim błocie nie mogłyby żyć. A przed wszelkim drobiazgiem
Wiktor Pietrowicz jest zabezpieczony.

—1 Mimo to trzeba uważać... Patrzcie!... To mi się nie podoba.

— Co?

— Patrzcie! Coś porusza się za plecami Wiktora Pietrowicza.

I rzeczywiście. Jakies piętnaście metrów od miejsca, w którym znajdował się
Jachontow, chwiały się wierzchołki czerwonych roślin; tak jakby poruszało je
coś żywego.

— Prędeej, sygnał alarmowy! — zawołał Kraśnicki. — Trzeba śpieszyć na
ratunek!

Natasza włączyła syrenę. Ciszę Wenus przerwało przeraźliwe wycie.

Stojąc na stopniu maszyny, Kraśnicki machał ręką, starając się zwrócić uwagę uczonego na podejrzaną zjawisko. Ten, usłyszawszy syrenę i spostrzegłszy ostrzegawcze ruchy chemika, odwrócił głowę w kierunku planetochodu, następnie rzucił się gwałtownie do tyłu i zaczął się z czymś zmagać.

Mech wokół uczonego ruszał się, leciały bryzgi wody, postać jego to ginęła wśród wodorostów, to znowu ukazywała się ponad nimi.

Kraśnicki biegł z pistoletem w rękę na pomoc. Natasza pozostała na miejscu i obserwowała przebieg wypadków. Walka skończyła się jednak przed przybyciem Kraśnickiego.

Wiktor Pietrowicz skrył się na chwilę pod wodę, potem raptownie wychynął trzymając obiema rękami jakieś długie, usiłujące wyrwać się z silnego uścisku stworzenie.

Kiedy zmęczony, lecz bardzo zadowolony Jachontow skierował się do maszyny, Natasza zobaczyła, że niesie półtorametrowej długości zwierzę, pokryte śliską, ciemnobrązową skórą. Wężowate ciało grubości ramienia kończyła głowa o małych oczkach pokryta kilkoma rogowymi łuskami. Po obu jej stronach wyrastały ruchliwe wąsy długości dziesięciu centymetrów. Po bokach ciała widać było coś w rodzaju płetw, jakie mają miętusy i sumy. Rozdwojony, łopatkowaty ogon przypominał szyjkę raka. Budowa tego stworzenia przystosowana była do przebywania i szybkiego poruszania się w wodzie.

— Powodzenie za powodzeniem! — mówił Wiktor Pietrowicz, gdy Natasza z obrzydzeniem przypatrywała się zwierzęciu.

— Co to za stworzenie? — zapytał Kraśnicki.

— Fermoidea! Zaliczyłbym go do typu robaków. Przy czym do rzadko występujących na Ziemi przedstawicieli trzeciej klasy. Według mnie jest to olbrzymia foronida. U nas podobne stworzenia przebywają w morzach i mają mikroskopijne rozmiary, tu zaś, jak widzicie, są to silne i zwinne drapieżniki. Na szczęście niegroźne dla człowieka.

— Wyglądają strasznie — zauważyła Natasza. — Że też nie baliście się z nim walczyć. Ja nie miałabym odwagi.

— To nie jest bohaterstwo — uśmiechnął się uczony. — Przecież ja w przybliżeniu wiem, z kim można się spotkać w tych lub innych warunkach. W przyrodzie nie ma nic przypadkowego.

Wśród gęstej roślinności gorącego bagna nie mogły, rzecz jasna, ukrywać się duże zwierzęta mięsożerne. Gdyby istniały tu jakieś olbrzymy, to tylko te, które żywią się bądź roślinami, bądź też małymi żyjątkami. Inna sprawa, gdyby w tej wodzie znajdowały się ryby, wtedy istniałaby możliwość spotkania się z potwornymi jaszczurami, choć obecność ich można byłoby stwierdzić z daleka. Oczywiście wśród wodorostów ukrywać się mogli mali wrogowie: jadowite owady, płazy albo szkodliwe mikroorganizmy. Ale gumowa odzież stanowiła dostatecznie pewną przed nimi osłonę.

— Więc takie stworzenia żyły kiedyś również na Ziemi? — spytał Kinonicki.

— Nie takie same, ale, być może, podobne. Trudno tu coś pewnego twierdzić, gdyż nic się z nich do naszych czasów nie zachowało.

— A rogowe łuski? — wtrąciła Natasza.

— To nie są łuski, tylko bardziej twarda skóra. W tak gorącej wodzie nie mogą się one utworzyć.

— Widzę, że macie pełną torbę wszelkich skarbów.

— Tak, Natasza! Znalazłem coś w rodzaju wielkich meduz i małych skorupiaków. W próbkach wody na pewno wykryjemy najrozmaitsze pierwotniaki. Teraz jest już zupełnie oczywiste, że na Wenus istnieje bardzo różnorodne i bogate życie. A my przecież jeszcze tak mało wiemy. Nasze wiadomości o ewolucji rozszerzą się bez wątpienia.

Uczony był, niezwykle podniecony.

Gdy wszyscy nieco ochłonęli z doznanych wrażeń, Kraśnicki zapytał:

— Możemy ruszać dalej?

— Ruszamy!

Iwan Płatonowicz zapalił silnik.

ROZDZIAŁ XIX

w którym zachodzą niezwykle wydarzenia w głębinie gorących wód oceanu

Powrót oddziału ratunkowego wywołał ogólną radość. Roztkliwił się nawet zwykle opanowany profesor Szapowałow. Z jego inicjatywy przygotowano wystawną kolację. Odkorkowano dwie butelki czerwonego wina, naruszając tym żelazną porcję napojów. Przy stole opowiadano o swoich przygodach, o pajakach, o podziemnym jeziorze, o walce Wiktora Pietrowicza z bagiennym potworem. Okazało się również, że astronauci, którzy pozostali w bazie, również w tym czasie nie próżnowali.

— Pozwólcie, Wiktorze Pietrowiczu, że zakomunikuję wam iż udało mi się określić czas obrotu Wenus dookoła swej osi — powiedział astronom, gdy kolacja miała się ku końcowi i gdy towarzysze, którzy wrócili do bazy, wszystko już opowiedzieli.

— Bardzo ciekawe. I jakie wyniki?

— Planeta wykonuje pełny obrót wokół swej osi w czasie wynoszącym w przybliżeniu siedemset pięćdziesiąt godzin. Doba więc na Wenus trwa ponad miesiąc. Szesnaście dni ziemskich trwa dzień i tyleż dni — noc. Teraz Słońce skłania się ku zachodowi. Mniej więcej za siedemdziesiąt pięć godzin nastąpi noc. Poza tym znajdujemy się niedaleko bieguna, w strefie odpowiadającej szerokości północnej Leningradu. Dobrze, że nie wylądowaliśmy na równiku.

— Dlaczego? — spytała Natasza.

— Dlaczego? Jeśli tu mamy taki upał, to proszę sobie wyobrazić, jaki musi panować na równiku.

— Oczywiście — przyznał Jachontow. — Jesteście pewni dokładności obliczeń?

— W zupełności. Wykorzystałem do obliczeń wahadło. Umocowane było na ramie obracającej się wokół pionowej osi. W ten sposób określiłem prędkość ruchu punktu, w którym się znajdujemy. Za pomocą fotoelementów udało mi się również zmierzyć prędkość pozornego ruchu Słońca. Nie, Wiktorze Pietrowiczu, wszystkie obliczenia zgadzają się. Szerokość geograficzną tego miejsca określiłem w przybliżeniu. Nie znam dokładnie tutejszego czasu.

— Trzeba zatem przygotowywać się do życia i pracy w ciemnościach nocy.

— Tak.

— Należy się naa tym zastanowić, oicaiiaścić dni ciemności to nie żarty!

W wyniku narady zdecydowano, że Mikołaj Aleksandrowicz i Iwan Płatonowicz zajmą się poszukiwaniem rozbitego stratoplanu. Kraśnicki zapewniał, że podejmuje się sprowadzić maszynę nawet w nocy, przy świetle lamp. Wydawało się więc, że zadanie to żadnych trudności nie nastrecza. Jeśli zaś chodzi o Wiktora Pietrowicza, Nataszę i Włodzimierza, który czuł się już zupełnie dobrze, to — zgodnie z planem ustalonym jeszcze na Ziemi — mieli oni wypłynąć łodzią podwodną na otwarte morze i zająć się badaniami. Tamienne światło było niepotrzebne — w głębinach morskich panuje wieczna noc.

Szapowałow pozostawał na statku kosmicznym. Zgodnie z planem do obowiązków jego należało przeprowadzenie badań w dziedzinie astrofizyki.

Rano skoro świt przystąpiono do przygotowań. Łódź podwodna mimo niewielkich rozmiarów przystosowana była do pływania we wszelkich warunkach. Baterie atomowe zasilac mogły w energie silniki przez trzydzieści pięć dni. Tlenu w zbiornikach wystarczało na okres jednego miesiąca dla sześciu ludzi.

Obserwacje życia podwodnego można było przeprowadzać poprzez duże okno przedniej kabiny przy użyciu potężnych reflektorów. W środkowej części łodzi znajdowała się specjalna komora, przez którą można było wychodzić na zewnątrz i odbywać spacery po dnie morskim — oczywiście w odpowiednich skafandrach. Łódź rozwijała szybkość 60 kilometrów na godzinę na powierzchni morza, 35 zaś pod wodą.

Przed wwiściem w morze wszyscy asuunauci zebrali się na brzegu. Jako pierwszy znalazł się na pokładzie łodzi Odincow, który zajął natychmiast miejsce w kabinie nawigacyjnej. Z kolei weszła Natasza, za nią zaś Jachontow. Szapowałow zwolnił cumy. Włodzimierz włączył silnik. Łódź podwodna ruszyła w kierunku wyjścia z zatoki.

Kraśnicki i Szapowałow długo stali na brzegu, obserwując odpływający statek. Żegnali swych towarzyszy z żalem. Wszyscy bowiem zżyli się do tego stopnia, że nawet krótka rozłąka była smutnym wydarzeniem.

Pogoda sprzyjała żegludze. Co prawda wysoko w górze kłębiły się rozświetlane błyskawicami obłoki, jednakże nie padał deszcz i nie wiał porywisty wiatr. W zatoce mały okręcik płynął zupełnie spokojnie, ale z chwilą gdy znalazł się na otwartym'morzu, zaczęło nim kołysać.

Odincow, oparłszy ręce na kole sterowym, śledził uważnie z mostka kapitańskiego powierzchnię morza, aby uniknąć najechania na rafę lub skałę podwodną. Łódź w zasadzie powinien prowadzić Kraśnicki, lecz zważywszy na jego wszechstronne umiejętności, zlecono mu sprawę przytransportowania uszkodzonego stratoplanu.

Włodzimierz pochłonięty był całkowicie czynnościami sternika i nie mógł obserwować widoków, jakie rozpościerały się po obu stronach. Pełną swobodę mieli natomiast Wiktor Pietrowicz i Natasza. Sycili więc oczy pejzażem Wenus, który widziany z morza był szczególnie majestatyczny.

Wiał świeży, przyjemny morski wiatr. W takich chwilach denerwowały niezwykle maski, które trzeba było nosić staie na twarzy.

W ciągu dwóch tygodni przebywania na Wenus mieszkańcy Ziemi zdążyli się już zaaklimatyzować, tym bardziej że panujące tu upały łagodził wiejący stale wiatr. Na odkrytym pomoście łodzi było nawet chłodnawo, woda jednak, co wydawało się dziwne, zachowywała swą dawną wysoką temperaturę.

Łódź szybko oddalała się od brzegu, pozostawiając za rufą pas żółtej piany. Po obu stronach statku piętrzyły się purpurowe wały wodne. Gdyby nie kolor wody, można by pomyśleć, że podróż odbywa się po morzach tropikalnych naszego globu, gdzieś na wysokości Wysp Hawajskich. Tu wszakże rozciągał się nie Ocean, Spokojny, lecz bezimienne morze innego świata.

W miarę oddalania się łodzi od brzegu, wyraźniej zarysowała się wielkość grzbietów górskich, którą przedtem przesłaniały przedmioty bliżej położone, wydające się zgodnie z prawem perspektywy znacznie większe, niż były w rzeczy-

wistości. Im dalej więc łódź odpływała od brzegu, tym gigantyczniejsze wydawały się góry, których zębaty łańcuch zamykał linię horyzontu. Niektóre szczyty robiły wrażenie ściętych, ponieważ ich wierzchołki ginęły w obłokach. W oddali widać było wiele czynnych wulkanów. Sylwetki skalistych grzbietów Wenus — ostre, kanciaste i fantastyczne — nie przypominały zupełnie łagodnych zarysów gór naszego globu. Pejzaż był co prawda oryginalny i w swoim rodzaju piękny, lecz w duszy mieszkańca Ziemi wywoływał zupełnie inne uczucia niż miłe obrazy rodzimej przyrody.

Odincowa i Jachontow milczeli. Odrywali iuoko, szczególnie zaś Natasza, przygniatające wrażenie, które wywoływał roztaczający się przed nimi widok gór.

— Wiktorze Pietrowiczu! — powiedziała cichym głosem. — Patrząc na te góry, na dymy wulkanów, na tę ponurą przyrodę, mimo woli przychodzą na myśl dziwne obrazy Milтона. Właśnie takie widoki powinny być w jego piekle. Jeszcze chwila i pojawi się nad tymi pąsowymi wodami duch zła. Rozumiecie? „Nad otchłanią unosi się olbrzymia postać szatana”... Czy coś w tym rodzaju.

— Hm — chrząknął Jachontow. — Proszę nie zapominać, że tamten dumny duch jest symbolem wolnego rozumu człowieka. Nie boimy się duchów stworzonych przez fantazję ludzką, lecz rzeczywiście obraz jest ponury i wywoływać może różne skojarzenia... Jego koloryt zależy również od pory dnia... Zbliża się długa noc. Zresztą o tej porze, gdy nastaje wieczór i gdy dzień jest pochmurny, nawet zwykle łagodny i przyjemny pejzaż na naszej starej Ziemi przybiera wygląd ponury i złowieszczy. Nie należy jednak poddawać się nastrojom. Trzeba piękno przyrody przyjmować w sposób prosty i bezpośredni, zawsze i wszędzie,

a więc i piękno tego świata, piękno Wenus. Spójrzcie! Wzmaga się wiatr. Lada chwila rozpęta się sztorm.

Fale stawały się coraz wyższe. Łódź zaczęła się gwałtownie kołysać z boku na bok. Ażeby ustać na nogach, należało silnie trzymać się za poręcz okalającą pokład. Na szczęście Natasza przez znaczną część swego życia mieszkała w nadmorskich miastach południa. Była przyzwyczajona do sztormów i z łatwością* zuoaila. chyb c tanie statku. Wiktor Pietrowicz długie lata spędził w podróżach morskich po wszystkich chyba oceanach świata.

Wiktor Pietrowicz i Natasza długo jeszcze stali na pokładzie. Burza zaostrzała estetyczne doznania. Walka z żywiołem wywoływała jakieś głębokie upojenie. Przypominały się wiersze wielkiego poety...

Wiatr przybierał na sile, by zmienić się w końcu w huragan. Przez pokład maleńkiego statku zaczęły przewalać się gorące bałwany. Nisko kłębiły się chmury. W zmroku jaśniejsze stawały się światła błyskawic. Astronautów ścigała burza. Należało się zanurzyć.

W odpowiednim momencie uczony otworzył luk i zanim nadbiegająca fala zdążyła przetoczyć się przez pokład, zszedł razem z Nataszą na dół.

— Czy nie czas się zanurzyć? — zawołał Odincow. — Bardzo silnie kołysze.

— Czas — odpowiedział Jachontow. — Jaka tu głębokość?

O odpowiedź nie było trudno. Na skali echosondy podnosiła się strzałka, wskazująca odległość statku od dna, podobnie jak wysokościomierz] wskazuje

wysokość samolotu nad powierzchnią I lądu. W tej chwili strzałka echosondy wahała się między 1900 i 2200 metrów.

— Nierówne dno — zauważył Jachontow. — Prawdopodobnie pod wodą ciągnie się łańcuch górski. Wierzchołki tworzą archipelag wysp, który widzieliście w czasie lotu na stratoplanie. Znajdujemy się na skraju wielkiej rozpadliny. Pro-1 szę spojrzeć! Głębokość stale wzrasta. Spróbujemy opuścić się na 2000 metrów.

— Rozkaz — odpowiedział Odincow przesuwając odpowiednie dźwignie. Równocześnie dał się słyszeć szum wody zapełniającej zbiorniki balastowe.

Jachontow i Natasza, siedząc w wygodnych fotelach, z zainteresowaniem obserwowali dziwne obrazy przesuwające się za okrągłymi, przezroczystymi szybami ze szkła kwarcowego. Reflektora na razie nie włączono.

Łódź zanurzyła się bardzo prędko. Prócz balastu pchała ją na dno potężna moc silnika atomowego. Stery głębokości zmuszały statek do ruchu w dół, upodabniając go do nurkującego delfina.

Woda w morzu wydawała się pąsowa tylko z wierzchu, to jest w odbitym świetle, w ogóle zaś była przezroczysta, a niższa jej warstwa intensywnie niebieska. Żółte światło nieba, przenikając poprzez niebieską warstwę wody, nadawało jej ton szmaragdowy. I w tym właśnie fantastycznym, zielonym świetle tonęła przednia kabina łodzi. Dzięki niemu zmienił się również kolor przedmiotów: czerwone stały się czarnymi, białe zaś — zielonymi. Stopniowo kolory te zapanowały wszechwładnie.

Z każdą minutą we wnętrzu statku stawało się ciemniej, tak jak gdyby zapadał szybki, gęstniejący mrok. Za szybami okien odsłaniało się nigdy jeszcze przez człowieka nie widziane, tajemnicze życie gorącego morza. Przemykały jakieś niewyraźne sylwetki, jakieś dziwaczne żywe stwory. Raz były giętkie i długie, raz znowu podobne do bezkształtnych kawałów galaretowatej masy. Bliżej nie można było im się przyjrzeć, gdyż znikwały z zawrotną szybkością.

Trzeba się zatrzymać — powiedział Wiktor Pietrowicz. — Należy opuszczać się na dno bez ruchu do przodu. Inaczej bowiem nic nie zobaczymy.

Odincow zgasił silnik. Jeszcze przez pewien czas łódź dzięki sile bezwładności płynęła do przodu, potem stanęła i zaczęła powoli opuszczać się na dno. Strzałka głębokościomierza wskazywała, że statek zanurzył się na głębokość 600 metrów, do dna według echosondy pozostawało jeszcze 1700 metrów.

Uwagę badaczy pochłonęła przede wszystkim wielka ilość półprzezroczystych kul o średnicy 50 centymetrów. Zwisały z nich długie, cienkie macki.

— Meduzy? — spytała cicho Natasza.

Wiktor Pietrowicz kiwnął głową.

— Zupełnie takie jak na Ziemi — powiedział po chwili. — W rzeczywistości organizmy te składają się z samej prawie wody.

— A cóż to za dziwny stwór, o, tam na przedzie?

— Trzeba, przypatrzeć mu się z bliska...

Stworzenie, które zwróciło na siebie uwagę

Nataszy, wyglądało rzeczywiście niezwykle. Było tak jak meduza półprzezroczyste, lecz kształtem swym przypominało olbrzymi dzwon. Wysokość jego wynosiła około 3 metrów, średnica zaś 5 metrów. U dołu dzwonu zwisała jak gdyby długa łodyga przypominająca nóżkę grzyba. Z wierzchu była gładka, niżej zaś we wszystkich kierunkach odchodziły od niej poprzeczne odrośla podobne do korzeni. Na nich zwisały kule wielkości tykw, zaopatrzone w warkocze usiane mniejszymi kulami, zakończonymi cienkimi mackami. Najdziwniejsze jednak było to, iż w ciemnozielonej wodzie błękitnawym blaskiem. Wzdłuż dolnej krawędzi dzwonu oraz wokół nieruchomych oczu płonęły ogniki układające się w ciągłą linię. Ogniki takie jarzyły się również wzdłuż macek. Zadaniem tych długich, zwisających nici było zbieranie pożywienia. Macki bowiem stale się ruszały, jak gdyby wgarniały wodę do żarłoczej paszczy straszdyła. Wraz z wodą przedostawały się tam pływające w niej mikroskopijne żyjątka.

— Co to jest? — zapytała podniecona Natasza. — Cóż za fantastyczny twór przyrody!

Zanim Jachontow odpowiedział, zrobił pośpiesznie kilka zdjęć za pomocą kamery przystosowanej do fotografowania pod wodą, umieszczonej na kulistym statywie i wmontowanej w ścianie łodzi. Obiektyw aparatu znajdował się na zewnątrz, wizjer zaś wewnątrz, w kabinie nawigacyjnej.

— Według wyglądu zewnętrznego — odezwał się w końcu Wiktor Pietrowicz — stworzenie podobne jest do znanych przyrodnikom syfonoforów. Spotyka się je w wodach tropikalnych naszej Ziemi. Lecz jest ono niezwykle, jeśli chodzi o wielkość i skomplikowaną budowę. Teraz można twierdzić z całą pew-

nością, że zwierzęcy świat gorących oceanów był bardziej różnorodny niż obecny na Ziemi. Jak łatwo spostrzegacie, przyroda stwarza w temperaturze 40 lub 50° wiele niezwykle oryginalnych form świata zwierzęcego, przy czym są one galaretowate jak meduzy. Zrozumiałe, że na Ziemi nie zachowały się żadne ślady tych stworzeń.

— Spójrzcie, spójrzcie! — krzyknęła Natasza. — Ile tu różnych dziwów!

stotniec, ze wszystkich stron zwabione pojawieniem się łodzi, napływały przedziwne świecące, stwory. Towarzyszyły okrętowi, który opuszczał się coraz głębiej w otchłań morza.

— Myślę — zaczął Jachontow — że powinniśmy spotkać tu różne głowonogi, w rodzaju naszych ośmiornic. Prawdopodobnie znajdowały się one w wielkich ilościach w pradawnych oceanach Ziemi. Nie pozostawiły po sobie w pokładach geologicznych żadnych śladów, ponieważ ich galaretowate ciała całkowicie się rozkładały. Ośmiornice i kalmary żyją na dnie, tam też powinniśmy je spotkać.

— A co to? Ośmiornica? — zapytała ponownie Natasza.

— W zoologii co prawda mało się orientuję — odpowiedział jej milcząco dotąd Włodzimierz, zajęty sterowaniem łodzi — lecz jeśli to, co widzimy, nie jest ośmiornicą, to tracę wiarę we własne oczy.

Do miejsca, w którym w tej chwili przebywała pogrążająca się łódź, przenikały jeszcze promienie światła zewnętrznego. Na tle oświetlonych warstw wody rysowała się czarna sylwetka jakiegoś potwora, rzeczywiście przypominającego ośmiornicę. Mimo męstwa, którym Natasza już tyle razy się odznaczyła, wydała

okrzyk przerażenia i przytuliła się do Wiktora Pietrowicza, jak gdyby szukając jego opieki.

Zwierzę było dziwnym połączeniem mięczaka i skorupiaka. Średnica jego czarnego, jajowatego ciała, podobnego do tułowia owych pajaków, na których wspomnienie ogarniał Nataszę lęk, wynosiła około czterech metrów. Na długich i grubych słupkach, jak u raka, znajdowały się okrągłe, ciemne oczy, które otaczał jasnoczerwony, kwiecący pierścień, nadający zwierzęciu jakiś okropny, wzbudzający grozę wygląd. Pomiedzy oczami mieścił się ostry dziób zwisający nad szeroką, otwartą paszczą, otoczoną mnóstwem świecących się wąsików. Z każdego boku potwora wyrastało osiem kilkometrowej długości ramion. Zwierzę wysuwało je do przodu, jak gdyby chciało uchwycić łódź w swoje objęcia. Najstraszniejsze jednak było to, że te długie macki nie kończyły się, jak u ośmiornic w wodach naszego globu, przyssawkami, lecz mocnymi kleszczami. Szesnaście takich §52 kleszczy stanowiło niezwykle groźną broń. Głowa, całe ciało oraz zwinne macki i kleszcze były pokryte rogowymi łuskami, tworzącymi zwarty, jednolity pancerz.



Natasza przyglądała się potworowi szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczyma. Zresztą nawet Włodzimierz nie mógł opanować zdumienia.

— Cóż to za diabeł? — wyszeptał.

— Wiktorze Pietrowiczu! — zawołała Natasza. — Czy ten stwór nie zaatakuje łodzi?

— Nie ma obawy — odpowiedział uczony. — Włodzimierzu, proszę włączyć lewy reflektor... Warto taki okaz utrwalić na błonie.

Powiedziawszy to, akademik przylgnął do wizjera kamery.

Oślepiający snop światła przeciął mrok morskiej toni. Ośmiornica, jeśli tak można nazwać tego potwora, znieruchomiała. Poraziło ją nieoczekiwane zjawisko. Skorzystał z tego uczony i zanim stworzenie zdążyło zniknąć z pola widzenia, zdążył zrobić kilka zdjęć.

— Znakomity okaz! — zawołał zadowolony. — Myślę, że czas naświetlania wynoszący $1/60$ sekundy był wystarczający. Błona bardzo czuła ... Ach, zapomniałem zupełnie! Mówiliście coś o niebezpieczeństwie. Oczywiście, że nie chciałbym spotkać się z czymś takim sam na sam. W przyszłych wyprawach po dnie morskim trzeba będzie doskonale się uzbroić... Czy zauważyliście, że nie ma tu zupełnie ryb? Zresztą tak właśnie powinno być. Opuszczamy się bowiem jak gdyby w erę pradawnych mieszkańców morza: jamochłonów, niższych raków, głowonogich mięczaków. Na samym dnie zobaczymy prawdopodobnie również wymarłe już dawno na Ziemi, gigantyczne skorupiaki, dwuskorupowe mięczaki i szkarłupnie.

— Muszę powiedzieć, że jestem bardzo zadowolony z tej podróży. Jest nadzwyczaj interesująca. Lecz to jeszcze nie wszystko, czego szukamy, co jest nam potrzebne.

— Nie wszystko? — spytał Włodzimierz.

— Brak pierwotniaków? — wtrąciła domyślnie Natasza.

— Oczywiście. Wyruszyłem na Wenus po to, ażeby znaleźć te gatunki, które zajmują pośrednie miejsce, które stanowią jak gdyby pomost między światem organicznym i nieorganicznym, między materią ożywioną a martwą. Tymczasem spotykamy życie już na dość wysokim szczeblu rozwoju. To interesuje mnie w mniejszym stopniu.

— Mnie osobiście — wtrącił Włodzimierz — również bardziej odpowiadają pierwotniaki niż owe potwory, które przed chwilą widzieliśmy. Z infuzoriami mimo wszystko bezpieczniej.

Natasza wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał w tej sytuacji trochę nienaturalnie. Dziwne się bowiem wydawało, że człowiek oddalony miliony kilometrów od Ziemi na dnie obcego morza, w obliczu potwornych stworzeń może żartować, śmiać się i rozmawiać. Lecz ludzi cechuje zdolność przystosowywania się do najdziwniejszych nawet warunków.

— Przepraszam, Wiktorze Pietrowiczu — odezwała się Natasza. — Czyż tych najprostszych organizmów nie należy szukać w bagnach?

— Wasza uwaga nie jest pozbawiona logiki — odparł uczony. — Istnieje wiele podstaw, by przypuszczać, że życie na Ziemi i innych planetach zrodziło się pod wpływem fotosyntezy. Miejscem jej powstawania są dobrze oświetlone części powierzchni. Właśnie w takich miejscach, pod wpływem promieni nadfioletowych przenikających przez warstwy atmosfery nie zawierającej jeszcze tlenu, być może rozpoczęła się synteza węglowodorów z pary wodnej i dwutlenku węgla. Dużą rolę mogły odgrywać w tych procesach również wyładowania elektryczne powstające w czasie niezliczonych burz.

— Sama przyroda stworzyła to wspaniałe laboratorium — wyrzekł Włodzimierz.

— Zupełnie słusznie. W tych właśnie laboratoriach powstawały skomplikowane pod względem składu chemicznego amidy i aminy, a więc koloidalne związki białkowe. Na początku koloidy te unosiły się w wodach gorących oceanów, potem zaś wskutek zetknięcia się i zmieszania z wysokocząsteczkowymi związkami powstały z nich koacerwaty, to jest kropelki substancji skoncentrowanych w określonych punktach przestrzeni. W pewnych sprzyjających warunkach poszczególne koacerwaty uzyskiwały zdolność pochłaniania niektórych substancji i licznych roztworów wskutek działania pratyypowinowactwa chemicznego. Dzięki temu kropelki zaczynały powiększać się, rosnąć. Jedne szybciej, drugiej wolniej, a więc uzyskiwały indywidualność. Stopniowo stawały się coraz bardziej wskutek zachodzących w nich procesów złożone, aż wreszcie nastął moment, gdy pojawiła się pierwsza żywa komórka.

Ponieważ na razie w polu widzenia nic się nowego nie ukazywało, Jachontow zaczął mówić o historii powstawania życia na Ziemi. Dalej — według jego słów — działało prawo doboru naturalnego. Te kropelki określonego składu, które były bardziej od innych trwałe, formowały się stopniowo w odpowiednie jednolite grupy o tych samych właściwościach. Jeśli hipotezę tę uznamy za słuszną, to form przejściowych należy właśnie szukać w małych zbiornikach wodnych i bagnach, gdzie silniej występuje działanie promieniowania nadfioletowego.

Natasza ucieszyła się, że udało się jej wyrazić słuszną myśl. Lecz akademik wyjaśnił dalej, iż istnieją również inne poglądy na powstawanie życia. Według niektórych z nich na przykład główną rolę w powstawaniu życia odegrała nie fo-

tosynteza, lecz inne procesy. W okresie tworzenia się skorupy ziemskiej, zatem i innych planet, niezliczone procesy wulkaniczne powinny były spowodować proste zetknięcie się rozżarzonych węglików żelaza, wybuchających z wnętrza Ziemi, z gorącą parą wodną w powietrzu. Tak mogło być w okresie, gdy woda znajdowała się jeszcze w stanie gazowym. W wyniku tego następowało tworzenie się węglowodorów, na przykład metanu, którego obecność można stwierdzić w atmosferze wielkich planet: Jowisza lub Saturna. Te nowo powstałe węgiuwoucuuy utworzyły z kolei nowe związki: alkohole, aldehydy, ketony. Lecz z wnętrza planety wybuchały na powierzchnię nie tylko węgliki, ale również związki nitrowe zawierające azot. Reagując z parą, azot ten tworzył amoniak, który wydziela się również obecnie w procesach wulkanicznych na Ziemi oraz stanowi główny składnik atmosfery planet- gigantów. W wyniku tych procesów powstały ciała białkowe, dalej zaś ewolucja przebiegała tymi samymi drogami, co według pierwszej hipotezy.

— Wołodia! — zawołała nagle Natasza. — Co to jest?

— Gdzie?

— Tam, z lewej strony! Ośmiornica?

— Nie, to wodorosty.

Uczony tymczasem kontynuował swój zaimprovizowany wykład. Współczesne poglądy na utworzenie się Ziemi wskutek zagęszczenia olbrzymich ilości pyłu kosmicznego nie są sprzeczne z tą teorią, ponieważ aby zaszły chemiczne reakcje między rozżarzonymi węglnikami a parą wodną, nasza planeta nie musiała być wcale ognistą kulą, która zastygając pokrywała się twardą skorupą. Wystar-

czyły tu bowiem w zupełności procesy wulkaniczne, które zachodziły w poszczególnych punktach zimnej w swej masie substancji. Dalej para wodna uległa skropleniu, wskutek czego utworzyły się gorące oceany, w których powstały z nagromadzonego wcześniej materiału koloidy białkowe. Z kolei utworzyły się koacerwaty, zaczął działać dobór naturalny i powstało życie. Na początku nie istniała — w wąskim znaczeniu tego słowa — granica między zwierzętami i roślinami. Pierwotne żywe istoty, bardziej proste od bakterii, ale nie będące jeszcze ani zwierzętami, ani roślinami. Dopiero w późniejszych stadiach rozwoju dokonał się podział na dwie zasadnicze grupy: na rośliny, to jest żywe organizmy, które wykorzystując działanie fotosyntezy przyjmują jako żywność składniki przyrody nieożywionej, oraz na zwierzęta, odżywiające się substancjami organicznymi, to jest roślinami i innymi zwierzętami...

Włodzimierz i Natasza, choć mało wiedzieli z tej dziedziny, słów uczonego słuchali jednak z dużym zainteresowaniem, ponieważ stanowiły one syntezę najnowszych hipotez naukowych.

— Nauka powinna rozstrzygnąć — zakończył akademik — czy fotosynteza jest podstawowym warunkiem powstawania życia z materii nieorganicznej, czy też nie. Jeśli znajdziemy pierwotne formy istot żywych tylko w płytkich basenach wodnych, to detydująca rola przypada fotosyntezie. Jeżeli natomiast okaże się, że również w głębinach mórz, a więc tam gdzie nie przenika światło słoneczne i gdzie promieniowania nadfioletowe nie wywierają żadnego wpływu — istnieją formy przejściowe, charakterystyczne dla pierwszego etapu powstawania życia, to prawidłowa jest druga hipoteza. Ja osobiście mam nadzieję, że znajdę pierwotniaki, nawet subpierwotniaki, właśnie w głębinach morskich. Szukać ich należy

na samym dnie. Teraz rozumiecie, dlaczego zanurzamy się? Proszę mi wybaczyć te długie wyjaśnienia, ale pragnąłbym, abyście w sposób twórczy uczestniczyli w naszych pracach...

— Do dna pozostało już niewiele metrów! — zawołał Włodzimierz. — Przyrządy wskazują, że znajdujemy się 2050 metrów poniżej poziomu morza i 183 metry od dna.

— Tak, przyjacielu — Jachontow położył rękę na ramieniu Wołodi. — Czas przejść od teorii do praktyki... Włączcie dolne reflektory! Zobaczymy, co tu spotkamy.

Z potężnych lamp wyrwały się dwa szerokie snopy światła i pobiegły w ciemność odmętów. Nie docierał na tę głębokość ani jeden promień słońca. Panował tu wieczny, nieprzenikniony mrok. Woda jednak uderzała swoją przezroczystością. Dzięki reflektorom podróżnicy mogli doskonale w ich świetle obserwować zachodzące zjawiska.

Dno składało się z dużych, ostrych skał. Przed oczami podróżników rysował się grzbiet górski pocięty labiryntem wąwozów. Mimo braku światła powierzchnia skał pokryta była dziwaczną roślinnością. Rozciągały się tu nie tylko łąki traw, lecz całe podwodne lasy rosnące na zboczach gór i w dolinach. Tylko najwyższe góry, podobnie jak to bywa na lądzie, kończyły się gołymi, skalistymi turniami.

— Trudno wybrać miejsce do osadzenia statku — zauważył Włodzimierz.

— Musimy to jednak zrobić — odrzekł Jachontow. — Niezawodnie trzeba będzie zajrzeć do tych lasów. Możliwe właśnie, że tu, w jakiejś rozpadlinie, znajdę to, czego szukam.

— Czy pozwolicie nam udać się z wami? — spytała Natasza.

— W waszą odwagę nie wątpię — odpowiedział uczony. — Ale lepiej będzie, gdy pozostaniecie i będziecie obserwować przez okna w kabinie nawigacyjnej.

Włodzimierz powoli osadzał łódź na dnie. Wystraszeni mieszkańcy podwodnego państwa, którzy znaleźli się w zasięgu oślepiającego światła reflektorów, zamierali na chwilę w bezruchu, a potem rzucali się w panicznej ucieczce na boki, gdzie panował nieprzenikniony mrok.

Badacze nie mogli oderwać się od okien. Wiktor Pietrowicz, nie poprzestając jedynie na obserwacji, włączył kamerę filmową. Ciszę zmaćciło miarowe huczenie aparatu.

Na dnie kipiało życie. Galaretowate, pozbawione twardych szkieletów meduzy i syfonofory, których ciała przesycone były wodą, doskonale przystosowały się do warunków ciśnienia na tej głębokości. Istniały tu również stworzenia obdarzone przez przyrodę twardym pancerzem. W oświetlonej reflektorami smudze ukazały się różnej wielkości kule pokryte długimi, sterczącymi na wszystkie strony igłami. Średnica niektórych z tych kul miała kilka metrów długości. Stworzy te zaopatrzone były w sześć, osiem, a nawet dziesięć par długich, elastycznych kończyn, przystosowanych do pływania i chwytania pożywienia. Kule, oślepione reflektorami, zderzały się z sobą, zbijały w bezkształtne, drgające masy, po czym

znikały gdzieś w ciemnościach. Powoli przepływały stworzenia podobne do gigantycznych krocionogów. Przednią część ich ciała tworzyła głowa nakryta okrągłym hełmem z tarcz, między którymi znajdowały się niewspółmiernie wielkie, wypukłe oczy. Wokół paszczy uzbrojonej w silne szczęki wystawały długie, ruchliwe macki. Mimo że pierś potworów pokryta była twardą łuską w kształcie płytek, mogły one zwijać się swobodnie w kłęb, tworząc opancerzoną kulę. Pod pancerzem dostrzec można było brzuch zwierzęcia składający się z wielkiej liczby segmentów, zaopatrzonych każdy w parę odnóży. Zwierząt tych pojawiało się wiele. Wypływały z ciemności, zderzały się z łodzią, przylepiały głowami do okien, drapały kleszczami po stalowym obszyciu statku.

Gdy Natasza z drżeniem serca wpatrywała się w okno, za którym przesuwały się te przedziwne istoty głębinowe, Włodzimierz wyszukiwał wśród skał dogodnego miejsca na osadzenie statku. Jeśli zaś chodzi o Jachontowa, to z miejsca, w którym się znajdował, dochodziły tylko jakieś pojedyncze słowa.

— Hm... Igłokóre... Gigantyczne ofiury. Występują tu obok form przyden-nych również formy ruchome. A to co znowu?... Oczywiście, trylobity, lecz znacznie większe niż normalnie spotykane. Tych kul z igłami nie zaliczałbym do jeżowców. To raczej promienice.

— Lecz jak one mogą wytrzymać takie olbrzymie ciśnienie? — ze zdziwieniem zapytała Natasza.

— Najpewniej dzięki temu, że mają kształt kuli... Ale cóż to się stało? Dlaczego ta panika?

Jak na alarm wszyscy mieszkańcy morskiego dna rzucili się do ucieczki. W zalanej zaś światłem przestrzeni zjawił się w chwilę później rzeczywiście najprawdziwszy potwór. Zwierzę podobne było do olbrzymiego kraba. Na sześciu parach opancerzonych nóg, składających się z grubych członów, długości jednego metra każdy, spoczywał jajowaty tułów zwierzęcia. Pancierz grzbietowy kraba tworzył sklepienie mające trzy metry szerokości i nie mniej niż metr wysokości, licząc od ostrza grzebienia, stanowiącego zakończenie pancerza. Zwierzę pokrywały krótkie i grube igły, które zabezpieczały przed wszelką napaścią. Pod osłoną pancerza znajdowała się niewielka głowa o mocnych, bardzo rozwiniętych szczękach. Widać było, że potwór ten może rozprawić się z każdym przeciwnikiem, wyposażonym nawet w twarde osłony. Nataszy wydało się, że ślepia stworu pełne są dzikiej złości. Zakończenie przedniej pary nóg stanowiły silne kleszcze, każdy długości jednego metra. Gdyby wpadł w nie człowiek, zostałby bez wątpienia przecięty na pół. Widok tego potwora wywoływał lęk na- 362 wet w astronautach, chociaż należeli oni do ludzi odważnych, przywykłych do wszelkich niespodzianek.

— Wiktorze Pietrowiczu! — odezwał się Włodzimierz. — Im bliżej jesteśmy miejsca, w którym zamierzacie szukać pierwotniaków, tym straszniejsze są te potwory. Przecież to okropność. Czyżbyście mieli jeszcze chęć na spacer w tym lesie, gdzie istnieją takie okazy?

Wydawało się, że Jachontow zatracił zupełnie uczucie strachu. Opanowała go do tego stopnia pasja naukowca, że nie miał czasu o takich sprawach myśleć. Znajdował się we władzy nie doznawanych nigdy przedtem wrażeń.

— Pomyślcie — odpowiedział. — Każdy uczony może mi pozazdrościć. Gdzie wy to wszystko zobaczycie? Jaki wspaniały przedstawiciel przodków naszych skorupiaków... Tak, wygląda on, powiedziałbym, nieprzyjaźnie. Mamy przed sobą pana i władcę podwodnego królestwa... Proszę, dajcie silniejsze światło. Nie darują nam, jeśli zrobimy kiepskie zdjęcie...

Włodzimierz włączył jeszcze jedną parę reflektorów. W tym jaskrawym świetle można było teraz przyjrzeć się straszdyłu dokładnie. Zwierzę, połyskując groźnie oczami, wysunęło do przodu kleszcze i w bezsilnej wściekłości próbowało złamać tram statku. Lecz kleszcze ześlizgiwały się, nie mogąc podołać niezwykłemu przeciwnikowi. Potwór spotkał po raz pierwszy silniejszego od siebie. Przestraszył się więc i umknął czym prędzej w ciemność.

Łódź przepłynęła powoli nad grzbietem gór podwodnych i znalazła się w miejscu, w którym dno tworzyła dolina obramiona spadzistymi ścianami. Tu właśnie postanowiono się zatrzymać.

Strzałka głębokościomierza zatrzymała się na liczbie „2343”.

— A więc czas — powiedział Wiktor Pietrowicz.

— Czy nie lepiej byłoby odłożyć to na następny raz? — nieśmiało zaproponowała Natasza. — Można by zabrać więcej ludzi: Iwana Płatonicza i Mikołaja Aleksandrowicza. Jak można opuszczać łódź, gdy wałęsają się tam takie potwory?

Natasza nie mogła zrozumieć, dlaczego akademik decyduje się w pojedynkę na taki czyn.

— To jest bohaterstwo! — powiedziała.

— Bohaterstwo? — zdziwił się Wiktor Pietrowicz. — Jakie tu bohaterstwo? Toć to przecież zwykła moja praca. Przecież nie przyleciałem tu po to, ażeby zachwycać się przyrodą Wenus. Tu należy wiele zrobić...

Powiedziawszy to, zaczął wdziewać pośpiesznie skafander. Natasza i Włodzimierz porozumieli się wzrokiem. Po chwili Odincow poszedł w ślady uczonego.

— A wy dokąd? — zapytał Jachontow. — Jak można porzucić swój posterunek?

— Nie możemy was samego puścić.

— Tak, Wiktorze Pietrowiczu, we dwóch będzie wam lżej. Z łodzią nic złego się nie stanie.

— A jeżeli...

— Ależ... — Natasza nie chciała nawet dopuścić myśli, by stać się mógł jakiś wypadek.

— Włodzimierzu Iwanowiczu, to zupełnie zbyteczne — powtórzył Jachontow, choć w skrytości ducha ocenił, że postanowienie Odincowa jest jak najbardziej słuszne.

Natasza obserwowała obu mężczyzn z niepokojem. W oczach jej czaił się lęk.

Badacze tymczasem wdzieli skafandry, uzbroili się w pistolety, ostre noże i lornetki, po czym sprawdzili aparaty tlenowe i udali się do wyjścia, zamykając za sobą drzwi prowadzące do wnętrza statku. Następnie Odincow przesunął odpowiednią dźwignię i w tym samym momencie do komory wyjściowej wdarła się ze straszliwą siłą woda. Pod uderzeniem jej strugi człowiek nie zabezpieczony ponieść musiałby natychmiastową śmierć, zostałby zmiażdżony. Astro- nautów wszakże osłaniało specjalne urządzenie, które jak falochron osłabiało napór mas wody. Gdy komora napełniła się, co trwało zaledwie kilka sekund, Odincow przesunął inną dźwignię, odsłaniając w ten sposób całkowicie luk wyjściowy.

Skafandry były na tyle wygodne, że prawie wcale nie utrudniały poruszania się w wodzie. Zresztą aby przesunąć się z miejsca na miejsce, wystarczały lekkie ruchy rąk. W przypadku zaś gdyby zachodziła konieczność szybszego poruszania, należało położyć się na bok i włączyć niewielki silnik umocowany wraz z aparatem tlenowym na plecach. W ten sposób można było przenosić się z miejsca na miejsce z prędkością do 30 kilometrów na godzinę. Porozumiewanie się umożliwiały stacje krótkofalowe. Zanikanie fal radiowych w wodzie na małych odległościach było niezbyt wielkie.

Jachontow i jego towarzysz, zachowując jak najdalej idącą ostrożność, skierowali się tam, gdzie rósł las podwodny. Mimo że bacznie wszystkiemu się wokół przyglądali, nie zauważyli

niczego, co by wzbudziło jakiegokolwiek podejrzenie.

Gładka, skalista równina, na której osiadła łódź podwodna, nie była zbyt rozległa. Na jej skraju zaczęły spiętrzać się nagle okrągłe, porośnięte mchem głazy.

Badacze ujrzeli tu mnóstwo małych mieszkańców tego podwodnego królestwa, mięczaków dwuskorupowych i wodorostów.

Doświadczone oko uczonego uznało te formy w istocie swej za analogiczne do form, które występowały na Ziemi. Mimo całej różnicy warunków, mniejszej odległości do Słońca, mniejszej sile ciężkości, dłuższych dni i nocy, ewolucja na Wenus podlegała tym samym prawom co i na naszym globie. Formy powstawały różne, ale kierunek i istota rozwoju były jednakowe.

Wiktor Pietrowicz zobaczył tu na własne oczy żywe organizmy, których ślady zachowały się również w historii Ziemi.

— Proszę spojrzeć! — doleciał do Włodzimierza głuchy głos Jachontowa. — Gdybym nie wiedział, że jesteśmy na Wenus, mógłbym pomyśleć, że jakiś wechikuł-czasu przeniósł nas wdaleką przeszłość Ziemi. Po prostu jakbyśmy stąpali po dnie morza starych okresów geologicznych. Jeszcze przed kambrem. Wszak to niewątpliwie cystidy! Tu zaś trylobity — najpierwotniejsze stawonogi i nautilidy.

— Jakie olbrzymie muszle! — zawołał Włodzimierz.

Górna skorupa u większości dużych muszli unosiła się nadając mięczakowi wygląd szeroko rozwartej paszczęki, w której ruszało się mnóstwo macek.

— One są bardzo podobne do naszych ramienionogów. Łatwo je pomylić z mięczakami dwu- skorupowymi, lecz te mają skorupy ułożone po bokach, tamte zaś posiadają skorupę grzbietową i skorupę brzuszną. Grzbietowa unosi się... A to co? O, tam... Czyżby to były amonity? Oznacza to, że istniały one, przed kambrem.

Powiedziawszy to, uczony wskazał ręką na wielką spiralną muszlę, wolno pełznącą po dnie.

— Tak, typowy amonit!

Uczonego interesowało jednak co innego. Pragnął on znaleźć się jak najszybciej w podwodnym lesie. Gdy wreszcie Wiktor Pietrowicz zaczął oglądać zarośla, Włodzimierz zrozumiał, że poszukuje on tam śladów pierwotniaków.

— Mimo wszystko należy wziąć stąd okazy wodorostów oraz próbki gruntu — powiedział. — Być może, w tej oślizgłej masie kryje się zagadka życia. Pierwotne koloidy.

Coś poruszało się za zaroślami, lecz Jachontow był tak pochłonięty pracą, że na nic nie zwracał uwagi. Włodzimierz trzymał broń w pogotowiu.

— Wiktorze Pietrowiczu!... — zawołał.

—Zaraz,

— Wiktorze Pietrowiczu! Należy wracać.

Uczony zdumiewał swoim spokojem i zimną krwią.

Wreszcie ruszyli z powrotem, w tym kierunku, gdzie poprzez masę wody przebijał blask reflektorów. Lecz światło zwracało nie tylko ich uwagę. Gdy poszli bliżej, z przerażeniem stwierdzili, że łódź okrążają stada ogromnych skorupiaków, Podobnych do tego, którego obserwowali z kabiny nawigacyjnej.

Potwory poruszały się naokoło łodzi i atakowały ją swymi kleszczami. Włodzimierz pomyślał o Nataszy. Co musiała ona w tej chwili przeżywać? Stalowe-

mu okrętowi nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale już sam widok tych strasznych oczu przyprawiał o drżenie. Położenie obu badaczy stawało się bardzo niebezpieczne. Skryli się więc za głązy, ażeby nie zwracać na siebie uwagi potworów. Włodzimierz niecierpliwił się.

— Trzeba przedostać się do łodzi — powiedział. — Nie możemy siedzieć tu bez końca.

— Racja, ale co robić?

— Utorować sobie drogę.

Pistolety elektryczne strzelały bezgłośnie. Włodzimierz okazał się doskonałym strzelcem. Każdy pocisk trafiał do celu. Odincowowi dzielnie pomagał Jachontow. Wśród potworów wybuchło zamieszanie. Włodzimierz zauważył, że skorupiaki rzucały się żarłocznie na te, które zostały trafione pociskami.

Natasza najwidoczniej zrozumiała, co dzieje się na zewnątrz, gdyż nagle zgasły reflektory, po czym zapaliły się na nowo. Manewr ten powtórzyła kilka razy. To pojawianie się i znikanie oślepiającego światła przestraszyło potwory, które zaczęły się rozpełzać. Wkrótce pozostało w pobliżu łodzi kilka martwych i zdychających stworów. Łapy ich drgały konwulsyjnie.

Badacze przedostali się wreszcie do komory i wyjściowej. Po drodze mogli się przekonać, jakiego zniszczenia dokonały pistolety elektryczne.] Niektóre ze skorupiaków miały rozłupane na drzazgi pancerze, inne oderwane nogi i głowy.

Czerniejące z daleka otwarte wejście do komory wydało się badaczom w tej chwili czymś nadzwyczaj przytulnym.

Natasza była uradowana, że wszystko skończyło się pomyślnie. Włodzimierz, kiedy został z nią sam na sam, zaczął opowiadać jej o swoich wrażeniach.

— Nie jestem tchórzem — mówił. — Ale to, co pokazał Wiktor, Pietrowicz, wydaje mi się nadzwyczajne. Szedł spokojnie do przodu i strzelał do tych potworów jak do kaczek...

— Prawdziwy uczonek! — z zachwytem powiedziała Natasza. — Kiedy pochłania go jakiś problem, cały świat przestaje dla niego istnieć. Czyś ty tego jeszcze nie zauważył? Tak jest zajęty swoimi teoriami, że nawet myśl o możliwości śmierci nie przychodzi mu do głowy.

— Możliwe — wzruszył ramionami Włodzimierz.

Walka z podwodnymi potworami nauczyła Ja-chontowa nieco ostrożności. Teraz przeprowadzał przeważnie obserwacje z łodzi, a jeśli wychodził na zewnątrz, to na bardzo krótki czas i tylko niedaleko. Badania głębin morskich trwały kilka dni. Następnie postanowiono wracać do bazy.

ROZDZIAŁ XX

w którym jest mowa o długiej nocy i trudnościach, jakie z tego powodu wynikły dla ekspedycji

Minęły dwie ziemskie doby.

Szapowałow wyszedł na brzeg, aby się trochę przespacerować. Znudziła mu się już samotność. Tymczasem Jachontow i Odincowowie pływali gdzieś w głębinach morskich, Kraśnicki zaś z Sandomirskim uganiał się po skalistych wertepach Wenus w poszukiwaniu rozbitego samolotu. Oczywiście astronom nie tracił czasu. Przeprowadzał codzienne obserwacje atmosfery, porządkował notatki i odbierał wiadomości od towarzyszy, dzięki czemu wiedział, gdzie są i co robią.

Uczony zaczął ostatnio trochę niedomagać. Chwytały go bule 61uouczuwał jaicies łamanie w stawach, dawało znać o sobie serce.

„Czyżby to skutki radiacji? — z przerażeniem myślał profesor. — Nie, to raczej niezdrowy klimat Wenus... A zresztą zbliża się starość”.

Tego rodzaju myśli nawiedzały profesora w ostatnich czasach. Wkoło panował lekki półmrok. Długi dzień miał się ku końcowi. Michał Andrejewicz już zamierzał wracać, gdy nagle zauważył, że w oddali za grzbietem przybrzeżnych skał ukazały się jasne plamki światła, wyraźnie widoczne za liliową wieczorną mgłą.

— Wracają nasi mechanicy! — zawołał.

Rzeczywiście, chybotwały się tam i zmieniały położenie dwa światła. Mogły one należeć tylko do planetochodu.

„Włączyć światło!” — podał sobie komendę astronom.

Zapłonął potężny reflektor. W niebo popłynęła jasna smuga i oparła się gdzieś na obłokach. Minęło jeszcze pół godziny i na grzbiecie wzgórza ukazał się jasno oświetlony planetochód. Poszukał sobie za pomocą reflektorów drogi i zaczął zjeżdżać w dół.

Sandomirski i Kraśnicki wykonali zadanie. Napracowali się solidnie. Stratoplan miał uszkodzony kadłub i odciętą część skrzydła. Maszynę umocowali stalowymi linami na dachu planetochodu i w ten sposób przetransportowali ją do bazy.

— Myśleliśmy, że już nie dojdziemy do domu — zaczął Sandomirski. — No, ale stratoplan jest na miejscu.

— Poważne uszkodzenia — pokiwał głową Szapowałow.

— Postaramy się doprowadzić go do porządku — powiedziały Kraśnicki.

Astronom poczęstował powracających smacznym obiadem, następnie udano się na spoczynek, gdyż Kraśnicki i Sandomirski lecieli po prostu z nóg.

Czas mijał szybko. Upłynęło już bowiem czternaście dni ziemskich. Na Wenus zapadał zmrok. Żółtoczerwony kolor, który panował w ciągu długiego południa, zmieniał się stopniowo na pasowe barwy wieczoru. Przedziwne były ostatnie godziny tuż przed zachodem skrytego poza grubą warstwą obłoków Słońca. Promienie jego padały coraz skośniej i stawały się bardziej purpurowe.

Pomarańczowy kolor sklepienia nieba przeszedł stopniowo w malinowy, wreszcie zapaliła się czarodziejskim, liliowym światłem zorza wieczorna. Z przeciwnej strony nadchodziła noc. Niebo zasnuwało się głębokim, ciemnym granatem. Wiatr ucichł. Nad burzliwym zazwyczaj morzem rozpostarła się delikatna mgiełka. Powierzchnia jego drgała drobnymi falami, w których odbijały się blaski zachodu. Wydawało się, że na olbrzymiej przestrzeni* rozlał się roztopiony metal. Potem morze pokryło się fioletem. Przepiękny widok tworzyły różowe odbicia w wodzie, delikatne, jakby z masy perłowej, i liliowa koronka piany na brązowym tle skał.

Gdy przyroda odkrywa swe blaski, gdy roztacza swe powaby, człowiek staje się wtedy lepszy i szlachetniejszy, wszystko, co małe i powszednie, odchodzi na drugi plan. Budzą się natomiast uczucia podniosłe, dobre i piękne.

W tych ostatnich godzinach, w czasie których zapadał nad Wenus mrok i nastawała noc, okazało się, że Iwan Płatonowicz Kraśnicki nie jest tylko uczonego chemikiem, ale i utalentowanym artystą malarzem.

Zjawił się w salonie z dużym szkicownikiem i składanymi sztalugami.

— Nie mogę spać — powiedział. — Pójdę na brzeg.

— Malować? — zdziwił się Szapowałow.

— Tak, zrobię kilka szkiców...

— To wspaniale! — zawołał profesor. — Przywieziemy do domu nie tylko fotografie z Wenus, ale również obrazy.

Kraśnicki nic nie odpowiedział. Wyszedł na brzeg. Z pokładu rakiety widać było, jak zaczął wśród skał rozstawiać sztalugi.

Czarowi wieczoru uległ nawet trzeźwy Sandomirski i niedysponowany profesor. Wyszli również z rakiety, siedli na kamieniach i długo wpatrywali się w czarodziejską grę kolorów zachodu.

Kiedy według czasu ziemskiego nastał ranek, raketę otulił już pełny mrok. Na niebie nie rozbłysła ani jedna gwiazda. Zapanowała gęsta, nieprzenikniona ciemność.

Astronauci zebrali się, jak zawsze, o siódmej rano w salonie, Sandomirski i Kraśnicki, uzupełniając wzajemnie swe wypowiedzi, opowiedzieli, z jaką trudnością udało się im w ostatnich godzinach przed zmrokiem odnaleźć stratoplan i umieścić go na dachu planetochodu. Z kolei postanowiono zająć się natychmiast remontem maszyny. Prace należało wykonywać na brzegu, w świetle reflektorów rakiety.

Na statku kosmicznym znajdowały się narzędzia i materiały potrzebne do naprawy uszkodzeń. Z wnętrza rakiety wywołano na bieżąco samobieżny dźwig, wyniesiono aparat do spawania, piły mechaniczne, gilotyny oraz wszelkiego rodzaju instrumenty naprawcze, wprawiane w ruch za pomocą energii czerpanej z baterii atomowych.

Astronauci przystąpili pod kierunkiem Kraśnickiego do pracy. Przydało się bogate doświadczenie byłego mechanika okrętowego. Jednakże to, co należało zrobić, nie było takie proste, jak wydawało się na początku. Należało zdjąć pozycie uszkodzonego płatu, wymienić pocięte wręgi, przyspawać części z lekkie-

go metalu. Niemało trudu kosztował również remont zmiażdżonej wskutek upadku kabiny. Gdyby nie drzewa, na które spadł stratopłan, wątpliwe, czy można byłoby go w ogóle odremontować.

Na pracę zużyto dwanaście dni ziemskich. Trzynastego dnia samolot uzyskał poprzednią sprawność. Choć niektóre naprawy wykonane zostały podręcznymi środkami, maszyna całkowicie odpowiadała zadaniu.

Zmęczeni? lecz zadowoleni z wyników astronauta powrócili na pokład rakiety i zaczęli się przygotowywać do snu. Wtem Sandomirski spojrział w okno.

— Światła na morzu! — zawołał.

Zapanowała ogólna radość. Wracali bowiem przyjaciele, za którymi się wszyscy stęsknili.

— Należy zapalić reflektor! — powiedział ucieszony Sandomirski.

I znowu wzbija się w niebo jasna smuga. Trzykrotne włączenie i wyłączenie światła oznaczało jak gdyby powitalny salut. Zanim upłynęła godzina, uczestnicy wyprawy podwodnej znaleźli się w salonie lakiety.

Rozmowom nie było końca. Natasza opowiadała o przeżyciach, jakich doznała z Włodzimierzem, usiłując w słowach oddać to, co zobaczyła na dnie morza. Wiktor Pietrowicz pokazywał zdjęcia. Szczególne zainteresowanie wzbudzał opis walki z gigantycznymi skorupiakami. Astronauci nie widzieli się z sobą wiele dni. W tej chwili, gdy znaleźli się znowu razem, poczuli, jak silną i zespoloną rodzinę stanowi ich mały zespół. Resztę dnia przeznaczono na odpoczynek. Zor-

ganizowano seans filmowy, który przeniósł ich na 374 kilka godzin na rodzinną planetę, na Ziemię.

Przesuwające się na ekranie obrazy wzbudziły uczucie tęsknoty za niebieskim niebem, za słońcem, które zalewa swym blaskiem zielone lasy i sady, za złotymi łanami zbóż, sinymi górami i lazurowym morzem. Tak, to był najlepszy ze światów! Jakież to szczęście dla człowieka, że dane mu było urodzić się na Ziemi!

Długo trwały rozmowy tego pamiętnego wieczoru.

Nazajutrz wszyscy, jak zwykle, zebrali się na śniadanie w salonie. Słabo jażyły się żarówki — astronauta musieli teraz oszczędzać prądu. Za oknami czerniała noc. Otaczający raketę mrok działał przygnębiająco. Nie darmo do prac badawczych w obszarach podbiegunowych dobiera się bardzo zdrowych, o silnych nerwach ludzi. Nie każdy bowiem podczas długich nocy, kiedy przez wiele miesięcy ani razu nie zajaśnieje słońce, potrafi zachować dobry, pogodny nastrój sprzyjający pracy. Jakżeż raził teraz kontrast między przesuwającymi się na ekranie obrazami dalekiej rodzimej planety a ponurą przyrodą Wenus.

Zgromadzeni przy stole astronauta byli milczący, posepni, zatroskani. Każdy pograżył się we własnych myślach. Rozmowa nie kleiła się. Nawet smaczny posiłek, przygotowany przez dyżurującą dziś Nataszę, nie potrafił rozładować ponurego nastroju.

Nikt nie miał odwagi zabrać głosu, aby nie wypowiedzieć głośno tego, co każdemu z nich ciążyło na sercu. Trudno było nazywać rzeczy po imieniu. Astronauta znaleźli się w ciężkiej sytuacji. Atmosfera była tak napięta, jak przed

burzą, kiedy lada chwila zacznie się błyskać, kiedy rozlegną się grzmoty i pioruny, kiedy zerwie się huragan.

Pierwszy odezwał się astronom.

— No cóż, przyjaciele — powiedział nie zwracając się do nikogo bezpośrednio — zobaczyliśmy wreszcie Ziemię... Dobrze, że choć na ekranie...

Nikt nie zareagował na tę uwagę. Włodzimierz z niechęcią spojrział na profesora, chciał coś powiedzieć, ale machnął z rezygnacją ręką i odwrócił się. Sandomirski i Kraśnicki porozumieli się oczami. Natasza gwałtownie posunęła w stronę Szapowałowa talerzyk z omletem.

— Dziękuję! — wycedził Michał Andrejewicz, po czym z obojętną miną zabrał się do jedzenia.

Szef ekspedycji obserwował tę scenę w milczeniu. Doskonale wyczuwał stan psychiczny astro- nautów. Każdy z nich jasno zdawał sobie sprawę z położenia, w jakim się znaleźli. Przecież nie mieli żadnej nadziei na powrót. Trudno więc było w tej sytuacji wymagać od nich dobrego i pogodnego nastroju. Ale czy można dopuścić do całkowitego załamania?

Po głębokim namyśle Wiktor Pietrowicz zdecydował poruszyć wszystkie drażliwe i denerwujące ich sprawy.

— A więc, przyjaciele — odezwał się po chwili — doskonale się rozumiemy bez słów. Wszystko jest jasne, zastanówmy się wspólnie, co robić dalej!

Jakiś czas trwało milczenie i każdy rozważał w duchu i oceniał sytuację, starając się znaleźć jakieś rozwiązanie.

— Szkoda słów — rozpoczął Sandomirski. — Droga powrotu jest odcięta. Aby rakieta wystartowała z Wenus w kierunku Ziemi, kiedy Słońce nie będzie już nam pomagać, potrzeba nie mniej niż 5000 ton paliwa, które daje szybkość strumienia gazów 4,5 kilometra na sekundę, oraz taką samą ilość utleniaczy. Wprawdzie zaopatrzenie w fluor jest dostateczne, ale borowodoru pozostało zaledwie 2285 ton. Jakkolwiek staralibyśmy się zmniejszyć ciężar statku, z taką ilością paliwa nie ma co marzyć o przewyciężeniu przyciągania Wenus. Każdy z was zna te liczby na pamięć.

— Jesteśmy jak muchy na lepie — uśmiechnął się krzywo Szapowałow. — Możemy tylko bzykać czekając końca.

— I wydając przy tym przykre dźwięki — rzucił Włodzimierz.

— Co chcecie przez to powiedzieć? — zawołał profesor. — Nie jesteśmy w końcu dziećmi, lecz ludźmi dorosłymi. Należy rozmawiać poważnie! Sytuacja jest bez wyjścia. Uratować nas może tylko pomoc z Ziemi, lecz nie mamy łączności. Nikt nas nie usłyszy. I z tym najwyższy czas się pogodzić. Przykro, głupio ginać, ale fakty to rzecz uparta.

— Dlaczego zaraz ginać! — oburzył się Kraśnicki. — Jeżeli nie uda się nam powrócić na Ziemię, musimy się przystosować do życia na Wenus. Ograniczyć należy potrzeby, wprowadzić oszczędność w spożywaniu pokarmów. Będziemy tu żyć i pracować, jak długo starczy sił.

— Iwanie Płatonowiczu, nie jesteście prze cież dzieckiem! — sprzeciwił się podrażnion; astronom. — Przebywanie w tutejszej atmosferz bez aparatów tlenowych jest niemożliwe, a zas pasy tlenu są ograniczone. Niemożliwe jest rów

niez żywienie się tutejszymi produktami. Nie udawało się to dotychczas i bardzo wątpliwe, czy uda się kiedykolwiek. Zapasy, które posiadamy, wystarczą na 600—700 dni. A potem nieunikniona, pełna męczarni śmierć z głodu lub — jak wolicie — uduszenia się z powodu braku tlenu. Oto perspektywa, która nas czeka!

Powiedziawszy to, Michał Andrejewicz odwrócił się do okna, jak gdyby dawał do zrozumienia, że nie ma zamiaru na ten temat dalej rozmawiać.

— Czyż rzeczywiście nie potrafimy wydobyć tlenu z atmosfery Wenus lub jej wód? — zauważył Włodzimierz. — Myślę, że da się również znaleźć żywność. Nie mamy pewności, że tutejsze zwierzęta nie są jadalne! Przecież wiemy, że kiedyś ludzie żywili się planktonem. O ile będziemy musieli tu pozostać, powinna znaleźć się woda i żywność. Tlen potrafimy uzyskać sztucznie.

— Zachęcająca perspektywa — z sarkazmem powiedział Szapowałow nie odwracając się od okna. — Kasza z planktonu! Jakaż to rozkosz! Czas przerwać te naiwne rozważania o tlenie. γ energii ν casaydi okuiiuićttoaen jest niewystarczający. Czyż zatem można zużyć ją do rozkładu wody? Tym przyśpieszymy koniec, a nie odwlecemy. Włodzimierzu Iwanowiczu, zostawcie gaworzenie dzieciom. Bądźcie dorosłym człowiekiem!

— Wiatr! — rzucił krótko Iwan Płatonowicz. — Oto źródło energii elektrycznej na Wenus. Zbudowanie wiatraka nie jest trudne. Mamy silniki na prąd stały. Każdy z nich może pracować jako generator.

— Racja! — podchwycił Sandomirski. — Poza tym musimy ponowić próby nawiązania łączności z Ziemią. Nie udało się raz, spróbujemy drugi, trzeci...

— Wszystko to słuszne — odezwał się Wiktor Pietrowicz. — Lecz nie na tym polega zasadnicza sprawa. Mówimy i rozprawiamy ciągle o tym, jak będziemy żyli tu na Wenus. Tymczasem nie możemy zapomnieć, że naszym obowiązkiem jest przeprowadzenie badań, prac naukowych i dostarczenie materiałów na Ziemię. To jest nasze główne zadanie. Nie chodzi tyle o nas samych, ile o korzyści naukowe ekspedycji. Przystąpmy więc lepiej do sprawy naszego powrotu.

I znowu zapanowała cisza. Zadania bowiem nie można było rozwiązać.

— Synteza! — zauważył ni z tego, ni z owego Kraśnicki.

— Synteza, czego? — rzucił ostro Szapowałow. — Jedyne bogactwo Wenus to woda. Na niej jednak daleko się nie zaleci.

— Wodór... — nieśmiało zaczął Włodzimierz. — Prędkość strumienia gazowego wyjątkowo wielka — do 18 kilometrów na sekundę.

— Dziecinada! — przerwał mu gniewnie Szapowałow. — Osądźcie sami. Oczywiście, teoretycznie można przepuszczać zwykły wodór przez płomień łuku Volty, lecz trzeba wtedy zbudować nowe silniki zupełnie innego systemu. Zrobić tego własnymi siłami nie potrafimy!

— Propozycja istotnie niezła — uśmiechnął się lekko Jachontow — ale nie przemyślana do końca. Nie tędy droga! Nie tędy!

— Wszelka próba uzyskania w naszych warunkach paliwa syntetycznego daje, praktycznie rzecz biorąc, niewiele — oświadczył Szapowałow. — W warunkach laboratoryjnych, być może, udałoby się nam uzyskać kilkanaście centyme-

trów sześciennych dobrego paliwa. By uzyskać zaś tysiące ton, potrzebna jest już fabryka. Czyż tego nie rozumiecie? Szkoda czasu na podobne fantazje.

I znowu zapanowała cisza. Nikt nie mógł zaproponować takiego rozwiązania, które by stanowiło wyjście z ciężkiej sytuacji.

— No cóż — odezwał się Włodzimierz. — Będziemy myśleć, poszukiwać i walczyć. Nie mogę wprost uwierzyć, byśmy nie potrafili znaleźć jakiegoś sposobu. Musimy go znaleźć. I na pewno znajdziemy. Prawda, Nataszo?

Włodzimierz spojrział na żonę, jak gdyby oczekując od niej poparcia.

— Ale, Wiktorze Pietrowiczu, nie powiedzieliście nic o paliwie naturalnym — zwróciła się Natasza do Jachontowa. — Na przykład o ropie lub innych, podobnych do niej, płynnych węglowodorach.

— Mało na to nadziei, Natasza — odpowiedział Jachontow. — Przekonaliśmy się już, że życie na Wenus znajduje się w pierwszym ńlaium swego rozwoju. Tymczasem ropa — jak wiecie — jest produktem przetwarzania w ciągu milionów lat substancji organicznych.

— Pozwólcie, że się z tym nie zgodzę! — sprzeciwiła się Natasza z wypiekami na twarzy. — Proszę nie zapominać o Mendelejewie!

Słowa te przypomniały dawne, ożywione w świecie naukowym dyskusje. Wielki chemik rosyjski uważał, iż ropa naftowa powstała nie na drodze rozkładu, bez dopływu powietrza, wymarłych pradawnych zwierząt lub roślin, lecz S80 znacznie prościej — jako wynik reakcji chemicznej rozpalonych karbidków żelaza i innych metali z parą wodną i węglowodorami pierwotnej atmosfery Ziemi, to znaczy na drodze nieorganicznej. Zagadnienie to zawsze Nataszę pasjonowało.

Jeszcze w Instytucie znana była jako gorąca zwolenniczka teorii Mendelejewa. Obecnie problem ten stał się niezwykle aktualny. Dlatego też Odincowa z całym zapalem usiłowała wykazać swoją rację. Według niej tylko reakcje chemiczne z substancjami pochodzenia nieorganicznego mogły stworzyć olbrzymie złoża ropy istniejące na Ziemi. A jeśli tak, to złoża takie powinny również znajdować się na Wenus. Można i trzeba je znaleźć.

Jachontow z zainteresowaniem słuchał gorących słów Nataszy. Raptem Sandomirski jednym zdaniem zgasił cały zapal młodej kobiety.

— Wszystko to, o czym mówicie — powiedział — jest, być może, prawdą. Ale niewiele nam to da. Ropa i jej pochodne dają prędkość strumienia gazów nie wyższą niż 2,5 kilometra na sekundę. Niestety, na takim paliwie nie potratimy oderwać się od atmosfery Wenus.

Natasza patrzyła na Sandomirskiego zupełnie strapiona. Wreszcie machnęła ręką i usiadła.

— Silany — odezwał się Kraśnicki. — Fluor mamy.

Dyskusja ucichła. Zapanowało ogólne milczenie. Słowo rzucone przez chemika skierowało myśli obecnych na inne tory. Zrodziło nowe nadzieje. Chodziło o połączenia krzemu z wodorem, zwane inaczej wodorkami krzemu lub silanami. Pod względem swego składu chemicznego przypominają one węglowodory. Niektóre z tych połączeń — jak na przykład trójsilan, tetra silan i inne wysokocząsteczkowe wodorki — są w zwykłej temperaturze cieciami i bardzo gwałtownie reagują z chlorem, fluorem i innymi haloidami. Przy połączeniu silanów z fluorem wydziela się olbrzymia ilość ciepła.

— To wspaniała myśl — zgodził się Wiktor Pietrowicz. — Wodorki krzemu na pewno występują również na Wenus.

Natasza popatrzyła na Kraśnickiego z wdzięcznością i szacunkiem. Szapował uśmiechnął się ironicznie, ale sądu swego głośno nie wyrażał.

Nadzieja, która tak nagle zaświtała przed astro- nautami, oparta była na całym logicznych przesłankach. Krzem jest pierwiastkiem bardzo rozpowszechnionym w przyrodzie. W zasadzie jest podstawą całego świata nieorganicznego, ponieważ większa część skał litosfery, zewnętrznej skorupy Ziemi, jak również skorupa innych planet naszego układu słonecznego składa się z krzemu występującego w połączeniach z wodorem i innymi pierwiastkami. Podstawą chemiczną powszechnie znanych minerałów: kwarcu, piasku, krzemienia — jest krzem.

Z drugiej strony stwierdzono, że wodór wchodził w skład pierwotnej atmosfery wszystkich bez wyjątku planet i dotychczas występuje w atmosferze Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna, to jest planet-gigantów. Dlatego też logiczne było przypuszczenie, że przy formowaniu się Wenus — w innych warunkach temperatury wskutek mniejszej odległości tej planety od Słońca — mogły powstać naturalne związki krzemu i wodoru, ponieważ oba te pierwiastki znajdowały się tu w dostatecznej ilości.

— No cóż! — ciągnął Jachontow. — Należy więc szukać. Lecz czy się nam uda znaleźć, nie wiadomo.

— Znajdziemy, Wiktorze Pietrowiczu — z przekonaniem powiedziała Natasza.

— Silany, silany, borany lub jakiegokolwiek inne substancje o żądanych przez nas właściwościach muszą tu występować.

— Więc weźcie się do tych badań — uśmiechnął się Wiktor Pietrowicz. — Wszak nie na próżno zabraliśmy z sobą geologa-specjalistę.

Natasza poczuła przyływ energii. Ciągłe gnębiła ją świadomość, że jej obecność nie przynosi ekspedycji specjalnych korzyści. Pragnęła stać się rzeczywiście pożyteczna. Rozmowa przy ognisku w ów wieczór, po walce z pajakami, nie wychodziła jej z pamięci. Teraz nadarzyła się okazja, kiedy mogła wykazać swoją wiedzę i energię.

Mimo poważnej sytuacji Odincowa promieniała z radości.

— A wige — kontynuował Wiktor Pietrowicz podsumowując wyniki rozmowy — wszyscy się wypowiedzieli. Można powziąć decyzję. Położenie nasze jest co prawda ciężkie, ale wbrew temu, co niektórzy sądzą — nie beznadziejne. Pierwszym naszym zadaniem jest znalezienie paliwa. Będziemy poszukiwali silanów. To jest zupełnie realne. Zlecimy tę sprawę Natalii Wasiljewnie i Włodzimierzowi Iwanowiczowi. Do ich dyspozycji oddamy planetochód, samolot i łódź podwodną. Jeśli zajdzie potrzeba, włączymy się wszyscy. Powodzenie zależy od naszej postawy, woli i wytrwałości. Jednocześnie rozwiązać musimy kwestię prądu. Polecimy to Iwanowi Płatonowiczowi i Mikołajowi Aleksandrowiczowi. Należy za pomocą środków, które mamy do swej dyspozycji, zbudować wiatrak. Następnie postaramy się nawiązać łączność z Ziemią. Nie możemy przy tym zapomnieć o głównym celu ekspedycji. Nie wolno ani na jeden dzień przerwać prac naukowych. Michał Andrejewicz i ja musimy nadal realizować plan naszych badań naukowych.

Wiktor Pietrowicz umilkł i pytająco popatrzył znad okularów na obecnych.

— To piękne — wymamrotał przez zęby Szapowałow — ale bardzo problematyczne. Czy nie pójdzie to wszystko na marne? A jeśli niczego nie znajdziemy? A jeśli nic nie zbudujemy?

— Przepraszam — spokojnie odparł Jachontow, choć z wysiłkiem hamował rozdrażnienie. — Przypuśćmy, że nam się to rzeczywiście nie uda, że nie znajdziemy środków, które pozwoliłyby nam powrócić na Ziemię. Niech i tak będzie. Ale czy oznacza to, że już teraz mamy opuścić bezradnie ręce i czekać na śmierć? Moim zdaniem, nie. Dopóki starczy sił, naszym obowiązkiem jest pracować, obserwować, jednym słowem, prowadzić badania, które mają przynieść pożytek ludzkości. A kiedy nadejdzie nasza godzina, potrafimy umrzeć z honorem, mężnie. Ostatni z nas zrobi wszystko, ażeby prace nasze zachowały się dla tych, którzy po nas tu przyjdą.

— Zachwycająca perspektywa — uśmiechnął się Szapowałow. — Szkoda gadać!

— Cóż robić! Musimy prawdzie spojrzeć, w oczy. A jeśli zajdzie potrzeba, umrzemy jak żołnierze na posterunku — powiedział spokojnie Sandomirski.

— Każdy powinien spełnić swój obowiązek — cicho dodał Kraśnicki.

— Do ostatniej chwili życia pracował. Czyż mało mamy podobnych wzorów?

Szapowałow nic nie odpowiedział, ale ironiczny uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Rozmowa się skończyła. Podróżnicy przystąpili do prac. Należało uporządkować zapiski, poklasyfikować zbiory. Czas upływał na statku kosmicznym tak, jak na Ziemi. W salonie, kajutach i laboratoriach wrzała praca. Rakieta lekko kołysała się na falach, w których odbijały się złotymi plamami światła żarówek.

Badaczy otaczała ciemna noc. Raz jednak ponura przyroda obdarzyła ich wspaniałym widokiem zorzy polarnej. Zdarzyło się to po raz pierwszy następnego dnia po rozmowie, której tematem była sytuacja ekspedycji.

Po obiedzie Włodzimierz i Natasza, nałożywszy maski, skierowali się na brzeg, ażeby sprawdzić, czy stratopłan jest dobrze przymocowany. Wokół panowała cisza. Ale czy nie wróżyła ona czegoś złego? Przecież astronauta już niejednokrotnie mogli się przekonać, jak po takiej ciszy nadlatywał nagle wiatr, jak przeradzał się w gwałtowny huragan, który zmiatał wszystko na swej drodze.

Zaledwie Odincowowie, oświetlając sobie drogę elektrycznymi latarkami, znaleźli się na brzegu, spostrzegli, że wokół stało się jasno i że na skalisty grunt padają wydłużone cienie. Zwykłe światło dzienne na Wenus oświetlało przedmioty z jednakową ze wszystkich kierunków siłą, wskutek czego nie było tam cienia.

Młodzi ludzie znieruchomieli z podziwu. Na horyzoncie płonąła błękitnawa luna, która rozlała się następnie po całym niebie wszystkimi kolorami tęczy. Przez pewien czas przeważał błękit, niezwykle delikatny i zimny, potem jaskrawa zieleń, następnie całe niebo zapłonęło szmaragdem, w końcu fioletem, ginącym już gdzieś za obłokami.

Natasza i Włodzimierz stali jak urzeczeni, nie wiedząc, w którą stronę pa-
trzeć. Pozostali astronauta również wybiegli na brzeg, by oglądać to niezwykle
widowisko. Kolor nieba zmieniał się co chwila. Wszystko, co działo się w górze,
znajdowało swe odbicie w gigantycznym lustrze —• w wodzie morza.

Astronauta nie mogli oderwać oczu od czarodziejskiego widowiska. Zorza
na Wenus, wyjątkowo jaskrawa wobec bliskości Słońca, trwała około godziny.
Potem zgasła tak nagle, jak nagle się pojawiła. I znowu zapanowały nieprzenik-
nione ciemności. Wzruszeni widzowie długo jeszcze stali na brzegu i czekali na
powtórzenie się tego cudownego widoku.

ROZDZIAŁ XXI

w którym śmierć zabiera pierwszą ofiarę

Człowiek z trudem znosi długie noce polarne, kiedy wszystko pogrążone jest w gęstym, nieprzeniknionym mroku. By nie ulec wtedy załamaniu, musi posiadać dużą odporność psychiczną i silne, zdrowe nerwy.

Astronauci na Wenus znajdowali się w lepszych warunkach niż pracownicy stacji polarnych na Ziemi. Noc była krótsza, panowało ciepło. Lecz właśnie to ich drażniło. W praktyce zimno obniża aktywność człowieka, wskutek czego trzeba zmniejszyć zakres i tempo pracy. Tu natomiast ludzie rwali się do roboty, której było mało. Pozostawała jedynie praca albo wewiictlii; kiety, albo blisko niej, ponieważ ciemności nocy, nie rozjaśnione ani jedną gwiazdą, nie sprzyjały dalekim wycieczkom i zwiadam. Wszyscy marzyli więc o chwili, kiedy nastąpi świt.

Lecz powstały inne troski i zmartwienia. Zachorował profesor Szapowałow.

Dotychczas nikt z astronautów nie uskarżał się na żadne dolegliwości. Uczestnicy wyprawy cieszyli się doskonałym zdrowiem. Inaczej nie mogliby wziąć w niej udziału. Poza tym zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które zagrażało ze strony mikroorganizmów Wenus, surowo przestrzegali zasad ochrony przed ich działaniem. Znajdując się, jeśli tego wymagała potrzeba, na zewnątrz rakiety, stratoplanu lub planetochodu, korzystali zawsze z aparatów tle-

nowych i masek. Wody używano tylko w stanie przegotowanym, pomieszczenia co pewien czas dezynfekowano przy zastosowaniu promieni nadfioletowych. Podobne środki ostrożności chroniły uczestników ekspedycji przed ciężkimi przypadkami chorobowymi. Natasza, spełniając gorliwie rolę medyka, troszczyła się o zdrowie astronautów z niezwykłą gorliwością.

Istniała obawa, że profesor Szapowałow na długi czas przerwać musi wszelkie zajęcia, by poddać się gruntownej kuracji. Niedomagał już od dawna. Z nastaniem pierwszej nocy na Wenus przestał zupełnie wychodzić z rakiety, następnie stracił sen, apetyt, opanowała go apatia.

— Zupełnie nie rozumiem — mówił do Nataszy, połykając tabletkę nasenną — co się ze mną dzieje. Głowa mi ciąży. Przewracam się z boku na bok.

Profesor zostai wszechstronnie zbadany, lecz nic groźnego nie stwierdzono. Natasza zaleciła jedynie spokój, odpoczynek i proszki nasenne.

Długa noc zbliżała się ku końcowi. Czarny, gęsty mrok przybrał barwę ciemnofioletową. Na tle nieba widać już było zarysy zębatych skał.

Minęły jeszcze trzy ziemskie dni. Profesor Szapowałow chorował w dalszym ciągu. Poprawy nie było. Nie mógł spać, zwiększyły się bóle głowy. Stracił zupełnie dawny humor, chęć do rozmów i opowiadania wesołych historyjek i anegdot. Leżał całymi dniami w łóżku, z otwartą na tej samej stronie książką, patrząc apatycznie przed siebie i nie reagując zupełnie na to, co się wokół niego działo. Nikt nie wiedział, o czym rozmyślał. Tymczasem astronom zadawał sobie jedno i to samo wciąż pytanie: „Czyżby to była choroba wskutek porażenia promieniami radioaktywnymi?”

Michał Andrejewicz odpędzał od siebie tę myśl, składając winę na właściwości tutejszego klimatu, na warunki życia i na wiele innych przyczyn. Była to jakaś próba samoobrony. W końcu jednak nastąpiło załamanie.

Nataszę ogarnął niepokój. Raptem bowiem temperatura u chorego zaczęła wzrastać, aż do 38,8°. Jednakże profesor w dalszym ciągu uskarżał się tylko na bóle głowy i bezsenność. Ciśnienie było normalne.

Natasza pobrała u chorego krew i postanowiła zrobić analizę. Do laboratorium udał się również z nią Wiktor Pietrowicz. Odincowa zaczęła manipulować przyrządami. Potrząsała zawartością probówki, obserwowała ją przez mikroskop, zaglądała do podręczników.

— Więc? — spytał Jaciiuulow.

— Nic nie mogę zrozumieć — odparła. — Wyrażna leukocytoza. Ponad dwanaście tysięcy białych ciałek krwi w jednym milimetrze sześciennym.

— Hm... Według normy powinno być sześć do ośmiu tysięcy. Rzeczywiście zagadka!

— Wskazuje to, że w organizmie zachodzi jakiś proces. Lecz jaki? Tego właśnie nie wiem.

Jak wiadomo, białe ciała krwi, leukocyty, bronią organizm przed szkodliwymi mikroorganizmami. Zaledwie wróg przedostanie się do organizmu, następuje zaraz mobilizacja. Milionowe armie leukocytów przystępują do ataku. W wyniku walki z nieprzyjacielem podwyższa się temperatura ciała chorego.

Analiza krwi jasno wskazywała, że organizm chorego atakuje jakaś trucizna. Tylko tym można było wytłumaczyć to zwiększenie się liczby białych ciałek krwi. Ale jaki to był jad? Tego Natasza nie mogła w żaden sposób pojąć. Postanowiła więc zasięgnąć rady Wiktora Pietrowicza.

Akademik rozmawiał w swojej kabinie z San- domirskim.

— To nic groźnego — odpowiedział Mikołaj Aleksandrowicz, gdy Natasza zawiadomiła, w jakim stanie znajduje się Szapowałow. — Poleży sobie, wypocznie. To człowiek silny, zdrowy.

Jachontow był odmiennego zdania.

— O, nie — odezwał się. — To jest poważna sprawa. Ale cóż możemy poradzić? — Wiktor Pietrowicz bezradnie rozłożył ręce. — W każdym razie, Natalio Wasiljewna, trzeba roztoczyć nad chorym jak największą opiekę. Może to wpływ klimatu? Należy być przygotowanym na to, że i ima uiugą uiec tej samej chorobie. Notujcie wszystko. To bardzo ważne!

W nocy Michał Andrejewicz poczuł się znacznie gorzej. Mimo środków nasennych spał źle, rzucał się na łóżku, majaczył. Natasza dyżurowała przy chorym, wysłuchując chaotycznych zdań, które od czasu do czasu padały z ust astronoma.

— Gorąco! Bardzo gorąco! Nie wolno dotykać...

Natasza próbowała dać mu coś chłodnego do picia. Szapowałow odtrącił kubek.

— Nie potrzeba! Woda gorąca! Wszystko zatrute! — krzyczał szarpiąc na sobie pidżamę.

Następnego dnia temperatura spadła, chorego jednakże dusić zaczął kaszel. Po nocnych majaczeniach profesor przyszedł do siebie, ale zmienił się do tego stopnia, że trudno było poznać w nim dawnego Szapowałowa. Przejął się bardzo widokiem krwi na chusteczce.

— Krew — powiedział z grymasem na twarzy.

— To nic — próbowała uspokoić go Natasza.

— Nie, to już koniec. Smutno! — powiedział cicho.

— To minie! To minie! — mówiła Natasza ze łzami w oczach, przeklinając równocześnie w duchu swoją bezsilność.

Kaszel dowodził, że proces chorobowy zajął płuca. Postanowiono dawać choremu biomycę.

Tego dnia dyżurował Sandomirski. Dobrze znając Michała Andrejewicza, przyrządził obiad jak najstaranniej, dobierając dania, które zwykle smakowały astronomowi najbardziej. Podał również szklanekę białego wina, a na deser kompot.

— Nie chce mi się jeść — odpowiedział cicho uczony ku zmartwieniu Sandomirskiego. — Nic mogę. Wszystko to jest na pewno bardzo smaczne, ale nie mogę.

Napił się tylko łyk wina.

W salonie tymczasem toczyła się smutna rozmowa.

Mrok nocy jeszcze nie ustąpił, gdy za oknami nagle zapaliła się polarna zorza. Profesor uniósł się z trudem na łokciu, ażeby lepiej zobaczyć to dziwne zjawisko, ale natychmiast opadł z jękiem na łóżko.

— Niedobrze wam? — zapytała nachylając się nad nim Natasza.

— Nie wiem... Boli mnie głowa... Oczy pieką. Nie mogę znieść światła.

Natasza osłoniła lampkę arkuszem ciemnego papieru. Wtem wszedł Wiktor Pietrowicz.

— Mierzyliście temperaturę? — spytał.

— 38,8...

— Michale Andrejewiczu, proszę pokazać język!

Język obłożony był jakimś dziwnym, brunatnym nalotem. Akademik zachmurzył się.

— Zróbcie jak najszybciej analizę krwi — powiedział cicho.

Nataszy nie trzeba było dwa razy powtarzać. Poprawiając kołdrę i uśmiechając się do chorego, zręcznie pobrała krew i za chwilę była już w laboratorium, gdzie w obecności Jachontowa wykonała analizę.

— Leukemia — powiedziała. — Typowa leukemia!

— Konieczna transfuzja krwi — rzucił Jachontow. — Jaką ma grupę?

— A.

— Dobrze. Moja krew nadaje się. Proszę, bierzcie. I chodźmy do niego.

Niestety, mimo transfuzji stan chorego pogarszał "się z minutę na minutę. Wiktor Pietrowicz z trwogą patrzył na borykającego się ze śmiercią astronoma. Wszyscy zrozumieli, że Michał Andrejewicz musi umrzeć.

— Jak się czujecie? — spytała Natasza.

— Głowa, głowa — skarżył się szeptem chory. — Bardzo boli...

— Dajcie szybko pentoxil! — zawołał nagle Jachontow, widząc że oczy chorego zaczęły biegać i prawie wychodzić z orbit. — Prędeż!

Natasza rzuciła się do apteczki.

— Weźcie glukozę! — zawołał Wiktor Pietrowicz — I witaminę B.

— Czyżby umierał? — szepnął Sandomirski.

— Leukemia — odparł Jachontow.

Ten łaciński wyraz oznacza ciężkie schorzenie organów krwiotwórczych, często doprowadzające do fatalnego końca. Profesor Szapowałow w niczym nie przypominał owego jowialnego, wesołego tłuściocha, jakim był jeszcze niedawno. W łóżku leżał teraz człowiek o zastrzonych rysach twarzy, osłabiony do tego stopnia, że nie mógł nawet rozmawiać.

Ale zastrzyk glukozy zrobił swoje. Umierający poczuł przyływ sił. Otworzył oczy.

Natasza siedziała na skraju łóżka, Jachontow stał obok, reszta oczekiwała przy drzwiach.

— Michale Andrejewiczu — powiedziała Natasza. — Zastosowaliśmy transfuzję krwi. Teraz wszystko będzie dobrze. Nastąpi poprawa.

Oczy profesora świadczyły, że wraca mu przytomność.

— Nic z tego — wyszeptał po chwili.

— Dlaczego? Przeciwnie, wszystko będzie dobrze — usiłowała go pocieszyć Natasza.

— Nic z tego... Radiacja... Choroba popromienna! Śmierć! Nie ma ratunku... nie... Nic nie pomoże...

Wiktor Pietrowicz nie wierzył swoim uszom.

— Dlaczego? — zawołał. — Dlaczego choroba popromienna. Skąd się wzięła, Michale Andrejewiczu?

Jeśli to rzeczywiście była choroba popromienna, to środki zastosowane w celu uratowania chorego nie mogły już powstrzymać niszczącego procesu cząstek radioaktywnych. Transfuzja i zastrzyk glukozy tylko na krótki czas wzmocniły organizm profesora.

Michał Andrejewicz zaczął powoli opowiadać. Z ust jego padały oderwane słowa. Mimo że trudno go było zrozumieć, astronauty dowiedzieli się o Wąwozie Gorących Skał.

— Dlaczego milczeliście dotąd? — zawołał Jachontow. — Dlaczego o tym nie powiedzieliście? Dlaczego skazaliście się na straszną śmierć?

— Wierzyłem... w swój... organizm — szeptał Szapowałow. — Nie myślałem, że...

— Kochany, jakże można było do tego dopuścić! — nie mógł uspokoić się Wiktor Pietrowicz.

— Dopóki... mogłem... pracowałem... nad... tym... zagadnieniem... Samodzielne badania...

— Cóż za nieszczęście! — zawołała Natasza.

Profesor dał znak, żeby Wiktor Pietrowicz zbliżył się do łóżka.

— Tam... list... do... żony... Prześlijcie... jeżeli... wróćcie... Dzieci... — chciał jeszcze coś dodać, ale raptem przebiegł po jego twarzy skurecz. Usta pozostały półotwarte. Znieruchomiało lewe oko.

Natasza krzyknęła zakrywając rękami twarz.

— Umarł? — spytał Sandomirski zbliżając się na palcach.

Jachontow zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Ale krok od śmierci. Prawdopodobnie wylew krwi do mózgu. Jednostronny paraliż.

Zatrucie promieniami radioaktywnymi działało nie od razu. Cząstki substancji radioaktywnej przeniknęły w ciało uczonego, skoncentrowały się w komórkach szpiku kostnego, spełniającego

najważniejszą rolę w procesie tworzenia krwi. Tu zaczęły wykonywać powolną, lecz straszną robotę. Już nikt i nic nie mogło pomóc umierającemu.

Nastała noc. U łóżka profesora pozostała tylko Natasza. Trzykrotnie odwiedzał chorego Wiktor Pietrowicz. Zaglądali i inni towarzysze. Michał Andrejewicz zmarł przed świtem.

Pogrzeb odbył się następnego dnia.

Michał Andrejewicz pochowany został niedaleko miejsca zakotwiczenia rakiety. Zamiast pomnika umieszczono na mogile wielki bazaltowy głaz.

ROZDZIAŁ XXII

w którym Jachontow znajduje pierwotne koloidy

Choć noc na Wenus trwała ponad dwa ziemskie tygodnie, czas upływał prędko. Astronauci wstawali o siódmej rano i przystępowali do prac w laboratoriach, w warsztatach. O trzeciej po południu zbierali się w salonie, spożywali obiad i znów pracowali do dziesiątej wieczór. Po kolacji rozchodzili się, prócz dyżurnego, do kajut.

Prace, które wykonywał zmarły astronom, podzielono między siebie. W tym czasie skompletowano zielnik, stworzono kolekcję skał i organizmów żywych, wywołano taśmy filmowe, zrobiono fotokopie.

Kraśnicki i Sdndomiiuki okuimoioiwaii aparaturę i instrumenty znajdujące się na pokładzie rakiety, poddali przeglądowi stratoplan, planeto- chód i łódź podwodną.

Życie w nocy było lżejsze niż w dzień. Temperatura powietrza i wody spadała do dziesięciu stopni. Rzadko padał deszcz, ustały wichry i burze na morzu. Gdyby nie ciemności i maski, byłoby zupełnie znośnie. Chłód nocy przynosił po wielkich upałach prawdziwą ulgę.

Profesor Szapowałow zmarł nad samym ranem. Wkrótce po jego śmierci zaczął się świt, który 396 trwał trzy doby ziemskie. Był on podobny do świtu na

Ziemi. Najpierw zabarwiał niebo fioletowo, później zjawiał się kolor liliowy, wreszcie różowy, czerwony i żółty. Nastawał dzień. Kraśnicki schował szkicownik. Zachwyty malarza budziły tylko zmierzchy i świty. Malował farbami olejnymi. Szczególnie udało mu się płótno przedstawiające pustynny brzeg spokojnego morza w czasie, kiedy Wenus pławi się w lekko różowym świetle. Dziwne mogło się wydawać, że człowiek o umyśle ścisłym i spracowanych rękach stworzyć potrafił tak subtelne dzieło sztuki.

— Dlaczego właśnie tutaj, Iwanie Płatonowiczu, ujawnił się wasz talent? — pytali astronauty.

Kraśnicki, gdy chodziło o sztukę, stawał się bardziej niż zwykle elokwentny.

— Przyjaciele — uśmiechnął się lekko chemik — dopiero tu, na Wenus, ujrzałem piękno przyrody. Podczas trwania lotu męczył mnie niezmiernie brak koloru, barw. Naokoło panowała czarna pustka i absolutnie białe światło Słońca. Nic więcej. Żadnego koloru. Na początku i tu było źle. W południe planeta jest ponura. Kolorystyka mało subtelna, ordynarna. Natomiast o zmierzchu Wenus jest wspaniała. Dlatego też maluję...

Podczas rozmów, których tematem była przyroda i studia malarskie, Iwan Płatonowicz zdumiewał wszystkich swoją skromnością. Tymczasem obrazy jego, przedstawiające dziką i pierwotną przyrodę Wenus, wzbudzały ogólny zachwyty.

Kiedy znowu nastał dzień, astronauty wznowili swoje badania powierzchni Wenus. Siedząc przy stole, często wspominali Szapowałowa. Najczęściej czynił to Sandomirski, który dopiero przed śmiercią uczonego pojął, ile Szapowałow

posiadał wiedzy. Prawie każdego wieczoru omawiano sprawę powrotu. Brak łączności z Ziemią spędzał wszystkim sen z powiek.

Jachontow, Włodzimierz i Natasza rozpoczęli codzienne loty na wysokości 20—30 kilometrów celem dokonywania zdjęć powierzchni Wenus. Z tej wysokości obiektyw obejmował strefę szerokości 125—150 kilometrów. Przy średniej prędkości lotu wynoszącej 800 kilometrów na godzinę można było w ciągu dziesięciu godzin sfotografować obszar o powierzchni 1200 tysięcy kilometrów kwadratowych.

Wiktor Pietrowicz przywiązywał do tej pracy olbrzymie znaczenie. Dlatego też sam się nią zajął. Sprawa polegała na tym, że fotografia powierzchni Wenus miała nie tylko wartość naukową, ale potrzebna była dla ekspedycji ze względów czysto praktycznych. Tylko w ten sposób można było bez długich rozpoznań ustalić miejsca, w których należało poszukiwać paliw naturalnych. Ja!; wiadomo, zdjęcia dokonane z samolotu są zdjęciami stereoskopowymi. Oglądając je przez stereoskop, można dokładnie zobaczyć rzeźbę terenu. Doświadczony geolog potrafi wtedy odtworzyć procesy, które nadały powierzchni ten lub inny kształt, a następnie określić miejsce, w którym występować mogą złoża.

Codziennie, punktualnie o godzinie 9 rano, Jachontow, rześki i uśmiechnięty, wspinał się po drabince do kabiny stratoplanu, gdzie oczekiwali go zwykle Natasza i Włodzimierz. Pilot włączał silnik i srebrny ptak unosił się nad falami i znikał w obłokach.

Wiktor Pietrowicz osobiście kontrolował kurs samolotu, niekiedy korygując Odincowa, by we właściwym momencie włączyć automatycznie pracującą kamerę fotograficzną.

W ten sposób w ciągu 12 dni regularnych lotów udało się stworzyć niezwykle cenną mapę obejmującą obszar o powierzchni ponad 15 milionów kilometrów kwadratowych.

Obecnie można już było dokładnie ustalić, że większą część powierzchni planety stanowią morza. Na bezkresach wód widniały tylko pojedyncze wyspy oraz archipelagi. Kontynentów na Wenus nie było. Rakieta znajdowała się na brzegu jednej z największych wysp, posiadającej bardzo urozmaicone ukształtowanie. Znaczną część jej powierzchni zajmowała skalista równina, gdzie wśród lasów płynęły szerokie, obfite w wodę rzeki. Na pozostałym obszarze wznosiły się góry. Liczne wierzchołki ginęły w obłokach, dlatego też rejon ten przedstawiony był na mapie tylko częściowo. Niedawna katastrofa była doskonałą lekcją. Włodzimierz nie latał już ponad górami.

Włodzimierz i Natasza prosili niejeuuiukioŁnic, o zezwolenie na lot poza granice atmosfery, ażeby nawiązać łączność z Ziemią. Dokuczała nostalgia. Czasami zdawało się, że nie starczy sił, aby przetrzymać jeszcze jeden dzień rozłąki z daleką ojczyzną. Szczególnie chcieli usłyszeć głos Ziemi młodzi astronauty — Natasza i Włodzimierz. Łączność potrzebna była również dla celów naukowych. Jednakże Wiktor Pietrowicz nie chciał ryzykować życia jeszcze dwóch uczestników ekspedycji i zezwolenia na lot poza atmosferę nie dawał.

— Przecież sami przekonaliście się, jakie to niebezpieczne — odpowiadał na ich nalegania. — Dopiero gdy nie uda się uzyskać połączenia w inny sposób, wtedy zobaczymy.

Podczas lotów Natasza obserwowała przez lu- " netę powierzchnię planety, starając się nie przegapić oznak, według których można byłoby określić miejsce

występowania silanów. Przypuszczała, że procesy towarzyszące powstawaniu hydrytów krzemu na Wenus były analogiczne z powstawaniem płynnych węglowodorów na Ziemi. Oczywiście w danym przypadku chodziło tylko o takie miejsca, w których silany występują na powierzchni. Astronauci bowiem nie mieli czasu ani odpowiednich narzędzi do wiercenia szybów.

Wiedząc, że wiele silanów spala się w powietrzu, Natasza wypatrywała płomieni. Niekiedy substancje palne na Ziemi w ten właśnie sposób zdradzają swoją obecność. Dzień mijał za dniem. Żadnych jednak wyraźnych śladów nie dostrzeżono, aczkolwiek teren poszukiwań obejmował obszar równający się powierzchni całej Europy. Natasza zmizemiała twarz się jej wyciągnęła, wyostrzyły rysy.

Gdy trwały loty rozpoznawcze, Kraśnicki i Sandomirski ukończyli budowę turbiny wietrznej. Wyniesiono ją na jednej ze skał. Silnik elektryczny zmieniono na generator. Dzięki niemu Kraśnicki mógł już przystąpić do rozkładu wody za pomocą prądu elektrycznego bez uciekania się do akumulatorów.

Siedząc pracę aparatury do otrzymywania tlenu, chemik nie zaniedbywał również prób wyprodukowania paliw syntetycznych. W przypadku gdyby nie udało się znaleźć silanów, należało zapewnić sobie inne środki. Pomysłów miał wiele, jednakże żaden z nich go nie zadowalał.

Wiele dni poświęcił Kraśnicki na otrzymanie z miejscowych roślin spirytusu, działając na drewno kwasem siarkowym, który można było otrzymać ze związków siarkowych, występujących obficie w rejonie wulkanów. Spirytus udało się uzyskać. Palił się wspaniale. Ale wyprodukowanie tysięcy ton takiego paliwa w ciągu roku bez odpowiednich urządzeń było niemożliwe.

Kraśnicki nie poddawał się jednak rozpacz, nie opuszczał bezradnie rąk. Przystąpił do prób z mieszaniną piorunującą gazów. Doświadczenia te omal nie skończyły się dla chemika tragicznie. Następnie uczony rozpoczął doświadczenia z innymi substancjami wybuchowymi, w tym celu urządził laboratorium w jednej z grot. Wkrótce zaczęły dolatywać stamtąd potężne wybuchy. Wówczas kierownik ekspedycji zabronił podobnych eksperymentów.

Wiktor Pietrowicz nie tracił nadziei i żądał od towarzyszy uporczywej, systematycznej pracy.

— Paliwo jest konieczne — mówił, szeroko rozkładając ręce. — Również konieczna jest łączność z Ziemią. Lecz przylecieliśmy tutaj po to przede wszystkim, ażeby pracować. Jak będziemy wyglądać, gdy po powrocie powiemy: przepraszamy bardzo, byliśmy co prawda na Wenus, ale nic tam nie zdołaliśmy zbadać! Nie, towarzysze! Będziemy mieli jeszcze sporo czasu na sprawy związane z naszym odlotem. Tymczasem musimy zgodnie z harmonogramem wykonywać nasze prace naukowo-badawcze.

Po sporządzeniu mapy Wiktor Pietrowicz polecił Nataszy i Włodzimierzowi, aby kontynuowali loty rozpoznawcze, sam zaś zajął się innym zagadnieniem.

Był to człowiek niezwykły. W ciągu trzech dni nauczył się prowadzić łódź podwodną, dzięki czemu mógł teraz odbywać samodzielnie rejsy po dalekich wodach Wenus. Zwiedzał sąsiednie wyspy, opuszczał się na dno, potem preparował złowione zwierzęta, porządkował kolekcje, tkwił przy mikroskopie. Czasem podśpiewywał pod nosem jakieś mfelodie.

— Przyjaciele! — odezwał się kiedyś po kolacji. — Niedługo najprawdopodobniej uzyskam już rozwiązanie swego zadania.

— Pierwotne koacerwaty? — spytała Natasza.

— Tak, odgadliście.

— Gdzieście je znaleźli, Wiktorze Pietrowiczu? W morzu czy w bagnach?

— Przyszedłem do wniosku, że przejście od substancji nieorganicznej do istot żywych odbywało się równocześnie w różnych warunkach i formach. Zaraz wam to przedstawię.

Astronauci doskonale pojmowali wagę zagadnienia, nad którym pracował Wiktor Pietrowicz. Dlatego też oświadczenie uczzonego bardzo ich zainteresowało. Nic dziwnego, że wszyscy chętnie pośpieszyli do jego laboratorium.

Pierwotnych koloidów powstałych z substancji nieorganicznych, które utworzyły się najpierw z węglowodorów, a potem w reakcji przy udziale azotu przemieniły się w pierwotne białka, na Ziemi wykryć już nie można. Dzieje się tak dlatego, że warunki fizykochemiczne — to jest temperatura, ciśnienie, skład atmosfery, promienie nadfioletowe, intensywność promieniowania kosmicznego — zmieniły się do tego stopnia, iż reakcje, w wyniku których te koloidy powstawały, już dawno nie zachodzą. Nie zachowały się również pierwotne białka, które przyjęły formę koacerwatów i które zaczęły zachowywać się i istnieć zgodnie z prawami biologii, podporządkowując się doborowi naturalnemu. Dlatego też koacerwaty mogą istnieć tylko w wyobraźni, a nie w rzeczywistości. Laboratoryjnie stworzyć ich nie można. Do chwili zaś gdy koacerwatu się nie otrzyma i dokładnie się go nie zbada, wszelkie hipotezy pozostaną jedynie hipotezami.

Brak im będzie faktów, dowodów. Można było natomiast mieć nadzieję, że na Wenus, gdzie życie organiczne znajduje się we wcześniejszym stadium rozwoju, istnieją dowody potwierdzające lub też obalające hipotezę o pierwotnych koacerwatach.

Gdzie należało ich szukać? Oczywiście tylko w wodzie.

W pierwszych okresach koloidy białkowe tworzyły się w formach mikroskopijnych jako oddzielne molekuly. Lecz proces ten miał masowy charakter. Zachodził równocześnie na olbrzymich przestrzeniach. W zjawiskach liykodaę-sniężńcn brały udział wielkie ilości węglowodorów gazowych, amidy, aminy i inne podobne związki, ponadto siły przeciwdziałające tworzeniu się życia były nieznaczące. Dlatego też można przypuszczać, że ilość cząsteczek białkowych szybko wzrastała. Hipoteza, że pierwotne koloidy utworzyły w końcu olbrzymie masy galaretowatych substancji, pływających w wodach pradawnych oceanów, nie jest nieprawdopodobna. Dlatego też byłoby niezmiernie ciekawe i dla nauki szczególnie ważne, gdyby udało się odnaleźć te koloidy, zanim podzielią się one na kropelki koacerwatów.

Astronauci mniej więcej w ten sposób przedstawiali sobie na podstawie wyjaśnień Wiktora Pietrowicza i lektury stan nauki w tej dziedzinie.

—Miałem nadzieję — zaczął Jachontow — że znajdę ślady tych galaretowatych substancji w każdej próbce wody, chociaż zdawałem sobie sprawę, że Wenus nie jest już w pierwotnym stadium ewolucji. Po te masy koloidalnej galarety, pływającej w ' gorących wodach oceanu Wenus, należało przyjechać nie teraz, lecz dziesiątki milionów lat temu. Jak więc widzicie, trochę się spóźniłem. Mimo

to tli się we mnie jakaś iskierka nadziei, że gdzieś tam jeszcze istnieją skąpe resztki tej pierwotnej substancji.

— Czyżbyście mieli szczęście na nie trafić? — zawołała podniecona Natasza, której oczy błyszczały z przejęcia.

W wyprawie na Wenus uczestniczyli ludzie, dla których interesy nauki były zagadnieniem najważniejszym. Skoro tylko zrozumieli, że Wiktor Pietrowicz jest tak blisko celu, wszelkie obawy i kłopoty zeszyły na plan dalszy. Podstawowe zagadnienie świata, problem interesujący ludzkość od wieków — tajemnica powstawania życia była bliska rozwiązania.

— Tak, udało się — odpowiedział Wiktor Pietrowicz, z trudem opanowując wzruszenie. — Wczoraj, za ledwie wczoraj! Stało się to w następujących okolicznościach. Przez kilka dni wyruszałem łodzią do odległej stąd osiemdziesiąt kilometrów, pełnej błota laguny. Znacie to miejsce. Jest to delta tej samej rzeki, nad którą znaleźliśmy Nataszę i Włodzimierza.

Góry tu jak gdyby cofają się od brzegu mori wodorostami. Głębokość niewielka. W skafandrze można przejść, ale dno jest grząskie. Zakotwiczyłem łódź, sam zaś brodziłem po błocie. Trafiłem na prawdziwe skarby. Są tam pijawki, robaki, najprzeróżniejsze infuzoria (wymoczki), ponieważ woda jest tu zawsze ciepła. Człowiek czuje się jak w cieplarni. Udało mi się znaleźć bardzo interesujące okazy autotroficznych wiciowców, zdolnych do syntezy nie tylko węgla i wody, lecz także siarki, a nawet częściowo azotu. Te ciekawe istoty stanowią pośrednie ogniwo między zwierzętami i roślinami. Produktem ich działalności jest swoisty śluz białkowy, który widzicie w tych oto słoikach.

Mówiąc to, Wiktor Pietrowicz podniósł pod światło dwa słoiki, w których znajdowała się jakaś ciemnoczerwona substancja.

Słoiki wędrowały z rąk do rąk.

— Proszę mi powiedzieć, Wiktorze Pietrowiczu, czy przypadkiem ta rzecz nie może się palić? — zapytał Kraśnicki wachając zawartość jeantgu ze słoików. — Podobne to jest do płynnego węglowodoru.

— Niestety, drogi Iwanie Płatonowiczu — uśmiechnął się Jachontow. — Ta substancja się nie pali. Sądząc po zapachu, również początkowo przypuszczałem, że jest to ropa. Lecz to tylko podobieństwo zewnętrzne. Mamy przed sobą mieszaninę związków wielocząsteczkowych, zbliżonych pod względem składu chemicznego do białek. Przyszła mi do głowy myśl, że jest to pierwotny koloid, lecz radość była przedwczesna.

Czerwony śluz bowiem jest produktem działalności pierwotniaków, a nie formą przejściową między przyrodą żywą i martwą.

Wiktor Pietrowicz zapalił się i zaczął szczegółowo opowiadać o swych badaniach. Relacja jego była tak interesująca, że wszyscy siedzieli zasłuchani, nie śmiać odezwać się ni słowem.

Niepowodzenie w poszukiwaniach pierwotnego koloidu w otwartym zbiorniku wodnym skłoniło uczonego do zwrócenia uwagi na miejsca zacofane pod względem rozwoju, które stały się swego rodzaju muzeum przechowującym najstarsze i już na znacznej części planety wymarłe formy życia. Podobne rezerваты utrzymują się niekiedy, ponieważ proces ewolucyjny postępuje nierównomiernie:

nowe rodzi się i powstaje, podczas gdy stare jeszcze istnieje, jeszcze nie wyginęło.

— Na przykład jezioro Bajkał, w którym dotychczas jeszcze przechowało się wiele gatunków dawnych, wymarłych gdzie indziej zwierząt — wtrąciła Natasza.

— Zupełnie słusznie. Tu na Wenus takimi zabytkami moja być dna dużych zbiorników wodnych, na przykład mórz, dokąd nie przenika światło, albo groty w górach. Czy wiecie, cośmy znaleźli na wielkich głębokościach? Natalia Wasiljewna zapewne pamięta, że zabrałem stamtąd kilka prób iltu głębinowego. Oto one — uczone pokazał słoje: w jednym znajdowała się czarna, w drugim zaś zielona masa. Gołym okiem nie można tu znaleźć żadnych oznak życia. Ale pod mikroskopem udało mi się stwierdzić, że czarna masa składa się z mnóstwa organizmów autotroficzych zdolnych do przerabiania substancji nieorganicznych: krzemu, siarki, węgla, żelaza. Pierwotniaki te zajmują pośrednie miejsce między zwierzętami i roślinnością. Jeśli chodzi o sposób odżywiania się, są roślinami, zdolność zaś wykonywania ruchu zbliża je do zwierząt. Na dnie morza znajduje się także wiele organizmów heterotroficzych, organizmów, które odżywiają się związkami organicznymi. Proszę spojrzeć!

Jachontow włączył lampę projekcyjną i ukazał klatki niewielkiej taśmy filmowej, powiększone osiem tysięcy razy. Na ekranie zjawiły się obrazy życia w jego najprostszyc formach w gorących wodach oceanu, na głębokości ponad dwa kilometry.

— Co jest produktem wytwarzanym przez te organizmy? — spytała Natasza.

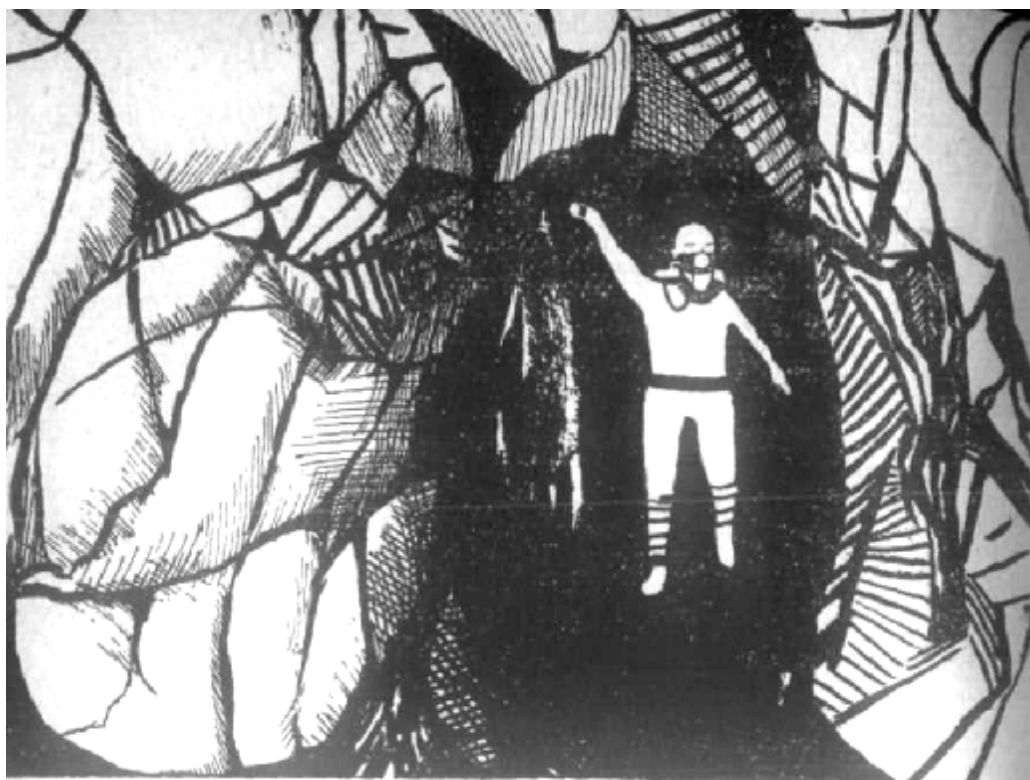
— Lotne węglowodory. Częściowo występują one w wodzie, częściowo w atmosferze. Ponadto organizmy te wydzielają tlen.

— Czy produkty te są palne? — wtrącił Kraśnicki.

— Tak. Wątpliwe jednak, czy można uzyskać je w dostatecznej dla naszych celów ilości. Lecz mnie nieincoowała kuie. Sjspray/a. Znalprlone w głębinach morza elementarnie proste pod względem strukturalnym organizmy są zawsze jednak żywymi istotami. Są to komórki! Nie udało się więc i tu znaleźć owych przedkomórkowych form materii żywej, owych pierwotnych koloidów. Być może istnieją one na większych głębokościach, lecz zanurzyć się tam nawet na naszej łodzi jest już niebezpiecznie.

— Maksymalne zanurzenie 3000 metrów — zauważył Włodzimierz. — Głębszego zanurzenia nie wytrzyma szkielet łodzi.

— Wiem o tym. Wobec tego postanowiłem



przeprowadzić odpowiednie poszukiwania w grotach. I cóż tam znalazłem?

Wiktor Pietrowicz zrobił przerwę. Wszyscy z zainteresowaniem oczekiwali, co powie.

— Brodząc po błocie — zaczął — dotarłem do miejsca, gdzie korytarz doprowadził mnie nad brzegi bagnistej zatoki. Zacząłem poszukiwać pieczar. Rejon wykazuje tu ślady procesów wulkanicznych. Temperatura wody w bagnie wynosi 39° . Brzegi są watótwami niedawno zastygłej lawy. W skałach widać szczeliny. Gdzieś wydobywa się z nich gorąca para. Czasami wyczuwa się głębokie wstrząsy. Niestety, szczeliny są zbyt wąskie i przedostać się przez nie jest wprost niemożliwe. Dopiero po kilku godzinach poszukiwań znalazłem jedną, nieco szerszą. Przepchnąłem się przez nią z trudem i znalazłem się w ciemnym, wijącym się korytarzu.

Wiktor Pietrowicz otarł sobie czoło.

— Korytarz schodził stromo w dół. Zapaliłem zawieszoną na piersiach latarkę, wziąłem do ręki pistolet i zacząłem posuwać się do przodu. Niebawem korytarz stał się szerszy, ściany jego jak gdyby się zaczęły rozsuwać. Niepokoił mnie tylko dość stromy spadek. Widać było, że korytarz schodzi niżej poziomu morza. Zwykle podobne pieczary powstają wśród wapnia i gipsu w wyniku działania wód podziemnych. Mnie zaś otaczały zewsząd krystaliczne masy zastygłej lawy. W jaki sposób wobec tego powstała tu grota — trudno mi wyjaśnić.

— Pozwólcie, Wiktorze Pietrowiczu! — Natasza podniosła rękę jak uczennica.

— Proszę.

— Wydaje mi się, że te burzliwe procesy wulkaniczne powodują wydzielenie się wielu lotnych produktów. Szukając ujścia, produkty te gromadziły się wśród płynnej lawy, zanim udało się im wyrwać na zewnątrz. Miejsca po nich — to właśnie owe groty o wąskich szczelinach.

— Może i tak. Dalej korytarz, którym się posuwałem, zamienił się w pieczarę o wysokim sklepieniu. Dno jej zajmowało jezioro, takie mniej więcej, jakie widzieliśmy swego czasu z Iwanem Płatonowiczem. W głębi roiły się przeróżne glonowogi, prymitywne mięczaki dwuskorupowe i zdaje się cystidy. Przed sobą miałem naturalne akwarium. Gdybym miał więcej czasu, zebrałbym wspaniałą kolekcję. Ale zostawmy to na następny raz. Tymczasem odkryłem coś ciekawszego! Jezioro ma kształt wydłużony. Szerokość jego wynosi zaledwie 15 metrów, głębokość zaś 5—6 metrów. Najważniejsze jednak... pod wodą. Tak,

tak, pod wodą! Otóż przez warstwę wody zauważyłem czarny otwór. Od razu pomyślałem, że jest to wejście do innego korytarza, lecz znajdującego się pod wodą.

— Korytarz ten — zauważyła Natasza — w dalszej swej części musiał się wznosić na wyższy poziom, gdyż inaczej wypłynęłaby przez niego wszystka woda z jeziora.

— Oczywiście. Wyjaśniła się poza tym jeszcze inna sprawa. W tym zamkniętym ze wszystkich stron korytarzu powinno znajdować się powietrze, inaczej bowiem ciśnienie atmosferyczne wpędziłoby tu wodę z jeziora. Oto w czym tkwiła zagadka. Woda więc w pierwszej pieczarze odgrywała rolę jak gdyby naturalnego korka, zamykającego przejście do drugiej pieczary. Zastanawiałem się, czy nie znajduje się tam przypadkiem rozwiązanie owej zagadki, którego od tylu lat poszukuję.

— I przedostaliście się tam? — zawołała Natasza.

— Jakże mogłoby być inaczej! Miałem na sobie skafander, w rękę zaś drąg... Któż mógłby się powstrzymać przed taką pokusą, by nie przepawić się na drugi brzeg!

— Jakżeż żałuję, że mnie tam nie było! — westchnęła Natasza.

— Tylko ciebie tam brakowało — rzucił Włodzimierz.

— Nie namyślałem się dłużej — podjął Jachontow. — Wszedłem do wody. Ze sto kroków posuwałem się w głąb. Nagle korytarz zaczął wznosić się. Znalazłem się w innej pieczarze, większej od pierwszej. Powietrze było tu przesycone wilgocią. Analiza atmosfery wykazała później inny skład powietrza niż na ze-

wnątrz. W pieczarze znajdowała się mieszanina azotu, metanu, amoniaku, cyjanku, dwutlenku węgla i, oczywiście, pary wodnej. Analiza wykazała obecność również alkoholu i aldehydów — alkoholów pozbawionych wodoru. Zresztą nawet i bez analizy nie byłoby żadnych wątpliwości, że w zakorkowanej wodą pieczarze przetrwała pierwotna atmosfera Wenus. Jak gdybym znalazł się kilkanaście milionów lat temu.

— To bardzo interesujące! — zawołała Natasza.

— Tak, to bardzo ciekawe!

— A pierwotne koloidy?

— Poczekajcie! Nie od razu. Pointa musi być na końcu. Więc słuchajcie! W zagłębieniu pieczary znajdowała się woda. Jasne, skąd ona się tu wzięła. Gdy temperatura obniżyła się, para znajdująca się w atmosferze uległa skropleniu. Próbkę jej mam w tych słoikach. Jeśli nasze przypuszczenia o powstawaniu życia są słuszne, to tylko tu, w tym gorącym basenie, okrążonym pierwotną atmosferą, można znaleźć owe koloidy.

W laboratorium zapanowała cisza. Astronauci byli świadkami cudownego odkrycia naukowego. Akademik był wyraźnie wzruszony.

— Czyż możecie wyobrazić sobie, z jakim lękiem obserwowałem wodę znajdującą się na dnie pieczary? Żadnej roślinności tam nie było. Ani jednej żywej istoty! Natomiast w wielkich ilościach pływały bezkształtne skupienia galaretowatej, bezbarwnej masy. To były pierwotne koloidy. Tajemnicza substancja, początek życia, choć nie samo jeszcze życie!...

W szczelnie zakorkowanych słoikach pływały niczym szczególnym nie wyróżniające się skupienia śluzu.

— A gdzie koacerwaty? — spytała Natasza. — Wewnątrz tej masy powinny formować się poszczególne pierwotne koacerwaty. Przecież tak nam tłumaczyliście! Czyż nie w nich właśnie zaczynają się pierwotne przemiany materii? Przecież dobrze was zrozumiałam?

— Tak jest. W szczególności powstaje zdolność do asymilacji związków chemicznych ze środowiska i do samorzutnego wzrostu. Zaraz wam to pokażę. Na szczęście wszystkie substancje, które stanowiły pokarm, zostały już zużyte i proces wzrostu uległ zahamowaniu, dzięki temu uległy one jak gdyby naturalnej koncentracji i zachowały się w pierwotnym stanie. Proszę, spójrzcie, co widać pod mikroskopem. Uwaga! Rzucę na ekran cząsteczkę masy galaretowatej znajdującej się w kropli wody z tego gorącego jeziora.

Światło w laboratorium zgasło. Astronauci ujrzeli, jak w przezroczystym polu powstają jakieś gęste twory, na razie pozbawione wyraźnego kształtu i zarysów, rosły tam prawie gąbczaki. Rozmnażały się przez podział.

— Widzicie? Komórek jeszcze nie ma, lecz zachodzą już procesy życia, wzrostu i rozmnażania.

W głosie uczonego wyczuwało się nutę tryumfu. Był w tej chwili nad wyraz szczęśliwy. Jego uporczywe wysiłki wieńczyło zwycięstwo. Lecz i pozostali astronauta ulegli nastrojowi. Z olbrzymim zainteresowaniem obserwowali zadziwiające zjawisko — narodziny życia, po raz pierwszy widziane oczami człowieka.

Nagle Mikołaj Aleksandrowicz, człowiek spokojny i opanowany, zerwał się z krzesła i mocno uściśnął dłoń Jachontowa. To nie była dziedzina jego pracy, ale w tym zespole każde zadanie, każdy rozwiązany problem był sprawą wszystkich. Astronauci stanowili scementowaną grupę, w której każdy był gotów pomóc drugiemu.

Sukces Wiktora Pietrowicza był sukcesem wspólnym, z którego się wszyscy serdecznie cieszyli. Każdy uważał za swój obowiązek wyrazić uczonemu radość i podziw.

Przejęci tym ważnym wydarzeniem, astronauci rozeszli się do kajut na spoczynek. Dyżur pełnić miał dzisiaj Włodzimierz. Tej nocy nikt nie zasnął. Sen nie chciał skleić powiek.

O godzinie trzeciej piętnaście po północy według czasu ziemskiego, kiedy niebo Wenus było zupełnie czyste i kiedy poniżej stałej pokrywy obłoków nie unosiły się chmury, kiedy nie szumiał zwykły na tej planecie wiatr, nagle brzeg i wszystko, co się na nim znajdowało, zachwiało się od jakiegoś gwałtownego, podziemnego wstrząsu. Wstrząs ten wyrzucił astronautów z łóżek. Na wpół ubrani, rzucili się ao salonu. Następny wstrząs rzucił ich na ziemię. Gdy wstali, pobiegli do kabiny nawigacyjnej. Oczom ich ukazał się niesamowity widok.

Brzeg utworzony z olbrzymich kolumn bazaltowych zmienił swoje kształty. Zwały skał uniosły się wysoko, rozdeły się ogromnym garbem i utworzyły nagle pęknięcie, jak gdyby brzeg uległ rozłupaniu na dwie części. Z góry ruszyła z łoskotem lawina kamieni i w mgnieniu oka zasypała obie maszyny: stratopłan i planetochód. Woda w zatoce kipiała, pieniała się i rzucała w powstały wyłom. Gdy zetknęła się z rozżarzoną lawą, wzniosł się w górę olbrzymi obłok pary. Dno

zatoki, zalane jeszcze niedawno wodą, wydzwignęło się w górę i ukazało się w całej swej nagości.

Lecz nie to było najstraszniejsze. Otóż w kierunku rakiety zbliżała się olbrzymia, zmiatająca wszystko po drodze fala. Astronauci zamarli z przerażenia. Tylko szef ekspedycji zachował przytomność umysłu.

Spokojnym, szybkim ruchem włączył kamerę i zaczął obserwować z zaciekawieniem wszystko, co się wokół działo. Pozostali astronauci opanowali się również i już bez paniki oczekiwali nowego ataku. Minęło kilka chwil. Wtem ciężka masa wody runęła na rakieta. Zatrzeszczały wiązania.

Wszystko, co działo się potem, pozostało w pamięci jako szereg oderwanych, bez wzajemnego powiązania wrażeń.

Fala pochwyciła rakieta, zerwała cumy, przewróciła ją kilka razy jak zabawkę i rzuciła na pełne morze. Astronauci stracili zupełnie orientację. Później wielkie fale uniosły statek na olbrzymią wysokość. Przez moment ukazała się w oknie szeroka panorama oceanu. Brzeg, zdawało się, rozpada się na części. Potem przykryły wszystko obłoki pary. Rakieta zaczęła lecieć gdzieś w przepaść.

Włodzimierz trzymał się kurczowo oparcia fotela, na którym siedział pełniąc dyżur. Natasz? upadła na niego. Odincow zdążył zobaczyć w oknie sylwetkę łodzi, miotającą się w pobliżu na falach. Nowe pchnięcie rzuciło nim w bok. Zdążył tylko zawołać:

— Łódź! Nasza łódź!

Nikt mu nie odpowiedział. Nie wiadomo, jak długo to piekło trwało, jak długo astronauci leżeli na podłodze; jedni bez przytomności, drudzy tylko poturbo-

wani. Pierwszy przyszedł do siebie Sandomirski. Rozejrzał się dokoła i stwierdził niesamowite spustoszenie. Rakieta znalazła się na łasce fal. Wszystkie sprzęty, z wyjątkiem przytwierdzonych do podłogi krzeseł, walały się po kątach. Posadzkę zasłały skorupy rozbitych naczyń.

Kraśnicki, podobnie jak Sandomirski, odniósł zaledwie kilka sińców. Wiktor Pietrowicz leżał nieprzytomny, Natasza cicho jęczała, miała mocno potłuczoną twarz i pokrwawione ręce. Włodzimierz doznał silnego uderzenia w głowę.

— Co się stało? Ach, pamiętam... — zaczął urywanymi słowami Jachontow, gdy go ocucono.

— Rakieta nie uszkodzona — odpowiedział Sandomirski.

— Stratoplan? Planetochód?

— Stracone.

— Łódź?

— Widziałem ją, gdy uniosła nas fala — odpowiedział Włodzimierz.

— No, tak — mruknął Jachontow.

— Ale oto ona! Widzę ją! — zawołał nagle Włodzimierz patrząc w okno i z trudem utrzymując się na nogach.

Rzeczywiście, w odległości mniej więcej pół kilometra miotła się na falach łódź. Zobaczyli ją również Sandomirski i Kraśnicki.

— Jak by się do niej dostać? — rzekł Mikołaj Aleksandrowicz.

— Spróbuję — odparł Włodzimierz.

— Nie! — odezwał się Kraśnicki. — W tym stanie nie możecie. Ja sam to zrobię.

Iwan Płatonowicz nałożył szybko maskę i za chwilę znikł w luku wyjściowym. Wkrótce astronauci zobaczyli go płynącego w kierunku łodzi.

— Taki sztorm! — krzyczała Natasza. — Jak można! On zginie.

Mężczyźni milczeli.

— Da sobie radę — powiedział Sandomirski.

— Ale to przecież kaleka! — wołała ze łzami w oczach Natasza.

— Jest silny — uspokajał Włodzimierz.

Kraśnicki wytrwale walczył z żywiołem. Widać było, jak głowa jego to wznosiła się nad fale, to znów znikła. Oddalił się już na taką odległość, że trudno go było dojrzeć gołym okiem. Dawny marynarz floty czarnomorskiej miał żelazne serce. W końcu dotarł do celu.

— Dopłynął! — zawołał Sandomirski patrząc przez lornetkę. — Teraz wdrapał się na łódź.

Astronautom spadł kamień z serca. Łódź posłuszna woli człowieka zbliżała się w ich kierunku.

ROZDZIAŁ XXIII

*w którym wszyscy uznają, że Natasza jest bardzo pożytecznym uczestnikiem
ekspedycji*

Wiatr dął z dawną siłą. Potężne wybuchy wulkaniczne, które o mało nie zgubiły ekspedycji, wstrząsały w dalszym ciągu posadami Wenus. Morze szalało. Nad wodą kłębiły się obłoki gorącej pary. W powietrzu unosiły się chmury popiołu. Na powierzchnię planety przenikało teraz jeszcze mniej niż zwykle światła słonecznego. Zamiast koloru żółtego dominowały obecnie barwy brunatne i ciemnoczerwone.

Na falach morskich unosiła się bezsilnie rakieta. Nie można było nią sterować. Huragan atakował zrywami, rzucając statek z doku na uuk. W takich warunkach Kraśnicki nie mógł również poradzić sobie z łodzią. Jako doświadczony marynarz, usiłował trzymać ją z dala od rakiety, tak jednak, by nie stracić jej z oczu. Inaczej oba statki mogłyby się zderzyć i ulec rozbiciu.

Gdy nieco się uspokoiło, astronauta doprowadzili do jakiegoś ładunku wewnątrz rakiety i zaczęli obliczać poniesione straty. Ze środków transportowych pozostała jedynie łódź podwodna, uratowana dzięki męstwu Kraśnickiego. Stracono bezpowrotnie stratopłan. Wskutek tego podróżnicy pozbawieni zostali ostatniej szansy nawiązania łączności z Ziemią. Na szczęście byli jeszcze w po-

siadaniu kilku ton blachy. Z materiału tego można było zbudować zbiorniki do przewożenia płynnego paliwa, które mieli nadzieję znaleźć. Zachowały się również trzy pompy, dźwig samobieżny oraz narzędzia warsztatowe.

Największą stratę ponieśli pracownicy. Natasza, widząc chaos panujący w laboratorium chemicznym, ledwie nie zemdląła. Potłuczone szkła, zepsuta waga, zniszczone chemikalia! W tych warunkach o jakichś poważniejszych pracach badawczych nie mogło być nawet mowy. Ocalały na szczęście notatki Kraśnickiego oraz próbki wody, gazów i okazy skał, które przechowywano w specjalnych opakowaniach.

W laboratorium zmarłego profesora Szapowa-łowa, dokąd dostał się z trudem Włodzimierz, zniszczeniu uległy niektóre tylko drobne rzeczy, zachowały się natomiast instrumenty optyczne, negatywy filmowe i zdjęcia. Ocalały również cenne zbiory Jachontowa — pierwotne koloidy, próbki wody i powietrza, ponieważ uczony przechowywał je w dobrze zabezpieczonej skrytce. Całe pozostały także mikroskopy oraz kolekcje minerałów.

Najgorzej przedstawiała się sprawa z zapasami tlenu. Tu sytuacja była wprost katastrofalna. Zginęły mianowicie w czasie wybuchów dwa pozostawione na brzegu balony, z których czerpano tlen do napełniania rezerwuarów w strato- planie i planetochodzie. Tlen w zbiornikach rezerwowych wystarczał dla pięciu ludzi tylko na dzie- 418 wieździesiąt dni, a w pozostałych zbiornikach na sześć- dziesiąt. Razem zapasy powyższe zaledwie wystarczały na drogę powrotną.

Zupełnemu zniszczeniu uległa również z takim mozołem zbudowana turbina powietrzna.

Astronauci byli zrozpaczeni. Nawet zwykle opanowany Jachontow chodził zatroskany i chmurny.

— Sytuacja jest niezmiernie ciężka — powiedział. — Zastanówmy się, przyjaciele, co należy przedsięwziąć.

Zapanowało milczenie. Za oknami widać było wciąż ten sam ponury obraz: wzburzone morze i kłębiące się chmury. W dali poprzez smugi deszczu widniała sylwetka tańczącej na falach łodzi.

— W zbiornikach łodzi — przypomniał sobie Włodzimierz — znajduje się pewna ilość tlenu.

— Tak — odpowiedział Sandomirski. — Wystarczy go dla pięciu ludzi na okres mniej więcej miesiąca.

— Położenie nasze jest niezmiernie trudne, aie hezaądziejrie — riągnął Jachontow, przy czym słowa jego nie brzmiały zbyt przekonywająco.

— Najważniejsze — podjął Mikołaj Aleksandrowicz — to sprawa powrotu. Jeżeli w tym chaosie skał znajdzie się plac startowy i jeżeli potrafimy zdobyć paliwo, to jeszcze nie koniec...

— To nie takie proste! — zauważył Włodzimierz. — Zwiad lotniczy wykluczony z powodu braku maszyny. Można co prawda pieszo, ale czy to da pożądany wynik... Przypuśćmy, że znajdziemy paliwo. W jaki sposób dostarczymy je do zbiorników rakiety? Czy potrafimy na przykład z odległości dwustu kilometrów przenieść w rękach trzy tysiące ton?

— Wołodia! — wtrąciła Natasza. — Znajdźmy najpierw to paliwo, a później będziemy się martwić, jak je przetransportować.

— Słusznie — poparł ją Sandomirski. — Byleby tylko zdobyć paliwo. Skoro przybijemy do brzegu, można będzie zbudować dwa — trzy zbiorniki o pojemności dwudziestu pięciu ton każdy. Zbiorniki takie może z powodzeniem holować łódź.

— Zgoda — przyznał Wiktor Pietrowicz. — Ale w tej chwili błądzimy po falach, nie wiedząc, gdzie będzie nasza baza. Na razie musimy ustalić kurs.

— Dostarczymy raketę do miejsca startu — podjął Sandomirski. — Nie wolno nam jednak zużywać paliwa. Należy więc przeczekać burzę. Potem możemy wykorzystać łódź. Na spokojnej wodzie zdoła ona z powodzeniem spełnić rolę holownika. Raketę więc można będzie wziąć na hol i doprowadzić tam, gdzie się chce.

— Ale w jak sposób Adolamy ykieśiig prawidłowy kurs? Brak nam tu Michała Andrej- wicza! Zupełnie nie orientuję się, gdzie my w tej chwili się znajdujemy.

— Z pomocą Włodzimierza damy sobie z tym radę — odparł Sandomirski.

— Doskonale! — zawołał uradowany szef ekspedycji.

Burza wkrótce przycichła. Udało się wziąć na hol raketę i przeciągnąć ją do miejsca, z którego mógł odbyć się start. Znajdowało się ono w odległości 300 kilometrów od poprzedniej bazy.

Rozciągała się tu pozbawiona roślinności i wystawiona na działanie wiatrów równina, której powierzchnię tworzyła zastygła lawa. Gdzieś daleko na horyzoncie wznosiło się pasmo gór.

Podróżnicy jeszcze podczas przygotowania ekspedycji na Ziemi mieli całkowicie przemyślany sposób startu z Wenus. Przede wszystkim należało rozdzielić człony rakiety, potem odciągnąć na bok jej część środkową, którą postanowiono w celu zmniejszenia ciężaru pozostawić na Wenus, wreszcie zmontować w jedną całość pozostałe segmenty. Najtrudniejsze zadanie sprowadzało się do ustawienia rakiety w pozycji pionowej. Start statku kosmicznego z Ziemi odbył się ze specjalnie wybudowanej betonowej estakady i za pomocą rakiety-matki. Tu, na Wenus, zastosować należało inny sposób. W tylnej części rakiety znajdowały się trzy schowane w kadłubie podpory, które należało wysunąć na zewnątrz, aby utrzymać ważącą dziesięć tysięcy ton raketę w żądanej pozycji.

Plan ten przygotował już dawno Kraśnicki. Według jego propozycji należało rozmontować raketę na człony jeszcze wtedy, gdy znajdowała się na wodzie, następnie każdą z części przyholować w żądane miejsce. Z kolei gdy zmniejszona o część środkową rakietą zostanie zmontowana, należało zgodnie z pomysłem Kraśnickiego przetoczyć całe paliwo w zbiorniki znajdujące się w tylnej części rakiety. Dzięki temu statek przybierze pozycję pochyłą. Gdy następnie jedna lub dwie podpory dotkną dna zatoki i utworzą punkt oparcia, trzeba będzie przy użyciu lin i dźwigu ustawić raketę pionowo.

Wkrótce po przybyciu na Wenus Sandomirski otrzymał polecenie wyszukania odpowiedniego placu startowego. Zbadał więc cały brzeg i w końcu znalazł odpowiednie miejsce, które w pełni odpowiadało wymaganiom. Był to wąski, o

skalistych, niewysokich brzegach zalew, umożliwiającą wszelkie konieczne przy starcie manewry i czynności. Obecnie należało sprawdzić, czy znajdują się dostarczone tam jeszcze przed ostatnim kataklizmem elektryczne dźwigi i stalowe liny. Od tego zależał los ekspedycji i jej uczestników.

Sandomirski wyruszył łodzią podwodną. Siedział za kołem sterowym i z trwogą wyczekiwał, kiedy ukaże się ów zalew. Wreszcie ciężar spadł mu z serca: wszystko było na miejscu. Co prawda dźwigi leżały iwywrócone, porzucane były również stalowe liny, ale nic na szczęście nie zginęło.

Po przybiciu do brzegu astronauta natychmiast przystąpili do pracy. Rakiety przyholowano w głąb zalewu, następnie ustawiono na wyznaczonych miejscach dźwigi i połączono je stalowymi linami z obręczą otaczającą przednią część statku. Z kolei za pomocą silników elektrycznych wysunięto z kadłuba rakiety trzy masywne stalowe podpory. Następna czynność polegała na wykręceniu śrub łączących poszczególne części statku. Gdy z tym się uporano, rozmontowano rakiety na cztery segmenty. Te części, w których mieściły się kiedyś laboratoria, w tej chwili już opróżnione i niepotrzebne, oraz środki transportowe — planetochód, samolot i łódź — odprowadzono do brzegu, pozostałe zaś człony — dziobowy i rufowy — połączono na nowo. W takim zestawie rakiet znacznie się zmniejszyła. Teraz należało przetoczyć paliwo, przemieszczając w ten sposób środek ciężkości, i przystąpić do podnoszenia. Postanowiono jednak operację tę wykonać później, ponieważ trzeba było przystąpić do sprawy obecnie znacznie pilniejszej, mianowicie do poszukiwań paliwa. Zadanie to zlecono Nataszy i Włodzimierzowi.

Młodzi ludzie zabrali się do pracy z zapalem. Zanim przystąpili do poszukiwań, przestudiowali dokładnie zdjęcia lotnicze. Następnie wyruszyli w teren. Początkowo zbadali rejon w pobliżu bazy, potem zaś tereny dalej położone. Do ich prac przyłączył się również Jachontow i Sandomirski. Utworzyły się w ten sposób dwie grupy. Upływał dzień za dniem, ludzie opadali z sił, pogarszał się nastrój. Nigdzie bowiem nie natrafiono na ślad paliw naturalnych. W tym stanie rzeczy astronauta zdecydowali wyruszyć na inne wyspy. Dotychczas, chcąc zaoszczędzić paliwa, nie korzystano z łodzi podwodnej. Obecnie jednak trzeba było to zrobić.

Gdzieś pośrodku morza, w odległości 500 kilometrów od bazy, wznosił się archipelag wysp, który wzbudził zainteresowanie astronautów. Otaczały je bowiem kłęby dymu. Aczkolwiek ich równinna powierzchnia wykluczała możliwość istnienia aktywnych wulkanów. Z wyprawą na te wyspy podróżnicy wiązali wielkie nadzieje.

Włodzimierz i Natasza spędzili w drodze dwie doby. Gdy wrócili, nikt ich o wynik nie zapytał. Odpowiedź bowiem malowała się na ich twarzach.

— Gejzery! — powiedziała cicho Natasza.

Nie należało jednak opuszczać rąk i tracić nadziei, trzeba było kontynuować poszukiwania.

Pewnego ranka Włodzimierz i Natasza jeszcze raz weszli na pokład łodzi i wyruszyli na otwarte morze, biorąc kurs na odległy o 250 kilometrów archipelag. To była ich ostatnia próba.

Morze było spokojne, łódź płynęła szybko, pozostawiając za rufą czerwoną brudę.

Natasza i Włodzimierz siedzieli obok siebie przy sterze.

— Powiedz mi, Nataszo — zaczął w pewnej chwili Włodzimierz — na co właściwie liczysz? Tylko szczerze! Jakie masz podstawy? Przecież nawet na Ziemi zadanie takie nie jest łatwe! A tu? Czy nie szukamy przypadkiem igły w stogu siana? Dlaczego wybrałaś akurat tę właśnie wyspę?

— Mam na to pewne dane. Na przykład ukształtowanie powierzchni oraz linia brzegowa wyspy — odparła Natasza. — Ja nie kieruję się intuicją. Osądź sam...

Do wyspy było jeszcze daleko. Korzystając więc z okazji, Natasza chętnie podzieliła się z mężem swymi przewidywaniami. Geologowie ;vic4sifa wiiuu jakich snął, przy jakiej rzeźbie terenu i w jakich warunkach znajdować się mogą te lub inne kopaliny. Odincowa miała w swych rękach cenny pod tym względem materiał. Były nim zdjęcia lotnicze. Odczytać z nich można było nie tylko ukształtowanie terenu, lecz także ogólny jego charakter. Człowiek nie posiadający specjalnej wiedzy zauważyłby na zdjęciach jedynie zarysy brzegów i z trudem odróżniłby może góry od równiny, lasy od bagien i rzeki od dolin. Doświadczony zaś geolog mógł czytać z nich jak z otwartej książki całą historię powsta- 424 wania i kształtowania się skorupy planety. Mógł wyrobić. sobie zdanie o procesach, które zachodziły i zachodzą w jej wnętrzu. Oto dlaczego Natasza studiując zdjęcia wiedziała zawczasu, gdzie warto szukać płynnych wodorków krzemu, a gdzie na poszukiwanie takie szkoda tracić czasu.

— Ale dlaczego akurat te wyspy? — nalegał Włodzimierz.

— Zaraz ci to wyjaśnię — Natasza rozpostarła zdjęcia. — Zobacz, tu nie ma wcale wysokich gór. Radziłam się Wiktora Pietrowicza i on tak samo myśli.

— Jak?

— Wyspy te nie powstały wskutek rozerwania się na części twardej skorupy planety. Nie ukształtowały się wskutek destrukcyjnych procesów wulkanicznych. Geolog nie ma tu żadnych wątpliwości. Zarysy wysp są zaokrąglone, rzeźba terenu uboga. Procesy górotwórcze nie pozostawiły tu wyraźnych śladów.

— Rozumiem.

— Atól wyspy to są stożkami lawy, wyrzuconej z kraterów podwodnych wulkanów i wyniesionej ponad poziom morza. Mamy tu raczej łagodne, stopniowe wzdęcia. Świadczą one o zachodzących gdzieś w głębi, złożonych procesach fizykochemicznych, przebiegających niewątpliwie w warunkach wysokich temperatur i ciśnienia.

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć.

— Słuchaj dalej. Nie widać tu pęknięć i szczelin. Mamy więc podstawę przypuszczać, że właśnie tutaj, w olbrzymim laboratorium przyrody zachodzą reakcje między krzemem i wodorem, podobne do tych, w wyniku których tworzy się ropa naftowa na Ziemi.

— To tylko teoretyczne rozważania — zaczął Włodzimierz. — Kto to może wiedzieć, jak głęboko mogą te reakcje zachodzić? Jeżeli twarde, skaliste naskórki tej planety na skutek procesów fizykochemicznych nie pękły, lecz tylko, jak

twierdzisz, wzdał się, to powiedz, jak gruby musi być, skoro potrafi wytrzymać takie ciśnienie?

— Możliwa jest inna ewentualność.

— Jaka?

— Otóż nie ma tu pęknięć i szczelin dlatego, że produkty reakcji znalazły sobie ujście i przesączają się powoli na zewnątrz.

— Wtedy musiałyby istnieć jakieś oznaki, ślady.

Natasza zamiast odpowiedzi wskazała Włodzimierzowi jeden z wycinków fotografii.

— Nic nie rozumiem.

— Zwróć uwagę. Zdjęcie jest ostre. Powierzchnia rysuje , się zupełnie wyraźnie. Lecz, patrz, oto w tym miejscu kontury wydają się rozmyte, jak gdyby osłonięte lekką mgiełką. Co to może według ciebie oznaczać?

— Nie wiem.

— Zaraz ci to objaśnię. Silany palą się jak wodór bezbarwnym płomieniem, nie dając dymu. Ale istnieje ruch nagrzanego powietrza. Rozumiesz? Powstaje więc wibracja. Stąd właśnie to zamazanie fotografii. Trzeba zatem dowiedzieć się, co tam w rzeczywistości zachodzi.

— Ach, ty mądrało!

Natasza wybuchnęła śmiechem.

Po godzinie łódź podpłynęła do brzegu, ale zanim to nastąpiło, twarz Nataszy przybrała wyraz gorzkiego zawodu. Zniknęła ostatnia nadzieja. Archipelag, oglądany przez lornetkę, tworzyły gołe skały, tylko tu i ówdzie czerwieniły się na nich płaty mchu. Ani języków ognia, ani drgania powietrza!

Natasza sposepniała.

Brzeg najbliższej wyspy, której fotografia miała owe zamazania, był niski i równy. Rzek tu nie było. Wyspa wystawała ponad powierzchnię morza jak olbrzymi bochen chleba. W jednym tylko miejscu widać było niewielki, błotnisty wąwóz, biegnący w kierunku morza. Przez czerwony kobierzec mchu przerzynał się strumień.

I właśnie tu, u cypla między wystającymi z wody głazami, Włodzimierz zakotwiczył łódź i wyszedł z żoną na brzeg.

Strumyk szemrał wesoło w kamieniach. Droga była trudna, śliska. Natasza dwa razy upadła. Miejsce, które wzbudzało w niej takie nadzieje, znajdowało się poza szczytem wzniesienia. Odincowa, wspinając się po śliskim i gołym zboczu, coraz mniej miała pewności, coraz czarniejsze ogarniały ją myśli. Śpieszyć się nie miała potrzeby, zaproponowała więc odpoczynek. Z dołu, gdzie stała łódź, słychać było plusk morza. Z przeciwnej strony na tle żółtego nieba rysował się szczyt wzgórza. Rozmowa nie kleiła się. Natasza z roztargnieniem przebierała kamyki.

— No cóż, pójdziemy? — przerwał milczenie Włodzimierz.

— Chodźmy.

Natasza postępowała z niechęcią. Wreszcie Odincowowie sforsowali podejście i dotarli na szczyt. Natasza spojrzała na drugą stronę zbocza. Nagle chwyciła męża za rękę.

— Wołodia! — zawołała drżąc cała z emocji. — Wołodia, patrz! .

Przed nimi znajdowało się niewielkie wgłębienie w skałach, wypełnione jakąś brudną mazią. Na jej powierzchnię wydostawały się z bulgotem pęcherzyki gazu. Tu i ówdzie pełzały języki błękitnego ognia. Choć astronauta znajdowali się w odległości 20 metrów od zagłębienia, czuli unoszący się stąd niesamowity żar.

Nie było wątpliwości! W tym miejscu z wnętrza planety wydobywały się gazy palne, dające niezwykle wysoką temperaturę. Spalały się na powietrzu, wydzielając olbrzymią energię; energię, która mogła wyzwolić podróżników z niewoli na Wenus. Barwa ognia, a właściwie jej brak, jak również brak dymu wskazywał, iż nie paliła się tu ropa naftowa, lecz coś innego.

— Uratowani! — krzyknęła Natasza.

Nie była to zwykła rzecz, nie był to przypadkowy traf, lecz rezultat uporczywej pracy i znakomite potwierdzenie teorii. Obecność Nataszy na statku kosmicznym była w pełni uzasadniona. Jej odkrycie umożliwiło astronautom powrót na Ziemię.

— I co teraz? — zapytał Włodzimierz, gdy ochłonęli z wrażenia.

— Szybko z powrotem. Jak najszybciej! Znaleźliśmy paliwo! Teraz należy obmyślić, jak je stąd zabrać. To nie takie proste. Zadanie rozwiązane jest tylko w

połowie. Czy widzisz? Gazy zapalają się na powietrzu. Ciecz bulgocze gdzieś w dole. Trzeba będzie zainstalować rury, ażeby zapobiec spalaniu się paliwa.

— Iwan Płatonowicz coś na to poradzi — powiedział Włodzimierz.

— Miejmy nadzieję. Nie wiemy jeszcze dokładnie, co to za substancja i jaką posiada kaloryczność. Trzeba więc jej trochę z sobą zabrać.

Powiedziawszy to, Natasza zbliżyła się do rozpadliny, zaczerpnęła płonącą mazi w niewielkie naczynko, po czym zamknęła je szczelnie przykrywką. Po chwili biegła uradowana obok męża do oczekującej na nich przy brzegu łodzi.

Odkrycie wywołało ogólną radość. Wiktor Pietrowicz wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nią czoło. Był wzruszony. Iwan Płatonowicz Kraśnicki w wiadomy sobie tylko sposób określił natychmiast kaloryczność paliwa oraz prędkość strumienia gazów, która wynosiła 3800 metrów na sekundę. Wiktor Pietrowicz po ojcowsku uścisnął Nataszę i Włodzimierza i serdecznie ich ucałował.

— Proszę powiedzieć, Wiktorze Pietrowiczu — odezwała się czupurnie Natasza — i to przy wszystkich, że i ja przydałam się na coś ekspedycji. Przecież nie chcieliście mnie wziąć!

— Publicznie przyznaję się do winy — zaśmiał się Jachontow. — Bardzo wam przepraszam i z góry przyrzekam, że w przyszłości zabierać ze sobą będę na wszystkie wyprawy, na wszelkie planety i irrfie ciała kosmiczne w roli mojego pierwszego zastępcy Natalię Wasiljewną Odincową!

Powiedziawszy to, Wiktor Pietrowicz spoważniał i zaczął analizować podane przez Kraśnickiego wyniki badań.

Choć odkrycie było wyjątkowo cenne, jednakże nie rozwiązywało jeszcze wszystkich kłopotów. Praktyczna strona zagadnienia stawiała bowiem przed astronautami jeszcze wiele trudności, które należało natychmiast rozwiązać.

Wiktor Pietrowicz i Kraśnicki poddali przede wszystkim próbkę masy paliwowej powtórnej dokładnej analizie. Wykazała ona, że ta płynna maź jest mieszaniną szeregu krzemowodorów o różnych właściwościach i składzie. Przeważały w niej silany, które w zwykłych dla Wenus warunkach temperatury zachowywały stan ciekły. To właśnie one bulgotały i zapalały się w wyniku łączenia z tlenem. Prócz silanów mieszanina zawierała wiele piasku, który razem z pyłem tworzył górną gęstą warstwę, pod którą znajdowały się czyste wodorki krzemu.

Wydawało się, że już po zmartwieniu, że silany te wystarczy po prostu czerpać. Tymczasem sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Wiktor Pietrowicz sądził, że z głębi złoża można otrzymać czyste paliwo o ciężarze właściwym zbliżonym do jedności. Gęstość trój silanu wynosi 0,73, tetrasilanu zaś — 0,81, wzrasta ona w miarę komplikowania się struktury cząsteczkowej. Należało więc znaleźć sposób na dostanie się w głąb owego wykrytego przez Nataszę i Włodzimierza jeziora z silanami.

— A może by przebić szyb wiertniczy na zboczu? — zaproponował Sandomirski. — Zaatakować nieprzyjaciela ze skrzydła?

Projekt ten odpadł, ponieważ jego realizacja wymagała wiele czasu, wysiłków oraz odpowiednich narzędzi wiertniczych, w które ekspedycja nie została wyposażona. Nie można również było usunąć z wierzchu owej gęstej warstwy, gdyż silany zetknęłyby się wówczas z powietrzem i zapaliły.

Wiele padało propozycji czerpania silanów, jednakże żadna z nich nie wytrzymała krytyki. Wreszcie astronautów wybawił z kłopotu Kraśnicki.

— Syfon! — padło z jego ust.

Nie rozumiano, jednak, o co chodzi.

— Wprowadzimy długą stalową rurę — zaczął wyjaśniać urywanymi zdaniemami Iwan Płatonowicz. — Na niej giętki wąż. To krótki koniec syfonu. Dalej pompa. Będziemy pompować jak benzynę z beczki. Następnie długi wąż, będący drugim końcem syfonu, doprowadzimy na brzeg morza.

Projekt odznaczał się nadzwyczajną prostotą. Zyskał aprobatę. Zrealizować miał go sam autor.

Lecz znowu wynikła inna trudność. Zanurzenie jednego końca syfonu w silany było sprawą łatwą. Pompa zrobiłaby również swoje i strumień ciekłych wodorów krzemu bez wątplenia popłynąłby rurą w kierunku morza. Tam można by również łatwo przygotować zbiorniki. Jednakże silany zapalały się przy zetknięciu z powietrzem. Oznaczało to, że skoro strumień znajdzie się u wylotu węża, wybuchnie natychmiast płomień. Ta sprawa nie mogła być rozwiązana od razu, przeto nie chcąc tracić czasu, astronauty zajęli się przygotowaniem zbiorników do przewozu znalezionej paliwa. Transport 2500 ton łatwopalnego ładunku na odległość 250 kilometrów nie należał do rzeczy łatwych. Podróżnicy zamienili się w kotlarzy i na drugi dzień z rana przystąpili do budowy zbiorników. Operacją tą kierował Kraśnicki, pracowali wszyscy. Jachontow stał się spawaczem. Natasza znaczyła arkusze blachy, później zaś, biorąc przykład z Wiktora Pietrowicza, zaczęła pomagać przy spawaniu, w czym okazała się bardzo pomocną. Ludzie pra-

cowali nie szczędząc rąk. Dostarczenie bowiem paliwa stanowiło jedyną szansę opuszczenia Wenus. Po trzech dniach zbiorniki były gotowe.

Obecnie pozostawało zagadnienie: w jaki sposób napęłnić cysterny, jak dostarczyć do rakiety i przepompować ich zawartość do jej zbiorników tak, by nie wywołać samozapalenia. Inaczej bowiem mógł wybuchnąć straszny pożar, który strawiłby niewątpliwie cały statek kosmiczny i odciął bezpowrotnie drogę powrotu na Ziemię.

Problemowi temu poświęcono cały wieczór. Dyskusja trwała długo, ale wyniku nie dała. Wtedy przypomniano sobie stare przysłowie: sen przynosi dobrą radę — i udano się na spoczynek. Nikt jednak nie zmrużył oka. Na drugi dzień wszyscy z nadzieją spoglądali na Iwana Płatonowicza, który wyrzekł wreszcie dwa skape słowa!

— Dwutlenek węgla!

Myśl była prosta i wspaniała. Jachontow ocenił jej wartość. Otóż jeżeliby cysterny zostały napęłnione cięższym od powietrza dwutlenkiem węgla, to płynne krzemiany, trafiając w środowisko nie podtrzymujące palenia, powinny — wypierając stopniowo gaz na zewnątrz — wypełnić zbiornik nie zapalając się. Kiedy zaś zbiornik napęłniony zostanie do żądanego poziomu, nad krzemianami można pozostawić ochronną warstwę gazu, po czym zamknąć wieko, zabezpieczając w ten sposób łatwopalny ładunek przed zetknięciem się z powietrzem. Taki był wyrażony w dwóch słowach pomysł Kraśnickiego.

— A więc, Iwanie Płatonowiczu — wtrącił Jachontow — dwutlenek węgla...

— Spróbujemy. Innego nie mamy — odpowiedział Kraśnicki po namyśle.

Wiadomo, że gęstość dwutlenku węgla jest półtora raza większa od gęstości powietrza na Ziemi. Umieszczony w otwartym naczyniu, gaz ten pozostaje w nim jak woda. Można więc było wcześniej wypełnić zbiorniki dwutlenkiem węgla, a potem przystąpić do przepompowywania do nich krzemowodorów.

Otrzymanie dwutlenku węgla na Wenus nie nastęczało większych trudności, gdyż w wielu miejscach gaz ten wydobywał się wprost z głębin, tak jak to zdarza się również na Ziemi, na przykład w Psiej Grocie w pobliżu Neapolu. Kilka następnych dni poświęcono na przygotowania związane z wydobyciem silanów. Astronautom sprzyjało szczęście. Niedaleko od ich postoju Włodzimierz wyszukał odpowiednie źródło dwutlenku węgla, którym można było napełnić zbiorniki. Do przepompowania paliwa przygotował Kraśnicki duże stalowe rury oraz kilka igelitowych węży.

Wszystko to załadowano na łódź podwodną i astronauta udali się w drogę po bezcenne paliwo. Z wielkim trudem i w pocie czoła dostarczyli urządzenia nad źródło, od którego przeciągnięto następnie długiego węża dochodzącego do samego morza, gdzie stała łódź ze zbiornikami. Na najwyższym punkcie drogi wiodącej do złoża ustawiono pompę z silnikiem elektrycznym czerpiącym prąd z akumulatorów. Na końcu węża umieszczono stalową rurę, którą udało się po wielu uciążliwych próbach zanurzyć w kipiącej i buchającej żarem masie.

Włodzimierz uruchomił pompę.

Wieloletnie doświadczenie Iwana Płatonowicza wybawiło astronautów z kłopotu i nieprzyjemnych, być może, następstw bardzo ryzykownego przedsięwzięcia.

Z chwilą pojawienia się pęcherzyków dwutlenku węgla na powierzchni silanowego jeziora, Kraśnicki przesączył pompę w przeciwnym kierunku.

Mężczyźni pobiegli na brzeg, ażeby dopilnować przepływu paliw przez rurociąg. Minęło pięć minut. Wąż zaczął nadymać się i twardnieć.

Zapalenie się silanów mogło doprowadzić do eksplozji. Zbliżała się chwila najniebezpieczniejsza. Kraśnicki, każąc wszystkim odstąpić jak najdalej od rurociągu, chwycił metalowe zakończenie gumowego węża i zaczął odkręcać wentyl. Usłyszano świst i wypływający na zewnątrz strumień cieczy buchnął płomieniem.

Wybuch nie nastąpił. Płomień był bardzo silny, lecz równomierny, a po kilku sekundach dświaczony chemik podszedł do otwartego zbiornika i wsunął weń koniec węża. Ogień momentalnie zgasł. Dał się słyszeć charakterystyczny szum, jaki wydaje przelewana do naczynia ciecz. Zadanie zostało rozwiązane.

Załadunek odbył się szybciej, niż oczekiwano. Pierwsza partia silanów była wysłana już w godzinę po włączeniu pompy. Karawana cystern holowanych przez łódź dotarła na miejsce przed wyznaczonym czasem. W ten sposób rozpoczęła się pierwsza w historii przemysłowa działalność człowieka na Wenus.

Obecnie do napełnienia zbiorników i holowania ich wystarczało tylko dwoje ludzi. Gdy oni byli zajęci, druga para odpoczywała.

Astronaucci pracowali bardzo intensywnie, nie tracąc ani godziny. Skrócona i lżejsza rakietka leżała na wodzie cichej zatoki.

Zapasy płynnego fluoru i resztki borowodorów już dawno przepompowano do tylnych rezerwuarów rakietki. Wskutek tego statek podał się do tyłu i osiadł

unosząc jednocześnie nad wodą część dziobową. Nadchodzące paliwo przelewane do zbiorników zmuszało statek do coraz głębszego zanurzania się.

W końcu przyszła chwila, kiedy wysunięte z korpusu statku podpory dotknęły dna, wówczas wstrzymano wszelkie inne roboty i przystąpiono do podnoszenia rakiety. Tą odpowiedzialną pracą kierował Sandomirski.

Na obu brzegach wąskiego kanału, w którym znajdowała się rakietka, ustawiono po dwa dźwigi. Astronauci w podnieceniu oczekiwali komendy Mikołaja Aleksandrowicza.

Zaczęły obracać się bębny dźwigów liny naprężyły się jak struny. Przód rakiety zaczął się powoli unosić. Ludzie wstrzymali oddech.

Statek zaczął już przyjmować pozycję pionową. Lecz nagle podpory pośliznęły się po dnie i rakietka opadła znowu na wodę.

Roboty wstrzymano. Sandomirski wysłał łodzią podwodną Odincowa, ażeby jeszcze raz sprawdził głębokość. Reszta obserwowała go z brzegu.

Po upływie pewnego czasu Włodzimierz powrócił.

— Dalej dno z lekka się podnosi — zameldował — i tworzy naturalne oparcie. Można jeszcze raz spróbować! Wydaje się, że oparcie to jest wystarczające.

Całą operację rozpoczęto od początku. I znów naciągnęły się liny. Rakietka jeszcze raz zaczęła unosić się nad wodą. Wreszcie stanęła w pozycji pionowej, wsparta mocno na trzech podporach, gotowa każdej chwili ulecieć w niebo na spotkanie żółtych obłoków, posłuszna woli i rozumowi człowieka.

Astronauci odnieśli największe i najtrudniejsze zwycięstwo.

Na codziennej ciężkiej pracy zleciało jeszcze dwadzieścia dalszych dni.

Surowa natura Wenus tym razem sprzyjała astronautom. Panowała cisza w powietrzu, dzięki czemu łódź holująca cysterny z paliwem miała ułatwione zadanie. Praca wrzała również nocą, w świetle reflektorów łodzi i pochodni zrobionych z mchu nasyconego wodorkami krzemu. Szef ekspedycji zapominając sam o odpoczynku i śnie popędzał innych, ażeby pozostałe wolne dni poświęcić na badania naukowe.

Nic nie zmniejszało chęci na powrót, ludzie wychudli, cierpieli na bezsenność i bóle głowy. Chciałoby się nieraz po prostu posiedzieć parę minut w salonie i porozmawiać z sobą przed snem o innych sprawach niż o paliwie. Jednakże szef ekspedycji nawoływał do spoczynku.

— Jutro pobudka o piątej! — mówił. — Tutejsza przyroda jest złośliwa. Lubi płać figle. Kto może wiedzieć, jakie czekają na nas każdej chwili niespodzianki. Nie, dopóki rakieta nie będzie stała z pełnym zapasem paliwa, żywności, wody i tlenu na starcie, ja się nie uspokoję i nie 436 pozwolę wytchnąć.— Wydaje się, że na Wenus nastąpiła pora ciszy — powiedziała Natasza.

— To tylko chwilowa przerwa — ponuro odparł Jachontow.

— W każdym razie mówić o odpoczynku jest w tej chwili jeszcze' przedwcześnie — dodał przeciągając się Sandomirski. — Rozpoczynamy o piątej.

— O piątej — odpowiedział Wiktor Pietrowicz. — Życzę wszystkim dobrej nocy.

— Dobranoc!

Pozostawszy sam w swej kajucie, Wiktor Pietrowicz długo jeszcze podliczał i robił jakieś notatki. Do zbiorników rakiety wpompowano 3500 ton silanów. Uwzględniając pozostałą ilość boro-wodorów, należało dostarczyć jeszcze 200 ton paliwa, co wymagało wykonania czterech kursów na archipelag. Lecz Jachontow pragnął mieć rezerwę na wypadek możliwych i nieprzewidzianych komplikacji w drodze oraz w celu hamowania i lądowania na Ziemi.

I znowu długa noc na Wenus dobiegała końca. I znowu jeszcze raz ciemność stopniowo ustępować zaczęła gęstej, niebieskiej barwie. Na tle nieba zarysowała się z lekka linia gór. W sinym przedświtowym zmroku zabłyśły pieniste grzbiety fal. Z nocnego uśpienia budziły się wiatry, morze jednak było spokojne. Astronaucci wykorzystując tę ciszę pracowali w zmożonym tempie. Chłód nocy przyjemnie orzeźwiał ich ciała. Polubili wieczorne zmierzchy i świty. Wtedy właśnie Wenus ukazywała im swe surowe piękno. Wiedząc, że odlot na Ziemię jest już bliski, sycili z zachwytem swe oczy krajobrazem i wdzięczni byli planecie za wszystkie niezapomniane przeżycia. Serca ich były jednak przyśpieszonym rytmem na myśl, że znowu zobaczą Ziemię, swych drogich i bliskich, że znowu zobaczą Moskwę. Nawet zwykle opanowany szef ekspedycji zaczął często na ten temat mówić.

Tego wieczoru Natasza i Włodzimierz, którzy wrócili z kolejnego rejsu z paliwem, siedzieli obok siebie i wpatrywali się w daleki horyzont. Obok nich stał z założonymi z tyłu rękami Wiktor Pietrowicz. Trochę dalej na kamieniu siedział Sandomirski. Iwan Płatonowicz miał dziś dyżur i majstrował coś w rakiecie. Ciszę przerwała nagle Natasza.

— A więc wracamy niedługo do domu — rzekła. — Opuścimy ten obcy świat na zawsze. Teraz tęsknię za Ziemią. Ale kto wie, czy później nie będę ze smutkiem wspominała Wenus. Ileśmy tu przeżyli!...

— Jak najprędzej do domu! — odezwał się Mikołaj Aleksandrowicz. — Mam już po uszy tych awantur w przestrzeni kosmicznej. Niech latają młodzi. Ja mam dość...

— Ja również chcę jak najprędzej wrócić — podjęła 'Natasza. — Ale tych widoków nie zapomnę nigdy!

— Nigdy! — powtórzył jak echo Włodzimierz.

— I nie tylko to — wmieszał się do rozmowy Wiktor Pietrowicz. — Będąc tu, jesteśmy gospodarzami tego świata, gospodarzami Wenus. To powinno wywołać w nas uczucie dumy, pięknej dumy człowieka z osiągniętego celu. Wszak najbardziej pasjonującym dziełem jest ujarzmienie natury, poznanie jej praw i wykorzystanie ich dla dobra, ludzkości. Temu towarzyszy walka, podniosła walka, w której człowiek wznosi się ponad drobne sprawy. I myśmy uczynili na tej drodze pierwszy krok... Jednakże za wcześnie jeszcze na tryumf. Cisza, która panuje wokół, może być ciszą przed burzą.

— No, teraz to już nie takie straszne — zaśmiał się Włodzimierz.

— Nie straszne? Nie wiadomo!

— Cóż nam może zagrażać? — zapytał Włodzimierz. — Paliwo mamy, rakietą gotowa do lotu, jesteśmy zdrowi i cali.

— Brak tylko Michała Andrejewicza — szepnęła Natasza.

— Tak — wtrącił Sandomirski. — Szkoda go. Wielka szkoda. Nie miał szczęścia. A przecież jaka wspaniała oczekiwała go przyszłość. Człowieka tak olbrzymiej wiedzy!

— To był wielki uczony! — dodał Jachontow.

— Cóż nafi może zagrażać, Wiktorze Pietrowiczu? — zapytała Natasza.

— Jesteście, Natalio Wasiljewna, geologiem i doskonale wiecie, jakie moce kryją się we wnętrzu lej planety. Przecież nawet na Ziemi czujemy się nie zawsze zbyt pewnie. A tu? Planeta dopiero się formuje. Przecież jeszcze nie ostygła woda w morzach!

— Tak jest, Wiktorze Pietrowiczu — zgodziła się Natasza.

— A substancje radioaktywne? — ciągnął Jachontow. — Wenus otrzymała ich wiele razy więcej niż Ziemia. Tragiczna śmierć Michała Andrejewicza jest groźnym ostrzeżeniem.

— Wiktorze Pietrowiczu! — zawołała Natasza. — Jesteście dziś w bardzo pesymistycznym nastroju.

— Nie, Natalio Wasiljewna! Jestem tylko starszy od was i chciałbym, abyście w tej chwili, gdy przygotowujemy się do odlotu, zachowali jak największą ostrożność.

— Z tym się całkowicie zgadzam.

— Więc dogadaliśmy się. Dobrej nocy, Natalio Wasiljewna.

— Dobranoc! My także idziemy spać.

Rzeczywistość potwierdziła wkrótce obawy kierownika ekspedycji.

Którejś nocy, około godziny drugiej, gdy wszyscy, z wyjątkiem pełniącego dyżur Iwana Płatonowicza, pogrążeni byli w głębokim śnie — rozległy się głu-
che podziemne grzmoty. Astronauci zerwali się z łóżek i pobiegli do kabiny na-
wigacyjnej.

— Zdaje się, że wulkany — przywitał ich Kraśnicki.

istotnie, na ciemnogrnatowym niebie zapaliła się czerwona luna.

— Stożek wulkanu kryje się w obłokach — ciągnął 'Iwan Płatonowicz. —
Poprzez chmury widać było odblaski.

— Tak — wtrącił z zatroskaniem Jachontow. — Odbicie płomieni. Proszę
więc sobie wyobrazić, jak potężne siły tu działają, skoro masy rozżarzonej lawy
wyrzucane są na taką zawrotną wysokość.

— Tak jest — skinął głową Kraśnicki. — Chmury unoszą się na wysokości
około siedmiu kilometrów. Ogień zaś widać ponad nimi. Myślę, że stożek wul-
kanu ma nie mniej niż dziesięć kilometrów wysokości.

— Proszę patrzeć, lawa spływa! — zawołał Włodzimierz dostrzegając w od-
dali potok rozżarzonej masy.

— Rzeczywiście?! — potwierdził Sandomirski.

— Tego tylko brakowało!

— Coś w rodzaju ostatniego dnia Pompei!

Wymieniając między sobą podobne uwagi,

astronaucci obserwowali z trwogą to straszne widowisko. Plama ognia rosła w oczach. Gdzieś bardzo daleko, jakby spod chmur, zajaśniała zorza, zalewając całą przestrzeń pasowym światłem. Teraz nikt już nie wątpił, że potok lawy spływał stokiem w dół, w kierunku rakiety.

— Ten fajerwerk wcale mi się nie podoba — powiedział Sandomirski.

— Czy lawa może dotrzeć aż tu, do nas? — w głosie Nataszy brzmiał niepokój.

— Między wulkanem a nami — odpowiedział Jachontow — znajduje się jeszcze jeden łańcuch pórski. Widać go na tle płomieni. Stanowi on jak gdyby zabezpieczającą barierę, ijecz, oczywiście, musimy być na wszystko przygotowani...

— Uwaga! Uwaga! — zawołała Natasza.

Potok czerwonej, ognistej lawy szerokości kilku kilometrów wznósł się ponad ową barierę, zaczął się staczać po tej stronie gór i rozlewać po dolinie. Na swej drodze nie miał już żadnych przeszkód. Spływał wprost na raketę. Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze.

— Jeżeli wybuch wulkanu potrwa jeszcze choćby godzinę — odezwał się Wiktor Pietrowicz z powagą w głosie — potok dosięgnie rakiety. Wtedy jedyne wyjście... Lecieć!

— Nie możemy z taką ilością paliwa opuścić Wenus — rzucił Sandomirski.

— Wylecimy poza granice atmosfery. Potem wylądujemy z powrotem, ażeby napęlnić zbiorniki.

— To lepsze niż spalić się żywcem — dodał Kraśnicki.

Rozmowy ucichły. Ludzie woleli milczeć, by nie zwiększać zdenerwowania. Położenie nie wymagało komentarzy. Astronaucci z trwogą obserwowali, jak po-
mału, lecz nieubłaganie zbliżał się front ogniowej masy.

— Nie bójcie się — odezwał się wreszcie szef ekspedycji. — Zdaje się, że tym razem niebezpieczeństwo nas ominie.

O szóstej rano nie było już żadnej wątpliwości, że lawa się zatrzymała. Sprawiała to zastygająca magma, która hamowała osuwanie się potoku. Ogniowa ściana stanęła w odległości pięciu kilometrów od rakiety, zionąc niesamowitym żarem.

Z tą ilością paliwa, która, znajdowała się w zbiornikach statku kosmicznego, nie można jeszcze było rozwinąć prędkości umożliwiającej pokonanie siły ciężkości panującej na Wenus i oderwanie się od jej atmosfery. Brakowało jeszcze jakichś stu ton silanów. Bez nich rakieta byłaby bezsilna w przypadku konieczności manewrowania, a taka przecież sytuacja mogła powstać w czasie lotu. Tę brakującą ilość paliwa postanowiono jak najszybciej uzupełnić. W tym celu astronauta zbudowali do przewozu silanów jeszcze dwa zbiorniki. Rakieta teraz ciągnęła na holu jednocześnie aż cztery cysterny.

Wtedy Wiktor Pietrowicz zarządził, ażeby wszyscy pozostawali na miejscu, ażeby nikt nie oddalał się od rakiety. Pod nogami bowiem wyczuwało się drżenie. Mimo to należało jeszcze raz wyruszyć łodzią po paliwo. Kolej była na Włodzimierza i Nataszę.

— Pamiętajcie, moi drodzy — upominał Wiktor Pietrowicz — jeśli tylko zobaczycie coś podejrzanego lub usłyszycie nowe wybuchy, rzućcie wszystko i wracajcie nie czekając na nasz sygnał. Bądźcie bardzo ostrożni.

Młodzi ludzie zwykle niezbyt biorą do serca perswazje i ostrzeżenia starszych. Podobnie Natasza i Włodzimierz. Wysłuchali co prawda z uwagą ostróg uczonego, ale prędko wyleciały im one z pamięci.

Zbiegli na brzeg, zajęli miejsca w łodzi i w krótkim czasie statek, holując cztery cysterny, znikł w przedświtowym mroku.

Rejs do miejsca, gdzie znajdowało się źródło gorących silanów, odbył się bez przeszkód. Natasza i Włodzimierz przystąpili natychmiast do napełniania zbiorników.

Tymczasem wiatr przybrał na sile. Morze zaczęło się burzyć.

Natasza podniosła głowę. Zaczęły gęstnieć chmury. Kłębiły się gdzieś wysoko, przewalały się i odpływały szybko w dal. Od czasu do czasu obłoki rwały się i wtedy między nimi ukazywało się ciemnopurpurowe niebo Wenus, zwiastujące świt. Natasza z trwogą spojrzała na brzeg. Fale z szumem i hukiem rzucały się na przybrzeżne skały.

Jak zwykle na Wenus pogoda szybko się zmieniała. W chwili gdy łódź odpływała z bazy, było zupełnie cicho, teraz zaś szalał huragan. Nadciągała burza. Takie gwałtowne zmiany pogody następowały tylko w okresie długiego dnia. Wychodząc ostatni raz w morze, Natasza i Włodzimierz mieli nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem okazywało się, że burze mogą tu istnieć również w czasie zmroku.

Włodzimierz jeszcze nie zdążył napełnić ostatniej cysterny, kiedy lunął deszcz, który zmienił się wkrótce w straszliwą ulewę. Huragan szalał z większą jeszcze siłą niż w ową pamiętną burzę, kiedy to uległ katastrofie pilotowany przez Włodzimierza stratoplan.

Natasza znajdowała się na pokładzie łodzi, Włodzimierz zaś kończył przepompowywanie paliwa. Nie zwracając uwagi na nawoływanie i krzyki żony, która prosiła, by szybciej przybył na łódź, z uporem trwał przy pracy i nie wyłączył silnika wcześniej, zanim cysterna nie była pełna. Dopiero wtedy, przemoknięty do suchej nitki, pobiegł do łodzi.

— Co teraz robić? — zawołała Natasza.

— Spokojnie — odparł Włodzimierz. — Jakoś sobie damy radę.

— Przy takim wietrze nie możemy wypłynąć. Patrz, co się dzieje!

— Poczekamy trochę, a potem zobaczymy.

Włodzimierz udawał spokój. Minęła godzina.

Burza zmieniła się w sztorm. W blasku błyskawic oświetlających bezkresne przestrzenie oceanu widać było olbrzymie góry wody. Mając na holu cztery cysterny, łódź nie mogła zapuszczać się w takie piekło. Byłoby to niewybaczalnym szaleństwem. Nie wolno również było pozostawać u brzegu, gdyż nadbiegające z pełnego morza fale groziły łodzi rozbiciem o nadbrzeżne skały.

— Nic nie poradzimy, najdroższa, trzeba wyjść w morze. Tu nas rozniesie. Albo' rzucić wszystko i ratować się na brzegu.

— A łódź, a silany?

— Właśnie o to chodzi...

Włodzimierz namyślał się krótko. Odkotwiczył łódź, zapuścił silnik i śmiało rzucił ją do walki z żywiołem.

Fale jak gdyby tylko na to czekały, podchwyciły łódź i jak piłkę zaczęły przerzucać ją z grzbietu na grzbiet. Ciężkie cysterny połączone z łodzią stalowymi linami zderzały się z sobą, tłukły o burty statku grożąc przebicciem. Wszystko to kotłowało się w straszliwej, piekielnej kipieli fal. Najrozsądniejszą rzeczą w tej sytuacji byłoby odczepić liny i ładunek rzucić na los szczęścia. Lecz Włodzimierz należał do ludzi, którzy niełatwo się poddają.

— Byleby tylko wyjść na pełne morze! — krzyczał poprzez wycie wiatru.

— Co chcesz zrobić?

— Zanurzyć się wraz z cysternami.

— Czy tak można?

— Może się uda.

Fala przetoczyła się przez pokład.

Głębokościomierz wskazywał 250 metrów. Włodzimierz postanowił się zanurzyć. W tym momencie do walki wystąpił nowy żywioł. Łodzią wstrząsnął potężny wybuch. Wydawało się, jak gdyby pękło dno morza. Statek drżał, chybotał się i trzeszczał.

Pobladła od strachu Natasza przytuliła się do męża. Daleko na przedzie, w tym samym kierunku, w którym znajdowała się rakietą, unosił się słup płomieni.

Wybuch musiał być niezmiernie silny, jeśli odczuto go aż tu i jeśli unosząc się z krateru płomień widać było z takiej odległości.

— Nowy wybuch — szepnęła Natasza. — Akurat tam, gdzie rakieta. Czyżby wszystko zginęło?

W odpowiedzi Włodzimierz tylko wzruszył ramionami. Cóż mógł jej powiedzieć?... Musiał przede wszystkim ratować łódź i cenny ładunek. To był jego obowiązek. Ratunek był jeden. Głębina morska. Tam należało schronić się przed burzą. Lecz cysterny- jak olbrzymie pływaki przeszkadzały zanurzeniu.

W końcu jednak, dzięki mocy silnika i sterom głębinowym udało się zanurzyć na głębokość 20 metrów.

Panowała tu cisza. Nareszcie Włodzimierz mógł z ulgą odetchnąć, wytarł spocone czoło i uśmiechnął się do Nataszy.

— To straszne.

— Straszne — przyznała żona. — Nie wiemy, co tam się dzieje.

Dalszą drogę odbywali pod wodą. Włodzimierz włączył reflektory. Za oknami kabiny otworzył się przerażający widok. Gdzieś na dnie oceanu wydarzyła się jakaś niesamowita katastrofa. W wodzie, gdzie tylko dosięgła smuga światła, widać było poszarpane szczątki mieszkańców głę-, bin morskich. Porozrywane skorupiaki, pancerze, galaretowate ciała martwych syfonoforów, poobrywane kleszcze — wszystko to pływało teraz na powierzchni, tworząc jakieś odrażające jatki.

Łódź z trudem posuwała się w żądanym kierunku, ponieważ przeszkadzały bardzo cysterny. Wkrótce przyrządy zaczęły wskazywać bliskość brzegu. Należało wypłynąć na powierzchnię oceanu. Włodzimierz obejrzał się za siebie. Za jego plecami stała Natasza. Zaciśnięte usta i wzrok skierowany w przestrzeń mówiły o jej wewnętrznym stanie.

Bo rzeczywiście! Co ujrzą, gdy wynurzą się na powierzchnię? Czy morze jest nadal wzburzone, czy panuje już na nim cisza? Co z przyjaciółmi? Czy ocalał statek kosmiczny? Czy żywi są jeszcze ci, którzy pozostali na brzegu? Czy też tylko ona i Włodzimierz zostaną samotni na tej obcej i strasznej planecie?

— Wynurzamy się! — zawołał Włodzimierz przerywając żonie tok smutnych myśli. Natasza kiwnęła w odpowiedzi głową i zakryła twarz rękami.

Włodzimierz przestawił odpowiednią dźwignię i łódź, pokonując opór wody, poszła w górę.

— Skafandry! — zakomenderował Włodzimierz.

Natasza zrozumiała, o co chodzi. Nikt przecież nie mógł wiedzieć, co dzieje się na górze. Możliwe, że wskutek wybuchu powstał obłok trujących gazów, który wszystko wokół zniszczył.

Włożywszy szybko skafandry przystosowane do przebywania w każdej atmosferze i pod wodą, Odincowowie skupili na nowo całą uwagę na przyrządach sterowniczych.

Łódź wyłoniła się z głębin pomyślnie. Patrząc najpierw przez peryskop, później zaś obserwując bezpośrednio, Odincowowie przekonali się, że w ciągu tych kilku godzin, kiedy trwał rejs, wszystko się w tej okolicy zmieniło. Tam gdzie

rozciągała się równina, w odległości 15—20 kilometrów od bazy, wyrósł olbrzymi kopiec nowego wulkanu. Nad jego kraterem wciąż jeszcze unosił się słup ognia, oświetlający, jak łuna pożaru, wszystko dokoła ponurym, czerwonym światłem.

Ale i świt już był w pełni i zalewał wszystko wokół liliową poświatą. W walce dwóch odmiennie zabarwionych potoków światła, cienie na przedmiotach, skałach i kamieniach były fioletowe, miejscami zaś przybierały odcień zielonkawy. Na jaskrawoczerwonym tle powoli pełzającej lawy widać było znajomą sylwetkę rakiety. Zatoka nie istniała. Brzeg zmienił zupełnie swą linię. Wydzwignął się wysoko nad poziom morza, które cofnęło się daleko od lądu. Rakieta stała na suchym gruncie, lekko pochylona na lewo. Wokół krzatali się ludzie.

— Żyją! — zawołała radośnie Natasza. — Wszyscy żyją!

Widoczni z daleka przy rakiecie, astronauci podobni byli do pracowitych mrówek. Przez lornetkę widać było, że rakiecie zagraża spływająca we wszystkich kierunkach lawa. Rozżarzona masa sunęła w kierunku statku kosmicznego. Drogi jej nie zagrażała żadna przeszkoda.

Włodzimierz ruszył całą parą na przód, z tyłu tłukły się o siebie cysterny z paliwem. Były całe.

„To jest najważniejsze” — pomyślał Włodzimierz.

ROZDZIAŁ XXIV

zamiast epilogu

Sztorm trwał w dalszym ciągu z niesłabnącą mocą. Huragan był tak silny, że ludzie na brzegu z trudem utrzymywali się na nogach. Nie lepiej przedstawiała się sprawa na pokładzie łodzi. Wściekłe fale rzucały nią jak łupiną. Gdy zbliżyła się do brzegu, fale uniosły ją i cisnęły na skały. Dał się słyszeć poprzez ryk burzy przykry, zgrzytliwy dźwięk rozdieranego metalu. Włodzimierz wyskoczył prosto na skałę. Łódź podwodna, która oddała astronautom tyle posług, zakończyła, niestety, swój żywot. Rejs ten był rzeczywiście jej ostatnim rejsem. Lecz nie było teraz czasu na rozmyślania nad smutnym końcem łodzi. Należało ratować Nataszę. Włodzimierz obejrzał się i zobaczył, że żona jego zdążyła już o własnych siłach dostać się na brzeg.

Cysterny, których dosięgały fale, przewalały się po brzegu, grożąc w każdej chwili stoczeniem w morze.

„Rozbiją się! — przemknęło przez myśl Włodzimierza — wtedy wszystko przepadnie! Zatrzymać je! Za wszelką cenę zatrzymać na brzegu!”

W takich momentach myśl pracuje błyskawicznie, a siły ustokrotniają się. Odincow schwycił ogromny, leżący w pobliżu kamień i z wielkim wysiłkiem podłożył go pod staczający się w wodę okrągły zbiornik. Cysterna zatrzymała się. Na pomoc mężowi pośpieszyła Natasza, której udało się zatrzymać ostatnią

cysterne. Dwie środkowe powstrzymane zostały przez zbiorniki skrajne, o które zahaczyły się końcami. Dzięki temu można było podłożyć nowe kamienie i zabezpieczyć zbiorniki przed stoczeniem się w morze. Drogocenny ładunek zdołano więc w ostatniej chwili uratować.

Na pomoc biegli już Wiktor Pietrowicz, San- domirski i Kraśnicki, mokrzy od deszczu, w błyszczących gumowych płaszczach, w których odbijał się ogień wulkanu.

Natasza chciała choć minutę popatrzeć na ten ścielący się przed jej oczyma widok: na wulkan, na wzburzone morze, na ludzi i na leżącą, jak wyrzucona na brzeg ryba, na boku łódź. Lecz do jej uszu dotarł krzyk kierownika ekspedycji:

— Prędzej! Prędzej, bo może być za późno!

Z gorączkowym pośpiechem, bez słów astronauta zaczęli pracować przy cysternach. Należało jak najszybciej je opróżnić. Znalazły się długie węże. Wsunięto je do czarnych otworów. Ktoś uruchomił pompę. Z cystern do rezerwuarów rakiety popłynęło paliwo. Na to nie potrzeba było dużo czasu, lecz w tych warunkach droga stawała się każda minuta.

Po równinie rozlewał się coraz szerzej potok ognistoczerwonej lawy. Wolno, lecz nieubłaganie sunął w kierunku bazy. Już czuć było na twarzy gorący oddech rozżarzonej masy. Gdzieś z wnętrza planety donosiły się głucho dudnienia i wstrząsy. Grunt drżał pod nogami. Wydawało



się, że ten cały świat chybcze się i że łąda chwila runie w bezdenną otchłań. Na dodatek zrobiło się tak gorąco, że nie można już było oddychać.

— Kończyć! — krzyknął Jachontow. — Kończyć!

Natasza popatrzyła na niego i mimo niezwyklej sytuacji pomyślała sobie, jak dziwnie wpływają na ludzi okoliczności. Jeszcze nie tak dawno Wiktor Pietrowicz z powagą wygłaszał referaty, uczestniczył w dyskusjach akademickich, a dziś rozkazuje jak dowódca na polu bitwy.

— Natychmiast do rakiety!

Nie było czasu do namysłu. Ludzie zrywali gumowe węże z wentyli rakiety i odrzucali gdzie popadło. Nikt nie zwracał uwagi na płonące w cysternach resztki silanów. Gasić ich nie było potrzeby. Astronaucci zaczęli wspinać się po trapie i znikać we wnętrzu statku kosmicznego.

Jako ostatni weszli Mikołaj Aleksandrowicz i Wiktor Pietrowicz. Jachontow zatrzymał się na chwilę, popatrzył wkoło, po czym odepchnął trap. Włodzimierz silnie zatrasnął wieko wjazdu, u

— Wszyscy zajmują miejsca w komorach amortyzacyjnych! — padła komenda szefa ekspedycji. — Nie zdejmować skafandrów!

Wszystko działo się jak w koszmarnym śnie. Astronaucci wykonywali polecenia automatycznie. Byli potwornie zmęczeni. Zmęczeni pracą i przeżyciami. Równocześnie jednak odczuwali zadowolenie, że ktoś kieruje ich czynnościami, że nie potrzebują myśleć.

Upewniwszy się, że wszyscy weszli już do komór amortyzacyjnych, Wiktor Pietrowicz przesunął dźwignię automatycznego urządzenia zapłonowego i pogrążył się w ochronnej cieczy. Musiał się śpieszyć, gdyż w ciągu trzydziestu sekund mechanizm powinien spowodować zapalenie paliwa i wyrzucenie rakiety w przestrzeń.

Zanim zaczął działać silnik rakiety, rozległ się nagle potężny, dochodzący gdzieś z głębi wybuch. Równocześnie skalisty brzeg, na którym stał wsparty na trzech podporach statek kosmiczny, zaczął wzdymać się pod działaniem sił tektonicznych i pękać, tworząc ziejącą ogniem i dymem przepaść. Rakieta zadrżała i zaczęła przechylać się w kierunku szczeliny. Jeszcze chwila i byłaby runęła w tę straszną otchłań, na szczęście w krytycznym momencie działać zaczął silnik. O losie rakiety zdecydowały dosłownie sekundy. Z dyszy buchnęły, strumienie rozżarzonych gazów, które z potężną siłą pchnęły korpus statku do przodu, wynosząc go z rozwartych bram piekła. Rakieta — to cudowne dzieło geniuszu ludzkiego — oderwała się od powierzchni Wenus i pomknęła w przestrzeń kosmiczną. Uniosła w kierunku Ziemi kilku śmiałków, którzy odważyli się zerwać zasłonę okrywającą tajemnice planety Wenus.

Rozpalony wskutek tarcia statek, mknąc z coraz większą prędkością, wdarł się w kłębowisko obłoków, po czym wyleciał, podobny do wiśniowoczerwonego pocisku, poza ich granicę.

Rakieta wystartowała z Wenus znacznie wcześniej, niż to było wskazane dla pomyślnego powrotu na Ziemię. Wskutek wybuchu wulkanu tor jej lotu uległ odchyleniu od krzywej wyznaczonej na podstawie ścisłych, dokładnych obliczeń. W związku z tym zmieniło się również przyśpieszenie zależne od oporu atmosfery i czasu, w ciągu którego pocisk kosmiczny przebijał się przez gęste środowisko. Startując stromo w górę, rakieta szybciej przebiła się przez gęstą atmosferę i niespodzianie przekroczyła wyznaczoną jej prędkość.

Oznaczało to dla zamkniętych w komorach amortyzacyjnych astronautów dwukrotne zwiększenie ciśnienia w stosunku do tego, na jakie byli przygotowani.

Już w momencie kiedy statek oderwał się od powierzchni Wenus, astronauci odczuli, jakby zwałił się na nich jakiś straszliwy ciężar. Wydawało się, że ulegną zmiążdżeniu ich kości, że pęknie im serce. Przed oczyma pojawiły się czerwone kręgi. Czaszkę rozsadzał potworny, mącający świadomość ból. Lecz nie był to jeszcze punkt kulminacyjny męki. Powtórny zryw rakiety oznaczał jeszcze większe ciśnienie. Teraz ciężar przytłaczający astronautów stał się nie do wytrzymania. Naczynia krwionośne zostały ściśnięte do tego stopnia, że przestały zasilać krwią mózg. Na oczy spadła czarna zasłona. Astronomom zdawało się, że zapadają się w jakąś straszną otchłań. Potem stracili przytomność...

Na szczęście ten przygniatający ich ciężar znikł tak samo szybko i niespodziewanie, jak szybko i niespodziewanie zwałił się na astronautów. Przyczyną zjawiska była niedostateczna znajomość chemicznych własności silanów. Niemożliwe było ich dokładne zbadanie wskutek braku 454 odpowiedniej aparatury, która uległa zniszczeniu w czasie kataklizmu. Astronauci wobec tego posługiwać się musieli w obliczeniach wielkościami przybliżonymi. Stąd właśnie większe, niż się spodziewano, przyśpieszenie, powodujące ów straszliwy ciężar, stąd właśnie osiągnięta prędkość kosmiczna w krótszym czasie, niż to wynikało z obliczeń. Statek znalazł się zatem szybciej w strefie bezgrawitacyjnej. Nastąpił stan pełnej nieważkości i absolutnej ciszy.

Chłód przestrzeni międzyplanetarnej prędko ostudził silnie rozgrzany kadłub rakiety. Znikł duszący ciężar. Astronauci powracali powoli do przytomności. Pierwszy przyszedł do siebie Kraśnicki, który łatwiej niż inni zniósł te pierwsze chwile lotu. Wydostał się przez luk z komory amortyzacyjnej i odczuwając niezwykłą lekkość, zrzucił z siebie skafander, który zawisł w powietrzu. Iwan Płato-

nowicz, pełen niepokoju o życie przyjaciół, podniósł szybko pokrywę zamykającą włącz do najbliższej komory. Po chwili ukazała się w nim głowa Nataszy, osłonięta okrągłym hełmem.

— Lecimy! — odezwała się, podłiZay. Podeszła do chemika. — Gdzie Włodzimierz?

— Lecimy! — odparł Kraśnicki. — Spójrzcie! Wszystko wisi w powietrzu. Jak się czujecie?

Nim Natasza zdążyła odpowiedzieć, otworzyła się kłapa następnej kamery, z której wy dostał się Jachontow.

— Lecimy? — padło z jego ust pytanie. — W kierunku Ziemi czy wokół Wenus?

— Nie wiem.

Wnętrze statku tonęło w jaskrawym świetle słonecznym, które po żółtym mroku na Wenus wydało się wprost oślepiające.

— A z wami co się dzieje? — spytał Wiktor Pietrowicz Nataszę, która leżała bez sił na podłodze.

— Ciśnienie było tym razem wprost nie do zniesienia — odparła patrząc z przestraczem na Włodzimierza, który przy pomocy Kraśnickiego wychodził właśnie z komory amortyzacyjnej.

— Wołodia! — zawołała. — Wołodia! Źle się czujesz?

Włodzimierz na skutek przepracowania podczas ostatnich dni przed odlotem czuł się gorzej niż inni. Równie źle zniósł te pierwsze minuty lotu Sandomirski. Komendant statku był już człowiekiem starszym, ponadto ostatnie przeżycia bardzo osłabiły jego silny niegdyś organizm. Sporo upłynąć musiało czasu, zanim przestał się krztusić i mógł mówić. Skoro poczuł się lepiej, przystąpił natychmiast z Włodzimierzem do pracy. Należało ustalić położenie statku w przestrzeni w stosunku do Wenus. Kraśnicki zaczął krzątać się wokół aparatury radiowej. Teraz, gdy rakieta znalazła się daleko poza granicą atmosfery Wenus warto było ponowić próby nawiązania łączności z Ziemią.

Wenus pozostała daleko w tyle. Przez okna kabiny nawigacyjnej widać było tę samą, co podczas odlotu z Ziemi, czarną, usianą gęsto gwiazdami otchłań.

— Więc jak? — Jachontow zwrócił się do Odincowa.

— Oddaliśmy się od Wenus. To pewne. Nie staliśmy się jej satelitą... Lecz kierunku rakiety nie mogę jeszcze określić.

— Obecnie jesteście naszym szturmanem. — Uczony położył rękę na ramieniu Wołodi. — Od was zależy, czy dotrzemy do Ziemi, czy też...

— To byłoby nie do darowania — odparł Włodzimierz. — Mam nadzieję, że nie zeszliśmy z kursu. Jeśli zaś zboczyliśmy, to chyba tylko nieznacznie. Zataż przystąpię do obliczeń. Słońce znajduje się za nami i po lewej stronie. To dobrze. Tak powinno właśnie być.

Do kabiny weszła Natasza i zajęła miejsce za plecami pilota.

— A więc wracamy do domu — odezwał się do żony Włodzimierz. — Wszystko mamy już poza sobą. Ciekawy jestem, co tam na Ziemi? Czy żyje moja staruszka? Bardzo źle, że nie ma łączności.

— Wracamy! — podjął Jachontow. — Możemy sobie powiedzieć, że mieliśmy wielkie szczęście. Działalność wulkaniczna na Wenus przycichła akurat przed naszym przybyciem. Złe byłoby z nami, gdybyśmy wylądowali na Wenus w takich warunkach, w jakich musieliśmy z niej wystartować. Nikomu bym tego nie życzył.

Nagle rozległ się nerwowy śmiech Nataszy.

— Co ci się stało? — zapytał Włodzimierz. — Co ci się stało? — powtórzył pytanie, gdy Natasza nie dawała odpowiedzi.

— Nie mogę wprost uwierzyć, że to wszystko było.

— Było, moja droga, było. I to na jawie.

— Jak we śnie. Do ostatniej minuty swego życia będę miała przed oczyma te wstrząsające obrazy. Nigdy chyba nie zapomnę tych burz, wulkanów, czarnych skał i purpurowych fal... Jakie to było straszne! Jakie okropne!

— Pragnę jak najszybciej znaleźć się na Ziemi. Mam już dość.

— Naturalnie. A jednak mimo wszystko widzieliśmy oszołamiające piękno.

— Raczej przytłaczające!

— A pamiętasz burze?

Włodzimierz nie odpowiadał. Pochłaniały go bowiem czynności szturmana, nie mógł więc równocześnie prowadzić rozmowy. Gdy Sandomirski wypoczął po przykrych doznaniach w komorze amortyzacyjnej, Odincow przekazał mu ster i udał się na dół, by zająć się obliczeniami.

Tymczasem rakieta mknęła tam, gdzie pchały ją tajemnicze siły.

— A jednak ekspedycja nasza jest wydarzeniem niezwykłym — powiedział w zamyśleniu Kraśnicki.

— Oczywiście! — odparł Wiktor Pietrowicz zamykając notes, w którym coś zapisywał. — Nasza wyprawa stanowi początek. Jestem przekonany, że badania Wenus i innych planet będą prowadzone nadal. Wysłane zostaną na pewno inne rakiety. Będą pracowali tam uczeni. Zbadają całą planetę, bogactwa naturalne, roślinność...

— Wijemy — odezwał się Kraśnicki — że istnieje tam więcej niż na Ziemi takich pierwiastków, jak uran, tor, rad...

Nataszy przypomniał się w tej chwili samotny grób profesora Szapowałowa. Skalisty plac, a na nim bryła bazaltu, oznaczająca miejsce, gdzie spał wiecznym snem znakomity uczonec.

— To zupełnie zrozumiałe — zauważył w związku z wypowiedzią Kraśnickiego Jachontow -Wenus znajduje się bliżej Słońca. Otrzymała od niego więcej aktywności.

— W jakim okresie?

— Wtedy, gdy nasza planeta była jeszcze gwiazdą. Ilości substancji radioaktywnych na Wenus są rzeczywiście olbrzymie. To prawdziwa składnica materiałów energetycznych, które być może przydadzą się za parę tysięcy lat naszym potomnym, gdy materiały takie wyczerpią się na Ziemi.

— Za parę tysięcy lat... — powtórzyła za nim Natasza.

Tymczasem Kraśnicki uparcie coś majstrował przy aparaturze radiowej.

— Łączność! — dał się słyszeć nagle jego głos.

Do uszu Iwana Płatonowicza dolatywały słabe dźwięki z dalekiej przestrzeni, stamtąd gdzie znajdowała się Ziemia. Następnie usłyszał urywek jakiegoś komunikatu...

— Wiktorze Pietrowiczu! — zawołał radośnie. — Stacja pracuje! Odbieram Ziemię!

Jachontow rzucił się ku niemu i nałożył słuchawki.

W eterze dźwięczał wyraźnie głos:

— Uwaga! Uwaga! Mówi Radiostacja Kosmo- lotu! Mówi Kosmolot! Wzywam radziecką rakietę kosmiczną! Podajcie swoje położenie! Podajcie swoje położenie! Czy potrzebna wam pomoc? Czy potrzebna pomoc?... Przechodzę na odbiór.

Po chwili Wiktor Pietrowicz zaczął nadawać na Ziemię radiogram:

— Mówi radziecka rakieta kosmiczna! Lecimy w kierunku Ziemi! Zadanie wykonane! Prace ekspedycji zakończone. Kończę nadawanie. Przechodzę na odbiór.

I znowu w eterze zapanowała cisza.

Wszyscy, prócz pilota, zgromadzili się wokół radiostacji. Kraśnicki trwał przy odbiorniku. Minęło 30 minut. I nagle dał znak ręką.

— Ziemia! Włączam głośnik!

Zadźwięczał niezbyt silnie, ale wyraźnie daleki głos:

— Uwaga, radziecka rakieta kosmiczna! Uwaga, radziecka rakieta kosmiczna. Mówi Kosmolot. Mówi Kosmolot. Łączę z Moskwą. Przy mikrofonie...

— Drodzy towarzysze! — rozległ się głos spikera. — Drodzy towarzysze! Pionierzy przestworzy kosmicznych! W imieniu całego narodu gratuluję wam pomyślnego spełnienia wielkiego czynu. Wasza wyprawa na Wenus posiada olbrzymią wartość naukową i wielkie znaczenie praktyczne. Dowiedliście, że nie ma granic dla twórczych możliwości ludzi. Losy ekspedycji poruszyły nasz naród i całą światową ludzkość, otrzymaliśmy od was tylko jeden radiotelegram, zawiadamiający o szczęśliwym przybyciu ekspedycji na Wenus, ale byliśmy zawsze pewni...

Astronauci wstrzymali oddech. Głos płynął spokojnie:

— Pamiętaliśmy o was. W tych dniach, kiedy połączenie uległo przerwaniu, wysłany został pomocniczy oddział astronautów w celu dostarczenia wam tlenu, żywności i materiałów pędnych. Rakieta z załogą składającą się z trzech ludzi

udała się w podróż przed 38 dniami. Obecnie kiedy ta odsiecz nie jest już potrzebna, oddział pomocniczy otrzyma rozkaz powrotu bez lądowania na Wenus. Rząd powziął decyzję zbudowania w najbliższym czasie dziesięciu statków kosmicznych, ażeby kontynuować rozpoczęte przez was badania. Komunikujemy, że rodziny astronautów są zdrowe i oczekują powrotu bohaterów...

Po pierwszym radiogramie nadano szybko drugi. Nataszy spływały po twarzy łzy. Płakała z radości. Niewidoczne, lecz silne nici znowu powiązały astronautów z daleką Ojczyzną. Nie zapomniano o nich. Tam na nich czekają!

Tego dnia na ulicach i placach, w ogrodach i parkach Jałty panowało niezwykle ożywienie. Miasto udekorowano czerwonymi flagami. Wszędzie słychać było podniecone rozmowy. Nawiązano łączność z rakieta! Na specjalnym posiedzeniu Prezydium Akademii Nauk postanowiono po porozumieniu się z kierownikiem ekspedycji, akademikiem Jachontowem, że rakieta ominie stację kosmiczną i wyląduje bezpośrednio na Ziemi, a raczej osiadzie na Morzu Czarnym w pobliżu Jałty.

Rakieta z każdą godziną, z każdą sekundą zbliżała się do Ziemi. Jałta przygotowywała się w wielkim pośpiechu do uroczystego spotkania. W ciągu ostatniego miesiąca wzniesiono kilka tymczasowych budynków na przyjęcie gości zaproszonych na święto powitania. Na brzegu morza, w lasach rosnących na stokach gór, w rejonie Sądu Nikitskiego, dalej na zachód, aż do samego cypla Aija rozbito namioty dla tych, którzy chcieli być świadkami wielkiego wydarzenia. Z wszystkich kierunków nadlatywały samoloty z gośćmi zagranicznymi. Od strony morza nadpływały jachty i ślizgowce, od strony lądu wszystkimi drogami sunęły auta. Z Moskwy pędziły ekspresy.

W dniu, w którym powinna była przylecieć rakieta, wszystkie zbocza gór w rejonie Jałty wypełnił nieprzeliczony tłum widzów. Na bulwarze naprzeciwko Dworca Morskiego zbudowano trybunę dla gości honorowych. Najlepszy hotel Jałty oddany został do dyspozycji astronautów i ich rodzin, przedstawicieli Rządu i Partii oraz dziennikarzy. Na torze czekał specjalny pociąg elektryczny, którym astronauta mieli udać się do stolicy.

Dokładny czas przybycia rakiety nie został ustalony, gdyż nikt nie wiedział, ile razy musi ona okrążyć Ziemię, ażeby zniżyć się odpowiednio, wytracić prędkość i podejść zgodnie z zasadami bezpieczeństwa do wodowania.

Lot rakiety poprzez przestrzeń kosmosu śledziły stacje obserwacyjnych. Cztery razy dziennie w ciągu trzech miesięcy podawano komunikaty radiowe o położeniu i locie statku. Przypuszczano, że wodowanie odbędzie się między godziną dwunastą a szóstą wieczorem. Lecz już o godzinie ósmej rano wszyscy czekali na ulicach, plażach i na brzegu morza. Rakieta zbliżała się coraz bardziej do Ziemi! W tym czasie na całym świecie nie mówiono chyba o niczym innym, jak o przybyciu podróżników z Wenus. Głośniki regularnie informowały publiczność o miejscu, w którym znajduje się każdorazowo rakieta.

O godzinie dziesiątej przed południem kolejny komunikat głosił:

„Lot odbywa się normalnie. Rakieta zbliża się do granicy ziemskiej atmosfery i przygotowuje się do przejścia w lot po spirali”.

O godzinie dwunastej oznajmiono:

„Statek kosmiczny wszedł w górne warstwy atmosfery, rozpoczynając lot po spirali, z zachodu na wschód, zgodnie z kierunkiem obrotu Ziemi, ażeby równomiernie wytracać prędkość”.

O godzinie drugiej radiostacje radzieckie podały:

„Rakieta dokonała już dwu pełnych obrotów wokół kuli ziemskiej i znajduje się na wysokości 200 kilometrów. Wszystkie stacje radarowe położone w pasie między 30 a 40 stopniem północnej szerokości geograficznej dokonują obserwacji przestworzy. Lot odbywa się pomyślnie. Statek prowadzi pilot Włodzimierz Odincow”.

Komunikat ten wywołał poruszenie wśród małej grupy ludzi zebranych na balkonie gmachu Hotelu Centralnego. Wśród nich znajdowała się w otoczeniu dziennikarzy i kinooperatorów Ludmiła Odincowa, matka pilota. Dziennikarzy zagranicznych interesowały szczegóły z życia jej syna. Wypytywali o jego upodobania, jakie uprawia sporty, jakie czyta książki, co pali: fajkę, cygara czy papierosy? Ciekawi byli wszystkiego.

O godzinie trzeciej ogłoszono następujący komunikat:

„Radiostacja Delhi podaje: radziecki okręt kosmiczny przeleciał z szaloną prędkością na wielkiej wysokości. Zaobserwowano, jak astronauta gasił i zapalał światła reflektorów”.

Po godzinie nadszedł nowy komunikat z Ameryki, który brzmiał:

„Radziecką raketę kosmiczną zauważono w rejonie Gór Skalistych na wysokości 60 kilometrów. W tym momencie prędkość jej wynosiła około 3000—

3500 kilometrów na godzinę. Rakieta przecina kontynent Ameryki na szerokości San Francisco".

Po upływie pół godziny nadszedł radiogram z Nowego Jorku:

„Radziecki statek międzyplanetarny przeleciał nad miastem na wysokości 30 kilometrów. Mieszkańcy są podnieceni. Wiele instytucji i przedsiębiorstw przerwało pracę. Świadczy to o wielkim zainteresowaniu lotem powracających z Wenus astronautów".

O godzinie szóstej tego dnia stacje radzieckie odebrały następujący komunikat z Francji:

„Okręt kosmiczny, powracający z Wenus, nadleciał nad terytorium Francji od strony Atlantyku o godzinie 17.58. Rakieta leci na wysokości 15 kilometrów. W minutę po pojawieniu się rakiety dychać było płynący z góry dźwięk, nie przypominający żadnego ze znanych odgłosów. Ludzkość z entuzjazmem wita bohaterów radzieckich".

Ostatni, najkrótszy komunikat, który podano po dwóch godzinach, składał się tylko z kilku wyrazów:

„Uwaga! Uwaga! Rakieta zbliża się od zachodu".

Wszystkie oczy zwróciły się w podanym kierunku.

Wrześniowy dzień był wyjątkowo piękny. Słońce skryło się już za horyzontem. Zachodnia strona widnokregu pokryła się fioletowymi chmurkami, których brzegi były różowe od promieni słońca. Złota zorza rozłożyła się nad lazurem bezkresnych fal. Nad ziemią zawisła wieczorna cisza. Wtem skądś z daleka dole-

ciał niezwykle dźwięk. To nie był świst pocisku, lecz niski grzmot przypominający huk zbliżającej się lawiny.

Rakieta zbliżała się z zachodu. Widać ją było początkowo jako maleńki punkt. Rósł on jednak w oczach, aż w końcu stał się widocznym, olbrzymim pociskiem kosmicznym. Leciała nad morzem dość nisko i z dala od brzegu. Ludzie wstrzymali oddech. Statek zniżył się jeszcze bardziej. Wreszcie dotknął powierzchni morza. Równocześnie dał się słyszeć syk pary, która gęstym obłokiem osłoniła miejsce wodowania.

W tej samej prawie chwili ruszyły z portu, jak spuszczone z uwięzi, śnieżnobiałe statki. Pędziły na spotkanie swej kosmicznej siostrzycy.

Rakieta nie mogła sama wpłynąć do portu. Należało ją przyholować.

Było uroczyście, liczebność tłumu sięgnęła zenitu. Orkiestra zagrała hymn państwowy. Przy jego uroczystych dźwiękach rakieta weszła do przystani.

Uczyńło się już zupełnie ciemno. Na rakiecie zapalono światła. Przez okrągłe okna przedniej kabiny stojący na brzegu ujrzeli sylwetki astronautów. Ciszę nocy rozdarły entuzjastyczne okrzyki, wydobywające się z tysięcy piersi.

Wreszcie raketę przycumowano do nadbrzeża. Otworzył się luk. Na kamiennym moście zaczęli wychodzić kolejno astronauty. Ze wszystkich stron posypały się bukiety. Małe dziewczynki wręczyły akademikowi Jachontowowi wiązanki kwiatów. Natasza otrzymała naręczę róż. W oczach miała łzy szczęścia.

— A więc wróciliśmy! A więc wróciliśmy! — szeptały jej wargi.

Obok niej stał Włodzimierz. W tłumie rozentuzjasmowanej publiczności zobaczył zapłakane, lecz szczęśliwe oczy matki.

SPIS TREŚCI

Rozdział I w którym każdy ze swego punktu widzenia ma rację

Rozdział II w którym rakieta kosmiczna wodzi na powierzchni Morza Czarnego

Rozdział III z którego wynika, że naruszenie dyscypliny nie pozostaje bezkarne .

Rozdział IV w którym jest mowa o niepozornych kamieniach rodzących znakomite idee .

Rozdział V który odsłania szczegóły niezwykle fantastycznego planu

Rozdział VI w którym zapada ważna decyzja .

Rozdział VII w którym baśń staje się rzeczywistością

Rozdział VIII w którym rakieta kosmiczna ulatuje w przestrzeń międzyplanetarną

Rozdział IX w którym jest mowa o pierwszych godzinach lotu w przestrzeń kosmosu .

Rozdział X w którym zjawiają się małe przedmioty i duże niebezpieczeństwa

Rozdział XI w którym wynikają trudne zadania matematyczne wymagające szybkiego i śmiałego rozwiązania

Rozdział XII w którym zjawia się w polu widzenia astronautów planeta Wenus .

Rozdział XIII w którym sztandar Kraju Rad powiewa nad skałami Wenus

Rozdział XIV w którym jest mowa o pierwszych dniach astronautów na Wenus .

Rozdział XV w którym Natasza i Włodzimierz giną bez wieści

Rozdział XVI w którym przyjaciele znowu się spotykają

Rozdział XVII w którym uczony astronom odkrywa Wąwóz Gorących Skał

Rozdział XVIII w którym astronauta w dalszym ciągu zaznajamiają się ze światem zwierzęcym na Wenus

Rozdział XIX w którym zachodzą niezwykle wydarzenia w głębinie gorących wód oceanu .

Rozdział XX w którym jest mowa o długiej nocy i trudnościach, jakie z tego powodu wynikły dla ekspedycji.

Rozdział XXI w którym śmierć zabiera pierwszą ofiarę

Rozdział XXII w którym Jachontow znajduje pierwotne koloidy

Rozdział XXIII w którym wszyscy uznają, że Natasza jest bardzo pożytecznym uczestnikiem ekspedycji

Rozdział XXIV zamiast epilogu